

**Desmond Bagley**

# **HURAGAN**



Samolot typu Super-Constellation leciał przy dobrej pogodzie na północny wschód, pozostawiając za sobą rozrzucone łukiem na tym morzu zielone wyspy, które zwano Małymi Antylami, gdzieś za grubą linią widocznego nad Atlantykiem horyzontu czekało przeznaczenie: niebezpieczne rendez-vous w jachcie na północ od równika, w tej części Atlantyku, która jest między Północną Afryką a Południową Ameryką, komandor porucznik Hansen, nie znał tak naprawdę do miejsca spotkania, nie wiedział także, kiedy tam dotrze. Jedyne rozkazy siedzącego za nim cywila. Brał już udział w wielu podobnych misjach i wiedział, czego od niego oczekują, odprężył się więc w fotelu i pozostawił prowadzenie Korganowi, swemu drugiemu pilotowi. Komandor porucznik służył od ponad dwunastu lat w marynarce Stanów Zjednoczonych płacono mu za to sześćset sześćdziesiąt dolarów miesięcznie stanowczo za mało, biorąc pod uwagę pracę, którą wykonywał.

Był to jeden z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek skonstruowano obsługiwał niegdyś z dumą komercyjne szlaki nad północnym Atlantykiem, dopóki nie usunęły go w cień szybsze odrzutowce i odszedł w odstawkę do czasu, aż okazał się przydatny a teraz nosił insygnia marynarki Stanów Zjednoczonych, wydawał się bardziej sfatygowany niż przystoi wojskowej maszynie krawędzie skrzydeł miał wklęsnięte i powyginane, umieszczany na dziobie emblemat w postaci uskrzydłonej chmury zniszczony i wytarty - ale samolot ten miał na swym więcej specjalnych misji niż jego pilot, nie więc dziwnego, że był nie do zużycia.

Wyatt spojrział na niebo nad horyzontem i zobaczył na bladym niebie pierwsze nikłe pasemka pierzastych chmur.

Pstryknął palcem i odezwał się:

- Chyba się podnosi, Dave. Masz jakieś nowe rozkazy?

W słuchawkach rozległ się zagłuszony trzaskami głos:

- Sprawdzę odczyt.

Hansen skrzyżował ręce na brzuchu, patrząc na gromadzące się w górze chmury. Niektórym oficerom marynarki byłoby może nie w smak, że muszą słuchać rozkazów cywila, a zwłaszcza kogoś, - kto nie jest nawet Amerykaninem, ale Hansenowi to nie przeszkadzało. W tej robocie nie miała żadnego znaczenia czyjaś pozycja czy narodowość. Liczyło się jedynie, aby ludzie, z którymi lecisz, byli kompetentni i nie narażali cię na śmierć - w miarę swoich możliwości

Za kabiną załogi znajdowało się obszerne pomieszczenie, w którym dawniej pasażerowie pierwszej klasy popijali bourbona i flirtowali ze stewardesami. Teraz było ono pełne sprzętu i luda. Od ściany do ściany piętrzyły się konsole urządzeń telemetrycznych, tworząc wystające cyple i wysepki, tak więc dla trzech ludzi, wciśniętych w ten elektroniczny labirynt, pozostawało bardzo niewiele miejsca.

David Wyatt obrócił się na ruchomym krześle, uderzając silnie kolanem o krawędź konsoli dużego radaru. Skrzywiwszy się pomyślał, że już nigdy się tego nie nauczy, po czym potarł kolano dłonią i włączył odbiornik. Wielki ekran ożył, otaczając go tajemniczą zieloną poświatą. Przyglądał mu się z zawodowym zainteresowaniem. Zrobiwszy parę notatek odszukał w torbie jakieś papiery, a potem wstał i ruszył w kierunku kabiny załogi.

Poklepał Hansena po ramieniu, unosząc kciuk w uspokajającym geście, po czym spojrział przed siebie. Jedwabiste pasma szybujących wysoko cirrusów powędrowały ku górze, ustępując miejsca nad horyzontem niższej warstwie gładkich cirrostratusów. Wiedział, że tuż nad wypukłą krawędzią Ziemi kryją się ciężkie i groźne nimbostratusy - zwiastuny deszczu. Spojrział na Hansena.

- To jest to - oznajmił z uśmiechem.

- Nie ma powodu, żeby się tak cholernie cieszyć - odburknął Hansen.

Wyatt podsunął mu niewielki plik zdjęć.

- Tak to wygląda z góry.

Hansen przejrzał niewyraźne, zasmużone fotografie, które przekazał na Ziemię satelita meteorologiczny.

- Z Tirosa IX?

- Właśnie.

- Robią postępy. Są całkiem dobre - stwierdził Hansen. Porównał wielkość białej plamy ze skalą na brzegu zdjęcia. - Nie jest zbyt duży. Dzięki Bogu.

- Wielkość się nie liczy - powiedział Wyatt. - Ważny jest gradient ciśnienia. Dobrze o tym wiesz. Dlatego tu jesteśmy.

- Są jakieś zmiany w programie?

Wyatt pokręcił głową.

- To, co zwykle. Wchodzimy z wiatrem odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, podlatując coraz bliżej. Potem, gdy dotrzemy do kwadrantu południowo-zachodniego, kierujemy się do środka.

Hansen podrapał się po policzku.

- Postaraj się zrobić wszystkie pomiary za jednym razem. Nie chcę tego powtarzać. - Skinął głową za siebie. - Mam nadzieję, że twój sprzęt spisze się lepiej niż ostatnio.

- Ja także - odparł Wyatt z grymasem na twarzy.

Machnął beztrząsą ręką i wrócił na tył maszyny, by sprawdzić odczyt dużego radaru. Wszystko było jak zwykle, bez żadnych anomalii. Mieli przed sobą jedynie typowe niebezpieczeństwa. Rzucił okiem na dwóch podległych mu ludzi. Obaj byli oficerami marynarki, doświadczonymi specjalistami, którzy znali obsługiwany sprzęt. Obaj brali już udział w podobnych misjach i wiedzieli, czego się spodziewać. Sprawdzali właśnie pasy bezpieczeństwa, aby się upewnić, czy nie będą ich ocierać, gdy zostaną nagle naprężone.

Wyatt wrócił na swoje miejsce i przypiął się do fotela. Kiedy zatrzasnął dźwignię, która blokowała jego obroty, przyznał wreszcie w duchu, że się boi. Na tym etapie operacji zawsze odczuwał strach - większy, był tego pewien, niż ktokolwiek na pokładzie. Wiedział bowiem o huraganach więcej nawet niż Hansen. Zajmował się nimi zawodowo, stanowiły jego życiową pasję i znał niszczycielską siłę wiatru, który miał wkrótce zaatakować samolot, próbując go rozbić. Pojawiło się też coś jeszcze, pewien nowy element. Od chwili, gdy na Cap Sarrat zobaczył na zdjęciach satelitarnych białą plamę, miał wrażenie, że zbliża się huragan o wyjątkowej sile. Nie było to coś, co mógłby poddać analizie czy przelać na papier w postaci beznamiętnych symboli i formuł nauk meteorologicznych, a jedynie wyraźne przecucie.

Tym razem bał się więc bardziej niż zwykle.

Wzruszył ramionami i zabrał się do pracy, gdy w samolot uderzył pierwszy słaby podmuch wiatru. Zielona plama na ekranie radaru odpowiadała dokładnie tej ze zdjęć satelitarnych. Wyatt włączył urządzenie rejestrujące, które zapisywało wszystkie dane na zwiniętym pasku plastikowej taśmy magnetycznej, aby główny komputer skorelował je z mającymi wkrótce napłynąć innymi informacjami.

Hansen wpatrywał się w ciemność przed samolotem. Oleiste, czarne nimbostratusy kłębiły się w podmuchach wiatru, grupując się ciągle i rozpadając na strzępy. Hansen obdarzył Morgana wymuszonym uśmiechem.

- No to do roboty - powiedział, robiąc delikatny skręt w prawo.

Przepustnica znajdowała się w takiej pozycji, że lecąc przy bezwietrznej pogodzie maszyna powinna była rozwijać czterysta dwadzieścia kilometrów na godzinę i tyle wskazywał miernik prędkości lotu, ale Hansen mógłby się założyć, że z powodu wiejącego od tyłu wiatru ich prędkość względem ziemi zbliżała się do pięciuset kilometrów na godzinę.

Na tym polegała trudność jego pracy. Przyrządy nie dawały prawidłowego odczytu, a nie było szans, żeby je skorygować spoglądając na ziemię, bo gdyby nawet rozstały się chmury - co nigdy się nie zdarzało - przyglądanie się jednostajnym przestworzom oceanu nie miało sensu.

Nagle samolot zaczął spadać jak kamień, porwany przez zstępujący prąd powietrza.

Hansen borykał się ze sterami, obserwując wirującą w szaleńczym tempie strzałkę wysokościomierza. Udało mu się wyrównać lot, po czym skierował maszynę ku górze, chcąc wrócić na poprzedni pułap. Zanim jednak pojął, co się dzieje, samolot trafił na równie gwałtowny wstępujący prąd i Hansen musiał pchnąć drążek steru do przodu, aby uniknąć spadku z wierzchołka powietrznego komina.

Przez utwardzone szkło widział w błękitnym świetle błyskawic niesiony ku górze deszcz i grad. Spojrzawszy w tył zauważył przy końcówce skrzydła świetlisty błysk w kształcie roziskrzonych choinki i zrozumiał, że uderzył w nich piorun. Wiedział jednak również, że nie ma to znaczenia. W metalu pozostanie jedynie mała dziurka, którą zalutują mechanicy, i nic więcej - jeśli nie liczyć faktu, że samolot i wszystko, co się w nim znajdowało, zostało naładowane napięciem kilku tysięcy Voltów, którego trzeba będzie pozbyć się przy lądowaniu.

Ostrożnie wprowadzał maszynę coraz głębiej w rejon burzy, lecąc po spiralnym kursie i szukając silniejszego wiatru. Pioruny uderzały teraz niemal bez przerwy, a trzaski bliskich wyładowań zagłuszały hałas silników. Hansen włączył mikrofon pod brodą i krzyknął do mechanika pokładowego:

- Meeker, wszystko w porządku?

Meeker odpowiedział dopiero po dłuższej chwili:

- Wszyst... rzędu. - Połowy zdania nie było słyhać z powodu zakłóceń.

- Tak trzymaj! - krzyknął Hansen i zaczął dokonywać w pamięci obliczeń. Na podstawie zdjęcia satelitarnego szacował średnicę obszaru huraganu na 480 kilometrów, co dawałoby w obwodzie około 1500 kilometrów. Aby dotrzeć do kwadrantu południowo-zachodniego, gdzie wiatr był najslabszy i skąd dałoby się najbezpieczniej wlecieć do środka, musiałby przebyć trzecią część drogi po okręgu - powiedzmy, jakieś 370 kilometrów. Wskaźnik prędkości lotu ulegał teraz zbyt dużym wahaniom, by mógł się na coś przydać, ale z doświadczenia oceniał swoją prędkość względem ziemi na nieco ponad 300 węzłów - założmy, około 560 kilometrów na godzinę. Byli w rejonie burzy od prawie trzydziestu minut, pozostawało więc jeszcze pół godziny do miejsca, gdzie należało zmienić kierunek.

Na czole pojawiły mu się krople potu.

Siedzący w pomieszczeniu z aparaturą Wyatt czuł, jak dostaje w kość i wiedział, że kiedy wróci do Cap Sarrat i zdejmie ubranie, zobaczy pręgi w miejscach, gdzie pasy wbijały mu się w ciało. Silne, funkcjonalne światło przygasalo i migotało, gdy pioruny uderzały w samolot i przeciążały chwilowo obwody. Wyatt miał nadzieję, że przyrządy wytrzymają ten napór.

Rzucił okiem na pozostałych dwóch mężczyzn. Smith siedział przygarbiony w fotelu, wprawnym kołysaniem reagując na przechyły samolotu i od czasu do czasu kręcił galką. Był w dobrej formie. Twarz Jablonsky'ego przybrała zielonkawą barwę i Wyatt spostrzegł, jak odwraca się i gwałtownie wymiotuje. Szybko się jednak pozbierał i zajął swoją robotą. Wyatt lekko się uśmiechnął.

Spojrzał na wmontowany w pulpit zegar i zaczął liczyć. Kiedy skierują się w stronę centrum huraganu, będą musieli przelecieć nieco ponad sto sześćdziesiąt kilometrów, aby dotrzeć do jego „oka”, owego tajemniczego obszaru ciszy w samym środku rozszalałego żywiołu. Napotkają gwałtowny boczny wiatr i czeka ich ciężki lot, który, jak oceniał Wyatt, potrwa prawie trzy kwadransy. Potem jednak będą mogli trochę popróżnować i złapać oddech, zanim znów rzucą się w wir walki. Hansen pokołuje przez piętnaście minut w tej zdumiewającej ciszy, gdy Wyatt będzie wykonywał swoją robotę. Wszyscy pomasują trochę obolałe ciała i przygotują się do powrotnego lotu.

Od chwili, gdy skierują się do centrum, zaczną pracować wszystkie urządzenia, rejestrując ciśnienie powietrza, wilgotność, temperaturę i wszelkie inne parametry, które pozwalają scharakteryzować najsilniejszy na świecie wiatr. A przelatując przez obszar huraganu zrzucają coś, co Wyatt nazywał na własny użytek „ładunkiem bomb”: nadzwyczaj skomplikowane zestawy urządzeń pomiarowych, spuszczone w rejon burzy. Niektóre, zanim opadną, kołyszają się przez godzinę na wietrze, inne zlatują w dół i unoszą się na

wzburzone morzu, jeszcze inne zanurzają się na określoną głębokość poniżej poziomu fal. Wszystkie wysyłają jednak sygnały radiowe, które odbiera w samolocie i rejestruje na taśmie skomplikowana aparatura odbiorcza.

Usiadł wygodnie w fotelu i zaczął mówić do umieszczonego przy podbródku mikrofonu, który podłączony był do niewielkiego dyktafonu. Miał nadzieję, że odsłuchując w bazie nagranie zdoła wyłuskać własny głos z kakofonii odgłosów burzy.

Pół godziny później Hansen skierował maszynę w stronę centrum huraganu, dając Wyattowi znak brzęczykiem. Natychmiast odczuł różnicę w intensywności siły wiatru, który atakował samolot. Kakofonię wzbogacił nowy zestaw dźwięków i stery zaczęły reagować inaczej. Maszyna stała się trudniejsza w prowadzeniu przy wiejących z boku wiatrach, które, jak się orientował, osiągały zapewne prędkość dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Samolot opadał w dół i szarpał, a Hansena rozboleły ręce od ciągłego korygowania lotu. Żyrokompas dawno wysiadł, zaś róża busoli magnetycznej obracała się gwałtownie pod czaszą.

Wyatt i jego załoga mieli pełne ręce roboty. Ogłuszeni zabójczym hałasem i wstrząsami niczym kostki do gry wewnątrz kubka, mimo wszystko nie przerywali pracy. Kapsuły z przyrządami zrzucano precyzyjnie w regularnych odstępach czasu, a informacje, które zaczynały one natychmiast przekazywać drogą radiową, rejestrowano na 32-ścieżkowych taśmach o szerokości jednego cala. Smith i Jablonsky czuwali nad nimi pieczołowicie. W przerwach między zrzucaniem kapsuł Wyatt kontynuował nagrywanie na własnym magnetofonie doraźnych komentarzy. Zdawał sobie sprawę, że są to subiektywne obserwacje, których nie wykorzysta do poważnych analiz, chciał jednak mieć je na prywatny użytek i porównać potem z danymi liczbowymi.

Nagle poczuł ulgę, słysząc jak niemal w jednej chwili wszystko ucichło i zrozumiał, że znaleźli się w oku cyklonu. Samolot przestał szarpać i wydawało się, że płynie w powietrzu. W porównaniu z odgłosami burzy ryk silników brzmiał jak najbardziej kojący dźwięk, jaki Wyatt kiedykolwiek słyszał. Sztywnymi palcami odpiął pasy i spytał:

- Jak idzie?

Smith machnął ręką.

- Normalka. Z czwórki brak odczytów wilgotności. Z szóstki nie ma temperatury powietrza, a z siódemki temperatury morza. - Zrobił skwaszoną minę.

- Trójka nawet nie pisnęła, a obciążniki w ogóle nie zadziałały.

- Niech je cholera! - zaklął z pasją Wyatt. - Zawsze mówiłem, że ten system jest zbyt skomplikowany. A jak u pana, Jablonsky? Co z bezpośrednimi odczytami?

- U mnie wszystko gra - odparł Jablonsky.

- Oby tak dalej - stwierdził Wyatt. - Idę do kapitana.

Przeszedł do kabiny załogi, gdzie zastał Hansena przy masowaniu ramion, podczas gdy Morgan pilotował samolot, który zataczał ciasny krąg. Wyatt uśmiechnął się blade.

- Diabelskie nasienie - stwierdził Hansen. - Jak dla mnie, za dużo wrażeń. A co u ciebie?

- Typowe awarie, jak było do przewidzenia. Poza tym zawiodły wszystkie obciążniki.

- A czy kiedykolwiek działały?

Wyatt smętnie się uśmiechnął.

- Trochę za dużo wymagam, prawda? - stwierdził. - Zrzucamy do morza w samym centrum huraganu bardzo skomplikowany ładunek, aby osiadł na określonej głębokości. Nadaje on za pomocą sonaru sygnał, który ma zostać przechwycony przez równie skomplikowane urządzenie na powierzchni, przekształcony w fale radiowe i przekazany do nas. W tym łańcuchu jest o jedno ogniwo za dużo. Kiedy wrócę, napiszę raport. Wrzucamy do morza zbyt dużo pieniędzy, w zamian za niewielkie zyski.

- Byleśmy wrócili - powiedział Hansen. - Najgorsze jeszcze przed nami. Nigdy dotąd nie spotkałem w południowo-zachodnim kwadrancie tak silnych wiatrów, a na północy będzie bez porównania gorzej.

- Jeśli chcesz, dalszy ciąg możemy sobie odpuścić - zaproponował Wyatt. - Możemy

odlecieć tak samo, jak przylecieliśmy.

- Zrobiłbym to, gdybym mógł - odparł bez ogródek Hansen. - Ale nie mamy paliwa, żeby znowu lecieć naokoło. Będziemy się więc przedzierać najkrótszą drogą i możesz zgodnie z planem wyrzucić resztę ładunku; ale lot będzie piekielnie ciężki. - Podniósł wzrok. - To wyjątkowo silny huragan, Dave.

- Wiem - odparł rzeczowo Wyatt. - Daj znać, kiedy będziesz gotów lecieć dalej. - Powiedziawszy to, wrócił do pomieszczenia z aparaturą.

Brzęczyk odezwał się już po pięciu minutach i Wyatt zdał sobie sprawę, że Hansen jest naprawdę zdenerwowany, gdyż zwykle pozostawał w oku cyklonu o wiele dłużej. Pospieszenie zamocował pasy i napiął mięśnie, aby odeprzeć atak. Hansen miał rację: był to wyjątkowo potężny huragan, o niewielkim zasięgu, ale groźny i bezlitosny. Wyatt zastanawiał się, jaki gradient ciśnienia mógł wywoływać tak silne wiatry.

O ile to, przez co przechodzili wcześniej, można by nazwać czyścem, teraz przeżywali istne piekło. Cały szkielec samolotu trzeszczał i jęczał z bólu pod ciosami, które otrzymywał. Poszycie zaczęło pękać w kilkunastu miejscach i Wyatt obawiał się przez chwilę, że tego już będzie za wiele, że mimo specjalnego wzmocnienia skrzydła oderwą się, a kadłub runie do wzburzonego morza. Dokuczał mu spływający po szyi strumień wody, zdołał jednak pozbyć się pozostałych kapsułek, wyrzucając je, tak jak przedtem, w precyzyjnie określonych odstępach czasu.

Hansen borykał się niemal przez godzinę z potężnym wiatrem i właśnie w chwili, gdy pomyślał, że dłużej, już tego nie zniesie, samolot został wyrzucony z chmur, wypluty z nich w taki sposób, w jaki człowiek wypluwa pestkę pomarańczy. Hansen dał znak Morganowi, by przejął stery i, całkowicie wyczerpany, opadł na fotel.

Kiedy ataki wiatru osłabły, Wyatt zaczął robić bilans. Aparatura Jablonskiego została w połowie uszkodzona, a wskazówki przyrządów znajdowały się na zerze. Działały na szczęście taśmy, więc nie wszystko było stracone. Raport Smitha okazał się jeszcze smutniejszy: tylko trzy spośród kilkunastu kapsułek przekazywały sygnały, a i te zamilkły nagle w połowie lotu, kiedy urządzenie rejestrujące zostało w powodzi iskier dosłownie wyrwane z podstawy i taśmy przestały pracować.

- Nic nie szkodzi - stwierdził filozoficznie Wyatt. - Przynajmniej my wyszliśmy z tego cało.

Jablonski starł wodę z powierzchni konsoli.

- To było cholernie nieprzyjemne. Jeszcze jeden taki lot i poszukam sobie roboty na ziemi.

- Ja razem z tobą - mruknął Smith.

Wyatt szeroko się do nich uśmiechnął.

- Małe szansę, żebyście trafili szybko na coś podobnego - oznajmił. - To był najgorszy huragan, jaki widziałem w czasie moich dwudziestu trzech wypraw.

Poszedł w kierunku kabiny załogi, a Jablonski patrzył w ślad za nim.

- Dwadzieścia trzy wyprawy! Ten facet musi mieć źle w głowie. Ja mam limit dziesięciu lotów; zostały mi już tylko dwa.

Smith potarł z namysłem podbródek.

- Może on szuka śmierci? No wiesz, aspekt psychologiczny i tak dalej. A może to miłośnik huraganów. Jedno jest pewne: ma charakter. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś okazywał tyle spokoju.

W kabinie załogi Hansen oznajmił ze znużeniem:

- Mam nadzieję, że zdobyłeś wszystko, czego potrzebowałeś. Nie chciałbym znów przez to przechodzić.

- Powinno nam wystarczyć - odparł Wyatt. - Ale powiem ci na sto procent, gdy wrócimy do domu. Kiedy to będzie?

- Za trzy godziny - odparł Hansen.

Nagle w równomiernym huku maszyny nastąpiła jakaś zmiana i z lewego zewnętrznego silnika wystrzeliła smuga czarnego dymu. Hansen sięgnął błyskawicznie do

dźwigni przepustnicy, a następnie ustawił śmigło w chorągiewkę.

- Meeker! - krzyknął. - Co się dzieje?

- Nie mam pojęcia - odparł Meeker. - Ale samolot jest chyba załatwiony na resztę lotu. Ciśnienie oleju zupełnie spadło. - Zamilkł na chwilę. - Już jakiś czas temu miałem z nim problemy, ale uznałem wtedy, że nie będzie pan miał ochoty tego słuchać.

Hansen wydał policzki i ciężko westchnął.

- Chryste! - powiedział z namaszczeniem i wcale nie zabrzmiało to jak bluźnierstwo.

Potem spojrzął na Wyatta, mówiąc: - Więc potrzebujemy ze cztery godziny.

Wyatt skinął lekko głową i oparł się o przepierzenie. Teraz, gdy było już po wszystkim, poczuł, jak rozkurcza mu się żołądek i uświadomił sobie, że drży na całym ciele.

## II

Wyatt siedział przy biurku, odprężony przynajmniej fizycznie, jeśli nie psychicznie. Był dopiero wczesny poranek i słońce nie przygrzewało jeszcze z taką siłą, jak w ciągu dnia, wszystko wyglądało więc świeżo i rześko. Wyatt czuł się dobrze. Wróciwszy poprzedniego dnia po południu dopilnował, by bezcenne taśmy dotarły do chłopaków z ośrodka komputerowego, a potem pograżył się z niewysłowioną ulgą w gorącej kąpieli, która wyciągnęła cały ból z jego zmaltretowanego ciała. Wieczorem zaś wypił z Hansenem parę kufli piwa.

Teraz, w świeżym blasku poranka, czuł się wypoczęty i z chęcią przystępował do pracy, chociaż przysunawszy do siebie zapisane gęsto zestawienia liczb, myślał bez entuzjazmu o faktach, które miał odkryć. Pracował sumiennie przez całe rano, zamieniając suche liczby w zwykłe linie na mapie - szkic rzeczywistości, wyobrażenie huraganu. Kiedy skończył, spojrzął na wykres obojętnym wzrokiem, po czym przypiął go starannie do dużej tablicy na ścianie swego biura.

Zaczął właśnie wypełniać formularz, gdy zadzwonił telefon. Usłyszawszy znajomy głos poczuł mocniejsze bicie serca.

- Julie! - zawołał. - Co tu robisz, u licha?

Nawet w słuchawce jej głos brzmiał ciepło.

- Mam tygodniowy urlop - odparła. - Byłam w Puerto Rico i znajomy podrzucił mnie samolotem.

- Gdzie teraz jesteś?

- Zameldowałam się właśnie w hotelu Imperiale. Zostaję tu, ale mój Boże, cóż to za lokal!

- Nie mamy nic lepszego, dopóki nie zjawi się u nas Conrad Hilton. A jeśli ma choć trochę rozumu, nie robi tego - stwierdził Wyatt. - Przykro mi. Niestety, nie bardzo mogę zaprosić cię do bazy.

- Nic nie szkodzi - odparła Julie. - Kiedy cię zobaczę?

- Niech to diabli! - powiedział z rozpaczą Wyatt. - Niestety, przez cały dzień będę uwiązany. To musi być wieczorem. Co powiesz na wspólną kolację?

- No dobrze - zgodziła się. Wyatt odniósł wrażenie, że jest nieco rozczarowana. - Może pójdziemy do klubu Maraca, jeśli jeszcze funkcjonuje.

- Nadal działa, chociaż tylko Eumenides wie, jakim cudem. - Wyatt spojrzął na zegar. - Posłuchaj, Julie. Jeżeli mam zrobić sobie wolny wieczór, muszę odwalić kawał roboty. Zwaliło mi się teraz na głowę mnóstwo pracy.

Julie roześmiała się.

- W porządku. Żadnych plotek przez telefon. Lepiej zaczekać, aż się spotkamy. Do zobaczenia wieczorem.

Odwiesiła słuchawkę, a Wyatt odłożył powoli swój jednoczęściowy telefon, po czym obrócił się na fotelu w stronę okna, przez które widać było położone za Zatoką Santego miasto St. Pierre. „Julie Marlowe!”, pomyślał zdumiony. „Coś takiego!” Dostrzegł hotel Imperiale wśród konturów miasta St. Pierre i na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

Nie znali się długo, bynajmniej. Była stewardesą na linii łączącej Florydę z Karaibami i przedstawił ich sobie przyjaciel Hansena, pilot samolotów pasażerskich. Póki się spotykali, wszystko dobrze się układało. San Fernandez leżało na trasie jej regularnych lotów i Wyatt widywał ją dwa razy w tygodniu. Przez trzy miesiące dobrze się bawili, a potem nagle wszystko się skończyło, gdy linie lotnicze doszły do wniosku, że władze San Fernandez, a zwłaszcza prezydent Serrurier, za bardzo utrudniają im życie i skreśliły St. Pierre z rozkładu lotów.

Wyatt zamyślił się. To było dwa lata temu - nie, raczej trzy. Początkowo regularnie do siebie pisywali, ale z biegiem czasu listy zaczęły nadchodzić rzadziej i stawały się coraz krótsze. Trudno przyjaźnić się korespondencyjnie, zwłaszcza mężczyźnie i kobiecie, spodziewał się więc w każdej chwili wiadomości o jej zaręczynach - albo małżeństwie - i w taki sposób wszystko by się skończyło. Przemawiały za tym wszelkie praktyczne względy.

Przechyliwszy głowę spojrzął na zegar, po czym obrócił się na fotelu w stronę biurka i przysunął do siebie formularz. Skończył go prawie wypełniać, gdy zjawił się Schelling, starszy meteorolog marynarki z bazy na Cap Sarrat.

- To najnowsze materiały z Tiroso na temat pańskiego pupilka - oznajmił, rzucając na biurko plik fotografii.

Gdy Wyatt sięgnął po nie, Schelling dodał:

- Hansen mówi, że nieźle oberwaliście.

- Wcale nie przesadził. Niech pan na to spojrzy. - Wyatt wskazał ręką zawieszoną na ścianie mapę.

Schelling podszedł do tablicy i ściągnawszy wargi gwizdnął z podziwu.

- Jest pan pewien, że aparatura działała jak należy?

Wyatt stanął obok niego.

- Nie ma powodu w to wątpić - odparł, wskazując palcem mapę. - Osiemset siedemdziesiąt milibarów w oku cyklonu. To najniższe ciśnienie, z jakim się kiedykolwiek zetknąłem.

Schelling zlustrował mapę fachowym okiem.

- Wysokie ciśnienie na zewnątrz, 1040 milibarów.

- Gradient ciśnienia 170 milibarów na przestrzeni niecałych 240 kilometrów - to oznacza bardzo silne wiatry. - Wyatt wskazał na północną strefę huraganu. - Zgodnie z teorią, prędkość wiatru powinna wynosić w tym miejscu do 270 kilometrów na godzinę. Przeleciawszy tamtędy nie mam powodu w to wątpić. Hansen również.

- To potężny huragan - stwierdził Schelling.

- Owszem - przytaknął krótko Wyatt i usiadł, aby przyjrzeć się zdjęciom z Tiroso.

Schelling patrzył mu przez ramię. - Jego zasięg trochę się chyba zmniejszył - powiedział Wyatt. - To dziwne.

- Tym gorzej - oznajmił ponuro Schelling, kładąc dwa zdjęcia jedno przy drugim. - Nie przesuwa się jednak zbyt szybko.

- Wylczyłem, że przemieszcza się z prędkością trzynastu kilometrów na godzinę; jakieś trzysta dwadzieścia kilometrów dziennie. Lepiej to sprawdzić, bo sprawa jest ważna. - Wyatt wyciągnął z biurka kalkulator i sprawdzwszy zapisane na fotografii liczby zaczął stukać w klawisze. - Mniej więcej się zgadza. W ciągu ostatniej doby pokonał prawie trzysta dwadzieścia kilometrów.

Schelling wydał policzki i wypuścił powietrze z wyrazem ulgi.

- To jeszcze nie najgorzej. W tym tempie potrzebuje następnych dziesięciu dni, żeby dotrzeć do wschodnich wybrzeży Stanów, a huragan nie trwa zwykle dłużej niż tydzień. Musiałby się poza tym przesuwać po linii prostej, a tak nie będzie. Siła Coriolisa skieruje go po typowej paraboli na wschód i przypuszczam, że straci impet gdzieś nad północnym Atlantykiem, jak większość cyklonów.

- Nie zgadzają się tu dwie rzeczy - stwierdził beznamiętnie Wyatt. - Nie ma gwarancji, że huragan nie zacznie się przemieszczać szybciej. Trzydzieści kilometrów na godzinę to cholernie mało jak na prędkość cyklonu w tym rejonie świata. Średnia wynosi dwadzieścia



cztery kilometry. Jest więc bardzo prawdopodobne, że potrwa wystarczająco długo, żeby dotrzeć do Stanów. Jeśli chodzi o zjawisko Coriolisa, na huragan oddziałują siły, które skutecznie je niwelują. Przypuszczam, że występujący na dużej wysokości prąd strumieniowy może w niemałym stopniu wpływać na zmianę kierunku huraganu, a na temat powstawania tych prądów wiemy cholernie mało.

Schelling znów miał niewyraźną minę.

- W Instytucie Meteorologicznym nie będą tym zachwyceni. Ale lepiej ich zawiadomić.

- To już osobna kwestia - stwierdził Wyatt, podnosząc formularz z blatu biurka. - Nie zamierzam się podpisywać pod tym najnowszym wymysłem gryzipiórków. Proszę spojrzeć na ostatni punkt: „Czas trwania i przyszły kierunek huraganu”. Nie jestem wróżbitą i nie korzystam ze szklanej kuli.

Schelling prychnął, okazując zniecierpliwienie.

- Oczekują jedynie prognozy opartej na standardowych, teoretycznych przesłankach. To ich zadowoli.

- Naszą teoretyczną wiedzą nie da się wypełnić nawet kieliszka do jajek - stwierdził Wyatt. - Przynajmniej tego rodzaju teoriami, jakimi dysponujemy. Jeśli wpisemy prognozę w ten formularz, wówczas jakiś urzędnik w Instytucie Meteorologicznym potraktuje ją jak dogmat; skoro naukowcy tak twierdzą, musi tak być; i wielu ludzi może stracić życie, gdyby rzeczywistość rozminęła się z teorią. Niech pan sobie przypomni huragan Ione z 1955 roku: w ciągu dziesięciu dni siedmiokrotnie zmieniał kierunek i w końcu dotarł aż do ujścia rzeki Św. Wawrzyńca w Kanadzie. W instytucie meteo wszyscy uwijali się jak w ukropie, a huragan za cholerę nie pasował do żadnej teorii. Nie mam zamiaru podpisywać tego formularza.

- W porządku, ja to zrobię - powiedział z rozdrażnieniem Schelling. - Jak nazywa się ten huragan?

Wyatt zajrzał do wykazu.

- W tym roku mieliśmy ich już sporo. Poprzedni nazywał się Laura, więc teraz kolej na Mabel. - Podniósł wzrok. - Aha, jeszcze jedna sprawa. Co będzie z Wyspami?

- Z Wyspami? Och, jak zwykle wyśle się tam ostrzeżenie.

Kiedy Schelling odwrócił się i wyszedł z biura, Wyatt popatrzył za nim wzrokiem wyrażającym coś w rodzaju odrazy.

### III

Tego wieczoru Wyatt przejechał dystans dwudziestu czterech kilometrów wokół Zatoki San tego do St. Pierre, stolicy wyspy San Fernandez. Nie była to wielka stolica, ale i wyspa nie należała do największych. Prowadząc wóz w zapadającym zmroku mijał znajome plantacje bananów i ananasów oraz równie dobrze mu znane sylwetki widocznych przy drodze tubylców - obdartych mężczyzn w brudnych bawełnianych koszulach i niebieskich dżinsach, kobiet ubranych kolorowo w kwieciste sukienki i jaskrawe chusty. Swój zwyczajem wszyscy śmiali się i trajkotali, a ich białe zęby i błyszczące ciemne twarze lśniły w świetle zachodzącego słońca. Jak zwykle nie mógł zrozumieć, dlaczego wydawali się zawsze tacy szczęśliwi.

Niewiele mieli po temu powodów. Niemal wszyscy cierpieli straszną biedę, która gnębiła wyspę z powodu przeludnienia i niewłaściwego użytkowania ziemi. Dawniej, w osiemnastym wieku, istniały na San Fernandez bogate uprawy cukru i kawy, o które walczyły między sobą kolonialne mocarstwa Europy. Ale w stosownym momencie, gdy właściciele plantacji byli zajęci czym innym, niewolnicy wznieśli powstanie i wzięli swe losy we własne ręce.

Może dobrze się stało, a może nie. Co prawda niewolnicy odzyskali wolność, ale cała seria krwawych wojen domowych, które rozniecali walczący o władzę bezwzględni ludzie, zniszczyła ekonomiczną potęgę San Fernandez, a przyrost ludności dokonał reszty. Ciemne chłopstwo pozostało w nędzy, uprawiając skąpe skrawki ziemi i stosując głównie handel

wymienny. Wyatt słyszał, że niektórzy mieszkańcy centralnych, górzystych obszarów nigdy w życiu nie widzieli pieniędzy.

Na początku dwudziestego wieku wydawało się, że sytuacja uległa poprawie. Stabilny rząd przyciągnął zagraniczne inwestycje, kawę zastąpiły banany i ananasy, a trzcinę cukrową zaczęto uprawiać na ogromnych obszarach. To były dobre czasy. Co prawda na plantacjach Amerykanów zarabiano się niewiele, ale za to regularnie, a dopływ pieniędzy na wyspę zapewniał jej rozwój. Wtedy właśnie powstał hotel Imperiale, a St. Pierre rozbudowało się poza granice Starego Miasta.

Ale wyspa San Fernandez najwyraźniej tkwiła w sidłach swej własnej historii, która musi się powtarzać. Po drugiej wojnie światowej nastąpił Serrurier, samozwańcza Czarna Gwiazda Antyli, który przejął władzę w wyniku krwawej rewolucji i utrzymywał ją za pomocą równie krwawych rządów, odwołując się do stronnicych sądów, zabójstw i siły armii. Nie miał przeciwników - wszystkich wymordował. Na wyspie istniała tylko jedna władza: czarna pięść Serruriera.

A jednak ludzie potrafili się śmiać.

St. Pierre było miastem w ruinie, pełnym budynków z tandetnej cegły, porzewiałego żelastwa, sypiących się tynków i przenikającego wszystko zapachu, na który składał się fetor zgniłych owoców, zepsutych ryb, odchodów ludzi i zwierząt, a nawet gorsze jeszcze wonie. Odór ten był wszechobecny. W uboższych dzielnicach miasta czasem aż wiercił w nosie, a czuło się go wyraźnie nawet w holu hotelu Imperiale, który był rozsypującym się świadectwem lepszych czasów.

Kiedy Wyatt zajrzał do słabo oświetlonego pomieszczenia, zorientował się po panującym półmroku, że miejska elektrownia znowu ma kłopoty i dopiero gdy Julie pomachała do niego ręką, rozpoznał ją w ciemności. Podszedłszy bliżej zastał ją przy stole z jakimś mężczyzną. Odczuł nagle niezrozumiałe przygnębienie, które jednak minęło, gdy usłyszał ciepły ton jej głosu.

- Cześć, Dave. Wspaniale, że znowu się spotykamy. To jest John Causton. Też się tu zatrzymał. Leciał razem ze mną z Miami do San Juan, a teraz znów na siebie wpadliśmy. Wyatt stał niepewnie, czekając, aż Julie poprosi Caustona, by zostawił ich samych, ale ponieważ nic nie powiedziała, przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Panna Marlowe wszystko mi o panu opowiedziała - odezwał się Causton - i jest coś, co mnie intryguje. Jakim cudem Anglik pracuje dla marynarki Stanów Zjednoczonych?

Wyatt zerknął na Julie i zanim odpowiedział na pytanie zmierzył wzrokiem Caustona. Był to niski, krępy mężczyzna o kwadratowej twarzy. Miał siwiejące na skroniach włosy i bystre brązowe oczy. Sądząc z akcentu, sam był z Anglii, choć jego garnitur z Palm Beach mógł wprowadzić człowieka w błąd.

- Przede wszystkim nie jestem Anglikiem - stwierdził spokojnie Wyatt. - Pochodzę z Zachodnich Indii. Rozumie pan, nie wszyscy mamy ciemną skórę. Urodziłem się na wyspie St. Kitts, spędziłem dzieciństwo na Grenadzie, a w Anglii chodziłem do szkoły. A co do marynarki Stanów Zjednoczonych, nie pracuję dla nich, tylko z nimi; jest w tym pewna różnica. Zostałem wypożyczony z Instytutu Meteorologii.

Causton uprzejmie się uśmiechnął.

- To wszystko wyjaśnia.

Wyatt spojrzął na Julie.

- Masz ochotę na drinka przed kolacją?

- Świetny pomysł. Co się pija na San Fernandez?

- Może pan Wyatt pokaże nam, jak się przyrządza tutejsze wino, „poncz plantatora” - powiedział Causton z figlarnym błyskiem w oczach.

- O tak, proszę! - zawołała Julie. - Zawsze chciałam napić się „ponczu plantatora” we właściwym otoczeniu.

- Moim zdaniem jest przereklamowany - stwierdził Wyatt. - Osobiście wolę szkocką. Ale skoro chcecie spróbować, bardzo proszę. - Wezwał kelnera i złożył zamówienie, posługując się łamaną francuszczyzną, nazywaną na wyspie patois. Wkrótce na stole

znalazły się potrzebne składniki.

Causton wyciągnął z wewnętrznej kieszeni notes.

- Zapiszę to sobie, jeśli pan pozwoli. Może się przydać.

- Nie ma potrzeby - odparł Wyatt. - Wystarczy zapamiętać krótki wierszyk. Brzmi to tak:

Jedną część kwaśną,

Dwie słodkie nalej,

Trzy części mocne

I cztery słabe.

- Nie za dobrze się rymuje, ale to wystarczy. Kwaśnym składnikiem jest sok ze świeżych cytryn, słodkim syrop, mocnym rum, najlepiej z Martyniki, a słabym woda z lodem. Wierszyk określa ich proporcje.

Mówiąc to odmierzał pracowicie poszczególne składniki i mieszał je w dużej srebrnej misie na środku stołu. Poruszał mechanicznie rękami, przyglądając się Julie. Nie zmieniła się, wyglądała tylko bardziej atrakcyjnie, może było tak dlatego, że rozłaka czyni serce wrażliwszym. Wyatt spojrział na Caustona i zastanawiał się, jaką odgrywa w tym wszystkim rolę.

- Jeśli pojedzie się na Martynikę - wyjaśnił - można samemu przyrządzić sobie „poncz plantatora” w każdym barze. Mają tam tyle rumu, że nie każą nawet za niego płacić - liczą tylko za cytryny i syrop.

Causton pociągnął nosem.

- Ciekawy zapach.

Wyatt uśmiechnął się.

- Rum trochę cuchnie.

- Dlaczego nigdy tego nie przyrządzaliśmy, Dave? - zapytała Julie, spoglądając z zainteresowaniem na miskę.

- Dotychczas nikt mnie o to nie prosił. - Wyatt po raz ostatni wszystko zamieszał. - Gotowe. Niektórzy dodają do tego całe mnóstwo owoców, jak do sałatki, ale ja nie lubię napojów, które trzeba zjadać. - Podniósł napełnioną chochlę. - Julie?

Podala mu swoją szklankę i Wyatt nalał jej ponczu. Potem napełnił pozostałe szklanki i powiedział:

- Witamy na Karaibach, panie Causton.

- Wspaniale - stwierdziła Julie. - Takie łagodne.

- Łagodne i mocne - dodał Wyatt. - Niewiele tego trzeba, żeby spaść pod stół.

- To powinien być dobry początek wieczoru - stwierdziła Julie. - Nawet w klubie Maraca powinno nam się spodobać. - Odwróciła się do Caustona. - Mam pomysł. Może pójdzie pan z nami?

- Bardzo dziękuję - odparł Causton. - Zastanawiałem się nawet, co zrobić z tym wieczorem. Miałem nadzieję, że pan Wyatt, jako stary wyspiarz, da mi parę wskazówek, co warto zobaczyć na San Fernandez.

Wyatt spojrział obojętnie na Julie, po czym rzekł uprzejmie „z przyjemnością”. Był przygnębiony. Miał nadzieję, że Julie przybyła na wyspę z jego powodu, ale najwyraźniej romansowała z innym. Tylko dlatego, do cholery, przyjechała to robić na San Fernandez?

Okazało się, że Causton jest zagranicznym korespondentem dużego londyńskiego dziennika i przy kolacji zabawiał ich anegdotycznymi historyjkami ze swego życiorysu. Potem udali się do Maraca, najlepszego nocnego klubu, jaki można było znaleźć w St. Pierre. Prowadził go Grek, Eumenides Papegaikos, który oferował namiastkę atmosfery Ameryki Południowej, zapewniając minimum usług po najwyższej cenie, jakiej tylko mógł zażądać. Jednakże poza Klubem Oficerskim w bazie na Cap Sarrat było to jedyne miejsce, gdzie spędzało się wieczór w jako tako cywilizowany sposób, a baza szybko się człowiekowi nudziła.

Kiedy weszli do wypełnionego dymem, słabo oświetlonego pomieszczenia, ktoś pomachał do nich ręką i Wyatt odpowiedział tym samym gestem, rozpoznając Hansena,

który ucztował razem ze swą załogą. Z odległego końca sali wydzierał się jakiś Amerykanin i nawet z tej odległości można było z łatwością usłyszeć, jak relacjonuje szczegółowo swe ostatnie sukcesy w zawodach wędkarskich. Znaleźli wolny stolik i gdy Causton zamawiał drinki, mówiąc bezbłędną i płynną francuszczyzną, której kelner nie mógł zrozumieć, Wyatt poprosił Julie do tańca.

Zawsze dobrze im się ze sobą tańczyło, ale tym razem byli jacyś sztywni i spięci. Nie mogli za to winić marnej zresztą orkiestry, bo choć grała dziwaczną muzykę, doskonale trzymała rytm. Przez jakiś czas tańczyli w milczeniu, po czym Julie podniosła oczy i powiedziała cicho:

- Cześć, Dave. Widziałeś ostatnio jakiś ciekawy huragan?

- Jeden wystarczy za wszystkie - odparł swobodnie. - A co u ciebie?

- Mniej więcej to samo. Każdy lot podobny do poprzedniego. Te same miejsca, to samo niebo, ci sami pasażerowie. Czasem mogłabym przysiąc, że ludzie podróżujący samolotami należą do innego gatunku niż my, zwykli śmiertelnicy. Na przykład tamten facet, Dawson.

Wyatt wsłuchał się w ochryply głos, który snuł bez końca opowieść o łowieniu ryb.

- Znasz go?

- A ty nie? - odparła zdziwiona. - To Dawson, ten pisarz; wielki Jim Dawson. Każdy o nim słyszał. Jest jednym ze stałych klientów mojej linii, zresztą cholernie dokuczliwym.

- Słyszałem o nim - przyznał Wyatt.

Julie miała rację: nie istniał na świecie zakątek, gdzie nie znano by nazwiska wielkiego Jima Dawsona. Był podobno całkiem dobrym pisarzem, chociaż Wyatt nie czuł się kompetentny, by to oceniać. Tak w każdym razie zdawali się uważać krytycy.

Spojrzał na Julie i powiedział:

- Za to towarzystwo Caustona najwyraźniej ci nie przeszkadza.

- Lubię go. Jest jednym z tych uprzejmych, niewzruszonych Anglików, o których zawsze się czyta. No wiesz, spokojni ludzie, ukrywający głębokie wnętrza.

- To twój stały klient?

- Spotkałam go pierwszy raz podczas ostatniego lotu. Nie spodziewałam się bynajmniej zobaczyć go tutaj, na San Fernandez.

- Za to wyraźnie wychodzisz ze skóry, żeby czuł się tu jak w domu.

- To tylko gościnność. Opieka nad przybyszem, który znalazł się w obcych stronach. -

Julie spojrzała na niego z figlarnym błyskiem w oczach. - Coś podobnego! Zdaje się, że pan Wyatt jest zazdrosny!

- Może i byłbym - odparł bez ogródek - gdybym tylko miał o co.

Julie spuściła wzrok i nieco pobladła. Tańczyli w upartym milczeniu, aż orkiestra przestała grać i mieli już wracać do stolika, gdy Julie została porwana przez rozochoconego Hansena.

- Julie Marlowe! Co robisz w tej spelunie? Podkradam ci ją, mój drogi Davy, ale oddam nietkniętą. - Pociągnął Julie na parkiet, tańcząc wymyślną rumbę, zaś Wyatt wrócił niechętnie do Caustona.

- Mocny trunek - stwierdził Causton, podnosząc pod światło butelkę i machając nią. - Ma pan ochotę?

Wyatt przytaknął. Przyglądał się, jak Causton napełnia mu szklanke, po czym nagle zapytał:

- Jest pan tu w interesach?

- Na Boga, nie! - zaprotestował Causton. - Miałem zaległy tydzień urlopu, a ponieważ byłem w Nowym Jorku, postanowiłem wpaść tutaj.

Wyatt napotkał przenikliwe spojrzenie Caustona, zastanawiając się, czy mówi prawdę.

- To niezbyt ciekawe miejsce na wakacje - stwierdził. - Na Bermudach byłoby panu lepiej.

- Możliwe - odparł wymijająco Causton. - Proszę mi coś opowiedzieć o San Fernandez.

Czy ma jakąś historię?

Wyatt uśmiechnął się kwaśno.

- Taką samą, jak wszystkie wyspy na Karaibach - ale jest i coś więcej. Najpierw należała do Hiszpanów, potem do Anglików, a na koniec do Francuzów. Francuzi zrobili tu największe wrażenie, widać to po języku, chociaż spotyka się tubylców, którzy używają nazw St. Pierre, San Pedro i Peter's Port, a tutejszy dialekt stanowi najdziwniejszą mieszankę, jaką mógł pan kiedykolwiek słyszeć.

Causton smętnie pokiwał głową, przypominając sobie, jak trudno mu było porozumieć się z kelnerem.

- Kiedy Toussaint i Cristophe wypędzili Francuzów z Haiti na początku dziewiętnastego wieku - kontynuował Wyatt - miejscowa ludność uczyniła to samo tutaj, choć bez takiego rozgłosu.

- Hm - mruknął Causton. - Jak powstała amerykańska baza?

- Stało się to na początku naszego stulecia - wyjaśnił Wyatt. - Mniej więcej w tym czasie Amerykanie zaczęli napinać muskuły. Doszli do wniosku, że są dość silni, by wprowadzać w życie doktrynę Monroego i mieli właśnie za sobą parę wojen, które tego dowiodły. Sporo się mówiło o „oczywistym przeznaczeniu” i jankesi uważali, że mają wielki braterski obowiązek kontrolowania interesów innych narodów w tej części świata. W 1905 roku na San Fernandez panowało spore zamieszanie z powodu rozruchów i krwawej rewolucji, wysłano więc tam desant piechoty morskiej. Do roku 1917 wyspa była zarządzana przez Amerykanów. Potem wycofali się, pozostając jednak na Cap Sarrat.

- Czy coś podobnego nie zdarzyło się również na Haiti?

- To dotyczyło większości wysp: Kuby, Haiti, Dominikany.

Causton szeroko się uśmiechnął.

- W Republice Dominikany działo się tak niejednemu raz. - Pociągnął łyk ze szklanki. - Przypuszczam, że baza na Cap Sarrat jest użytkowana na mocy jakiegoś porozumienia?

- Chyba można to tak określić - zgodził się Wyatt. - W 1906 roku Amerykanie wzięli ten teren w dzierżawę za tysiąc dolarów w złocie rocznie. Wtedy była to niezła suma, ale dewaluacja nie sprzyja interesom San Fernandez. Prezydent Serrurier dostaje obecnie 1693 dolary. - Wyatt zamilkł, dodając po namyśle: - I dwanaście centów.

Causton stłumił śmiech.

- Niezły biznes dla Amerykanów, może tylko trochę nieuczciwy.

- Tak samo postąpili na Kubie z bazą Guantanamo - stwierdził Wyatt. - Castro dostaje dwa razy tyle, ale sądzę, że wolałby mieć Guantanamo bez Amerykanów.

- Na pewno.

- Marynarka wojenna próbuje uczynić z Cap Sarrat drugie Guantanamo na wypadek, gdyby Castro uniósł się honorem i odebrał im je. Moim zdaniem istnieje możliwość, że to nastąpi.

- Owszem - przyznał Causton. - Nie sądzę, żeby potrafił odebrać je siłą, ale przy sprzyjających układach politycznych wystarczyłby moralny szantaż.

- W każdym razie mają Cap Sarrat - ciągnął dalej Wyatt. - Ale to miejsce nie może się równać z Guantanamo. Zatoka Santego ma płytkie kotwicowisko, wpłynie tam co najwyżej lekki krążownik, i trzeba by dwudziestu lat oraz kilkuset milionów dolarów, żeby urządzenia bazy były choć w przybliżeniu takie, jak w Guantanamo. Jest natomiast bardzo dobrze wyposażona jako ośrodek lotnictwa. Właśnie dlatego mieści się tam nasze centrum badań nad huraganami.

- Panna Marlowe wspominała mi o tym... - zaczął Causton, ale przerwał mu powrót Hansena i Julie, skorzystał więc z okazji, by poprosić ją do tańca.

- Nie proponujesz mi drinka? - upomniał się Hansen.

- Obsłuż się - odparł Wyatt, zauważając, że do sali wchodzi Schelling z jeszcze jednym oficerem. - Powiedz mi, Harry, jakim cudem Schelling został dowódcą w waszej marynarce?

- Nie mam pojęcia - odparł Hansen siadając. - Pewnie musi być dobrym meteorologiem, bo oficer z niego taki, jak z koziej dupy trąba.

- Nie jest za dobry, co?

- Do diabła, oficer musi umieć dowodzić ludźmi, a Schelling nie nadaje się nawet na drużynową zastępę harcerek. Musi zawdzięczać awans swojej specjalności.

- Pozwól, że ci coś opowiem - powiedział Wyatt i zrelacjonował Hansenowi swą poranną rozmowę z Schellingiem. Na koniec dodał: - Uważa, że meteorologia jest nauką ścisłą i że wszystko, co mówią podręczniki, to świętość. Tacy ludzie mnie przerażają.

Hansen roześmiał się.

- Dave, trafiłeś na typ oficera, jakiego wcale nietrudno spotkać w starej, dobrej marynarce Stanów Zjednoczonych. W Pentagonie aż się od nich roi. Trzyma się podręczników tylko i wyłącznie z jednego powodu: w ten sposób nikt mu nigdy nie zarzuci pomyłki, a oficer, który nie popełnia błędów, to dobry, bezpieczny współpracownik.

- Bezpieczny! - Wyatt prawie zaniemówił. - Jest w tej robocie równie bezpieczny jak grzechotnik. Ten facet odpowiada za życie ludzi.

- W jakimś momencie dotyczy to większości oficerów marynarki - stwierdził Hansen. - Posłuchaj, Dave, pozwól, że ci poradzę, jak postępować z takimi facetami jak Schelling. Ma ograniczony umysł i nie zdołasz się przez niego przebić, jest zbyt twardy. Trzeba więc obejść go bokiem.

- Będzie to dla mnie dość trudne - przyznał Wyatt. - Nie mam żadnej pozycji. Nie należę do marynarki, nie jestem nawet Amerykaninem. To on przesyła raporty do Instytutu Meteorologii i jemu uwierzą.

- Jesteś tym wszystkim mocno zdenerwowany, prawda? O co właściwie chodzi?

- Sam nie wiem, do diabła - przyznał Wyatt. - Mam po prostu dziwne przeczucie, że stanie się coś złego.

- Martwisz się z powodu Mabel?

- Chyba tak. Nie jestem do końca pewny.

- Ja też byłem zmartwiony, kiedy wyrывałem się z jej objąć - stwierdził Hansen. - Ale teraz już się nią nie przejmuję.

- Wiesz, Harry, urodziłem się w tych stronach i widywałem różne dziwne rzeczy - powiedział Wyatt. - Pamiętam z dzieciństwa, jak podano nam kiedyś wiadomość, że nadciąga huragan, ale nic nam nie grozi, bo przejdzie o trzysta dwadzieścia kilometrów od Grenady. A więc nikt się nim nie przejmował, oprócz ludzi z gór, których zresztą wcale nie ostrzeżono. Jest wśród nich wielu Indian Karibi, żyjących na Karaibach od tysięcy lat. Zabezpieczyli domostwa i okopali się w ziemi. Kiedy huragan dotarł do Grenady, skręcił pod kątem prostym i o mało nie zatopił wyspy. I skąd ci ludzie z gór wiedzieli, że tak się stanie?

- Mieli przeczucie - stwierdził Hansen. - I dość rozsądku, żeby się nim kierować. Mnie też się to zdarzyło. Lecąc kiedyś w chmurze poczułem, że coś jest nie tak, więc pchnąłem drążek trochę do przodu i zmniejszyłem wysokość. Okazało się, że jakiś samolot pasażerski, jeden z tych, które należą do towarzystw lotniczych, leciał po moim kursie. Minął mnie o włos.

Wyatt wzruszył ramionami.

- Jako naukowiec powinienem brać pod uwagę dane empiryczne, a nie przeczucia. Nie pokażę przecież Schellingowi tego, co czuję.

- Do diabła z Schellingiem! - zachnął się Hansen. - Myślę, Dave, że każdy poważny naukowiec kieruje się intuicją. Nadal uważam, że powinieneś obejść Schellinga. Może spotkałbyś się z dowódcą eskadry?

- Zobaczę, jak Mabel będzie się jutro zachowywać - stwierdził Wyatt. - Chcę się przekonać, czy jest naprawdę niegrzeczna.

- Nie zapominaj, co do niej czujesz - przypomniał Hansen.

Zza pleców Wyatta rozległ się chłodny głos Julie.

- Naprawdę coś czujesz do tej niegrzecznej Mabel?

Hansen roześmiał się i próbował wstać od stołu, ale Julie powstrzymała go ruchem ręki.

- Padam już z nóg, a poza tym jeszcze nic nie piłam. Przesiedźmy ten kawałek. -

Obrzuciła Wyatta spojrzeniem. - Kim jest ta Mabel?

Hansen stłumił śmiech.

- To jedna z dziewczyn Dave'a. Ma ich na pęczki. Pamiętasz, Dave, tę Isobel sprzed roku? Nieźle się z nią zabawiliś.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, trochę szorstko się z tobą obeszła - stwierdził Wyatt.

- Ale się jej wymknąłem.

Causton strzelił palcami i powiedział, zrozumiawszy nagle, o co chodzi:

- Mówicie o huraganach, prawda?

- Dlaczego musicie im nadawać żeńskie imiona? - spytała kwaśno Julie.

- Bo łatwo je zapamiętać - odparł Wyatt z kamienną twarzą. - I bardzo trudno zapomnieć. O ile wiem, Stowarzyszenie Klubów Kobięcych Ameryki zgłosiło protest do Instytutu Meteorologii, ale został on odrzucony. Jedna wygrana runda w walce płci.

- Chętnie przyjrzałbym się pańskiej pracy - oznajmił Causton. - Oczywiście, z zawodowego punktu widzenia.

- Sądziłem, że jest pan na urlopie.

- Dziennikarze nigdy nie mają prawdziwych wakacji, a wiadomości zdobywa się wszędzie.

Wyatt stwierdził, że właściwie darzy Caustona sympatią.

- Nie widzę powodu, żeby nie mógł pan wpaść do nas do bazy - powiedział.

Hansen wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Schelling nie będzie miał nic przeciwko temu. Uwielbia reklamę; oczywiście odpowiednią.

- Postaram się nie pisać niczego niestosownego - obiecał Causton. - Kiedy mógłbym przyjechać?

- Może jutro o jedenastej? - zaproponował Wyatt, po czym zwrócił się do Julie: -

Interesują cię moje huragany? Może byś też wpadła? - Zabrzmiało to zupełnie bezosobowo.

- Bardzo dziękuję - odparła tym samym tonem.

- A więc umowa stoi - podsumował Causton. - Zabiorę pannę Marlowe ze sobą.

Wynajmę samochód. - Zwrócił się do Hansena: - Macie w bazie jakieś problemy z władzami wyspy?

Oczy Hansena stały się na moment czujne, ale po chwili zapytał leniwie:

- W jakim sensie?

- Przypuszczam, że Amerykanie nie są tu szczególnie popularni. Wiem też, że Serrurier to twardy facet, który prowadzi brutalną grę i nie przebiera za bardzo w środkach. Prawdę mówiąc, słyszałem historie, od których cierpła mi skóra, a nie jestem szczególnie bojaźliwy.

- Nie wtrącamy się w ich sprawy, a oni w nasze - odparł krótko Hansen. - To rodzaj niepisanej umowy. Chłopcy z bazy podlegają w tym względzie żelaznej dyscyplinie.

Zdarzyło się parę incydentów, ale dowódca zareagował surowymi sankcjami.

- Jakiego rodzaju... - zaczął Causton, lecz jego pytanie zagłuszył grzmiący głos:

- Ejże, czy nie była pani stewardesą w samolocie, którym leciałem do Puerto Rico?

Wyatt podniósł wzrok, znalazłszy się w cieniu masywnej postaci Dawsona. Spojrzał na Julie, której twarz opromienił nagle służbowy uśmiech.

- Zgadza się, panie Dawson.

- Nie spodziewałem się tu pani spotkać - ryczał Dawson. Wydawało się, że nie potrafi mówić normalnym, spokojnym głosem, ale mógł to być skutek nadużycia alkoholu. - Może byśmy strzelili sobie po jednym? - Wykonał szeroki gest. - Wszyscy się napijmy!

- Ja teraz stawiam, panie Dawson - odparł spokojnie Causton. - Napije się pan ze mną?

Dawson pochylił się i spojrzał na Caustona, lekko zezując.

- Czy ja skądś pana nie znam?

- Chyba się już spotkaliśmy. W Londynie.

Dawson wyprostował się i odszedł na bok, aby lepiej się Caustonowi przyjrzeć.

Zastanawiał się przez chwilę z dość głupawą miną, po czym strzelił palcami, mówiąc:

- Zgadza się. Znam pana. Jest pan jednym z tych przemądrzałych reporterów, którzy

mi dopiekle, kiedy w Londynie wyszła. „Zabawa z ogniem”. Wie pan, nigdy nie zapominał twarzą. Był pan jednym z tych facetów, którzy przyszli do mnie na kielicha, a potem wbili mi nóż w plecy.

- Nie pamiętam, że bym wtedy coś pił - zauważył pojednawczo Causton.

Dawson sapnął głośno.

- Nie sądzę, że bym miał ochotę się z panem napić, panie... jakkolwiek się pan tam nazywa. Starannie dobieram sobie towarzystwo. - Zachwiał się i zerkając na Julie, dodał: - W odróżnieniu od niektórych osób.

Wyatt i Hansen zerwali się na równe nogi, ale Causton powiedział ostro:

- Siadajcie i nie róbcie z siebie głupców.

- A niech to diabli - wymamrotał Dawson, przeciągając po twarzy wielką dłonią.

Odszedł niepewnym krokiem, przewracając po drodze krzesło i kierując się do toalety.

- Nieprzyjemny facet - stwierdził kwaśno Causton. - Przepraszam za ten incydent.

Wyatt podniósł przewrócone krzesło.

- Sądziłem, że jest pan zagranicznym korespondentem?

- Bo jestem - odparł Causton. - Ale parę lat temu byłem w Londynie, kiedy połowę zespołu rozłożyła grypa, pomagałem im więc jakiś czas przy redagowaniu lokalnych wiadomości. - Uśmiechnął się. - Nie jestem krytykiem literackim, napisałem więc tekst o człowieku, a nie o pisarzu. Dawsonowi ani trochę się to nie spodobało.

- A mnie ani trochę nie podoba się Dawson - stwierdził Hansen. - Typowy „paskudny Amerykanin”.

- O dziwo, jest dobrym pisarzem - przyznał Causton. - W każdym razie podobają mi się jego książki. Podobno krytycy też bardzo pochlebnie się o nim wyrażają. Problem w tym, że zdaniem Dawsona spuścizna papy Hemingwaya spadła na jego barki, a na mój gust nie bardzo mu to pasuje. Wyatt spojrzał na Julie.

- Mocno ci się naprzykrzał? - zapytał cicho.

- Stewardesy potrafią się obronić - odparła lekceważąco, zauważył jednak, że wcale się nie uśmiecha.

Całe zdarzenie wyraźnie popsulo im wieczór. Julie nie miała już ochoty tańczyć, wyszli więc dość wcześnie. Wyatt odwiózł ją i Caustona do hotelu Imperiale, a potem miał podrzucić Hansena do bazy.

Utknęli niemal od razu na Place de la Liberation Noire. Przeciął im drogę dudniący konwój wojskowych ciężarówek, za którymi maszerował batalion piechoty. Żołnierze uginali się pod ciężkimi plecakami, a ich czarne twarze lśniły w świetle ulicznych latarni jak licowana skóra.

- Tubylcy mają niespokojną noc - stwierdził Hansen. - Ci chłopcy są gotowi do walki.

Coś musiało się zdarzyć.

Wyatt rozejrzał się wokół. Na rozległym placu, zatłoczonym zwykle nawet o tak późnej porze, nie było nikogo prócz grupki policjantów i nietrudnych do rozpoznania cywilnych agentów służby bezpieczeństwa Serruriera. Zamiast radosnego gwaru, który wypełniał na ogół tę dzielnicę, słyszało się tupot nóg maszerujących ludzi. Zamknięto wszystkie kawiarnie i puszczano żaluzje w oknach. Na placu było ciemno i ponuro.

- Coś się dzieje - zgodził się Wyatt. - Już tak raz było, sześć miesięcy temu. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, z jakiego powodu.

- Serrurier zawsze był nerwowym facetem - stwierdził Hansen. - Boi się własnego cienia. Podobno od ponad roku nie opuszcza prezydenckiego pałacu.

- Pewnie znowu coś mu się przyśniło - orzekł Wyatt.

Kolumna maszerujących żołnierzy zniknęła im z oczu, wcisnął więc sprzęgło i objechał plac, mijając potwornie heroiczny szpizowy pomnik Serruriera, po czym znalazł się na szosie prowadzącej do bazy. Przez całą drogę na Cap Sarrat myślał o Julie i o jej zachowaniu.

Myślał też trochę o Mabel.



## I

Następnego ranka Causton wstał wcześniej i zjadłszy symboliczne śniadanie sprawdził w notesie kilka adresów, po czym wyruszył do miasta. Kiedy wrócił do hotelu Imperiale po Julie, był bardzo zamyślony i najwyraźniej czymś zaabsorbowany. Jadąc więc na Cap Sarrat wynajętym przez niego samochodem niewiele ze sobą rozmawiali. Po dotarciu do bazy zostali zatrzymani na chwilę przy bramie, ale wystarczył jeden telefon z wartowni, by pozwolono im na wjazd, po czym żołnierz piechoty morskiej zaprowadził ich do biura Wyatta.

Julie obejrzała z zainteresowaniem wiszące na ścianach mapy, poobijane biurko i odrapane krzesła.

- Niezbyt tu pięknie - zauważyła.

- To miejsce pracy - stwierdził Wyatt. - Usiądźcie, proszę.

Causton przyglądał się niepewnie jednej z map na ścianie.

- Nigdy nie potrafiłem zrozumieć naukowców - powiedział z wyrzutem. - Zwykle cholernie komplikują najprostsze sprawy. Mieście litość dla nas, nieszczęsnych laików!

Wyatt roześmiał się, odparł jednak poważnie:

- Wie pan, jest wprost przeciwnie. Staramy się po prostu opisać zjawiska, które są w istocie bardzo wielowymiarowe.

- Niech pan poprzestanie na krótszych słowach! - błagał Causton. - Słyszałem, że poleciał pan niedawno zobaczyć huragan z bliska. To było ponad tysiąc sześćset kilometrów stąd. Skąd pan wiedział, że tam jest?

- Nietrudno to wyjaśnić. Dawniej nie wiedzieliśmy o powstaniu huraganu aż do chwili, gdy donoszono o nim z jakiegoś statku lub wyspy, ale teraz lokalizujemy je wcześniej. - Rozłożył na biurku kilka fotografii. - Dostajemy zdjęcia satelitarne, z ostatniej generacji satelitów typu Tiros albo z nowszych okołobiegunowych satelitów orbitalnych Nimbus.

Julie spojrzała na fotografie, nic z nich nie rozumiejąc, więc Wyatt zaczął wyjaśniać.

- Uzyskujemy w ten sposób wszelkie potrzebne informacje. Tutaj, w rogu, jest czas wykonania zdjęcia. Podziałka na dole określa wielkość oglądanego obiektu. Ten konkretny huragan ma w przekroju jakieś czterysta osiemdziesiąt kilometrów. A te oznaczenia wskazują szerokość i długość geograficzną, wiemy zatem dokładnie, gdzie się znajduje. To naprawdę proste.

Causton przytknął w zdjęcie palcami.

- Czy to ten huragan aktualnie pana niepokoi?

- Tak - odparł Wyatt. - To Mabel. Określiłem właśnie jego obecną pozycję i kurs. Jest o niecałe tysiąc kilometrów na południowy wschód od nas i przemieszcza się w kierunku północno-zachodnim po zgodnym z teorią kursie, nieco ponad szesnaście kilometrów na godzinę.

- Sądziłam, że huragany posuwają się szybciej - powiedziała ze zdziwieniem Julie.

- Och, to nie jest prędkość wiatru. W takim tempie cały huragan przemieszcza się względem powierzchni ziemi. Prędkość wiatru wewnątrz tego huraganu jest szczególnie wysoka, przekracza 270 kilometrów na godzinę.

Causton głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Nie powiem, żeby mi się to podobało. Mówi pan, że huragan jest na południowy wschód stąd i przemieszcza się na północny zachód. Wygląda na to, że zmierza dokładnie w naszym kierunku.

- Zgadza się - przyznał Wyatt. - Ale na szczęście huragany nie poruszają się po linii prostej, tylko zataczają łuki. - Przerwał, by wziąć ze stojącego obok stołu dużą płaską księgę. - Zaznaczamy, oczywiście, trasę każdego huraganu i próbujemy wyciągnąć z tego wnioski. Czasem nam się udaje. Zobaczmy. Rok 1955 daje ciekawy przegląd sytuacji.

Otworzył księgę i przerzucił parę stron, zatrzymując się na mapie zachodniego

Atlantyku.

- To jest rok pięćdziesiąty piąty. Flora i Edyta stanowią podręcznikowy przykład: nadciągają z południowego wschodu i zbaczają po paraboli na północny wschód. Dzieje się tak z kilku powodów. Początkowo huragan próbuje faktycznie przemieszczać się wprost na północ, ale zostaje zepchnięty w kierunku zachodnim przez ruch obrotowy ziemi. Na późniejszym etapie musi znowu posuwać się z powrotem na wschód, bo dostaje się pod wpływ systemu wiatrów znad północnego Atlantyku.

Causton spojrział uważnie na mapę.

- A ten tutaj?

Wyatt uśmiechnął się.

- Przypuszczałem, że zwróci pan uwagę na Alicję. To huragan, który skierował się na południe i dotarł do północnej Brazylii, do dzisiaj nie wiemy dlaczego. Są jeszcze Janet i Hilda. Nie zawróciły po łuku, jak należało się spodziewać, tylko przeszły wprost nad Jukatanem, docierając do północnego Meksyku i Teksasu. Spowodowały wiele ofiar.

Causton odchrząknął.

- Wydaje mi się, że z pańską teorią jest coś nie w porządku. A co znaczą te zawijasy?

- Huragan Ione. Zaledwie wczoraj o nim wspominałem. Fakt, że wił się jak wąż, ale gdyby wyrównać jego kurs, okaże się, iż pasuje do teoretycznych założeń. Nadal jednak nie wiemy dokładnie, dlaczego huragan tak gwałtownie zmienia kierunek. Domyślam się, że może wpływać na niego w jakiś sposób występujący na dużych wysokościach prąd strumieniowy, ale trudno to połączyć, gdyż huragan jest bardzo płytki, nie sięga wyżej niż na parę kilometrów. Dlatego kontakt z łodem jest dla niego zabójczy. Rozbija się o pierwsze szczyty gór, ale po drodze spowoduje wiele szkód.

Julie przyglądała się przecinającym mapę liniom.

- One są jak wielkie zwierzęta, prawda? Można by przysiąc, że huragan Ione chciał zniszczyć Przylądek Hatteras, ale zmienił kierunek, bo nie spodobał mu się ład.

- Chciałbym, żeby huragany były inteligentne - stwierdził Wyatt. - Moglibyśmy wówczas mieć trochę szczęścia w przewidywaniu ich zachowań.

Causton wyjął swój notatnik.

- Następną sprawą: jak powstają huragany?

Wyatt oparł się o krzesło.

- Potrzebne jest do tego ciepłe morze i bezwietrzna pogoda, a takie warunki można spotkać pod koniec lata w równikowej strefie ciszy. Ciepłe powietrze, ciężkie, wilgotne, pełne pary wodnej, unosi się do góry. Jego miejsce zajmuje powietrze napływające z boków, a z powodu obrotów Ziemi zostaje ono wprawione w ruch wirowy i zaczyna się krążyć całe tego systemu.

Zrobił szkic na kawałku papieru.

- Unoszące się ciepłe powietrze napotyka chłodniejsze i uwalnia parę wodną w postaci deszczu. Ponieważ dźwignięcie owej pary wymaga dużej ilości energii, wyzwala się ona teraz w formie ciepła. To z kolei zwiększa prędkość unoszenia się powietrza, cały proces zaczyna przypominać błędne koło. Dochodzi do uwalniania coraz większych ilości wody, a zatem i ciepła, wszystko przebiega coraz, szybciej i na coraz większą skalę. Co sekundę unosi się w górę do miliona ton powietrza.

Narysował na papierze strzałki, skierowane spiralnie do środka.

- Ponieważ system wiatrów jest w ciągłym ruchu, siła odśrodkowa wypycha powietrze na zewnątrz, wskutek czego w centrum tworzy się bardzo niskie ciśnienie i w ten sposób powstaje oko cyklonu. Ciśnienie zewnętrzne jest jednak bardzo wysokie i musi jakoś dojść do jego wyrównania. Wiatr wieje z coraz większą prędkością, próbując wypełnić tę lukę niskiego ciśnienia, ale im gwałtowniej dmucha, tym bardziej siła odśrodkowa wypycha go na zewnątrz. Tak oto powstają owe bardzo szybkie okrężne wiatry, dające początek w pełni ukształtowanemu huraganowi.

Naszpicował kolejną strzałkę, tym razem w linii prostej.

- Ukształtowany już huragan zaczyna zmieniać położenie, jak wirujący bąk, który sunie

po ziemi. Ma w ten sposób styczność z kolejnymi obszarami ciepłego morza i powietrza, dochodzi więc do samopodtrzymującej się reakcji. Huragan to ogromnych rozmiarów silnik cieplny, największy i najpotężniejszy system dynamiczny na świecie. - Wskazał głową mapę na ścianie. - Ten huragan, Mabel, ma większą moc niż tysiąc bomb wodorowych.

- Mówisz tak, jakbyś kochał się w tych huraganach - powiedziała cicho Julie.

- Bzdura! - odparł ostro Wyatt. - Nienawidzę ich. Jak wszyscy mieszkańcy Zachodnich Indii.

- Czy mieliście kiedyś huragan tutaj, na San Fernandez? - zapytał Causton.

- Nie za mego życia - wyjaśnił Wyatt. - Ostatni huragan szalał na wyspie w 1910 roku. Zrównał z ziemią St. Pierre i zabił sześć tysięcy ludzi.

- Jeden huragan w ciągu niemal sześćdziesięciu lat - powiedział z zadumą Causton. - Proszę mi powiedzieć, pytam z czystej ciekawości, jakie jest prawdopodobieństwo, że ta pańska przyjaciółka Mabel zjawi się tutaj?

Wyatt uśmiechnął się.

- To może się zdarzyć, ale jest mało prawdopodobne.

- Hm - mruknął Causton, przyglądając się mapie na ścianie. - Powiedziałbym jednak, że Serrurier stanowi o wiele bardziej niszczycielską siłę niż którykolwiek z tych pańskich huraganów. Według ostatnich obliczeń spowodował na tej wyspie śmierć ponad dwudziestu tysięcy ludzi. Huragan mógłby okazać się sympatyczniejszy, gdyby pomógł się go pozbyć.

- Możliwe - przyznał Wyatt. - Ale to nie moja działka. Nie zajmuję się polityką. - Zaczął mówić znowu o swojej pracy, zauważywszy jednak, że przestaje ich to interesować, a techniczne szczegóły okazują się zbyt nudne, zaproponował wspólny lunch.

Jedli posiłek w mesie oficerskiej, gdy Hansen, który miał do nich dołączyć, zjawił się przepraszając za spóźnienie.

- Przepaszani was, ale zlecieli mi robotę. - Usiadł i zwrócił się do Wyatta: - Ktoś ma powody do zdenerwowania. Wszystkie niesprawne maszyny trzeba natychmiast przygotować do lotu. Moją Connie naprawili dość szybko. Rano robiłem próby na ziemi, a po południu polecę sprawdzić ten nowy silnik. - Jęknął, jakby coś go zabolalo. - A szykował mi się tydzień urlopu.

Causton okazał zainteresowanie.

- Czy to coś poważnego?

Hansen wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Brooksie nie należy do nerwowych facetów.

- Brooksie?

- Komandor Brooks, dowódca bazy. Wyatt odwrócił się do Julie i spytał cicho:

- Co robisz przez resztę dnia?

- Nic specjalnego. Czemu pytasz?

- Mam dość biurowej roboty - odparł. - Może pojechalibyśmy do St. Michel? Lubiłaś kiedyś tę małą plażę, którą tam odkryliśmy, a dziś jest dobra pogoda na kąpiel.

- Dobry pomysł - zgodziła się. - Chętnie.

- Pojedziemy po lunchu.

- Jak tam Mabel? - zapytał przez stół Hansen.

- Nic nowego - stwierdził Wyatt. - Sprawuje się jak należy. Zgodnie z przewidywaniami minęła właśnie Grenadę. Trochę zwiększyła jednak prędkość. Schelling nie był tym zachwycony.

- Bo miał inne prognozy. - Hansen pokiwał głową. - Ale na pewno się zabezpieczył. Możesz być tego pewien.

Causton przyłożył do ust róg serwetki.

- Zmieniając temat: czy któryś z panów słyszał o człowieku nazwiskiem Favel?

- Julio Favel? - spytał obojętnie Hansen. - Oczywiście. Nie żyje.

- Doprawdy?

- Ludzie Serruriera schwytali go w zeszłym roku w górach. Stoczyli regularną bitwę.

Favel nie chciał się poddać i zginął. Pisały o tym wówczas miejscowe gazety. - Spojrzał na Caustona, unosząc brew. - Skąd to zainteresowanie?

- Rozchodzą się pogłoski, że Favel nadal żyje - powiedział Causton. - Słyszałem o tym dziś rano.

Hansen popatrzył na Wyatta, który stwierdził:

- A więc to był ten zły sen Serruriera z zeszłej nocy. - Gdy Causton uniósł pytająco brwi, Wyatt wyjaśnił: - Wczoraj wieczorem w mieście było pełno wojska.

- Widziałem - oświadczył Causton. - Kim był Favel?

- Niech pan przestanie - obruszył się Wyatt. - Jest pan dziennikarzem. Wie pan to równie dobrze jak ja.

Causton szeroko się uśmiechnął.

- Lubię znać zdanie innych - oświadczył, nie próbując się usprawiedliwiać. - No wie pan, obiektywny punkt widzenia. Jako naukowiec powinien pan to docenić.

- Kim był ten Favel? - zapytała zdezorientowana Julie.

- Cierniem w boku Serruriera - odparł Causton. - Serrurier, jako głowa państwa, nazywa go bandytą. Favel wolał uważać się za patriotę. Moim zdaniem był chyba bliższy prawdy. Ukrywał się w górach, wyrządzając Serrurierowi sporo szkód, zanim ogłoszono, że zginął. Od tamtej pory nie było o nim słyhać, aż do tej chwili.

- Nie wierzę, aby żył - stwierdził Hansen. - Usłyszelibyśmy o tym wcześniej.

- Mógł być dość inteligentny, by wykorzystać pogłoski o swojej śmierci. Przyczaił się i zbierał siły, nie niepokoiony przez Serruriera.

- A może był chory - zastanawiał się Wyatt.

- To prawda - przyznał Causton. - Wszystko możliwe. - Odwrócił się do Hansena. - A co pan sądzi?

- Wiem tylko tyle, co wyczytam w gazetach - stwierdził Hansen. - A mój francuski nie jest zbyt dobry. Nie posługuję się językiem, którym piszą ci ludzie. - Pochylił się do przodu.

- Proszę posłuchać, panie Causton. Podlegamy tu, na Cap Sarrat, wojskowej dyscyplinie i mamy rozkaz nie mieszać się w lokalne sprawy; nawet się nimi nie interesować. Jeżeli nie będziemy trzymać się od tego z daleka, wpadniemy w tarapaty. Jak nas nie dopadną osiłki Serruriera, złośliwi nam skórę komandor Brooks. Wie pan, było już parę takich przypadków, głównie wśród rekrutów. Odesłano ich z powrotem do Stanów, z paskudną perspektywą spędzenia roku albo dwóch za murem. Miałem to panu powiedzieć wczoraj wieczorem, ale przyplątał się do nas ten Dawson.

- Bardzo mi przykro - zreflektował się Causton. - Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie musicie tu mieć problemy.

- Nic nie szkodzi - rzekł Hansen. - Skąd miał pan niby o tym wiedzieć. Ale powiem panu, że odradza się nam szczególnie zbyt swobodne rozmowy z zamiejscowymi dziennikarzami.

- Nikt nas nie lubi - odparł żałośnie Causton.

- Z pewnością - przyznał Hansen. - Każdy ma coś do ukrycia, ale nami kierują inne powody. Chcemy zaoszczędzić sobie problemów. A wie pan równie dobrze jak ja: tam, gdzie są dziennikarze, pojawiają się kłopoty.

- Moim zdaniem jest raczej odwrotnie - zauważył uprzejmie Causton. - Tam, gdzie są jakieś problemy, pojawiają się dziennikarze. Od problemów wszystko się zaczyna. - Zmienił nagle temat. - Skoro mowa o Dawsonie, okazuje się, że mieszka w hotelu Imperiale. Kiedy panna Marlowe i ja wychodziliśmy stamtąd dziś rano, leczył kaca, poprzestając na lekkim śniadanku z surowego jajka i butelce whisky.

- Nie jest pan naprawdę na urlopie, prawda, panie Causton? - zapytał Wyatt.

Causton westchnął.

- Mój szef tak uważa. Przyjechałem tu trochę na własny rachunek. Słyszałem różne pogłoski i plotki. Na przykład, przerzucano ostatnio w ten rejon wyjątkowo duże ilości broni. O ile zdołałem się dowiedzieć, nie dostarczano jej na Kubę, ani do Południowej Ameryki, ale dokądś trafia. Wspomniałem o tym szefowi, ale nie zgodził się z moim

rozumowaniem, czy raczej, jak to określił, brakiem rozumowania. Ponieważ jednak bardzo w siebie wierzę, udałem, że jadę na urlop, no i jestem tutaj.

- I znalazł pan to, czego pan szukał?
- Obawiam się, że tak.

## II

Wyatt jechał powoli przez przedmieścia St. Pierre, posuwając się z trudem po zatłoczonych ulicach. Półnaczy malcy, jakich często się tu widywało, igrali ze śmiercią, uskakując spod kół samochodu i śmiali się piskliwie, gdy naciskał klakson. Wozy zaprzężone w woły i objuczone ciężarówki powodowały jak zawsze korki, a jazgot tłumu był wręcz ogłuszający. Sytuacja powróciła do normy. Wyatt odprężył się, gdy wyjechał z miasta i mógł wreszcie przyspieszyć.

Droga do St. Michel wiała się z St. Pierre pod górę, przez żyzną dolinę Negrito. Otaczały ją plantacje bananów, ananasów i trzciny cukrowej, powyżej zaś wznosiły się surowe szczyty Massif des Saints.

- Zdaje się, że wczorajsze zamieszanie spowodował fałszywy alarm - stwierdził Wyatt. - Wbrew temu, co mówił rano Causton.

- Nie powiem, żebym go w sumie lubiła - powiedziała w zamyśleniu Julie. - Prasowi reporterzy kojarzą mi się jakoś z sępami.

- Potrafię go zrozumieć - stwierdził Wyatt. - Żyje z nieszczęścia, tak jak ja.

Julie była zaszokowana.

- To wcale nie to samo. Ty starasz się przynajmniej złagodzić skutki kataklizmów.

- On także, sądząc z tego, co robi. Czytałem parę jego tekstów. Są bardzo dobre. Pełne współczucia dla bezdennej głupoty ludzkiej rasy. Chyba szczerze ubolewał, gdy stwierdził, że nie myli się co do zaistniałej tu sytuacji; o ile, oczywiście, ma rację. W Bogu nadzieja, że tak nie jest.

Julie odpowiedziała niecierpliwym wzruszeniem ramion.

- Zapomnijmy o nim, dobrze? O nim, o Serrurierze i tym, jak mu tam, Favelu.

Wyatt zwolnił, aby nie wpaść na ciągnięty przez woły wóz z ładunkiem kamieni i odwróciwszy głowę zerknął na stojącego przy drodze uzbrojonego żołnierza.

- Niełatwo zapomnieć o istnieniu Serruriera, skoro dzieją się tu takie rzeczy.

Julie obejrzała się.

- Co to jest?

- Corve, przymusowe roboty na drogach. Wszyscy chłopcy muszą brać w nich udział. To prawo z czasów przed rewolucyjnej Francji, które Serrurier skrzętnie wykorzystuje. Na San Fernandez nigdy go nie zniesiono. - Wskazał głową na pobocze drogi. - Podobnie jest z tymi plantacjami. Należały kiedyś do zagranicznych spółek, głównie amerykańskich i francuskich. Kiedy Serrurier doszedł do władzy, wywłaszczył wszystko i znacjonalizował. Teraz na plantacjach, które traktuje jak prywatną własność, pracują skazańcy. Na tej wyspie niewiele trzeba, żeby trafić do więzienia, więc nigdy mu nie brakuje robotników. A plantacje podupadają.

- Jak możesz żyć wśród tych wszystkich nieszczęść? - zapytała cicho.

- Mam tu swoją pracę, Julie. Dzięki temu, co tutaj robię, można ustrzec od śmierci ludzi z całego rejonu Karaibów i z Ameryki, i nie ma na to lepszego miejsca. W sprawie Serruriera nic nie poradzę. Gdybym spróbował, zabito by mnie, uwięziono albo deportowano, a to nikomu by nie pomogło. A więc, tak jak Hansen i wszyscy inni, trzymam się blisko bazy i koncentruję na swojej robocie.

Zamilkł na chwilę, pokonując niebezpieczny zakręt, po czym dodał:

- Co nie znaczy, oczywiście, że mi się to podoba.

- A nie myślałeś, żeby stąd wyjechać, zająć się, powiedzmy, pracą naukową w Stanach?

- Tutaj robię to najlepiej - stwierdził Wyatt. - Poza tym pochodzę z Zachodnich Indii.

Tu jest mój dom, chociaż ubogi.

Przejechał jeszcze kilka kilometrów i wreszcie skręcił na pobocze drogi.

- Pamiętasz to miejsce?

- Jak mogłabym zapomnieć - odparła, wychodząc z wozu, aby spojrzeć na rozciągającą się przed jej oczami panoramę. W dali widać było morze, lśniąca, srebrną płaszczyznę. Tuż pod sobą mieli kręte serpenty piaszczystej drogi, którą dopiero co wjeżdżali, zaś między drogą a morzem leżała przepiękna dolina Negrito, prowadząca w dół do Zatoki Santego, z ukrytym w jej zakolu miniaturowym miasteczkiem St. Pierre i widocznym w oddali przylądkiem Cap Sarrat.

Wyatt nie podziwiał widoków. Uznał, że woli patrzeć na Julie, jak stoi na skraju urwiska, a równikowy wiatr rozwiewa jej sukienkę, sprawiając, że przylega ona szczelnie do ciała. Nagle dziewczyna wskazała na drugą stronę doliny, gdzie słońce odbijało się w spadającej wodzie.

- Co to?

- La Cascade de l'Argent. To jest na P'tit Negrito. - Podszedł bliżej i stanął obok niej. - P'tit Negrito wpada do Gran' Negrito w dolinie. Stąd nie widać miejsca, gdzie się łączą. Julie wzięła głęboki oddech.

- To jeden z najpiękniejszych widoków, jakie w życiu widziałam. Zastanawiałam się, czy znowu mi go pokażesz.

- Zawsze do usług - odparł. - Czy po to wróciłaś na San Fernandez?

- Między innymi - powiedziała, śmiejąc się niepewnie.

Wyatt pokiwał głową.

- To dobry powód. Mam nadzieję, że pozostałe są równie dobre.

- Też mam taką nadzieję. - Spuściła głowę i jej głos zabrzmiał bardzo cicho.

- Nie jesteś pewna?

Podniosła głowę, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie, Dave. Nie jestem pewna. Wcale.

Położył jej dłonie na ramionach i przyciągnął ją do siebie.

- Szkoda - powiedział, całując ją.

Pozwoliła się objąć i rozchyliła usta. Wyatt poczuł, jak do niego lgnie, ale w końcu odsunęła się.

- Sama nie wiem - powiedziała. - Jeszcze nie jestem pewna. Ale nie jestem pewna, czy na pewno.

- Chciałabyś zamieszkać tutaj, na San Fernandez? - zapytał.

Julie spojrzała na niego niepewnie.

- Czy to zaproszenie do łóżka?

- Chyba raczej oświadczyzny - poprawił ją Wyatt, pocierając szczękę. - Nie mógłbym dłużej mieszkać w bazie, skoro porzuciłabyś egzotyczne życie stewardesy, więc musielibyśmy poszukać sobie domu. Może tu by ci się podobało?

- Och, Dave, bardzo! - zawołała i przez dłuższy czas oboje wykrzykiwali jakieś trudne do zrozumienia słowa.

- Nie rozumiem, dlaczego byłaś wczoraj taka oziębła - stwierdził po chwili Wyatt. - Uczepiłaś się Caustona, jakbyś zawarła z nim przymierze krwi.

- A niech cię diabli, Dawidzie Wyatt - odparowała Julie. - Byłam przerażona, ścigałam mężczyznę, a kobieta nie powinna tego robić. W ostatniej chwili wpadłam w panikę i przestraszyłam się, że zrobię z siebie idiotkę.

- Więc przyjechałaś tu spotkać się ze mną?

Potar mosiła go za włosy.

- Nie znasz się na ludziach, prawda, Dave? Jesteś tak pochłonięty swoimi huraganami i obliczeniami. Oczywiście, że przyjechałam do ciebie. - Uniosła jego dłoń, przyglądając się po kolei palcom. - Spotykałam się z wieloma facetami i zastanawiałam się czasem, czy tym razem to będzie właśnie ten. No wiesz, kobiety tak rozumują. I zawsze zaczynałam myśleć o tobie, rozumiałam więc, że muszę tu wrócić i wszystko wyjaśnić. Musiałeś być w moim sercu tym jedynym, albo zniknąć całkowicie z mego życia, o ile to tylko możliwe.

W dodatku ciągle pisałeś te swoje pompatyczne listy, przez które chciało mi się krzyżeć.

Wyatt uśmiechnął się jowialnie.

- Nigdy nie byłem za dobry w opisywaniu uczuć. Ale widzę, że bez pudła schwytała mnie w sidła podstępna kobieta, więc trzeba to oblać. - Podeszedł do samochodu. - Nappełniłem termos twoim ulubionym trunkiem, „ponczem plantatora”. W imię zachowania trzeźwości i z uwagi na porę dnia odstąpiłem od ścisłego przepisu, dałem mniej rumu, a więcej cytryny. Wyszedł całkiem orzeźwiający napój.

Siedzieli, patrząc na Negrito i delektując się ponczem.

- Niewiele o tobie wiem, Dave - stwierdziła Julie. - Powiedziałaś wczoraj, że pochodzisz z St. Kitts. Gdzie to jest?

Wyatt machnął ręką.

- To taka wyspa na południowy wschód stąd. Naprawdę nazywa się St. Christopher, ale od czterystu lat mówią na nią St. Kitts. Christophe, Czarny Władca Haiti, który był zbiegłym niewolnikiem, przyjął imię od nazwy wyspy. To niezwykle miejsce.

- Czy twoja rodzina zawsze tam mieszkała?

- No cóż, nie należeliśmy do tubylców, ale Wyattowie zamieszkiwali na St. Kitts już na początku siedemnastego wieku. Byli plantatorami, rybakami, podobno nawet piratami. Malownicza gromadka. - Pociągnął łyk ponczu. - Ale ja jestem ostatnim Wyattem z St. Kitts.

- Szkoda. Co się stało?

- W połowie ubiegłego stulecia o mało nie zniszczył wyspy huragan. Ocalał tylko co czwarty Wyatt. Mówiąc ściślej, straciło życie trzy czwarte wszystkich mieszkańców. Potem nastał na Karaibach okres stagnacji. Pojawiła się konkurencja ze strony brazylijskiej kawy, upraw trzciny cukrowej we wschodniej Afryce, i tak dalej. Ci nieliczni Wyattowie, którzy pozostali na wyspie, wyprowadzili się. Moi rodzice mieszkali na St. Kitts, dopóki nie przyszedłem na świat, lecz zaraz potem przenieśli się na Grenadę i tam spędziłem dzieciństwo.

- Gdzie jest Grenada?

- W południowej części archipelagu, na północ od Trynidadu. A na północ od Grenady leżą Grenadyny, łańcuch wysepek, najwierniejsza kopia tropikalnego raj, jaką można spotkać na Karaibach. Kiedyś cię tam zabiorę. Mieszkałem na jednej z tych wysp do dziesiątego roku życia. Potem wyjechałem do Anglii.

- Rodzice posłali cię tam do szkoły?

Pokręcił głową.

- Nie. Moi rodzice zginęli. Zabił ich następny huragan. Pojechałem do ciotki, która mieszkała w Anglii. Wychowała mnie i zadbała o moje wykształcenie.

- Czy dlatego nienawidzisz huraganów? - zapytała cicho Julie.

- Pewnie tak. Musimy przecież kiedyś zapanować nad tymi potworami, pomyślałem więc, że będę miał w tym swój udział. Na razie możemy jedynie organizować systemy wczesnego ostrzegania i tak dalej, ale przyjdzie czas, kiedy będziemy potrafili zatrzymać huragan w biegu, chociaż jest taki potężny. Sporo się już nad tym pracuje. - Uśmiechnął się do niej. - Teraz wiesz wszystko o Davidzie Wyattcie.

- Nie wszystko, ale na resztę będzie sporo czasu - odparła z zadowoleniem.

- A historia twojego życia?

- Z tym też trzeba będzie poczekać - powiedziała, odpychając jego błędzącą dłoń i zrywając się na nogi. - Co z tą kąpielą, którą mi obiecywałeś?

Wsiedli do samochodu i Julie utkwiała wzrok w świeżej zieleni zboczy Massif des Saints.

- To niedobra ziemia - stwierdził Wyatt. - Nieurodzajne, trapione chorobami bezdroża. Właśnie tam bronił się Favel, dopóki nie poległ. W tych górach może zaginąć cała armia. Właściwie, już się to zdarzało.

- O! Kiedy?

- Pierwszy raz w czasach, gdy Bonaparte próbował stłumić bunt niewolników. Główne walki toczyły się, oczywiście, na Haiti, ale Le Clerc wysłał również legion na San Fernandez,

aby zdusić tu rebelię. Wojsko wylądowało bez problemów i pomaszerowało w głąb lądu, nie napotykając większego oporu. Potem weszli w góry i zaginął po nich wszelki ślad.

- Co się z nimi stało?

Wyatt wzruszył ramionami.

- Zasadzki, strzelcy wyborowi, choroby, wyczerpanie... Biali nie byli w stanie przeżyć, a czarnym się udało. Ale niedawno te góry pochłonęły kolejną armię, tym razem czarnoskórych. Serrurier próbował sprowokować Favela do otwartej walki, wysyłając przeciw niemu trzy bataliony żołnierzy. Oni także nigdy nie powrócili. Weszli na rodzinną ziemię Favela.

Julie spojrzała na skąpane w słońcu zbocza i przeszedł ją dreszcz.

- Im więcej słyszę o historii San Fernandez, tym bardziej mnie ona przeraża.

- My, mieszkańcy Zachodnich Indii śmiejemy się, kiedy wy, Amerykanie i Europejczycy, uważacie Antyle za tropikalny raj. Jak myślisz, dlaczego w Nowym Jorku jest pełno Portorykańczyków, a w Londynie ludzi z Jamajki? Bo tam można dziś znaleźć prawdziwy raj. Karaiby wyniszczą nędza i lokalne konflikty. I jest tak nie tylko na San Fernandez, chociaż sytuacja wygląda tu gorzej niż gdziekolwiek. - Przerwał i roześmiał się z zakłopotaniem. - Zapomniałem, że masz ochotę tu zamieszkać. Nie robię temu miejscu zbyt dobrej reklamy, prawda? - Milczał przez kilka minut, po czym dodał w zamyśleniu: - Ta praca naukowa w Stanach, o której mówiłaś, miałyby w sumie sens.

- Nie, Dave - powiedziała cicho Julie. - Nie zrobiłabym ci tego. Nie zaczynałabym naszego wspólnego życia od pozbawiania cię pracy. To nie byłoby dobre dla żadnego z nas. Stworzymy sobie dom tutaj, na San Fernandez, i będziemy bardzo szczęśliwi. - Uśmiechnęła się. - Jak długo mam jeszcze czekać na obiecaną kąpiel?

Wyatt uruchomił wóz i ponownie ruszył w drogę. Kiedy dotarli wyżej, przejeżdżając przez grzbiety gór, zmienił się krajobraz i plantacje ustąpiły miejsca zielonym, spletanym gęsto zaroślom, z których wyłaniała się czasem polana ze zrujnowaną chatą. W pewnym momencie przed jadącym powoli samochodem prześlizgnął się po piasku długi wąż i Julie krzyknęła głośno z obrzydzenia.

- To zaledwie zapowiedź tego, co jest wysoko w górach - zauważył Wyatt. - Tyle że tam nie ma dróg.

Zatrzymał nagle samochód, przyglądając się stojącej na uboczu chacie. Julie też na nią spojrzała, nie dostrzegła jednak niczego niezwykłego. Była to po prostu jeszcze jedna pozbawiona okien chata, zrobiona z ubitej ziemi i kryta prymitywną strzechą. Obok niej jakiś człowiek wbijał kołek w twardy grunt.

- Przepraszam cię, Julie - powiedział Wyatt. - Chciałbym z nim porozmawiać.

Wysiadł z wozu i podszedł w kierunku chaty, aby przyjrzeć się jej dachowi. Był pokryty siatką z powroźów, wykonanych z miejscowego sizału. Z sieci zwisały dłuższe sznurki, z których trzy zostały przymocowane do wbitych w ziemię palików. Wyatt obszedł dwukrotnie chatę, po czym spojrział w zamyśleniu na człowieku, który walił wytrwale wielkim młotkiem. Formułując starannie zdanie w prymitywnej francuszczyźnie, którą mówiła miejscowa ludność, Wyatt zapytał:

- Hej, człowieku, co robisz?

Mężczyzna podniósł wzrok. Jego czarna twarz lśniła od potu. Był stary, ale Wyatt nie potrafiłby powiedzieć, ile ma lat. W przypadku tych ludzi trudno było to określić. Wyglądał na siedemdziesiąt, ale prawdopodobnie miał około pięćdziesiątki.

- Zabezpieczam swój dom, blanc.

Wyatt wyjął paczkę papierosów i wytrząsnął jednego.

- Zabezpieczanie domu to ciężka praca - powiedział ostrożnie.

Nieznajomy postawił młotek i wziął papierosa, którym poczęstował go Wyatt. Pochylił się nad płonąca zapalką i zaciągnąwszy się dymem odparł:

- Bardzo ciężka praca, blanc, ale trzeba to zrobić. - Spojrział na papieros. -

Amerykańskie. Bardzo dobre.

Wyatt zapalił swojego papierosa i odwrócił się, patrząc na chatę.



- Dach nie może się zawalić - przyznał. - Dom bez dachu jest jak mężczyzna bez kobiety, czegoś mu brak. A ty masz kobietę?

Mężczyzna skinął głową i zaciągnął się dymem.

- Nie widzę jej - upierał się Wyatt.

Nieznajomy wydmuchał w powietrze kłęb dymu, po czym spojrzał na Wyatta przekrwionymi brązowymi oczami.

- Pojechała z wizytą, blanc.

- I zabrała wszystkie dzieci? - zapytał cicho Wyatt.

- Tak, blanc.

- A ty mocujesz dach. - Wyatt poklepał go po stopie. - Pewnie bardzo się boisz.

Mężczyzna odwrócił wzrok i odsunął stopę.

- Przyszła pora, żeby się bać. Nikt nie zaradzi temu, co ma nadejść.

- Mówisz o wielkim wietrze? - zapytał cicho Wyatt.

Mężczyzna spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Oczywiście, blanc, a o czym by innym? - Mocno klasnął w dłonie i wyrzucił je wysoko w powietrze. - Gdy nadciągnie wielki wiatr, li tomber boum.

Wyatt przytaknął.

- Oczywiście. Słusznie postępujesz, dbając o dach domu. - Zamilkł na chwilę. - A skąd wiesz, że nadciąga wiatr?

Mężczyzna zaszurał bosymi stopami po gorącym piasku, odwracając wzrok.

- Wiem - wymamrotał. - Wiem.

Wyatt zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu nalegać, już kiedyś tego próbował. Spytał więc tylko:

- Kiedy to będzie?

Mężczyzna spojrzał w bezchmurne, błękitne niebo, po czym wziął do ręki garść suchej ziemi i zaczął cedzić ją między palcami.

- Za dwa dni - oznajmił. - Może trzy. Nie więcej.

Wyatta zdumiała dokładność tej prognozy. Jeśli Mabel w ogóle zaatakuje San Fernandez, nastąpi to właśnie w takim przedziale czasu, ale skąd mógł o tym wiedzieć niewykształcony starzec?

- A więc odesłałeś stąd swoją żonę i dzieci - stwierdził rzeczowo.

- W górach jest jaskinia - wyjaśnił nieznajomy. - Jak skończę, też tam pójde.

Wyatt spoglądał na chatę.

- Kiedy będziesz odchodził, zostaw otwarte drzwi - poradził. - Wiatr nie lubi, gdy są zamknięte.

- Oczywiście - zgodził się mężczyzna. - Zamknięte drzwi świadczą o braku gościnności.

- Spojrzał na Wyatta z wesołym błyskiem w oku. - Może nadciągnąć jeszcze inny wiatr, blanc, kto wie, czy nie gorszy od huraganu. Favel schodzi z gór.

- Przecież Favel nie żyje.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Favel schodzi z gór - powtórzył i zaczął znowu uderzać młotkiem w kołek.

Wyatt wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą.

- O co chodziło? - zapytała Julie.

- Mówi, że nadciąga wielki wiatr i dlatego zabezpiecza dach. Kiedy wiatr tu dotrze, li tomber boum.

- Co to znaczy?

- W zupełnie dowolnym tłumaczeniu oznacza tyle, że wszystko zawali się z cholernym hukiem. - Wyatt popatrzył jeszcze raz na chatę i człowieka, który pracował mozolnie w upalnym słońcu. - Wie nawet, że powinien zostawić otwarte drzwi, chociaż nie mam pojęcia skąd. - Odwrócił się do Julie. - Przepraszam cię, ale chciałbym wrócić do bazy. Muszę tam coś sprawdzić.

- Oczywiście - odparła. - Jak trzeba, to trzeba. Zawrócił samochodem na polanie i pojechali drogą w dół.

- Harry Hansen wspominał mi, że martwisz się z powodu Mabel - powiedziała Julie. - Czy o to chodzi?

- To, oczywiście, przeczy wszelkiej logice - odparł. - Kłóci się ze wszystkim, czego mnie uczono, ale moim zdaniem czeka nas atak huraganu. Myślę, że Mabel uderzy na San Fernandez. - Roześmiał się zgryźliwie. - Teraz muszę przekonać o tym Schellinga.

- Sądzisz, że ci nie uwierzy?

- A jakie mogę mu przedstawić dowody? Moje niejasne przeczucia? Prosty chłop, który wzmacnia dach? Schelling żąda niezbitych faktów: gradientów ciśnienia, współrzędnych adiabat, danych, które może wyliczyć i sprawdzić w podręcznikach. Wątpię, czy zdołam go przekonać. Ale będę musiał. St. Pierre jest dziś tak samo nieodporne na atak huraganu jak w 1910 roku. Widziałas te rozsiane wokół rudery. Jak myślisz, ile czasu wytrzymają pod naporem silnego wiatru? A liczba mieszkańców wzrosła, jest ich teraz sześćdziesiąt tysięcy. Atak huraganu spowodowałby katastrofę o przerażających rozmiarach.

Podświadomie nacisnął mocniej pedał gazu i poślizgiem wszedł w zakręt. Opony zaprotestowały z głośnym piskiem.

- Niczego nie osiągniesz, zabijając się przy zjeżdżaniu z tej góry - stwierdziła Julie. Wyatt zwolnił.

- Przepraszam, Julie. Mam chyba trochę za dużo pracy. - Pokręcił głową. - Martwi mnie to, że jestem bezradny.

- Nie mógłbyś sfalszować danych, czy coś w tym rodzaju, żeby komandor Brooks musiał cię posłuchać? - zapytała w zamyśleniu Julie. - Gdyby huragan nie nadciągnął, będziesz miał złamaną karierę, ale myślę, że podjąłbyś takie ryzyko.

- Gdybym wierzył, że to się uda - odparł ponuro Wyatt. - Ale Schelling nie dałby się nabrać. Może być tępy, ale nie jest kompletnym idiotą i zna się wystarczająco na swojej robocie. To nie przejdzie.

- Więc co zrobisz?

- Nie mam pojęcia - odparł Wyatt. - Nie mam pojęcia.

### III

Wysadził Julie pod hotelem Imperiale i na pełnym gazie ruszył z powrotem do bazy. Na ulicach St. Pierre widział wielu żołnierzy, ale fakt ten nie dotarł do jego świadomości, bo przez cały czas zastanawiał się usilnie, w jaki sposób poradzić sobie z Schellingiem. Kiedy znalazł się przy wjeździe do bazy, nie miał jeszcze żadnego pomysłu.

Przy bramie zatrzymał go żołnierz piechoty morskiej w pełnym rynsztunku, który machnął erkaemem, mówiąc:

- Wsiadka, kolego!

- Co się dzieje, do diabła?

Żołnierz zacisnął usta.

- Powiedziałem: wsiadka.

Wyatt otworzył drzwi i wysiadł z wozu, zauważył, że żołnierz odsuwa się od niego. Spojrzawszy w górę spostrzegł, że wieże przy bramie są w pełni obsadzone, a groźne lufy karabinów maszynowych wycelowano w jego samochód.

- Coś ty za jeden? - zapytał żołnierz.

- Jestem z Sekcji Meteo - odparł Wyatt. - Co to wszystko ma znaczyć, do cholery?

- Dowiedz tego - odparł żołnierz beznamiętnym tonem. Uniósł nagle broń, gdy Wyatt próbował włożyć rękę do wewnętrznej kieszeni. - Cokolwiek masz zamiar wyjąć, rób to bardzo wolno.

Wyatt wyciągnął powoli portfel i podał mu go.

- W środku jest moja legitymacja.

Żołnierz nie próbował podejść bliżej.

- Rzuć to.

Gdy Wyatt cisnął portfel na ziemię, żołnierz powiedział: - A teraz się cofnij. - Wyatt

odsunął się powoli, zaś żołnierz, cały czas bacznie go obserwując, zrobił krok do przodu i podniósł portfel. Otworzył go jednym ruchem i sprawdzwszy zawartość dał znak ręką ludziom na wieży. - Wygląda na to, że jest pan w porządku, panie Wyatt - oznajmił, podając mu portfel.

- Co się tu dzieje, do diabła? - zapytał ze złością Wyatt.

Żołnierz oparł lufę erkaemu na przedramieniu i podszedł bliżej.

- Szefostwo postanowiło urządzić nam sprawdzian wzmożonej czujności, panie Wyatt. Muszę się wykazać. Obserwuje mnie porucznik.

Wyatt prychnął gniewnie i wszedł do samochodu. Żołnierz oparł się o drzwiczki, dodając:

- Nie pędziłbym za szybko przez bramę, panie Wyatt. Te karabiny na górze są naprawdę naładowane. - Pokiwał smętnie głową. - Przy okazji tych ćwiczeń na pewno ktoś zginie.

- Ale nie ja - obiecał Wyatt.

Żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu, po raz pierwszy okazując entuzjazm.

- Może postrzelą w tyłek porucznika. - Powiedziawszy to cofnął się i pokazał Wyattowi, że może jechać.

W drodze do biura Wyatt zauważył, że baza zmieniła się w warowny obóz. Wszystkie stanowiska karabinów zostały obsadzone, a ludzie byli w pełnym rynsztunku. Po ulicach przetaczały się z hałasem ciężarówka, a w pobliżu Instytutu Meteorologii stały rzędem wozy pancerne z włączonymi silnikami. Przypomniał sobie nagle słowa starca, że Favel schodzi z gór, pokręcił głową z irytacją.

Zaraz po przyjeździe do biura chwycił za telefon i zadzwonił do centrum informacji.

- Co nowego na temat Mabel?

- Kogo? Aha, Mabel. Mamy najnowsze zdjęcia z Tiroasa. Nadeszły pół godziny temu.

- Podeślijcie mi je tutaj.

- Niestety, nie możemy - odparł metaliczny głos. - Wszyscy kurierzy są na ćwiczeniach.

- Sam się tam zjawię - oznajmił Wyatt i rzucił słuchawkę, wściekły, że musi tracić czas.

Podjechał do centrum informacji, zabrał zdjęcia i przyjechawszy z powrotem zasiadł przy biurku, aby im się przyjrzeć.

W ciągu prawie godziny nie doszedł do żadnych pewnych wniosków. Huragan Mabel posuwał się nieco szybciej - osiemnaście kilometrów na godzinę - zgodnie jednak z przewidywanym kursem. Zbliżył się do San Fernandez najwyżej na tyle, by omieść wyspę swoim ogonem - skończył się na kilku godzinach silnego wiatru i ulewnego deszczu. Tak wynikało z naukowych przesłanek.

Zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Nie ufał znanym teoriom, w które święcie wierzył Schelling. Widział już zbyt wiele huraganów, które nieoczekiwanie zmieniały kierunek, zbyt wiele zrujnowanych doszczętnie wysp, które huragan miał teoretycznie ominąć. Poza tym pochodził z Zachodnich Indii - tak samo, jak ten stary Murzyn z okolic St. Michel, który zabezpieczał dom przed wielkim wiatrem. Obaj darzyli ten huragan podobnym uczuciem: nieufnością z domieszką niepokoju. Rodzina Wyattów mieszkała na wyspach zaledwie od czterystu lat, ale przodkami owego starca byli Indianie Karibi, czciciele Hunrakena, Boga Burzy. Wierzył na tyle swojej intuicji, by się nią kierować i Wyatt czuł, że powinien postąpić tak samo, chociaż nie był w stanie udowodnić swoich racji w taki sposób, jak go tego uczono.

Szedł do Schellinga zupełnie przybity.

Schelling wydawał się być zajęty, ale w istocie zawsze robił takie wrażenie. Podniósłszy głowę, gdy Wyatt wszedł do jego biura, przywitał go słowami:

- Myślałem, że ma pan wolne popołudnie.

- Wróciłem, żeby sprawdzić, co się dzieje z Mabel - wyjaśnił Wyatt. - Huragan zwiększył prędkość.

- O! - zainteresował się Schelling. Odłożył pióro i odsunął od siebie blok papieru. - Jak szybko się teraz posuwa?

- W ciągu ostatnich dziewięciu godzin przebył sto sześćdziesiąt kilometrów; robi około osiemnastu na godzinę. Na początku było trzynaście. Przypomina pan sobie? - Wyatt pomyślał, że to jest sposób na Schellinga: zasiać w nim niepokój, uzmysłwić mu, że jego przesłane do Instytutu Meteorologii prognozy nie zgadzają się teraz z faktami, Z premedytacją ciągnął dalej: - Przy obecnej prędkości zaatakuje wybrzeże Atlantyku za około sześć dni. Myślę jednak, że przyspieszy jeszcze bardziej. Jego aktualna prędkość jest nadal poniżej średniej.

Schelling wpatrywał się z namysłem w blat biurka.

- A kierunek?

W tym był cały szkopuł.

- Zgodny z przewidywaniami - powiedział ostrożnie Wyatt. - Może się, oczywiście, zmienić. Zdarzało się to wiele razy.

- Lepiej się zabezpieczmy - stwierdził Schelling. - Wyślę wiadomość do Instytutu Meteorologii. Posiedzą nad tym parę dni, a potem ogłoszą alert huraganowy w południowo-wschodnich Stanach. Oczywiście, wiele będzie zależało od zachowania się huraganu w ciągu najbliższych dwóch dni, ale niech przynajmniej wiedzą, że trzymamy tu rękę na pulsie.

Wyatt usiadł, nie czekając na zaproszenie, i zapytał:

- A co z wyspami?

- Dostaną ostrzeżenie - wyjaśnił Schelling. - Jak zwykle. Gdzie dokładnie jest teraz Mabel?

- Wślizgnęła się między Grenadę i Tobago - oznajmił Wyatt. - Sądząc z raportów, które właśnie czytałem, przeżyli tam ciężkie chwile, ale nie stało się nic poważnego. Teraz huragan dotarł na północ od Los Testigos. - Przerwał na chwilę. - Jeżeli utrzyma obecny kurs, przejdzie przez Jukatan nad Meksyk i Teksas, tak samo jak Janet i Hilda w 1955 roku.

- To się nie zdarzy - powiedział z irytacją Schelling. - Zboczy na północ.

- W przypadku Janet i Hildy tak się nie stało - zauważył Wyatt. - A gdyby nawet zboczył na północ, tak jak się przypuszcza, wystarczy odchylenie minimalnie większe od przewidywanego i będziemy go mieli u siebie.

Schelling podniósł wzrok.

- Naprawdę chce mi pan wmówić, że Mabel może zaatakować San Fernandez?

- Właśnie - potwierdził Wyatt. - Nadał pan ostrzeżenie dla wyspy?

- Nie - odparł Schelling z błyskiem w oku. - Nie uznałem tego za konieczne.

- Nie uznał pan za konieczne? Można by sądzić, że przykład z 1910 roku jak najbardziej uzasadnia taką potrzebę.

Schelling prychnął pogardliwie.

- Zna pan władze tej wyspy, wyjętej jakby żywcem z opery komicznej, Jeśli im powiemy, nie zrobią absolutnie nic. Nigdy nie widzieli potrzeby instalowania tu systemu ostrzegania przed huraganami. Byłoby to wyciąganie pieniędzy wprost z kieszeni Serruriera. Wyobraża pan sobie, że by się zgodził? Gdybym nawet ich ostrzegł, co by to dało?

- Miałby pan zapis w aktach - odparł Wyatt, wykorzystując słabość Schellinga.

- To prawda - powiedział z namysłem Schelling, po czym wzruszył ramionami. - Zawsze trudno się było zorientować, do kogo wysyłać raporty. Dawniej informowaliśmy Descaixa, ministra spraw wewnętrznych, ale teraz przejął ten urząd Serrurier, a sam pan wie, że niełatwo się z nim rozmawia.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj zdymisjonował Descaixa; wie pan, co to oznacza. Jest martwy albo siedzi w zamku Rambeau, żałując, że żyje.

Wyatt zmarszczył brwi. A więc Descaix, szef służby bezpieczeństwa, zniknął, padł ofiarą kolejnej czystki Serruriera. Ale Descaix był jego prawą ręką. Musiało się zdarzyć coś bardzo poważnego, skoro pozbawiono go władzy. „Favel schodzi z gór”. Wyatt odpędził od siebie tę myśl. Co to miało wspólnego z potęgą huraganów?

- Radzę więc powiadomić Serruriera - powiedział.

Schelling lekko się uśmiechał.

- Wątpię, czy Serrurier jest teraz w odpowiednim nastroju, żeby mówić mu coś, czego nie chce słyszeć. - Postukał palcami w biurko. - Ale przekażę to komuś w pałacu, żeby było w aktach.

- Poinformował pan, oczywiście, komandora Brooksa - powiedział mimochodem Wyatt.

- No cóż... tak... wie o Mabel.

- Czy wie wszystko? - zapytał ostro Wyatt. - Wie, co to za huragan?

- Przekazałem mu rutynowe raporty - odparł chłodno Schelling, pochylając się do przodu. - Niech pan posłucha, Wyatt. Zdaje się, że ma pan obsesję na punkcie tego huraganu. Skoro ma pan coś do powiedzenia na jego temat, proszę mi wszystko wyłożyć, ale chcę faktów. Jeżeli nie ma pan żadnych konkretnych dowodów, niech się pan zamknie, na Boga, i zajmie swoją robotą.

- Przekazał pan Brooksovi „rutynowe” raporty - powtórzył cicho Wyatt. - Panie Schelling, chcę się zobaczyć z komandorem.

- Komandor Brooks - podobnie jak Serrurier - nie ma teraz czasu na wysłuchiwanie prognoz pogody.

Wyatt wstał, oświadczając z uporem:

- Idę do komandora Brooksa.

Schelling był zaszokowany.

- Zrobi pan to bez mojej zgody?

- Chcę zobaczyć się z Brooksem - powtórzył ponuro Wyatt. - Z pańską zgodą lub bez. Spodziewał się wybuchu oburzenia i przez chwilę wydawało mu się, że Schelling eksploduje, ale ten powiedział tylko oschle:

- W porządku, załatwię panu spotkanie z komandorem. Proszę poczekać w biurze, aż zostanie pan wezwany, to może trochę potrwać. - Uśmiechnął się posepnie. - Nie zyska pan na popularności.

- Wcale się o to nie ubiegam - odparł spokojnie Wyatt, po czym odwrócił się i wyszedł z biura Schellinga, dziwiąc się, dlaczego ten tak łatwo ustąpił. Nagle zaśmiał się ironicznie. Przekazane Brooksovi raporty musiały być nader skąpe i teraz Schelling wolał przedstawić komandorowi swój punkt widzenia, zanim pozwoli, by Wyatt się z nim zobaczył. Był teraz zapewne z Brooksem i opowiadał mu bajeczkę.

Wyatt czekał na wezwanie ponad półtorej godziny, wykorzystując ten czas na uporządkowanie informacji, które mogły zainteresować komandora Brooksa. Nie dostarczały mu mocnych argumentów, ale to było wszystko, czym dysponował, jeśli nie liczyć silnego wewnętrznego przekonania, że katastrofa wisi w powietrzu. Brooksa nie zainteresują jednak jego przecucia.

Biuro komandora było oazą spokoju w środku burzy. Wyatt musiał czekać kilka minut w jednym z zewnętrznych pomieszczeń i obserwując zorganizowany chaos, który w sytuacjach kryzysowych staje się udziałem nawet najsprawniej działających instytucji, zastanawiał się, czy to na pewno tylko ćwiczenia. W biurze Brooksa, kiedy wreszcie tam dotarł, było jednak cicho i spokojnie. Komandor, schludny i zadbany, siedział za czystym biurkiem, na którego obszernym, lśniącym blacie z drzewa tekowego nie wałała się ani jedna kartka papieru i mierzył Wyatta chłodnym, acz bezstronnym spojrzeniem. Schelling stał z boku, z założonymi do tyłu rękami, jakby właśnie otrzymał rozkaz „spocznij”.

Brooks odezwał się obojętnym tonem:

- Usłyszałem właśnie, że personel Instytutu Meteorologii spiera się w jakichś fachowych kwestiach. Może zechce mi pan przedstawić swój punkt widzenia, panie Wyatt.

- Nadciąga huragan, sir - oznajmił Wyatt. - Wyjątkowo silny. Moim zdaniem istnieje duże prawdopodobieństwo, że zaatakuje San Fernandez. Komendant Schelling, jak sądzę, uważa inaczej.

- Dowiedziałem się przed chwilą, co myśli komendant Schelling - oznajmił Brooks,

potwierdzając podejrzenia Wyatta. - Teraz chciałbym wysłuchać pańskich wniosków. Zaznaczam jednak, że bez względu na fakty, które mi pan przedstawi, uważam możliwość zaatakowania wyspy przez huragan za mało prawdopodobną. O ile wiem, zdarzyło się to po raz ostatni w 1910 roku.

Było oczywiste, że Schelling zdążył mu zrobić krótki wykład.

- Tak jest, sir - potwierdził Wyatt. - Zginęło wówczas sześć tysięcy ludzi.

Brooks uniósł brwi.

- Aż tyle?

- Tak, sir.

- Proszę kontynuować, panie Wyatt.

Wyatt omówił krótko przebieg wydarzeń od chwili, gdy huragan Mabel został zauważony i poddany badaniom.

- Wszystko wskazuje na to - oznajmił - że Mabel jest szczególnie groźnym zjawiskiem atmosferycznym. Gradient ciśnienia ma wyjątkową wartość, a powstające wiatry są niezwykle silne. Komandor porucznik Hansen stwierdził, że nigdy jeszcze nie latał w równie złych warunkach.

Brooks pochylił głowę.

- Jeżeli nawet ten huragan jest taki silny, jakie ma pan dowody, że zaatakuje wyspę? Zdaje się, że wspomniał pan o „dużym prawdopodobieństwie”. Chciałbym czegoś więcej, panie Wyatt. Chciałbym wiedzieć dokładniej, na ile jest to prawdopodobne.

- Mam tu pewne obliczenia - powiedział Wyatt, kładąc plik kartek na nieskazitelnej blacie biurka. - Moim zdaniem komendant Schelling opiera swe twierdzenia, że Mabel tu nie dotrze, na standardowych teoriach. Bierze pod uwagę, poniekąd słusznie, siły, których oddziaływanie na tropikalne burze wirowe jest nam znane. Twierdzą jednak, że wiemy zbyt mało, aby podejmować takie ryzyko.

Rozłożył papiery na biurku.

- Zebrałem zapiski na temat wszystkich huraganów, z którymi zetknąłem się osobiście podczas czterech lat pobytu na wyspie; to około trzy czwarte ogólnej liczby tych, które przeszły w tym czasie nad Karaibami. Sprawdziłem, ile razy huragany zbaczały z kursu, wynikającego ze ściśle teoretycznych przewidywań i okazuje się, że miało to miejsce, w mniejszym lub większym stopniu, w czterdziestu pięciu procentach przypadków. Żeby podejść do sprawy całkiem uczciwie, przygotowałem inne zestawienie z tymi samymi informacjami, ograniczając się jednak do huraganów o takiej samej charakterystyce, jak Mabel, to znaczy trwających tyle samo czasu, powstałych na tym samym obszarze, i tak dalej. Moim zdaniem istnieje trzydzieści procent prawdopodobieństwa, że Mabel zboczy z teoretycznego kursu na tyle, by uderzyć w San Fernandez.

Pchnął papiery na drugą stronę biurka, ale Brooks odsunął je z powrotem.

- Wierzę panu, panie Wyatt - powiedział spokojnie. - Co pan na to, komendancie?

- Myślę, że przedstawiając dane statystyczne w ten sposób można je źle wykorzystać, mylnie zinterpretować - odparł Schelling. - Gotów jestem przyjąć wyliczenia pana Wyatta, ale nie jego tok rozumowania. Ocenia na trzydzieści procent prawdopodobieństwo, że Mabel zmieni kierunek. Zgoda, ale to wcale nie oznacza, że zboczywszy z kursu zaatakuje San Fernandez. W końcu może skierować się gdzie indziej.

- Panie Wyatt?

- Oczywiście, że tak - przytaknął Wyatt. - Ale nie podoba mi się to.

Brooks złożył ręce.

- A więc wszystko sprowadza się do następującego wniosku: prawdopodobieństwo, że Mabel zaatakuje wyspę, mieści się w granicach od zera do trzydziestu procent, ale zakładając nawet najgorszą wersję, ryzyko wynosi tylko trzydzieści procent. Czy to uczciwe postawienie sprawy, panie Wyatt?

Wyatt przełknął ślinę.

- Tak, sir. Chciałbym jednak wskazać na parę istotnych spraw. W 1900 roku huragan zaatakował Galveston, a w 1910 San Fernandez. W obu przypadkach wysoka liczba ofiar

była wynikiem tego samego zjawiska: powodzi.

- Spowodowanych dużymi opadami deszczu?

- Nie, sir. Strukturą huraganu i specyfiką warunków geograficznych.

Przerwał na chwilę.

- Proszę kontynuować, panie Wyatt - powiedział Brooks. - Komendant na pewno pana poprawi, gdyby przypadkiem pomylił pan fakty.

- W centrum huraganu ciśnienie powietrza poważnie spada - oznajmił Wyatt. -

Powoduje to powstanie wybrzuszenia na powierzchni oceanu. W przypadku zwykłego huraganu miałyby ono około trzech metrów wysokości. Ale Mabel nie jest zwykłym huraganem. Ma bardzo niskie ciśnienie wewnętrzne i należy się spodziewać, że w centrum poziom morza podniesie się o sześć metrów, może nawet o siedem i pół.

Odwrócił się, wskazując za okno.

- Jeżeli Mabel zaatakuje wyspę, nadciągnie dokładnie z południa wprost nad zatokę.

To płytkie miejsce, a wiemy, co się dzieje, gdy fala pływ natrafia na mieliznę, spiętrza się. W Zatoce Santego można spodziewać się fali powodziowej o wysokości powyżej piętnastu metrów. O ile mi wiadomo, najwyższe wzniesienie na Cap Sarrat ma trzynaście i pół metra. Ściana wody spadnie wprost na pańską bazę. W 1910 roku musiano tu wszystko odbudowywać. Na szczęście niewiele było do zrobienia, bo baza w zasadzie jeszcze wtedy nie działała.

Spojrzał na Brooksa, który powiedział cicho:

- Proszę dalej, panie Wyatt. Widzę, że jeszcze pan nie skończył.

- Nie, sir. Myślę o St. Pierre. W 1910 zginęła połowa mieszkańców. Teraz należałoby się liczyć z trzydziestoma tysiącami ofiar. Większość miasta nie leży wyżej niż przyładek Cap Sarrat, a ludność jest równie bezbronna wobec huraganu i powodzi jak w 1910 roku.

Brooks przeniósł wzrok na Schellinga.

- I cóż, komendancie, znajduje pan jakieś nieścisłości w tym, co powiedział pan Wyatt?

- Teoretycznie ma całkowitą rację - przyznał niechętnie Schelling. - Wszystko zależy jednak od dokładności pomiarów, których dokonali w strefie huraganu pan Wyatt i komandor porucznik Hansen.

Brooks pokiwał głową.

- Tak, myślę, że powinniśmy jeszcze raz przyjrzeć się Mabel. Zechce pan się tym zająć, komendancie? Proszę zaraz wysłać samolot i niech leci najlepszy z pańskich pilotów.

- Tylko nie Hansen - wtrącił się natychmiast Wyatt. - On ma już dosyć Mabel.

- Zgadzam się - odparł równie szybko Schelling. - Chcę wysłać inną załogę i innych specjalistów.

Wyatt zeszywniał.

- Ta uwaga podważa moją zawodową uczciwość - stwierdził chłodno.

Brooks uderzył grzbietem dłoni w blat biurka tak głośno, że zabrzmiało to jak strzał z pistoletu.

- Nic podobnego - powiedział chrapliwie. - Skoro między lekarzami istnieje różnica zdań, chcę znać opinię trzeciej osoby. Czy to jasne?

- Tak, sir - odparł Wyatt.

- Na co pan jeszcze czeka, komendancie? Proszę zorganizować ten lot. - Brooks patrzył za odchodzącym Schellingiem, a widząc, że Wyatt waha się, co zrobić, powiedział: - Niech pan zostanie, panie Wyatt. Chcę z panem porozmawiać. - Zetknął dłonie czubkami palców, uważnie się w niego wpatrując. - Co radzi mi pan zrobić, panie Wyatt? Jak by pan postąpił na moim miejscu?

- Wysłałbym okręty na morze - powiedział bez namysłu Wyatt. - Wraz z całym personelem bazy. Kazałbym wszystkim samolotom lecieć do Puerto Rico. Stałbym na głowie, żeby przekonać prezydenta Serruriera o powadze sytuacji. Powinien pan również ewakuować wszystkich Amerykanów i jak najwięcej cudzoziemców.

- Łatwo panu mówić - zauważył Brooks.

- Ma pan na to dwa dni.

Brooks westchnął.

- Nie byłoby problemu, gdyby nie inne okoliczności. Pojawiło się militarne zagrożenie. Dojdzie chyba do wojny domowej między powstańcami z gór i rządem. Dlatego w bazie ogłoszono oficjalnie stan wyjątkowy i ma się tu stawić cały amerykański personel. Prawdę mówiąc, podpisałem właśnie zalecenie, by ze względów bezpieczeństwa wszyscy obywatele amerykańscy przyjechali na Cap Sarrat.

- Favel schodzi z gór - powiedział mimowolnie Wyatt.

- Słucham?

- Tak mi powiedziano. Favel schodzi z gór.

Brooks pokiwał głową.

- Całkiem możliwe. Wcale nie musiał zginąć. Prezydent Serrurier oskarżył amerykański rząd o dostarczanie powstańcom broni. Trudno się z nim teraz rozmawia i wątpię, czy miałby ochotę słuchać moich dywagacji o pogodzie.

- Czy Amerykanie dostarczali powstańcom broń? - zapytał ostrożnie Wyatt.

Brooks oburzył się i wzdrygnął.

- Stanowczo nie! Zdeklarowaliśmy się, jasno i wyraźnie, nie ingerować w wewnętrzne sprawy San Fernandez. Mam na ten temat ściśle instrukcje od swoich przełożonych. - Spuścił wzrok, jakby przyglądał się własnym dłoniom i mruknął: - Wysyłając piechotę morską do Republiki Dominikany zmarnowano dziesięcioletnie wysiłki naszej dyplomacji w Południowej Ameryce. Nie chcemy, żeby to się powtórzyło.

Nagle, zrozumiałwszy chyba swą niedyskrecję, postukał palcami w biurko.

- Jeżeli chodzi o ewakuację bazy, postanowiłem tu zostać. Prawdopodobieństwo zaatakowania wyspy przez huragan wynosi, jak sam pan stwierdza, w najgorszym razie tylko trzydzieści procent. Na takie ryzyko mogę sobie pozwolić, a czuję, że nie mogę opuszczać bazy, kiedy wyspie zagraża wojna. - Uśmiechnął się lekko. - Nie mam zwyczaju tłumaczyć się w ten sposób swoim podwładnym, a tym bardziej cudzoziemcom, ale chciałbym, żeby moja decyzja była możliwie najkorzystniejsza dla wszystkich zainteresowanych. Chciałbym też pana wykorzystać. Chcę, by dostarczył pan list do pana Rawsthorne'a, brytyjskiego konsula w St. Pierre. Informuję go o moim stanowisku i zapraszam brytyjskich obywateli, zamieszkujących na San Fernandez, by skorzystali ze schronienia w bazie, list będzie gotowy za piętnaście minut.

- Wezmę go - zgodził się Wyatt.

Brooks skinął głową.

- A co do tego huraganu - Serrurier może posłuchać Brytyjczyków. Możliwe, że zdziała pan coś z pomocą Rawsthorne'a.

- Spróbuję - odparł Wyatt.

- I jeszcze jedno - dodał Brooks. - W każdej dużej organizacji ulegają skostnieniu metody działania i zawężają się kanały informacji. Powoduje to u niektórych osób niechęć do poruszania nieprzyjemnych spraw. Żle zaprasowane kanty psują krój munduru, który wszyscy nosimy. Jestem wdzięczny, że zwrócił mi pan na to uwagę.

- Dziękuję, sir.

W głosie Brooksa zabrzmiała ironia.

- Komendant Schelling jest rzetelnym oficerem. Wiem dokładnie, czego się po nim spodziewać. Ufam, że w przyszłości nie będzie panu trudno z nim współpracować.

- Myślę, że nie.

- Dziękują, panie Wyatt. To by było wszystko. Prześlę panu do biura list dla pana Rawsthorne'a.

Wracając do swego gabinetu Wyatt odczuwał głęboki podziw dla Brooksa. Ten człowiek miał przed sobą nie lada dylemat i zdecydował się na podjęcie przemyślanego ryzyka. Opuszczając bazę i pozostawiając ją wrogo nastawionemu do Amerykanów Serrurierowi naraziłby się z pewnością na gniew przełożonych - gdyby Serrurier ją zajął, usunięcie go stamtąd byłoby trudne, albo w ogóle niemożliwe. Z drugiej strony, huragan stanowił bardzo realne zagrożenie, a komisje śledcze nigdy nie pobrażały oficerom



marynarki, którzy powoływali się na klęski żywiołowe jako okoliczności łagodzące. Tak czy inaczej, baza mogła zostać stracona i Brooks musiał powziąć na zimno niezbędną decyzję. Niestety Wyatt czuł, że decyzja komandora była błędna.

#### IV

W niecałą godzinę później jechał przez St. Pierre, kierując się w rejon doków, gdzie Rawsthorne miał dom i biuro. W gasnącym świetle dnia ulice wydawały się spokojne jak nigdy, a targ, zwykle tętniący życiem, był zamknięty. Nie widziało się żołnierzy, za to wielu policjantów, chodzących w zwartych, czteroosobowych grupach. Nie mieli zresztą wiele do roboty, bo całe miasto ukryło się za zamkniętymi drzwiami i zaryglowanymi okiennicami.

Również dom Rawsthorne'a zamknięty był na cztery spusty i różnił się od innych tylko tym, że z okna na górze zwisała smętnie brytyjska flaga. Wyatt zakolał do drzwi, lecz dopiero po dłuższej chwili usłyszał ostrożne pytanie:

- Kto tam?

- Nazywam się Wyatt. Jestem Anglikiem. Proszę mnie wpuścić. Drzwi zostały odryglowane i lekko uchylone, po czym otworzyły się szerzej.

- Proszę, proszę, niech pan wejdzie! Nie pora teraz na chodzenie po ulicach.

Wyatt spotkał już kiedyś Rawsthorne'a, gdy ten przyjechał do bazy. Był jednym z dwóch angielskich kupców na San Fernandez - niskim, krępy męczyzną, który mógłby odtwarzać postać Pickwicka. Oficjalne obowiązki konsula nie nastroczały mu specjalnych trudności, gdyż na wyspie mieszkała zaledwie garstka Brytyjczyków, a jego dyplomatyczne wysiłki sprowadzały się do wyciągnięcia z aresztu jakiegoś pijanego marynarza lub mało entuzjastycznych prób rozprowadzania literatury na temat angielskich miasteczek albo ludowych tańców, które to materiały przysyłało mu z British Council w celu propagowania „brytyjskiego stylu życia”.

Stał teraz z przechyloną na bok głową, przyglądając się Wyattowi w mrocznym, wąskim przedsionku.

- Czy ja pana nie znam?

- Spotkaliśmy się na Cap Sarrat - wyjaśnił Wyatt. - Pracuję tam.

- Oczywiście. Jest pan meteorologiem, delegowanym z Instytutu. Teraz sobie przypominam.

- Mam list od komandora Brooksa - powiedział Wyatt, wyciągając kopertę.

- Proszę do mojego biura - rzekł Rawsthorne i poprowadził go do przywodzącego na myśl powieści Dickensa zatęchłego pomieszczenia z ciemnym, dziewiętnastowiecznym umeblowaniem. Królowa z portretu na ścianie wpatrywała się w wiszący po przeciwnej stronie obraz księcia Edynburga. Rawsthorne rozciął kopertę, mówiąc:

- Ciekawe, dlaczego komandor Brooks nie zadzwonił do mnie jak zwykle.

Wyatt uśmiechnął się z przekąsem.

- Ma zaufanie do telefonów w bazie, ale nie do zewnętrznych połączeń.

- Bardzo rozsądnie - przyznał Rawsthorne, wczytując się w list. Po chwili stwierdził: - To bardzo ładnie ze strony komandora, że proponuje nam gościć w bazie. Jest nas zresztą niewielu. - Postukał palcem w list. - Wspomina, że niepokoi pana jakiś huragan. Drogi panie, nie mieliśmy czegoś takiego na wyspie od 1910 roku.

- Wszyscy mi to powtarzają - odparł z goryczą Wyatt. - Panie Rawsthorne, czy miał pan kiedyś złamaną rękę?

Rawsthorne był zbity z tropu. Przez chwilę jakby zabrakło mu słów, po czym odrzekł:

- Prawdę mówiąc, tak. W dzieciństwie.

- To było bardzo dawno temu.

- Prawie pięćdziesiąt lat. Ale nie rozumiem... Wyatt przerwał mu.

- Czy fakt, że minęło prawie pięćdziesiąt lat, odkąd złamał pan rękę, wyklucza możliwość, iż jutro znów się to zdarzy?

Rawsthorne przez chwilę nic nie mówił.

- Przekonał mnie pan, młody człowieku. Rozumiem, że ten huragan poważnie pana niepokoi?

- Owszem - stwierdził Wyatt z całym przekonaniem, na jakie było go stać.

- Komandor Brooks to bardzo uczciwy człowiek - powiedział Rawsthorne. - Wspomina mi tutaj, że o ile pan się nie myli, baza nie będzie najbezpieczniejszym miejscem na San Fernandez. Radzi, żebym wziął to pod uwagę przy podejmowaniu jakichkolwiek decyzji. - Obrzucił Wyatta przenikliwym spojrzeniem. - Niech mi pan lepiej powie wszystko o tym swoim huraganie.

Tak więc Wyatt raz jeszcze powtórzył całą historię, a Rawsthorne interesował się najdrobniejszymi szczegółami i zadawał zaskakująco wnikliwe pytania. Kiedy Wyatt wyczerpał temat, Rawsthorne stwierdził:

- Podsumowując więc: istnieje najwyżej trzydzieści procent prawdopodobieństwa, że ten huragan, o groteskowej nazwie Mabel, dotrze do wyspy. Tak wynika z pańskich obliczeń. Mamy poza tym pańskie niezachwiane przekonanie o nadejściu huraganu i uważam, że nie powinniśmy go lekceważyć. Absolutnie! Bardzo cenię intuicję. Co więc teraz zrobimy, panie Wyatt?

- Komandor Brooks proponował, żebyśmy odwiedzili Serruriera. Jest zdania, że skoro nie dowierza Amerykanom, posłucha może Brytyjczyka.

Rawsthorne przytaknął.

- To wcale niewykłuczone - stwierdził, pokręcił jednak głową. - Ale trudno będzie się z nim teraz zobaczyć. Nawet w najbardziej sprzyjającej sytuacji nie jest łatwo się do niego dostać, a w zaistniałych okolicznościach...

- Możemy spróbować - upierał się Wyatt.

- Rzeczywiście, możemy - powiedział rzeczowo Rawsthorne. - I musimy. - Spojrzał na Wyatta bystrym, inteligentnym wzrokiem. - Ma pan dar przekonywania, panie Wyatt. Ruszajmy natychmiast. Moje decyzje, dotyczące bezpieczeństwa brytyjskich obywateli, będą siłą rzeczy zależeć od tego, co zrobi Serrurier.

Pałac prezydencki otoczyło wojsko. Rozlokowano wokół niego całe dwa bataliony żołnierzy i w ciemnościach jarzyły się ich obozowe ogniska. Samochód był dwukrotnie zatrzymywany i za każdym razem Rawsthorne zdołał się dogadać, by pozwolono im jechać dalej. W końcu dotarli do ostatniej przeszkody: do wartowni przy głównym wejściu.

- Chcę się widzieć z monsieur Hippolyte'em, szefem protokołu - oznajmił Rawsthorne młodemu oficerowi, który zagroził im drogę.

- Ale czy monsieur Hippolyte chce widzieć pana? - odezwał się bezczelnie czarnoskóry oficer, szczerząc białe zęby.

- Jestem brytyjskim konsulem - odparł zdecydowanie Rawsthorne. - I jeśli nie zobaczę się natychmiast z monsieur Hippolyte'em, będzie on bardzo niezadowolony. - Przerwał, dodając jakby po namyśle: - Prezydent Serrurier również.

Na wzmiankę o Serrurierze oficer przestał się uśmiechać i stracił pewność siebie.

- Proszę tu zaczekać - powiedział szorstko i wszedł do pałacu. Przyglądając się widocznym wokół, uzbrojonym po zęby żołnierzom, Wyatt zapytał Rawsthorne'a:

- Dlaczego Hippolyte?

- To nasza największa szansa dotarcia do Serruriera. Jest na tyle ważny, że Serrurier się z nim liczy i dostatecznie słaby, abym mógł go zastraszyć, tak jak wystraszyłem tego bezczelnego szczeniaka.

Po chwili „bezczelny szczeniak” był z powrotem.

- W porządku. Monsieur Hippolyte przyjmie panów. - Skinął na żołnierzy. - Przeszukać ich.

Wyatt poczuł, jak obmacują go bez skrępowań ręce czarnucha. Poddał się tym poniżającym zabiegom, po czym został brutalnie wepchnięty za próg. Rawsthorne, stukając obcasami, znalazł się tuż za nim.

- Hippolyte zapłaci mi za to - wycedził przez zęby. - Pokażę mu, co znaczy protokół. -

Spojrzał na Wyatta. - Mówi po angielsku, więc poczuje, jak mu nawymyślam.

- Niech pan da spokój - powiedział z naciskiem Wyatt. - Najważniejsze, żebyśmy zobaczyli się z Serrurierem.

Gabinet Hippolyte'a był przestronny i miał wysoki sufit z wymyślnymi gzymsami. Sam Hippolyte wstał na powitanie z za pięknego XVIII-wiecznego biurka i podszedł bliżej, wyciągając ręce.

- A, pan Rawsthorne! Co pana tu sprowadza w tak szczególnym czasie i o tak późnej porze? - zapytał z czysto oksfordzkim akcentem.

Rawsthorne darował sobie obelgi, które miał na końcu języka i oznajmił chłodno:

- Chcę widzieć się z prezydentem Serrurierem.

Hippolyte'owi zrzęda mina.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Wie pan z pewnością, panie Rawsthorne, że przychodzi pan w wyjątkowo niefortunnym momencie.

Rawsthorne wyprężył do granic możliwości swą niezbyt wysoką sylwetkę i Wyatt mógł niemal zobaczyć, jak przywdziewa cały majestat brytyjskiego imperium.

- Przybyłem tu, aby przekazać oficjalne posłanie od rządu Jej Królewskiej Mości - oświadczył pompatycznie. - Prezydent Serrurier ma je otrzymać osobiście. Przypuszczam, że będzie nieco rozdrażniony, jeżeli do niego nie dotrze.

Twarz Hippolyte'a przybrała mniej uprzejmy wyraz.

- Prezydent Serrurier jest... na konferencji. Nie wolno mu przeszkadzać.

- Czy mam powiadomić mój rząd, że prezydent Serrurier nie chce przyjąć posłania?

Hippolyte zaczął się pocić.

- Nie posuwałbym się aż do takiego stwierdzenia, panie Rawsthorne.

- Ja także - powiedział Rawsthorne z uprzejmym uśmiechem. - Uważałbym jednak, że prezydentowi należy umożliwić podjęcie decyzji w tej sprawie. Nie byłby chyba zadowolony, gdyby ktoś działał w jego imieniu. W żadnym wypadku. Dlaczego nie spyta go pan, czy zechce mnie przyjąć?

- Tak byłoby chyba najlepiej - zgodził się niechętnie Hippolyte, - Może mi pan przynajmniej powiedzieć... hm... czego dotyczy pańskie posłanie?

- Nie mogę - odparł poważnie Rawsthorne. - To sprawa wagi państwowej.

- Dobrze - ustąpił Hippolyte. - Zapytam prezydenta. Jeśli zechcą panowie tu zaczekać...

- Zamilkł nagle i opuścił gabinet.

Wyatt zerknął na Rawsthorne'a.

- Czy trochę pan nie przesadził?

Rawsthorne otarł pot z czoła.

- Jeśli to dotrze do Whitehall, wyleją mnie z pracy. Ale z Hippolyte'em można sobie poradzić tylko w ten sposób. Facet spociał się jak mysz, sam pan widział. Boi się przeszkodzić Serrurierowi, ale przeraża go jeszcze bardziej, co może się stać, jeśli tego nie zrobi. Na tym polega kłopot z absolutnymi rządami jednostki: dyktatorzy otaczają się takimi meduzami jak Hippolyte.

- Myśli pan, że nas przyjmie?

- Chyba tak - odparł Rawsthorne. - Sądzę, że rozbudziłem jego ciekawość.

Hippolyte wrócił po piętnastu minutach.

- Prezydent przyjmie panów. Proszę tędy.

Poprowadził ich wzdłuż bogato zdobionego korytarza i mieli wrażenie, że przeszli z kilometr, zanim zatrzymał się przed jakimiś drzwiami.

- Prezydent jest, oczywiście... zdenerwowany z powodu obecnej krytycznej sytuacji - wyjaśnił. - Proszę nie brać mu za złe, jeśli zachowa się nieco... hm... powiedzmy, impulsywnie.

Rawsthorne domyślił się, że Hippolyte musiał właśnie odczuć gniew Serruriera i postanowił całkiem go pognębić.

- Będzie jeszcze bardziej porywczy, kiedy mu powiem, jak potraktowano nas tutaj po przyjeździe - powiedział lakonicznie. - Nigdy nie słyszałem, by oficjalnego przedstawiciela

obcego mocarstwa rewidowano jak pospolitego przestępcę.

Lśniącą od potu twarz Hippolyte'a przybrała ziemistą barwę. Zaczął coś mówić, ale Rawsthorne, nie zwracając na niego uwagi pchnął drzwi i wszedł do środka. Wyatt podążył za nim. Znaleźli się w przestronnym pomieszczeniu, które umeblowane było skąpo, w tym samym jednak przesadnie ozdobnym stylu, co reszta pałacu. W głębi ustawiono stół na kozłach, wokół którego zgromadziła się grupa ludzi w mundurach. Musieli się o coś sprzeczać, gdyż odwrócony tyłem do wejścia niewysoki mężczyzna uderzył pięścią w blat i krzyknął:

- Ma ich pan znaleźć, generale. Znaleźć i wykończyć!

Rawsthorne odezwał się półgębkiem:

- To Serrurier i ludzie ze sztabu armii: Deruelles, Lescuyer i Rocambeau.

Jeden z żołnierzy szepnął coś do Serruriera i ten odwrócił się na pięcie.

- A, Rawsthorne, miał pan do mnie jakąś sprawę?

- Idziemy - powiedział Rawsthorne, przemierzając pokój wielkimi krokami.

Serrurier „opierał się o krawędź stołu, na którym leżały rozpostarte mapy. Był niewysokim, prawie niepozornym człowiekiem o przygarbionych ramionach i zapadniętej klatce piersiowej. Jego brązowe oczy szympansa zdawały się błagać o zrozumienie, jakby nie potrafił pojąć, dlaczego ktoś miałby go nienawidzić czy choćby nie lubić. Przemawiał za to szorstko, tonem człowieka, który wie, co oznacza władza i jak należy z niej korzystać.

Potarł podbródek i powiedział:

- Zjawia się pan o dziwnej porze. Kim jest ten ti blanc?

- To brytyjski naukowiec, ekscelencjo.

Serrurier wzruszył ramionami, najwyraźniej wymazując Wyatta z listy ludzi, z którymi chciałby zawrzeć znajomość.

- A co ma dla mnie, albo czego ode mnie chce, brytyjski rząd?

- Otrzymałem polecenie, aby coś panu przekazać - oznajmił Rawsthorne.

- Co? - mruknął Serrurier.

- Cenne informacje, ekscelencjo. Pan Wyatt jest specjalistą od pogody. Wie o zbliżającym się huraganie. Bardzo niebezpiecznym.

Serrurierowi opadła szczęka.

- Przychodzi pan do mnie w takiej chwili, żeby mówić o pogodzie? - zapytał z niedowierzaniem. - Chce pan, żebym teraz, kiedy zagraża nam wojna, tracił czas na jakieś prognozy? - Chwycił leżącą na stole mapę i zgniótł ją w czarnej dłoni, potrząsając Rawsthorne'owi pięścią przed nosem. - Myślałem, że ma pan wiadomości o Favelu. O Favelu! Favel! Rozumie pan? Tylko on mnie teraz interesuje.

- Ekscelencjo... - zaczął Rawsthorne.

Serrurier zazgrzytał zębami.

- Na San Fernandez nie ma huraganów. Wszyscy o tym wiedzą.

- Był w 1910 roku - zauważył Wyatt.

- Na San Fernandez nie ma huraganów - powtórzy? Serrurier, wpatrując się w Wyatta. Nagle przestał nad sobą panować. - Hippolyte! Hippolyte, gdzie jesteś, do diabła?! Wyrzuć tych durniów za drzwi.

- Ależ, ekscelencjo... - spróbował ponownie Rawsthorne.

- Na San Fernandez nie ma huraganów! - wrzasnął Serrurier. - Czy pan jest głuchy, Rawsthorne? Hippolyte, niech zejść mi z oczu. - Oparł się o stół, ciężko dysząc. - A z tobą jeszcze się policzę - dodał tonem groźby.

Zauważywszy, że Hippolyte ciągnie go błagalnie za marynarkę, Wyatt spojrzął na Rawsthorne'a.

- Chodźmy - powiedział posępnie Rawsthorne. - Przekazaliśmy nasze posłanie, na ile było to możliwe.

Dostojnym krokiem ruszył przez długą salę do wyjścia i Wyatt, po chwili wahania, podążył za nim, słysząc za sobą histeryczny krzyk Serruriera:

- Rozumie pan, panie Brytyjski Naukowcu? Na San Fernandez nie ma huraganów!

Za drzwiami Hippolyte zapalał chęcią zemsty. Uznał, że Rawsthorne zrobił z niego głupca i bał się kary ze strony Serruriera. Wezwał oddział żołnierzy, po czym Wyatt i Rawsthorne zostali brutalnie wyprowadzeni z pałacu i dosłownie wyrzuceni za bramę.

- Przypuszczałem, że może tak się stać - stwierdził Rawsthorne, oglądając rozdartą marynarkę. - Ale musieliśmy spróbować.

- On oszalał - powiedział beznamiętnie Wyatt. - To zupełnie nieobliczalny postrzeleniec.

- Oczywiście - odparł spokojnie Rawsthorne. - Nie wiedział pan o tym? Lord Acton powiedział kiedyś, że absolutna władza powoduje absolutną demoralizację. Serrurier jest zdemoralizowany w najwyższym stopniu, dlatego wszyscy tak się go boją. Zaczynałem się już zastanawiać, czy wyjdziemy z tego cało.

Wyatt potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić myśli od niewidzialnej pajęczyny. Jego twarz wyrażała zdumienie.

- Mówił „na San Fernandez nie ma huraganów”, jak gdyby zakazał ich prezydenckim dekretem.

- Wyośmy się stąd - zaproponował Rawsthorne, przyglądając się obecnym wokół żołnierzom. - Gdzie samochód?

- Tam - wskazał Wyatt. - Odwiozę pana do domu, a potem muszę wpaść do hotelu Imperiale.

Od strony gór rozległ się odległy, stłumiony huk. Rawsthorne przechylił na bok głowę.

- Grzmi - powiedział. - Czy nadciąga już ten pański huragan? Wyatt spojrział w górę na płynący po bezchmurnym niebie księżyc,

- To nie grzmoty - rzekł. - Kto wie, czy Serrurier nie odnalazł Favela, albo na odwrót. - Spojrzzał na Rawsthorne'a. - To huk dział.

### 3

#### I

Był już dość późny wieczór, gdy Wyatt zatrzymał samochód przed hotelem Imperiale. Dotarł tam z wielkim trudem. Oświetlenie ulic przestało funkcjonować lub celowo je wyłączono (pomyślał, że personel elektrowni mógł się ewakuować). Poza tym trzykrotnie zatrzymywali Wyatta podejrzliwi policjanci, gdyż jego wóz był jednym z nielicznych, jakie jeździły jeszcze po opustoszałym mieście. Chwilami rozlegał się terkot broni, czasem pojedyncze wystrzały, a czasem krótkie serie, odbijające się echem od murów. Zdenerwowani policjanci i żołnierze byli gotowi strzelać do wszystkiego, co się poruszało. Towarzyszył temu dochodzący z gór równomierny huk dział, który rozbrzmiewał teraz wyraźnie w ciężkim nocnym powietrzu.

Kiedy wysiadał z samochodu, nie mógł pozbierać myśli. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, gdy zostanie Julie w hotelu, czy wprost przeciwnie. Jeśli pojechała do bazy na Cap Sarrat, nie będzie musiał podejmować żadnej decyzji. Jeżeli jednak pozostała w hotelu, czeka go trudny wybór. Uważał, że na Cap Sarrat nie będzie bezpiecznie, ale nie mniejszym ryzykiem jest trafić podczas wojny domowej między dwie walczące armie. Czy mógł, opierając się wyłącznie na przecuciach, uczciwie odradzać komukolwiek - a zwłaszcza Julie - wyjazd na Cap Sarrat?

Spojrzał na pogrążony w ciemnościach hotel i wzdrygnął się. Wkrótce okaże się, co powinien zrobić. Miał już zamknąć samochód, gdy przyszło mu coś do głowy. Otworzył maskę silnika i wyjął palec rozdzielacza. W ten sposób zostanie przynajmniej wóz na miejscu, kiedy będzie mu potrzebny.

W foyer hotelu Imperiale było ciemno, zobaczył jednak nikłe światło w barze. Ruszył w tamtym kierunku, lecz nagle przystanął, słysząc za sobą odgłos przesuwanego krzesła. Odwrócił się i zapytał, kto tam?” Rozległo się ciche szurnięcie i na tle okna przemknął jakiś

cień. Potem trzasnęły drzwi i zapadła cisza.

Odczekał parę sekund, po czym ruszył dalej. Od strony baru dobiegło wołanie:

- Kto tam jest?

- Wyatt.

Kiedy wszedł do baru, Julie rzuciła mu się w ramiona.

- Och, Dave, jak się cieszę, że jesteś. Przywiozłeś z bazy samochód?

- Przywiozłem - odparł. - Ale nie jadę bezpośrednio z bazy. O ile wiem, ktoś miał cię stąd zabrać.

- Byli tutaj - powiedziała. - Ale mnie nie zastali. Nikogo z nas.

Wyatt zdał sobie nagle sprawę, że otacza go grupka ludzi. Był wśród nich Dawson, Papegaikos z klubu Maraca oraz kobieta w średnim wieku, której nie znał. Stojący za kontuarem barman otworzył z hałasem kasę.

- Ja byłam na miejscu - oświadczyła nieznajoma. - Spałam w pokoju i nikt nie przyszedł mnie obudzić. - Powiedziała to napastliwym, obrażonym tonem.

- Nie znasz chyba pani Warmington - przedstawiła ją Julie.

Wyatt skinął głową na powitanie, po czym powiedział:

- Więc zostawili was na lodzie.

- Niezupełnie - stwierdziła Julie. - Kiedy wróciłam tu z panem Dawsonem i nie zastaliśmy nikogo, siedzieliśmy przez chwilę, zastanawiając się, co robić; i wtedy w gabinecie dyrektora zadzwonił telefon. To był ktoś z bazy. Powiedział, że przyśle po nas ciężarówkę, a potem rozmowa urwała się w pół zdania.

- Ludzie Serruriera przecięli zapewne łączność z bazą - rzekł Wyatt. - Zrobiło się trochę niebezpiecznie, są zdenerwowani jak cholera. Kiedy to się stało?

- Prawie dwie godziny temu.

Wyattowi wcale się to nie podobało, ale nic nie powiedział. Nie było sensu nikogo straszyć. Uśmiechnął się do Papegaikosa.

- Cześć, Eumenides. Nie wiedziałem, że podoba ci się ten hotel.

Na wymizerowanej twarzy Greka pojawił się posępny uśmiech.

- Kazali mi tu psijć, jak bendem 'ciał jechać do bazy.

- Ta ciężarówka powinna zaraz się zjawić i wszyscy stąd wyjedziemy - powiedział dobrodusznie Dawson, po czym dodał, pokazując Wyattowi szklankę: - Chyba przydałby się panu jeden głębszy.

- Nie odmówię - stwierdził Wyatt. - Miałem ciężki dzień.

Dawson odwrócił się.

- Hej, ty! A dokąd to się wybierasz? - Skoczył naprzód, chwytając niewysokiego mężczyznę, który próbował wymknąć się z baru.

Barman wrywał się energicznie, ale Dawson przytrzymał go swą potężną łapą i wciągnął z powrotem za kontuar. Potem spojrział na Wyatta i uśmiechnął się. - A na dodatek wyciągnął z kasy całą forszę.

- Niech go pan puści - powiedział Wyatt zmęczonym głosem. - To nie nasza sprawa. Wszyscy stąd uciekną. Kiedy wchodziłem, czmychał właśnie jeden z pracowników.

Dawson, wzruszywszy ramionami, rozwarł pięść i barman wymknął się chyłkiem.

- A niech tam, do cholery! Wolę bary samoobsługowe.

Pani Warmington oznajmiła energicznie:

- No cóż, skoro jest pan samochodem, możemy jechać do bazy.

Wyatt westchnął.

- Nie wiem, czy to rozsądne. Możemy się nie przedostać. Żołdacy Serruriera lubią pociągać za spust. Najpierw będą strzelać, a potem zadawać pytania. A gdyby nawet zechcieli o coś pytać, i tak grozi nam rozstrzelanie.

Dawson wcisnął mu do ręki szklankę.

- Do diabła, jesteśmy Amerykanami! Żyjemy z Serrurierem w zgodzie.

- My o tym wiemy, i komandor Brooks także, ale nie Serrurier. Jest przekonany, że Amerykanie zaopatrywali powstańców w broń; w te strzelby, które teraz słychać; i pewnie

myśli, że Brooks czeka tylko na stosowny moment, żeby wyjść z bazy i wbić mu nóż w plecy.

Pociągnął ze szklanki spory haust i zakrztusił się. Dawson nie pożałował mu whisky. Przełknął ją z trudem, po czym dodał:

- Przypuszczam, że Serrurier ma teraz wokół bazy sporo wojska. Dlatego wasza ciężarówka nie przyjechała.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu. W końcu odezwała się pani Warmington:

- Przecież wiem, że komandor Brooks nie zostawiłby nas tutaj, nawet gdyby musiał rozkazać swoim żołnierzom, żeby tu po nas przyszli.

- Komandor Brooks ma teraz ważniejsze problemy niż trudna sytuacja garstki Amerykanów w St. Pierre - stwierdził chłodno Wyatt. - Najważniejsze jest bezpieczeństwo bazy.

- Dlaczego właściwie pan uważa, że baza jest zagrożona? - zapytał z naciskiem Dawson.

- Znosi się na kłopoty - odparł Wyatt. - Nie chodzi o wojnę, tylko...

- Jest tu ktoś? - rozległo się wołanie z foyer i Julie oznajmiła: - To pan Causton.

Causton wszedł do baru. Lekko utykał, miał mocno rozdartą marynarkę i bardzo brudną twarz. Na rozciętym prawym policzku widniała plama krwi.

- Co za dureń ze mnie! - powiedział. - Zabrakło mi taśm do nagrywania, więc po nie wróciłem. - Rozejrzał się po obecnych. - Myślałem, że wszyscy będziecie już w bazie.

- Przerwano łączność - oświadczył Wyatt, wyjaśniając, co się stało.

- Nie macie szans - oznajmił ponuro Causton. - Rząd odciął dostęp do bazy. Otoczyli ją kordonem. - Znał ich wszystkich poza panią Warmington. Popatrzył na Dawsona z ironicznym błyskiem w oku. - Tak, panie Dawson. To pańskie podwórko. Dobry materiał na książkę, co?

- Owszem, będzie z tego niezła powieść - odparł Dawson, ale jego słowa nie zabrzmiały zbyt entuzjastycznie.

- Napiłbym się czegoś mocniejszego - oznajmił Causton. - To pański wóz tam stoi? - zapytał, patrząc na Wyatta. - Kiedy tu wchodziłem, przyglądał mu się jakiś gliniarz.

- Jest zabezpieczony - odparł Wyatt. - W co pan się wpakował?

- Wykonywałem swoją pracę - oświadczył rzeczowo Causton. - Tam rozpętało się istne piekło. O, dziękuję - powiedział z wdzięcznością, gdy Papegaikos podał mu drinka. Wypił jednym haustem połowę porcji, po czym zwrócił się znów do Wyatta: - Zna pan tę wyspę. Powiedzmy, że jest pan powstańcem z gór i mają panu przesłać statkiem dużą partię broni. To całkiem spory statek. Potrzebowałby pan spokojnego miejsca, żeby go rozładować, prawda? I bez trudności przerzucić towar w góry. Gdzie by to mogło być?

Wyatt zastanowił się.

- Na pewno gdzieś na północnym wybrzeżu. Są tam dzikie tereny. Wybrałbym Campo de las Perlas. To byłby tamten rejon.

- Punkt dla pana - pochwalił go Causton. - W ciągu minionego miesiąca przybił tam co najmniej jeden statek z ładunkiem broni; mogło być ich więcej. Wywiad Serruriera nie zdołał go przechwycić, a może się spóźnili. Aha, Favel jednak żyje. - Zaczął bezradnie obmacywać kieszenie. - Czy ktoś ma papierosa?

Julie podsunęła mu paczkę.

- Skąd ta krew na twarzy?

Causton przyłożył dłoń do policzka i spojrzał ze zdziwieniem na zakrwawione palce.

- Próbowałem dostać się do Serruriera - oświadczył. - Wartownicy zachowali się trochę brutalnie. Jeden z nich miał sygnet, a może to był kastet.

- Widziałem się z Serrurierem - powiedział cicho Wyatt.

- Naprawdę? Mój Boże! - zawołał Causton. - Szkoda, że nie wiedziałem. Mogłem pójść z panem. Chciałbym mu zadać kilka pytań.

Śmiech Wyatta pozbawiony był wesołości.

- Serrurier nie należy do ludzi, którzy odpowiadają na pytania. To kompletny wariat. Myślę, że ta cała sprawa doprowadziła go w końcu do szaleństwa.

- Czego pan od niego chciał?

- Chciałem mu powiedzieć, że za dwa dni przejdzie nad wyspą huragan. Wyrzucił nas za drzwi i zakazał dekretem wszelkich huraganów.

- Chryste! - przeraził się Causton. - Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów. Mówi pan poważnie?

- Owszem.

Pani Warmington wydała przeraźliwy pisk.

- Powinniśmy dostać się do bazy - oświadczyła gniewnie. - W bazie będziemy bezpieczni.

Wyatt popatrzył na nią przez chwilę, po czym odezwał się cicho do Caustona:

- Chciałbym zamienić z panem kilka słów.

Causton rzucił okiem na poważną twarz Wyatta i dokończywszy drinka powiedział:

- Muszę pójść do swojego pokoju po taśmy. Niech pan idzie ze mną.

Podniósł się sztywno z krzesła. Wyatt powiedział do Julie „wróć za chwilę” i podążył za nim do foyer. Causton wyjął latarkę i weszli po schodach na pierwsze piętro.

- Mam powody do zmartwienia - oznajmił Wyatt.

- Chodzi o ten huragan?

- Właśnie - potwierdził Wyatt i w paru krótkich zdaniach opowiedział Caustonowi o wszystkim, nie precyzując swoich obaw, lecz traktując nadejście huraganu jako sprawę przesądzoną. - Czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za tych ludzi na dole - rzekł. - Myślę, że Julie się nie załamie, ale tej drugiej kobiety nie byłbym pewien. Jest starsza i bardzo nerwowa.

- Da panu w kość, jeśli pan jej tylko pozwoli - stwierdził Causton. - Wygląda mi na apodyktyczną osobę.

- Poza tym jest Eumenides. Trudno coś powiedzieć, ale nie polegałbym na nim.

Dawson to oczywiście inna sprawa.

Causton poświecił latarką po pokoju.

- Doprawdy? Niech pan nie pokłada wiary w bracie Dawsonie. Radzę posłuchać mądrej rady.

- O! - zdziwił się Wyatt. - Tak czy owak, jestem w cholernych opałach. Muszę znaleźć dla tej trzódki jakieś bezpieczne miejsce, a to oznacza, że trzeba wy dostać się z miasta.

Causton usiadł. Skrzyknęło pod nim wyplatane krzesło.

- Niech to sobie uporządkuję. Mówi pan, że zaatakuje nas huragan. Kiedy?

- Za dwa dni - odparł Wyatt. - Z dokładnością, powiedzmy, do dwunastu godzin.

- A kiedy nadciągnie, baza ulegnie zniszczeniu. - Wszystko na to wskazuje.

- St. Pierre również.

- Zgadza się.

- Chce pan zatem wyruszyć w góry, ciągnąc ze sobą tych ludzi. Pakuje się pan w kłopoty.

- Niekoniecznie - rzekł Wyatt. - Musimy znaleźć się jakieś trzydzieści metrów powyżej poziomu morza, po północnej stronie zboczy. W pobliżu St. Pierre nie powinno być trudno o takie miejsce. Może gdzieś nad Negrito, w kierunku St. Michel.

- Nie robiłbym tego - powiedział zdecydowanie Causton. - Favel będzie schodził wzdłuż rzeki. Sądząc z odgłosu dział, jest już w górze doliny.

- Skąd wiadomo, że to jego artyleria? - zapytał nagle Wyatt. - Serrurier też ma jej sporo.

- Sprawdziłem to - odparł Causton zbolalym głosem. - Serrurier dał się podejść.

Niecałe dwie godziny temu prawie cała jego artyleria tkwiła w cholernym korku na północ od miasta. Jeśli Favel się pospieszy, zdobędzie te działa. Słyszysz pan? Obsypuje ich gradem pocisków.

- Ta dostawa broni, o której pan wspominał, musiała być spora.

- Możliwe, ale domyślam się, że Favel stawia na pojedyncze uderzenie. Jeżeli nie przejdzie od razu i nie zajmie St. Pierre, przegra wszystko.

- Jeśli wygra, straci armię - powiedział z naciskiem Wyatt.



- Boże, o tym nie pomyślałem. - Causton robił wrażenie zamysłonego. - Cholernie ciekawa historia. Sądzi pan, że wie o tym huraganie?

- Nie przypuszczam - odparł Wyatt. - Niech pan posłucha, Causton. Tracimy tylko czas. Muszę zapewnić tym ludziom bezpieczeństwo. Pomoże mi pan? Orientuje się pan w sytuacji chyba lepiej niż ktokolwiek.

- Oczywiście, że pomogę, drogi przyjacielu. Proszę jednak pamiętać, że mam tu do załatwienia swoje sprawy. Służę pomocą, jakiej tylko będzie pan potrzebował i pójdę z panem, dopóki tym ludziom nie przestanie zagrażać niebezpieczeństwo. Ale potem muszę się odłączyć i zadbać o interesy szefa. Wydawca nigdy by mi nie darował, gdybym w odpowiednim momencie nie znalazł się we właściwym miejscu. - Zaśmiał się pod nosem. - Idę o zakład, że będę miał co pisać na temat wielkiego Jima Dawsona, więc warto się postarać.

Gdy wrócili do baru, Causton krzyknął:

- Pan Wyatt ma wszystkim coś bardzo ważnego do powiedzenia, więc proszę się zbliżyć. Gdzie jest Dawson?

- Niedawno tu był - oznajmiła Julie. - Pewnie wyszedł.

- Nieważne - stwierdził Causton. - Sam mu powiem. I zrobię to z przyjemnością. W porządku, panie Wyatt. Niech pan zaczyna. - Usiadł, by założyć szpulkę z taśmą do wyjętego z kieszeni miniaturowego magnetofonu.

Wyatt zaczynał mieć dość powtarzania tej samej historii. Nie próbował już uzasadniać swoich racji, tylko bez ogródek przedstawił im całą sprawę, a kiedy skończył, zapadła grobowa cisza. Grek nie zmienił wyrazu twarzy - możliwe, że niczego nie zrozumiał. Julie była blada i drżał jej podbródek. Pani Warmington, z twarzą białą jak ściana, miała na policzkach dwa ogniste rumieńce. Nagle zrobiła się bardzo elokwentna.

- To śmieszne! - wybuchnęła. - Niemożliwe, żeby baza amerykańskiej marynarki uległa zniszczeniu. Żądam, by zabrał mnie pan natychmiast na Cap Sarrat!

- Może pani sobie żądać do upadłego - powiedział bez ogródek Wyatt. - Nie mam zamiaru zbliżyć się do Cap Sarrat. - Zwrócił się do Julie. - Musimy wydostać się z St. Pierre i wyruszyć w góry, a to może być trudne. Mam jednak samochód i wszyscy możemy się do niego wcisnąć. Trzeba wziąć zapasy: żywność, wodę, lekarstwa, i tak dalej. W kuchni powinniśmy znaleźć sporo jedzenia, a z baru można wziąć wodę, sodową i mineralną.

Pani Warmington dławiała się z wściekłości.

- Jak daleko jest stąd do bazy? - zapytała, ciężko dysząc.

- Dwadzieścia cztery kilometry - odparł Causton. - Trzeba objechać zatokę. A na drodze do bazy stoi wojsko. - Pokręcił głową z ubolewaniem. - Nie próbowałbym tego robić, pani Warmington. Naprawdę.

- Nie mam pojęcia, co się z wami wszystkimi dzieje - fuknęła. - Tubylcy nic by nam nie zrobili. Tutejszy rząd dobrze wie, że z Amerykanami nie należy zadzierać. Moim zdaniem powinniśmy dostać się do bazy, zanim zjedzą z gór ci rebelianci.

Papegaikos chwycił ją z tyłu za ramię.

- Myślę, że lepiej pani się psimknie - rzekł. Powiedział to cicho, ale uścisk miał mocny i pani Warmington skrzywiła się. - Myślę, że jest pani gupiec. - Spojrzał na Wyatta. - Niech pan mówi.

- Wspominałem, że powinniśmy załadować do samochodu żywność i wodę i wynosić się stąd - powtórzył Wyatt znużonym głosem.

- Jak długo to może potrwać? - zapytała rzeczowo Julie.

- Co najmniej cztery dni. Powiedzmy raczej: tydzień. Po przejściu Mabel wszystko tu będzie w gruzach.

- Zjemy coś przed wyjazdem - zaproponowała. - Chyba wszyscy jesteśmy głodni. Zobaczę, co jest w kuchni. Czy wystarczy kanapki?

- Jeżeli jest ich dość dużo - odparł z uśmiechem Wyatt.

Pani Warmington usiadła sztywno.

- Cóż, myślę, że wszyscy poszaleliście, ale nie mam zamiaru zostać tu sama, więc będę

chyba musiała się z wami zabrać. Chodź, dziecko, zrobmy te kanapki. - Wzięła świecę i zaciągnęła Julie na zaplecze hotelu.

Wyatt spojrział na Caustona, który odkładał na bok swój magnetofon.

- A co z bronią? - zapytał. - Możemy jej potrzebować.

- Drogi chłopcze - odparł Causton. - Broni jest już w tej okolicy aż nadto. Jeżeli ludzie Serruriera zatrzymają nas, zrewidują i znajdą rewolwer, dostaniemy od razu kulę w łeb. Bywałem już w paru niebezpiecznych miejscach, ale nigdy nie nosiłem broni; dzięki temu żyję.

- Brzmi to sensownie - powiedział powoli Wyatt i spojrział na stojącego przy kontuarze Greka. - Masz broń, Eumenidesie?

Papegaikos przyłożył dłoń do piersi, mówiąc:

- Zacimam jom.

- A więc nie jedziesz z nami - oznajmił stanowczo Wyatt. - Możesz pójść sobie na piechotę.

Greki włożył rękę pod marynarkę i wyjął broń - krótki, pękaty rewolwer.

- Myśli pan, że się pan? - zapytał z uśmiechem, ważąc rewolwer w dłoni.

- Owszem, jestem - odparł zdecydowanie Wyatt. - Wiecie cholernie mało na temat huraganów. Nie macie pojęcia, gdzie najlepiej się ukryć, ani jak znaleźć odpowiednie miejsce. A ja wiem. Jestem ekspertem i to czyni mnie szefem.

Papegaikos szybko powziął decyzję. Ostrożnie położył broń na kontuarze baru i wyszedł. Wyatt wydał policzki z westchnieniem ulgi. Causton zaśmiał się cicho.

- W porządku, Wyatt - powiedział. - Teraz jest pan naprawdę szefem, o ile nie pozwoli pan tej Warmington wejść sobie na głowę. Mam nadzieję, że nie będzie pan żałował przyjęcia tego stanowiska.

W tym momencie Julie wyszła z kuchni z talerzem kanapek.

- Na początek wystarczy. Zaraz będzie więcej. - Skinęła wymownie głową i oznajmiła ponuro: - Będziemy z nią mieć kłopoty

Wyatt stłumił jęk.

- O co znowu chodzi?

- Ona lubi rządzić. No wiesz, wydawałaby tylko rozkazy. Pomiata mną tam na wszystkie strony, a sama nie ruszy nawet palcem.

- Niech pani po prostu się nią nie przejmuje - poradził Causton. - Da za wygraną, jeżeli nikt nie będzie zwracał uwagi.

- Tak zrobię - zgodziła się Julie i znów zniknęła z baru.

- Postarajmy się o wodę - powiedział Wyatt.

Ruszył w kierunku kontuaru, ale przystanął, gdy Causton zawołał:

- Chwileczkę! Niech pan posłucha! - Nadstawił uszu i usłyszał wibrujący dźwięk. - Ktoś próbuje uruchomić pański wóz - oznajmił Causton.

- Pójdę sprawdzić - powiedział Wyatt i szybkim krokiem wyszedł do foyer. Gdy minął obrotowe drzwi, zobaczył za kierownicą swego samochodu ciemną postać i usłyszał rżenie rozrusznika. Zerknąwszy przez szybę ujrzał Dawsona. Jednym szarpnięciem otworzył drzwiczki i zapytał:

- Co pan wyprawia, do cholery?

Dawson drgnął, gwałtownie odwracając głowę.

- A, to pan - stwierdził z ulgą. - Myślałem, że to ten drugi facet.

- Kto taki?

- Jeden z tych gliniarzy. Starał się uruchomić samochód, ale zrezygnował i poszedł sobie. Pomyślałem, że ja spróbuję i dlatego tu jestem. Ale nic z tego.

- Niech pan wysiada i wraca lepiej do hotelu - powiedział Wyatt. - Przypuszczałem, że może tak się stać, więc włożyłem palec rozrusznika do kieszeni.

Odsunął się i pozwolił Dawsonowi wysiąść.

- Spryciarz z pana, Wyatt - zauważył Dawson.

- Nie warto tracić samochodu - rzekł Wyatt i spojrzawszy Dawsonowi przez ramię

zmartwiał. - Spokojnie - dodał, zniżając głos. - Ten gliniarz tu wraca, z posiłkami.

- Pędźmy lepiej do hotelu, i to szybko - poradził Dawson.

- Proszę nie ruszać się z miejsca i trzymać język za zębami - rozkazał Wyatt. - Mogą pomyśleć, że uciekamy i pobiegną za nami. Nie chcemy przecież wplątywać w cokolwiek pozostałych.

Dawson był spięty, po chwili jednak się rozluźnił. Wyatt patrzył na czterech zbliżających się policjantów. Nie było widać, żeby się szczególnie spieszyli. Nawet go to przez moment zastanowiło. Gdy podeszli całkiem blisko, jeden z nich zapytał:

- Co pan tu robi, blanc?

- Myślałem, że ktoś kradnie mi samochód.

- Ten człowiek? - wskazał ręką policjant.

Wyatt zaprzeczył.

- Nie, kto inny. To mój znajomy.

- Gdzie pan mieszka?

Wyatt wskazał głową za siebie.

- W hotelu Imperiale.

- Bogacz z pana - skwitował policjant. - A pański znajomy?

- Też mieszka w tym hotelu.

Dawson pociągnął Wyatta za rękaw.

- O co chodzi, do diabła?

- Co powiedział pański znajomy? - zapytał policjant.

- Nie rozumie waszego języka - wyjaśnił Wyatt. - Chciał wiedzieć, o czym pan mówi.

Policjant roześmiał się.

- A więc pytamy o to samo. - Przyjrzał im się uważnie. - Niedobra pora, żeby wychodzić na ulicę, blanc. Lepiej by pan zrobił, zostając w tym swoim bogatym hotelu.

Wyatt odetchnął z ulgą, gdyż policjant zamierzał już odejść, ale kiedy jeden z pozostałych ludzi coś do niego mruknął, zawrócił i spytał:

- Z jakiego pan jest kraju?

- Można by mnie nazwać Anglikiem - powiedział Wyatt. - Ale pochodzę z Grenady. Mój znajomy jest Amerykaninem.

- Amerykanin! - Policjant splunął na ziemię. - Ale pan jest z Anglii. Zna pan Anglika o nazwisku Manning?

- Nie - odparł Wyatt, kręcąc głową. Słyszał gdzieś to nazwisko, ale nie potrafił go z niczym skojarzyć.

- Albo Fuller?

Zaczynał coś sobie przypominać.

- Chyba o nich słyszałem - przyznał. - Czy nie mieszkają na północnym wybrzeżu?

- Spotkał pan się z nimi?

- Nigdy w życiu ich nie widziałem - odparł Wyatt zgodnie z prawdą.

Jeden z pozostałych policjantów wystąpił naprzód i wskazał na niego ręką.

- Ten człowiek pracuje dla Amerykanów na Cap Sarrat.

- Aha, Anglik. Powiedział mi pan, że mieszka w hotelu. Dlaczego pan skłamał?

- Nie skłamałem - zaprotestował Wyatt. - Nocuję tu dzisiaj. Na Cap Sarrat nie można się dostać; dobrze pan o tym wie.

Policjantowi nie trafiło to do przekonania.

- I nadal pan twierdzi, że nie zna tych ludzi, Fullera i Manninga?

- Nie znam ich - powtórzył cierpliwie Wyatt.

- Przykro mi, blanc, ale muszę panów zrewidować - oznajmił nagle policjant. Dał znak swoim kolegom, którzy błyskawicznie do nich podeszli.

- Hej! - zawołał z przerażeniem Dawson. - Co ci idioci wyprawiają?

- Proszę nie ruszać się z miejsca - powiedział Wyatt przez zaciśnięte zęby. - Chcą nas przeszukać. Niech to zrobią; im szybciej skończą, tym lepiej.

Po raz drugi tego dnia musiał znosić poniżającą, brutalną rewizję, tym razem była ona

jednak o wiele dokładniejsza. Wartownicy w pałacu szukali tylko broni - tych ludzi interesowało coś więcej.

Wyattowi przetrząsnęto wszystkie kieszenie, a ich zawartość wręczono dowódcy patrolu.

Przejrzał z zaciekawieniem portfel Wyatta, bardzo dokładnie go sprawdzając.

- Rzeczywiście pracuje pan na Cap Sarrat - oznajmił. - Ma pan amerykańską przepustkę. Jakie zadania wykonuje pan tam dla wojska?

- Żadnych - odparł Wyatt. - Jestem cywilnym naukowcem, przysłanym przez brytyjski rząd. Zajmuję się pogodą.

Policjant uśmiechnął się.

- A może jest pan amerykańskim szpiegiem?

- Bzdura!

- Pański znajomy jest Amerykaninem. Jego też musimy zrewidować.

Dawson opierał się, kiedy zaczęto go obszukiwać.

- Zabierz ode mnie swoje brudne łapska, przekłety czarnuchu! - krzyknął.

Człowiek, który przeprowadzał rewizję, nie zrozumiał tych słów, ale ton wypowiedzi był jednoznaczny. W jakiś magiczny sposób w jego dłoni znalazł się nagle rewolwer i Dawson zobaczył z bliska wylot lufy.

- Ty durniu! - odezwał się Wyatt. - Siedź cicho i daj się zrewidować. Wypuszczą nas, jak niczego nie znajda.

Natychmiast pożałował tych słów, gdyż przeszukujący Dawsona policjant krzyknął triumfalnie i wyciągnął mu z ukrytej pod marynarką kabury automatyczny pistolet.

- A, więc po ulicach St. Pierre kręca się nam w takim momencie uzbrojeni Amerykanie. Pójdziecie panowie ze mną.

- Chwileczkę, proszę posłuchać... - zaczął Wyatt, przerwał jednak, czując na plecach lufę pistoletu. Przygryzł wargę, gdy dowódca patrolu ponaglił ich gestem ręki. - Ty przekłety idioto! - naskoczył na Dawsona. - Po cholere zabrałeś broń? Teraz wylądujemy w więzieniu u Serruriera.

## II

Causton bardzo ostrożnie wyłonił się z mroku i popatrzył w głąb ulicy, gdzie zniknęła szybko kiluosobowa grupa. Po chwili odwrócił się, wszedł ponownie do hotelu i pospiesznie minął foyer. Pani Warmington i Julie opuściły właśnie kuchnię, przynosząc kolejne kanapki oraz dzbanek kawy, a Papegaikos zajęty był ustawianiem na kontuarze baru butelek z wodą sodową.

- Wyatt i Dawson zostali przyskrzynieni przez policję - obwieścił Causton. - Dawson miał przy sobie broń i glinom się to nie spodobało. - Spojrzał na Greka, który spuścił oczy.

Julie odstawiła z brzękiem dzbanek kawy.

- Dokąd ich zabrali?

- Nie mam pojęcia - odparł Causton. - Pewnie do miejscowego aresztu, gdziekolwiek się on znajduje. Wiesz, gdzie to jest, Eumenidesie?

- Na La Place de la Liberation Noire - odparł Grek i pokręcił głową. - Nie wydostaniecie ich 'tamtońt.

- Jeszcze zobaczymy - powiedział Causton. - Będziemy musieli ich wydostać, do cholery: Wyatt miał w kieszeni palec rozrusznika od samochodu, a teraz ma go policja. Bez tego wóz na nic się nam nie przyda.

- Są inne samochody - powiedziała szorstko pani Warmington.

- To jest myśl - przyznał Causton. - Masz samochód, Eumenidesie?

- Mia'em - odparł Eumenides. - Ale wojsko siskie zabrało.

- Nie chodzi o samochód - wtrąciła się nagle Julie. - Chodzi o wydostanie Dave'a i Dawsona z rąk policji.

- Tym też się zajmiemy. Ale wóz bardzo by się nam teraz przydał. - Causton potarł

dłonią policzek. - Za daleko stąd do doków. To byłby cholernie długi spacer.

Eumenides wzruszył ramionami.

- Cemy samochód, a nie tatek.

- Nie co? - zdziwił się Causton. - A, statek! Nie, nie. Potrzebny mi brytyjski konsul, który tam mieszka. Może potęgą dyplomacji łącznie z potęgą prasy wystarczy, żeby wyciągnąć Wyatta z pudła. Wątpię, żebym sam zdołał to zrobić. - Popatrzył z żalem na kanapki. - Przypuszczam, że im szybciej wyjdę, tym szybciej wydostaniemy Wyatta i Dawsona.

- Zdaży pan jeszcze napić się szybko kawy - powiedziała Julie. - I niech pan weźmie kanapki do kieszeni.

- Dzięki - rzekł Causton, biorąc od niej filiżankę. - Czy są tu piwnice?

- Nie, nie ma - odparł Eumenides.

- Szkoda - stwierdził Causton, rozglądając się po barze. - Myślę, że powinniście się stąd wynieść. W takich warunkach dochodzi zawsze do dezorganizacji życia społecznego, a rabusie szukają przede wszystkim trunków. Przyjdą tutaj w pierwszej kolejności. Proponuję, żebyście przenieśli się na razie na najwyższe piętro. Przydałaby się też barykada na schodach.

Zmierzył Greka chłodnym spojrzeniem.

- Mam nadzieję, że zaopiekujesz się paniami, kiedy mnie nie będzie.

- Zajme się siskim - odparł z uśmiechem Eumenides.

Nie była to zachwycająca odpowiedź, ale Causton musiał się nią zadowolić. Dopił gorącą kawę, wcisnął do kieszeni parę kanapek i oznajmił:

- Postaram się wrócić jak najszybciej; mam nadzieję, że z Wyattem.

- Proszę nie zapomnieć o panu Dawsonie - wtrąciła się pani Warmington.

- Spróbuję - odparł oschle Causton. - Niech nikt nie wychodzi z hotelu. I tak jesteśmy już w rozsypce.

- Rawst'orne ma samochód - powiedział nagle Eumenides - Widzia'em go. Ma te... no, te... specjalne znaki. - Strzelił palcami, zły, że nie potrafi się wysłowić.

- Tablice korpusu dyplomatycznego? - podpowiedział mu Causton.

- Waśnie.

- To powinno się przydać. No dobrze, mam nadzieję wrócić za dwie godziny. Cześć!

Wyszedł z baru i przystanął, wyglądając ostrożnie przez szyby, zanim zdecydował się opuścić hotel. Gdy nabrał pewności, że nic mu nie grozi, pchnął obrotowe drzwi i ruszył w kierunku doków, trzymając się blisko murów. Zerknąwszy na zegarek zdziwił się, że nie ma jeszcze dziesiątej. Sądził, że jest dużo później. Przy odrobinie szczęścia mógł wrócić do hotelu Imperiale przed północą.

Początkowo utrzymywał dobre tempo, przemykając jak zjawą po opustoszałych ulicach. Nigdzie nie było widać żywej duszy. Kiedy znalazł się w pobliżu doków, szybko zdał sobie sprawę, że rejon ten jest teatrem działań wojennych. Po ciemnych ulicach sunęły z zapalonymi reflektorami wojskowe ciężarówki, a w oddali słychać było kroki maszerujących żołnierzy.

Przystanąwszy schronił się w pobliskiej bramie i wyjął z kieszeni złożoną mapę, przeglądając ją przy świetle osłoniętej starannie latarki. Będzie mu cholernie trudno dotrzeć do Rawsthorne'a. W pobliżu znajdowała się stara forteca San Juan, którą Serrurier postanowił wykorzystać jako arsenał. Nic dziwnego, że w okolicy było tyle wojska. Stąd zaopatrywano w amunicję jednostki nad Negrito, co wyjaśniało obecność kolumny ciężarówek.

Causton przyjrzał się uważniej mapie, próbując znaleźć jakąś inną drogę. Idąc naokoło straci prawie godzinę, ale nic nie mógł na to poradzić. Kiedy stał w bramie, odległy huk dział umilkł nagle i zapanowała głucha cisza. Rozejrzał się po ulicy, po czym przeszedł na drugą stronę. Skórzane podeszwy butów robiły więcej hałasu, niżby sobie życzył.

Znalazszy się po drugiej stronie ulicy skrzył za róg i zaczął oddalać się pospiesznie od fortecy San Juan, zastanawiając się po drodze, o czyni świadczyło milczenie dział.

Relacjonował już w swojej karierze niejedną wojnę w dżungli - w Kongo, Wietnamie, Malesji - i miał wystarczająco duże doświadczenie, by wyciągać stosowne wnioski.

Przede wszystkim działa te należały niewątpliwie do Favela. Causton widział rządową artylerię, stłoczoną bezładnie tuż pod St. Pierre. Działa Favela do czegoś strzelały i tym czymś były z pewnością główne siły piechoty, które Serrurier wysłał natychmiast nad Negrito, gdy tylko pojawiły się kłopoty. Teraz działa umilkły, a to oznaczało, że Favel znowu przeszedł do ataku, wysyłając swą piechotę przeciw armii Serruriera. Ogień artylerii musiał mocno dać się tej armii we znaki, podczas gdy ludzie Favela byli z pewnością wypoczęci i we względnie dobrej formie. Możliwe, że Favel zacznie się od razu przedzierać, ale dowiedzie tego dopiero następny ostrzał artyleryjski. Gdyby dochodził z bliższej odległości, oznaczałoby to, że Favel zwycięża.

Postanowił zaatakować nocą, co było jego specjalnością, odkąd wycofał się w góry. Miał wyszkolonych do tego żołnierzy i zapewne jeden człowiek Favela wystarczał za dwóch ludzi Serruriera, o ile ten pierwszy okazywał się na tyle ostrożny, by dyktować warunki walki. Gdyby jednak znalazł się na otwartej przestrzeni, pod ostrzałem całej artylerii i lotnictwa Serruriera, poniósłby totalną klęskę. Podejmował znaczne ryzyko, schodząc doliną Negrito na równinę okalającą Zatokę Santego, zmniejszał je jednak do minimum dzięki rozsądnej strategii i niebywale szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, iż Serrurier miał tępego dowódcę artylerii, który nie znał się zupełnie na logistyce.

Caustona tak pochłonięły te rozmyślenia, że o mało nie wpadł na patrol policji. Stał w miejscu i skrył się w cień. Odetchnął z ulgą, gdy policjanci przeszli obok, nie zauważając go. Nie chciał tracić czasu na czcze dyskusje. Zanim dotarł do domu Rawsthorne'a, uniknął jeszcze trzech następnych patroli, ale trochę to w sumie potrwało i gdy zapukał do drzwi konsula, było już bardzo późno.

### III

James Flower Dawson był wziętym pisarzem. Krytycy widzieli w nim człowieka, którego należy uważać za przyszłego laureata nagrody Nobla, a jego książki rozchodziły się w ogromnych nakładach. Zarobił mnóstwo pieniędzy i chciał zarobić jeszcze więcej. A ponieważ zarabianie pieniędzy sprawiało mu przyjemność, troszczył się bardzo o swój obraz w oczach czytelników. Obraz ten, dopasowany idealnie do osobowości pisarza, przedstawiali światu jego agenci prasowi.

Swoją pierwszą książkę „Tarpon” opublikował w roku śmierci Hemingwaya. Był wówczas pisarzem bez stałego miejsca pracy, który klecił artykuły dla amerykańskich czasopism sportowych o tym, jak wspaniałe są kalifornijskie pstrągi lub jak się czuje człowiek, obserwujący przez lornetkę niedźwiedzia grizzly. Szło to przeciętnie, powodziło mu się więc nie najlepiej. Kiedy „Tarpon” znalazł się na listach bestsellerów, nikt nie był tym bardziej zaskoczony niż Dawson. Wiedząc jednak, jak zmienne są gusty czytelników, starał się znaleźć sposób, by utrwalić jakoś swój sukces i stwierdził, że nie wystarczy dobrze pisać - musi stać się osobą publiczną. Przejął więc spuściznę po Hemingwayu: będzie twardym facetem. Polował w Afryce na słonie i lwy, łowił ryby na Karaibach i Seszelach, uprawiał wspinaczkę na Alasce, latał własnym samolotem, a nawet - podobnie jak Hemingway - miał spektakularny wypadek. Co ciekawe, zawsze znaleźli się w pobliżu reporterzy, którzy utrwalali te zdarzenia na zdjęciach.

Niewiele miał jednak z Hemingwaya. Lwy, na które polował - nieszczęsne, przerażone bestie - były osaczane szczelnym pierścieniem przez naganiaczy, a i tak nigdy nie zabił żadnego jednym strzałem. Zdobywając szczyt na Alasce dał się właściwie nieść doświadczonym i dobrze opłaconym alpinistom, szczerze nie lubił też latać swoim samolotem, bo się go bał i robił to tylko wtedy, gdy musiał poprawić sobie opinię. Za to łowienie ryb naprawdę przypadło mu do gustu i całkiem nieźle sobie z tym radził. Bez względu na wszystko pozostał też dobrym pisarzem, chociaż stale obawiał się, że straci węgę i następna książka zrobi klapę.

Dopóki cieszył się sławą, dopóki jego nazwisko trafiało na pierwsze strony światowej prasy, a pieniądze płynęły strumieniem na konto, był całkiem szczęśliwy. Przyjemnie jest, gdy znają człowieka we wszystkich stolicach, a na lotnisku czekają zawsze dziennikarze i fotoreporterzy, by usłyszeć jego opinię na temat międzynarodowych wydarzeń. Nie zdarzyło się jeszcze, by wymieniając swoje nazwisko nie wybrnął z opresji, nie przejął się więc, gdy znalazł się z Wyattem w celi. Trafiał już do więzienia - świat zachłystywał się nieraz wyczynami wielkiego Jima Dawsona - ale nigdy nic przebywał tam dłużej niż kilka godzin. Wystarczyła symboliczna grzywna, datek na rzecz Policyjnego Funduszu Sierot, grzeczne przeprosiny i nazwisko Jima Dawsona, żeby wkrótce był wolny. Nie miał powodu sądzić, że tym razem będzie inaczej.

- Napiłbym się czegoś - powiedział gderliwie. - Ci dranie zabrali mi piersiówkę.

Wyatt obejrzał sobie celę. Mieściła się w starym budynku i nie była to, jak w nowoczesnych więzieniach, klatka ze stalowych prętów. Ściany zbudowano jednak z grubego, twardego kamienia, a małe okienko znajdowało się wysoko w murze. Wyatt był słusznego wzrostu, ale gdy przysunął sobie taboret i stanął na nim, z ledwością wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył niewyraźne zarysy budynków po drugiej stronie placu i ocenił, że ich cela znajduje się na drugim piętrze gmachu, w którym mieścił się posterunek policji.

Zszedł z taboretu i zapytał:

- Po co, do cholery, miał pan przy sobie broń?

- Zawsze ją noszę - odparł Dawson. - Widzi pan, człowiek o mojej pozycji bywa narażony na kłopoty. Ciągłe trafiają się pomyłki, którym nie podoba się to, co piszę i faceci, którzy chcą pokazać, że są twardsi ode mnie. Mam pozwolenie na broń. Parę lat temu dostawałem listy z pogrózkami, a koło mojego domu działy się różne dziwne rzeczy, więc się w nią zaopatrzyłem.

- Nie wiem, czy to był dobry pomysł, nawet w Stanach - stwierdził Wyatt. - A już tutaj na pewno przysporzył nam kłopotów. Pańskie pozwolenie na broń niczego nie załatwi.

- Bez trudu się stąd wydostaniemy - powiedział ze złością Dawson. - Muszę tylko poczekać, aż pozwolą mi się zobaczyć z kimś ważniejszym niż ci policyjni rekruci. Wyjaśnię, kim jestem i zaraz będziemy wolni.

Wyatt wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

- Mówi pan poważnie?

- Oczywiście. Do diabła, człowieku! Wszyscy mnie znają. Rząd tej nędznej bananowej republiki nie zechce przecież drażnić wuja Sama, trzymając mnie w więzieniu. Już sam fakt, że zostałem zatrzymany, trafi na czołówki gazet i Serrurier nie będzie chciał pogarszać jeszcze sytuacji.

Wyatt głęboko wciągnął powietrze.

- Nie zna pan Serruriera - stwierdził. - Nade wszystko nie lubi Amerykanów i mało go będzie obchodziło, kim pan jest; o ile w ogóle o panu słyszał, w co wątpię.

Dawson wydawał się poruszony wypowiedzianą przez Wyatta herezją.

- Nie słyszał o mnie? Ależ to jasne, że musiał słyszeć!

- Pamięta pan tę kanonadę? - przypomniał Wyatt. - Serrurier walczy o życie; czy pan tego nie rozumie? Jeżeli Favel zwycięży, Serrurier będzie martwy. W tej chwili cholernie mało go obchodzą stosunki z wujem Samem czy z kimkolwiek innym, po prostu nie ma na to czasu. I, podobnie jak lekarz, grzebie swoje błędy w ziemi, a więc jeśli się o nas dowie, w piwnicy odbędzie się zapewne wystrzałowe przyjęcie, na które zostaniemy zaproszeni. Dlatego właśnie mam w Bogu nadzieję, że nikt mu nie powie. Liczę też, że jego chłopcy nie robią niczego na własną rękę.

- Ale najpierw musi być proces! - zaprotestował Dawson. - Wezwę adwokata.

- Na Boga! - wybuchnął Wyatt. - Gdzie pan żyje, na Księżycu?! W ciągu ostatnich siedmiu lat Serrurier kazał zlikwidować bez sądu dwadzieścia tysięcy ludzi. Po prostu zniknęli. Niech pan się modli, żebyśmy do nich nie dołączyli.

- Ależ to bzdura! - stwierdził stanowczo Dawson. - Przyjeżdżam na San Fernandez od pięciu lat, są tu pierwszorzędne miejsca do połowów, i o niczym podobnym nie słyszałem.

A poznałem wielu przedstawicieli rządu i kupę sympatycznych facetów, których wolałby pan pewnie nie spotkać. Jasne, że są czarni, ale wcale mi to nie przeszkadza.

- Cóż za tolerancja! - powiedział z sarkazmem Wyatt. - Mógłby pan wymienić któregoś z tych „sympatycznych facetów”? Ta informacja może się przydać.

- Oczywiście. Najlepszy z nich to minister spraw wewnętrznych. Nazywa się Descaix i jest...

- No, nie! - jęknął Wyatt, siadając na taborecie i łapiąc się za głowę.

- O co chodzi?

Wyatt podniósł na niego wzrok.

- Niech pan posłucha, Dawson. Spróbuję wyjaśnić wszystko w prostych słowach.

Pański przyjaciel, Descaix, był szefem tajnej policji Serrurier. Serrurier rozkazywał „zrób to” i Descaix wypełniał polecenie, co doprowadziło w końcu do pięknego łańcucha zbrodni. Ale Descaixowi podwinęła się noga: jedno z zabójstw mu nie wyszło i pewien człowiek ożył. Ten sam, dzięki któremu w górach słychać teraz huk dział. Favel.

Poklepał Dawsona po kolanie.

- Serrurier nie był tym zachwycony, więc jak pan myśli, co się stało z Descaixem?

- Skąd mam wiedzieć - odparł Dawson z niewyraźną miną.

- Nikt tego nie wie - powiedział Wyatt. - Descaix zniknął, przepadł, jakby nigdy nie istniał. Wyparował. Moim zdaniem leży w jakimś dole w Tour Rambeau.

- Był z niego taki miły, życzliwy gość - stwierdził Dawson, kręcąc z niedowierzaniem głową. - Nie rozumiem, jak mogłem tego nie zauważyć. Jestem pisarzem. Powinienem znać się trochę na ludziach. Byłem z nim nawet na rybach. Przecież poznaje się chyba człowieka, z którym łowi się ryby?

- Niby w jaki sposób? - zapytał Wyatt. - Tacy ludzie jak Descaix mają w głowach wszystko ściśle poukładane. Gdyby któryś z nas zabił człowieka, nie mógłby się tego pozbyć przez całe życie, pozostałby jakiś ślad. A Descaix każe kogoś zabić i zapomina o tym natychmiast po wydaniu rozkazu. Nie obciąża mu to ani trochę sumienia, więc niczego po nim nie widać. Nie zostaje żaden ślad.

- Chryste! - przeraził się Dawson. - Łowiłem ryby ze zbrodniarzem!

- To się więcej nie powtórzy - stwierdził brutalnie Wyatt. - Może już z nikim nie będzie pan łowił ryb, jeśli się stąd nie wydostaniemy.

Dawson nagle się zirytował.

- Co, do cholery, robi amerykański rząd? Mamy na tej wyspie bazę. Dlaczego nie zrobiono tu dotąd porządku?

- Przyprawia mnie pan o mdłości - powiedział Wyatt. - Nie dostrzega pan nic poza czubkiem własnego nosa, a kiedy go panu przytrzasną, wzywa pan na pomoc rząd. Amerykanie trzymają się zasady „ręce precz od wyspy” i mają rację. Gdyby interweniowali tu tak, jak w Republice Dominikany, doszłoby do totalnego załamania stosunków dyplomatycznych z resztą półkuli i Rosjanie śmialiby się do rozpuku. Trudno zresztą o lepsze rozwiązanie. Nie można podawać ludziom wolności na półmisku - muszą sami po nią sięgnąć. Favel o tym wie. Stara się właśnie z całych sił odzyskać swoją wolność.

Spojrzał na Dawsona, który siedział skulony na łóżku, dziwnie się kurcząc.

- Próbował pan zabrać samochód, prawda? Wcale nie było tam żadnego policjanta, który chciał go uruchomić. Tylko pan.

Dawson kiwnął głową.

- Wszedłem na górę i usłyszałem, jak rozmawia pan z Caustonem o huraganie. Przeraziłem się i postanowiłem uciec.

- I chciał pan nas wszystkich zostawić?

Dawson żałośnie przytaknął.

- Nie rozumiem - powiedział Wyatt, prostując nogi. - Nic z tego nie rozumiem.

Dawson, wielki Jim Dawson. Człowiek, który podobno lepiej niż ktokolwiek na świecie potrafi strzelać, walczyć i latać samolotem. Co się z panem stało?

Dawson położył się na pryczy i odwrócił do ściany.



- Niech pan idzie do diabła! - powiedział stłumionym głosem.

#### IV

O czwartej nad ranem zjawił się policjant, wyciągnął więźniów z celi i poprowadził ich korytarzem. Pokój, w którym się znaleźli, był pusty i odpychający, podobny do pomieszczeń tego typu na całym świecie. Policjant siedzący za biurkiem również wyglądał typowo. Taki sam chłodny, beznamiętny wzrok i nieruchome spojrzenie można było zobaczyć w którymkolwiek komisariacie w Nowym Jorku, Londynie czy Tokio, a fakt, że człowiek ten miał ciemnobrązową skórę, niczego nie zmieniał. Popatrzył na nich obojętnie, po czym rzekł:

- Miałeś ich przyprowadzać pojedynczo, głupcze. Tego zabierz z powrotem. - Wskazał piórem Wyatta, który został natychmiast wypchnięty na korytarz i odprowadzony do celi.

Kiedy w zamku zazgrzytał klucz, Wyatt oparł się o ścianę i zaczął rozmyślać, co się z nim stanie. Może podzieli los Descaixa, choć niewiele ich łączyło. Od pewnego czasu nie słyszał huku dział i miał nadzieję, że Favel nie przegrał, bo był on jego jedyną szansą na wyjście z opresji. Jeśli Favel nie zdobędzie St. Pierre, Wyatt zostanie zastrzelony albo utonie w celi, gdy wody zatoki Santego podniosą się i zatopią miasto.

Usiadł zamyślony na taborecie. Policjanta, który ich aresztował, interesowali wyraźnie Manning i Fuller, dwaj Anglicy z północnego wybrzeża. Wyatt zastanawiał się, po co komuś tak bardzo na nich zależy, skoro trwa wojna. Potem przypomniał sobie pytania Caustona na temat dostaw broni i przyszło mu na myśl, czy Manning i Fuller nie mieszkali przypadkiem w Campo de las Perlas, gdzie zdaniem Caustona dostarczano tę broń. Jeśli byli w to zamieszani, nic dziwnego, że policję Serruriera interesowały ich poczynania - a także działalność wszystkich innych Anglików na San Fernandez. W końcu, zmęczony siedzeniem przez całą noc na taborecie, Wyatt wyciągnął się na pryczy i zasnął.

Kiedy go obudzono, przez okno na górze wpadały pierwsze promienie poranka. Znów został zaprowadzony do pustego pokoju na końcu korytarza i wepchnięty brutalnie do środka. Dawsona nigdzie nie było, a siedzący za biurkiem policjant powiedział z uśmiechem:

- Proszę wejść, panie Wyatt. Niech pan usiądzie.

Nie było to zaproszenie, lecz rozkaz. Wyatt usiadł na twardym krześle, zakładając nogę na nogę. Policjant odezwał się po angielsku:

- Jestem podinspektor Roseau, panie Wyatt. Nie sądzi pan, że dobrze mówię po angielsku? Nauczyłem się tego na Jamajce.

- Bardzo dobrze - przyznał Wyatt.

- Cieszę się - odparł Roseau. - Nie będzie zatem nieporozumień. Kiedy widział pan ostatnio Manninga?

- Nigdy go nie spotkałem.

- A kiedy widział pan Fullera?

- Jego także nie znam.

- Ale wiedział pan, gdzie mieszkają. Sam pan się do tego przyznał.

- Do niczego się nie przyznawałem - oznajmił dobitnie Wyatt - Powiedziałem pańskiemu podwładnemu, że słyszałem, iż mieszkają na północnym wybrzeżu. Powiedziałem mu również, że w życiu żadnego z nich nie spotkałem.

Roseau spojrział na leżącą przed nim kartkę papieru i nie podnosząc wzroku zapytał:

- Kiedy zwerbowano pana do amerykańskiego wywiadu?

- A niech mnie diabli! - rzekł Wyatt. - To kompletna bzdura.

Roseau gwałtownie podniósł głowę.

- A zatem należy pan do brytyjskiego wywiadu? Jest pan szpiegiem brytyjskim?

- Pan chyba oszalał - odezwał się z niesmakiem Wyatt. - Jestem naukowcem.

Meteorologiem. I chętnie coś panu powiem. Jeśli w ciągu dwóch dni nie wyprowadzi się ludzi z miasta, dojdzie tu do masakry, jakiej pan w życiu nie oglądał. Zbliża się huragan.

Roseau uśmiechnął się pobłażliwie.

- Tak, panie Wyatt. Wiemy, że to pańskie alibi. Wiemy także, że wy, Brytyjczycy i Amerykanie działacie ręką w rękę z Favelem, starając się obalić legalny rząd tego kraju.

- Wystarczy - zaprotestował Wyatt. - Mam już tego dosyć. - Uderzył otwartą dłonią w blat biurka. - Chcę się widzieć z brytyjskim konsulem.

- A więc chce się pan zobaczyć z Rawsthorne'em? - zapytał Roseau ze złośliwym uśmiechem. - On też chciał się z panem spotkać. Był tutaj, razem z jeszcze jednym Anglikiem, starając się pana wydostać. Szkoda, że ze względu na oficjalną funkcję Rawsthorne'a nie możemy, go aresztować, wiemy, że jest waszym przywódcą. Ale mój rząd wysłał do Londynu stanowczy protest w związku z jego działalnością. Jest non persona grata. - Roseau uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jak pan widzi, panie Wyatt, znam też łacinę. Całkiem nieźle, jak na nie oświeconego czarnucha.

- Bardzo stosownie pan to ujął - powiedział przez zęby Wyatt.

Roseau westchnął niczym nauczyciel, któremu trafił się ograniczony i wyjątkowo uparty uczeń.

- Nie pora, żeby mnie obrażać, panie Wyatt. Widzi pan, pański towarzysz, pański wspólnik, ten amerykański agent, Dawson, przyznał się do winy. Wie pan, ci Amerykanie nie są w istocie tacy twardzi.

- Do czego mógł się przyznać, na Boga? - zdziwił się Wyatt. - Jest tak samo niewinny jak ja. - Przesunąwszy rękę poczuł wilgoć, i gdy odwrócił dłoń, zobaczył na niej plamę krwi, której kilka kropli widniało również na krawędzi biurka. Podniósł wzroki spojrzął na Roseau z odrazą.

- Tak, panie Wyatt, on się przyznał - powtórzył Roseau. Wyjął szuflady czystą kartkę papieru i starannie ją przed nim ułożył. - A więc - dodał, trzymając w powietrzu pióro - zaczniemy od początku. Kiedy widział się pan z Manningiem?

- Nigdy go nie spotkałem.

- Kiedy kontaktował się pan z Fullerem?

- Nie znam żadnego Fullera - odpowiadał niezmiennie Wyatt.

Roseau odłożył ostrożnie pióro i zapytał cicho:

- Mamy sprawdzić, czy jest pan bardziej uparty niż Dawson? A może nie będzie pan aż tak nieustępliwy, byłoby lepiej i dla pana, i dla mnie.

Wyatt miał świadomość, że za jego plecami stoją przy drzwiach dwaj policjanci. Nie poruszali się, ani nie odzywali, wiedział jednak, że tam są. Zdał sobie z tego sprawę w chwili, gdy krew Dawsona zaplamiła mu dłoń. Postanowił wziąć przykład z Rawsthorne'a.

- Serrurier zedrze z pana skórę, Roseau.

Roseau zamrugnął oczami, ale się nie odezwał.

- Czy on wie, że tu jestem? Gdy ktoś wejdzie mu w drogę, potrafi być straszny. Pan orientuje się w tym chyba najlepiej. Kiedy wczoraj się z nim widziałem, mieszał z błotem Hippolyte'a; biedak cały się trząsał.

- Był pan wczoraj u naszego prezydenta? - Głos Roseau brzmiał już nieco mniej pewnie.

Wyatt próbował zachowywać się tak, jakby miał zwyczaj wpadać do Serruriera popołudniami na drinka.

- Oczywiście - odparł, pochylając się nad biurkiem. - Nie wie pan, kim jest Dawson, człowiek, którego pan pobił? To sławny pisarz. Musiał pan słyszeć o wielkim Jimie Dawsonie. Wszyscy go ją.

Przez twarz Roseau przebiegł skurcz.

- Starał się mnie przekonać, że jest... - Zamilkł nagle.

Wyatt śmiał się.

- Wpakował pan Serruriera w niezłą kabałę - stwierdził. - Ma pełne ręce roboty z powodu Favela, ale to nie problem, z nim sobie poradzi. Sam mi to powiedział. Martwił się jednak Amerykanami z Cap Sarrat. Nie wie, czy wystąpią przeciw niemu, czy nie. Wie

pan, rzecz jasna, co się stanie, jeśli to zrobią. W sojuszu z Amerykanami Favel zgniecie Serruriera jak skorupę orzecha.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytał niepewnie Roseau.

Wyatt oparł się o krzesło i popatrzył na Roseau z udanym przerażeniem.

- Głupcze, dał pan Amerykanom okazję, na którą czekali. Dawson to postać znana na całym świecie, a w dodatku jest Amerykaninem. Za parę godzin komandor Brooks zacznie wypytywać Serruriera, gdzie on się podział i jeśli Serrurier nie odnajdzie go całego i zdrowego, Brooks podejmie stanowcze kroki, wiedząc, że może liczyć na poparcie całego świata. Dawson posłuży za pretekst, którego szukali Amerykanie. Nie mogą chwycić za broń tylko dlatego, że kilku ich obywateli zostało uwikłanych w wojnę domową, tego się już nie robi, ale potencjalny laureat nagrody Nobla, człowiek pokroju Dawsona, to co innego.

Roseau milczał, wyraźnie podenerwowany. Wyatt pogłębił go jeszcze bardziej, nie mówiąc nic przez kilka długich sekund, po czym ciągnął dalej:

- Wie pan równie dobrze jak ja, że Dawson nic panu nie powiedział o Manningu i Fullerze. Jestem tego pewien, ponieważ nic mu o nich nie wiadomo. Wykorzystał go pan jednak, żeby spróbować mnie zastraszyć. Coś panu powiem, podinspektorze Roseau. Kiedy komandor Brooks zapyta Serruriera o Dawsona, Serrurier przetrząśnie całe St. Pierre, żeby go odnaleźć, wiedząc, że jeśli mu się to nie uda, Amerykanie włamią się tylnymi drzwiami i wbiją mu nóż w plecy, gdy będzie mocował się z Favelem. A jeżeli Serrurier się dowie, że podinspektor Roseau w idiotyczny sposób przekroczył swoje kompetencje katując Dawsona, nie dałbym złamanego grosza, że pożyje pan choćby pięć minut dłużej. Radziłbym możliwie szybko zapewnić Dawsonowi pomoc lekarską, a potem ubłagać go jakoś, żeby zechciał trzymać język za zębami. Pańska sprawa, jak to zrobić.

O mało się nie roześmiał, widząc wyraz twarzy Roseau, gdy ten roztrząsał bezmiar swoich win. W końcu Roseau kłapnął szczękami i głęboko wciągnął powietrze.

- Zabierzcie tego człowieka do celi - rozkazał.

Wyatt poczuł na ramieniu twardy uścisk, którego jeszcze pięć minut temu nie powitałby z taką ulgą. Kiedy wtrącono go do celi, drżał przez dłuższy czas. Później usiadł, nie mogąc się nadziwić, jak skutecznie podszedł Roseau.

Pomyślał, że nie jest już dla nich niebezpieczny. Pozostał jednak problem, jak wydostać się na wolność, zanim nadciągnie huragan. Nie będzie to łatwe - chyba, że uda mu się jeszcze trochę postraszyć Roseau. Zakładał, że wkrótce znów się z nim spotka. Podinspektor na pewno nie zapomni, że Wyatt chwalił się znajomością z Serrurierem i będzie chciał dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Spojrzał na zegarek. Była siódma i przez okienko wpadały promienie słońca. Miał nadzieję, że Causton okaże się na tyle rozsądny, by wyprowadzić resztę grupy z St. Pierre. Nawet idąc na piechotę mogli zajść daleko.

Nagle zwrócił uwagę na dochodzące z zewnątrz odgłosy. Działo się tam coś już wówczas, gdy wepchnięto go do celi, był jednak tak pochłonięty myślami, że nic do niego nie docierało. Teraz uświadomił sobie, że z placu za oknem słychać wrzawę: warkot potężnych silników, tupot nóg i szmer wielu głosów, przerywany chrypliwymi okrzykami - buńczuczne wrzaski sierżantów brzmią tak samo w każdej armii. Wyglądało na to, że na plac wyległa cała armia.

Kopnął taboret w kierunku okna i stanął na nim, ale ponieważ patrzył pod niewłaściwym kątem, nie widział w ogóle ziemi, tylko fasady budynków po drugiej stronie placu. Tkwił tam przez dłuższy czas, próbując dosłuchać się czegoś w gmatwaninie dochodzących dołu dźwięków, w końcu jednak zrezygnował. Miał właśnie zejść z taboretu, gdy grzmot dział rozległ się nagle tak blisko, że gorące powietrze niemal zadrżało.

Gdy wspiął się na palce, by za wszelką cenę zobaczyć, co się dzieje, zauważył na dachu budynku, który stał dokładnie naprzeciwko, jaskrawo czerwony błysk. Rozległ się huk i Wyatt patrzył z przerażeniem, jak fronton gmachu zapada się i jakby w zwolnionym tempie pogrąża w chmurze pyłu.

Potem podmuch eksplozji porwał Wyatta wśród odłamków szkła na drugą stronę celi,

ciskając nim o drzwi. Nim stracił przytomność usłyszał jeszcze, jak jego głowa uderza tępo o twarde drewno.

## 4

### I

Huraganowy ogień artylerii wybił Caustona z głębokiego snu. Zerwał się gwałtownie i otworzył oczy, zastanawiając się przez chwilę, gdzie jest i rozpoznając z ulgą znajomy pokój w hotelu Imperiale. Eumenides, któremu użyczył noclegu, stał przy oknie, wyglądając na zewnątrz.

- Diabli nadali - odezwał się Causton, siadając na łóżku. - Te działa są już blisko. Favel musiał się przedrzeć. - Wygramolił się z łóżka i stwierdził z zażenowaniem, że spał w spodniach.

Eumenides odwrócił się od okna, spoglądając na Caustona ze smutkiem.

- Bedom walsić w mieście - oznajmił. - Benzie bar'zo źle.

- Zwykle tak jest - odparł Causton, pocierając zarost na policzkach. - Co się dzieje na dole?

- Wiele luzi, wojsko - powiedział Eumenides. - Wiele ranych.

- Prowadzą ranych?

Serrurier musi więc być w odwrocie. Ale za wszelką cenę zechce utrzymać miasto. I tu się zacznie najgorsze: walki na ulicach. - Szybkimi, sprawnymi ruchami nakręcił mechanizm golarki. - Policja Serruriera nie pozwoliła ludności opuszczać miasta. Mądrze zrobił, nie chciał, żeby lawina uchodźców przeszkadzała wojsku. Ale czy uda się utrzymać ludzi na miejscu, gdy zacznie się walka, to osobna sprawa. Mam przecucie, że czeka nas parszywy dzień.

Greki zapalił kolejnego papierosa, nic nie odpowiadając.

Causton w milczeniu skończył się golić. Myślał intensywnie, co mogła oznaczać bliskość dział. Favel musiał rozbić armię Serruriera nad Negrito i parł z impetem w kierunku przedmieść St. Pierre. Posuwając się tak szybko nie zadbał pewnie o oczyszczenie tyłów i wzdłuż doliny pozostały najprawdopodobniej niedobitki armii Serruriera. Błądząc po omacku w ciemnościach żołnierze ci są teraz zdeorganizowani, ale za dnia mogą okazać się niebezpieczni, a Favel zechce zapewne to niebezpieczeństwo zignorować.

Stał bowiem wobec poważniejszego zagrożenia. Wyszedł na równinę, i dobijał się do bram St. Pierre w pełnym świetle dnia, a Causton miał wątpliwości, czy w takich warunkach Favel jest dostatecznie przygotowany do wyniszczającej potyczki. Na razie polegał na zaskoczeniu, atakując zniemacka miążdzącym ogniem dział żołnierzy nie obytych z silnymi materiałami wybuchowymi. Ale Serrurier miał jeszcze artylerię, jednostkę pancerną i lotnictwo. Fakt, że jego siły pancerne składały się z trzech przestarzałych czołgów i kilkunastu wozów bojowych różnych typów, a siły powietrzne tworzyła zbieranina poprzerabianych cywilnych samolotów i Favel mógł się śmiać z tego pokazu pseudo nowoczesności, gdy siedział bezpiecznie w górach, ale w otwartym terenie sprawa miałaby się zgoła inaczej. Nawet stary czołg panowałby na polu walki, a z samolotów byłoby widać bombardowane cele.

Causton popatrzył na swoje odbicie w lustrze zastanawiając się, czy Favel był dostatecznie szybki, by przechwycić działa Serruriera, nim włączyły się do walki. Jeśli tak, miałby więcej szczęścia niż którykolwiek dowódca w historii, gdyż utknęły one w miejscu tylko dzięki wyjątkowej nieudolności dowódcy artylerii. Ale szczęście - lub jego brak - było nieodłącznym elementem sytuacji na polu walki.

Wsadził głowę do zimnej wody, po czym wynurzył ją z pluskiem i sięgnął po ręcznik. Skończył się właśnie wycierać, gdy ktoś zapukał do drzwi. Gestem ręki ostrzegł Eumenidesa i zapytał:

- Kto tam?

- To ja - odezwała się Julie.

- Proszę wejść, panno Marlowe - powiedział z ulgą.

Julie wydawała się nieco przygnębiona. Miała podkrążone oczy, jakby niewiele spała, a jej fryzura była w nieładzie. Odgarnęła włosy i powiedziała:

- Ta baba doprowadzi mnie do szalu.

- A cóż robi teraz pani Warmington?

- Drzemie, dzięki Bogu. Ta kobieta ma tupet. Traktowała mnie wczoraj jak pokojówkę i wściekła się, bo nie chciałam słuchać jej poleceń. A potem, w środku nocy, zrobiła się nagle płaczliwa. Myślałam, że zwariuję. Musiałam w końcu nafaszerować ją luminalem.

- Czy teraz śpi?

- Właśnie się obudziła, ale jest tak odurzona, że nie wie, co się dzieje.

- Może to i dobrze - stwierdził Causton i odwrócił głowę, nasłuchując huku dział. - Może należałoby utrzymać ją w tym stanie, dopóki się stąd nie wydostaniemy. Mam tylko nadzieję, że Rawsthorne zdąży na czas. - Spojrzał na Julie. - Pani też za dobrze nie wygląda.

- Jestem wykończona - wyznała Julie. - Kiepsko spałam. Przez pół nocy czuwałam przy pani Warmington. Kiedy ją uspiłam, okazało się, że sama nie mogę zasnąć; myślałam o Davidzie i panu Dawsonie. A gdy wreszcie poszłam spać, zbudziły mnie prawie natychmiast te cholerne działa. - Skrzyżowała ręce na piersiach, krzywiąc się na odgłos wyjątkowo głośnej eksplozji. - Jestem przerażona i wcale tego nie ukrywam.

- Ja też nie za dobrze się czuję - stwierdził oschle Causton. - A ty, Eumenidesie?

Grek wzruszył wymownie ramionami, szatańsko się uśmiechnął i przesunął dłonią po gardle.

- To wszystko wyjaśnia - odparł ze śmiechem Causton.

- Myśli pan, że można by jeszcze raz spróbować wyciągnąć Davida z tego więzienia? - zapytała Julie.

Causton miał ochotę zakląć. Jako człowiek, który zarabiał na życie pisaniem po angielsku, twierdził zawsze, że przekleństwa i wulgarny język to atrybuty prymitywnego umysłu, niezdolnego do korzystania z całego bogactwa angielskich inwektyw. Ale minionej nocy, mając do czynienia z wyjątkowo ograniczonym intelektem podinspektora Roseau, zmuszony był używać najordynarniejszych słów, jakie znał. Jeśli nie zaszokował Roseau, to na pewno Rawsthorne'a.

- Obawiam się, że nie ma wielkiej nadziei - powiedział. - Grube mury więzienia są mniejszą przeszkodą niż ci tępi gliniarze. Może Favel zdoła go wydostać, jeśli się pospieszy.

Oparł nogę o łóżko, aby zasznurować but.

- Rozmawiałem wczoraj wieczorem z Rawsthorne'em. Wspominał mi o tym huraganie Wyatta. Jego zdaniem nie jest wcale pewne, czy huragan w ogóle tędy przejdzie. Co pani wie na ten temat?

- Wiem, że Dave był bardzo zaniepokojony - odparła. - Zwłaszcza po rozmowie z tym starcem.

- Z jakim starcem?

Julie opowiedziała mu o człowieku, który zabezpieczał dach swego domu i Causton podrapał się w głowę.

- Jak na meteorologa, Wyatt stosuje w swojej pracy mało naukowe metody - powiedział delikatnie.

- Nie wierzy mu pan? - zapytała Julie.

- Wierzę. W tym cały kłopot - przyznał Causton. - Coś pani powiem, Julie. Zawsze polegam na intuicji i rzadko mnie ona zawodzi. Właśnie dlatego jestem teraz na tej wyspie. Mój wydawca uważał, że plotę bzdury. Nie miałem żadnego dowodu, że dojdzie tutaj do wybuchu, dlatego przyjechałem nieoficjalnie. Tak, wierzę w huragan Wyatta i będziemy musieli cholernie szybko coś w tej sprawie zrobić.

- Co możemy poradzić?

- Musimy zadbać o własne bezpieczeństwo - stwierdził Causton. - Niech pani posłucha,

Julie. Wyattowi nie uwierzył ani jego bezpośredni zwierzchnik, ani komandor Brooks, ani Serrurier. Zrobił, co mógł i nie przypuszczam, żeby nam udało się osiągnąć więcej. A jeśli pani sądzi, że podczas wojny domowej będę chodził z transparentem „Przygotujcie się na dzień Sądu Ostatecznego”, to jest pani w błędzie.

Julie pokręciła głową.

- Wiem - powiedziała. - Ale w St. Pierre jest sześćdziesiąt tysięcy bezbronnych ludzi. To straszne.

- Podobnie jak wojna domowa - stwierdził posepnie Causton. - Ale możemy co najwyżej ocalić własną skórę, a i to będzie trudne. - Wyjął z kieszeni marynarki mapę i rozłożył ją na łóżku. - Chciałem, żeby Rawsthorne był gotów do wyjazdu wczoraj w nocy, ale powiedział, że musi wrócić do konsulatu. Przypuszczam, że nawet najmniej znaczący konsul musi spalić jakieś książki szyfrów czy coś w tym rodzaju; w obliczu kryzysu z komina budynku ambasady zawsze unosi się dym. Która godzina?

- Prawie po' do ósmej - odparł Eumenides.

- Powiedział, że będzie tu przed ósmą, ale pewnie się spóźni. Żaden z nas nie spodziewał się, że Favel tak się pospieszy. Serrurier też musiał być zaskoczony. Rawsthorne'a mógł ktoś zatrzymać, nawet w samochodzie z tablicami korpusu dyplomatycznego. Niech szlag trafi tego idiotę Dawsona - zaklął siarczyście. - Gdyby tak nie namieszał, już parę godzin temu odjechalibyśmy stąd samochodem Wyatta.

Spojrzał na mapę.

- Wyatt powiedział, że powinniśmy znaleźć jakieś miejsce na północnym zboczu, powyżej wysokości trzydziestu metrów. Na tej cholerniej mapie nie ma zaznaczonych poziomicy. Możesz mi pomóc, Eumenidesie?

Greki zajął Caustonowi przez ramię i kładąc palec na mapie powiedział „tutaj”.

- Nie wątpię, że to znakomite miejsce - przyznał Causton. - Ale żeby tam się dostać, musielibyśmy minąć tereny zajęte przez obie armie. Nie, trzeba będzie pójść w jednym albo w drugim kierunku wzdłuż wybrzeża, a potem skręcić w głąb lądu, żeby znaleźć się w górach. - Wskazał palcem drogę biegnącą obok morza. - Moim zdaniem nie ma sensu kierować się na zachód, w stronę Cap Sarrat. Są tam rozmieszczone silne jednostki wojsk rządowych, a zresztą, o ile pamiętam, to dość równinna okolica. W pobliżu jest cywilne lotnisko i Favel zechce je zapewne przejąć, więc w sumie nie będzie tam zbyt bezpiecznie. Musimy w takim razie znaleźć inne rozwiązanie. Jaka jest ta droga, Eumenidesie? Ta, która prowadzi na wschód?

- Izie do góry - wyjaśnił Eumenides. - Jes' tam... jes' tam... - Z irytacją strzelił palcami.

- No, co 'pada z drogi do mozia.

- Od strony wybrzeża są urwiska? Z tej strony? - upewnił się Causton. Grek skinął głową. - Właśnie tego nam potrzeba - stwierdził Causton z zadowoleniem. - A co jest w głębi lądu, powiedzmy tutaj?

- 'Zgózia - odparł Eumenides, wymownie kreśląc w powietrzu falistą linię.

- W porządku - stwierdził Causton. - Ale powinniście omówić to jeszcze z Rawsthorne'em, kiedy się tu zjawi.

- A pan? - zapytała Julie. - Dokąd pan się wybiera?

- Ktoś musi zrobić rekonesans - odparł Causton. - Trzeba sprawdzić, czy tą trasą da się przejść. Pokręcę się trochę po wschodniej części miasta. W pojedynkę nic mi nie grozi.

Wstał z kolan i podszedł do okna.

- Wszędzie jest teraz pełno cywilnej ludności. Policja nie była w stanie zatrzymać wszystkich w domach. Powinno mi się udać.

- Pomimo białej skóry?

- Hm - mruknął Causton. - To jest myśl. - Podszedł do swej torby i rozpiął zamek błyskawiczny. - Odrobina tej substancji powinna wystarczyć - rzekł, spoglądając z niechęcią na trzymane w rękach metalowe pudełko z brązową pastą do butów. - Może mnie pani tym wysmarować, Julie? Tylko trochę. W okolicy jest wielu Murzynów o jasnej karnacji, a nie chcę wyglądać jak przebieraniec z kabaretu.

Julie posmarowała mu twarz odrobiną pasty.

- Proszę pamiętać o karku - przypomniał. - To bardzo ważne. Chodzi nie tyle o zamaskowanie się, co o wprowadzenie ludzi w błąd. Skóra ma być dostatecznie ciemna, by nikt mi się nie przyglądał i nie mówił „Zobaczcie, blanc!”.

Natarł sobie pastą dłonie i przeguby rąk, po czym oznajmił:

- A teraz potrzebny mi jest jakiś rekwizyt.

- Co takiego? - Julie wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

- Teatralny rekwizyt. Przechadzałem się po korytarzach najwyższych urzędów na Whitehall i uszło mi to na sucho, bo niosłem plik papierów, sprawiając wrażenie, że dokądś idę. W pewnym szpitalu zdobyłem sensacyjny materiał, chodząc w białym fartuchu, ze zwisającym z kieszeni stetoskopem. Rzecz w tym, żeby wkomponować się w otoczenie. Stetoskop daje człowiekowi prawo do przebywania w szpitalu. A co czyniłoby ze mnie uczestnika wojny domowej?

- Broń - powiedział Eumenides, uśmiechając się złowieszczo.

- Niestety tak - stwierdził z ubolewaniem Causton. - Cóż, nie powinno być o nią trudno. Chyba uda mi się zdobyć jakiś karabin a może i kawałek munduru, żeby wyglądać przekonująco. A póki co, gdzie jest ta twoja pukawka, Eumenidesie?

- W bazie, tam 'zie jom zo'tawi'em.

- W porządku. No to lecę - oznajmił Causton. Gdzieś niedaleko rozległa się potężna eksplozja i w oknach zadrżały szyby. - Robi się gorąco. Szkoda, że nie ma tu piwnic. Myślę, Eumenidesie, że powinniście wszyscy zejść na dół. Byłoby właściwie najlepiej ukryć się pod schodami. A gdyby pani Warmington wpadła w histerię, możesz ją lekko stuknąć.

Eumenides skinął głową.

- Powinienem zaraz wrócić - dodał Causton, przystając w drzwiach - ale gdyby nie było mnie do jedenastej, będzie to znaczyło, że już nie przyjdę i wtedy szybko stąd uciekajcie. Wszyscy mieszkańcy zaczną teraz wychodzić z domów i mogą nie móc się przedostać, więc nie czekajcie na mnie.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź i zbiegł po schodach do baru. Na ladzie stały butelki z wodą sodową, ale nie było śladu broni. Szukał jej przez kilka minut, lecz szybko zrezygnował, zastanawiając się tylko, co się z nią stało. Nie miał jednak czasu do stracenia, minął więc foyer i wyjrawszy ostrożnie na zewnątrz wyszedł śmiałym krokiem na ulicę.

## II

Pani Warmington była wciąż na wpół uśpiona, za co Julie dziękowała Bogu. Otworzywszy jedno oko zapytała sennie:

- Która godzina?

- Jest jeszcze wcześniej - odparła Julie. - Ale musimy zejść na dół.

- Chce mi się spać - powiedziała niewyraźnie pani Warmington. - Niech pokojówka przyniesie herbatę za godzinę.

- Musimy już iść - powtórzyła stanowczo Julie. - Wkrótce opuszczamy hotel. - Zaczęła zbierać potrzebne rzeczy.

- Co to za zgiełk? - zapytała gniewnie pani Warmington. - Oświadczam, że nigdy w życiu nie nocowałam w tak hałaśliwym hotelu. - Oświadczenie to najwyraźniej zupełnie ją wyczerpało. Zamknęła oczy i od strony łóżka zaczął dobiegać delikatny gwizd, zbyt kobiecy, by nazwać go chrapaniem.

- No, pani Warmington - nalegała Julie, potrząsając ją za ramię.

Pani Warmington podniosła się i wsparła na łokciu.

- Och, moja głowa! Czy mieliśmy jakieś przyjęcie? - Stopniowo jej oczy nabrały znów myślącego wyrazu. Uniosła gwałtownie głowę, rozpoznając łoskot dział. - O, mój Boże! - jęknęła. - Co się dzieje?

- Rebelianci zaczęli bombardować miasto - wyjaśniła Julie.

Pani Warmington wyskoczyła z łóżka. Jej senność zniknęła gdzieś bez śladu.

- Musimy stąd wyjechać - powiedziała pospiesznie. - Natychmiast.

- Nie mamy na razie samochodu - wyjaśniła Julie. - Pan Rawsthorne jeszcze nie przyjechał. - Odwróciwszy się zobaczyła, jak pani Warmington usiłuje wbić swe opasłe kształty w ciasny gorset. - Wielkie nieba! - zawołała. - Niechże pani tego nie zakłada! Możliwe, że będziemy musieli szybko się poruszać. Ma pani jakieś spodnie?

- Uważam, że kobiety... mojego pokroju nie powinny ich nosić. Julie zmierzyła ją wzrokiem, uśmiechając się szelmowsko.

- Może i ma pani rację - przyznała. - No cóż, proszę włożyć coś sensownego. Na przykład kostium, jeśli spódnica nie jest za wąska.

Zdjęła z łóżek koce, związując je w tobołek.

- Mówiłam, że trzeba było pojechać wczoraj do bazy - oświadczyła pani Warmington, wpychając stopy do obcisłych butów.

- Dobrze pani wie, że nie mieliśmy możliwości - odparła krótko Julie.

- Nie mam pojęcia, co wyobraża sobie komandor Brooks; żeby zostawiać nas tutaj na łasce tych dzikusów! No już, wynosmy się stąd! - Otworzyła drzwi i wyszła, pozostawiając Julie wielki toboł z kocami.

U szczytu schodów stał Eumenides. Spojrzał na koce i mówiąc „ba'zo dobra ziec” odebrał je od Julie.

Z dołu doszedł ich jakiś nieznaczny hałas, jakby ktoś przewrócił krzesło. Przez chwilę wszyscy stali nasłuchując, po czym pani Warmington wbiła Grekowi palec w żebra i syknęła:

- Niech pan się ruszy i zobaczy, kto tam jest.

Eumenides rzucił koce i na palcach zszedł po schodach, znikając im z oczu. Pani Warmington przycisnęła do piersi torebkę, a potem odwróciła się nagle i zniknęła w sypialni. Julie usłyszała trzask ryglowanych drzwi.

Po chwili Eumenides pojawił się ponownie i skinął na nich ręką.

- To Rawsforne.

Julie jeszcze raz wyciągnęła panią Warmington z sypialni i wszyscy zeszli na dół, zastając tam bardzo zatroskanego Rawsthorne'a.

- Zaczęli bombardować miasto - oznajmił. - Wojska rządowe stawiają opór. Lepiej byłoby szybko się stąd wynieść, póki nie ma korków na drogach.

- Słusznie - przyznała pani Warmington.

Rawsthorne rozejrzał się wokół.

- Gdzie Causton?

- Poszedł sprawdzić, którędy najlepiej uciekać - wyjaśniła Julie. - Powiedział, że niedługo wróci. Która jest teraz godzina?

Rawsthorne rzucił okiem na kieszonkowy zegarek.

- Za kwadrans dziewiąta. Przepraszam za spóźnienie. Czy mówił, kiedy wróci?

Julie pokręciła głową.

- Twierdził, że niedługo, ale powiedział też, że jeśli nie będzie go do jedenastej, to nie przyjdzie w ogóle.

Gdzieś w pobliżu nastąpiła silna eksplozja i z sufitu posypały się kawałki tynku. Pani Warmington skoczyła na równe nogi.

- Proszę zaprowadzić nas do swojego samochodu, panie Rawsthorne. Musimy stąd natychmiast wyjechać.

Rawsthorne zlekceważył ją mówiąc:

- To najwyżej dwie godziny z nawiązką. Ale powinien wrócić dużo wcześniej.

A tymczasem... - Spojrzał znacząco na sufit.

- Causton powiedział, że najlepiej ukryć się pod schodami - rzekła Julie.

- To znaczy, że tu zostajemy? - przeraziła się pani Warmington. - W takiej sytuacji?

Naraża nas pani na śmierć!

- Nie możemy zostawić pana Caustona - oznajmiła Julie.

- Ja załatwie - wtrącił się Eumenides. - Cho'cie.



Przestrzeń pod głównymi schodami wykorzystywano jako magazyn. Drzwi były zamknięte, ale Eumenides wyważył je pożarniczym toporkiem, wyrzucił wszystkie wiadra i miotły, po czym wpakował do środka zapasy, które zamierzali zabrać. Pani Warmington zaprotestowała stanowczo przeciwko siedzeniu na podłodze, ale umilkła od razu, gdy Julie oświadczyła bez ogródek: „W każdej chwili może pani sobie pójść”. Było im ciasno, ale cała czwórka miała gdzie siedzieć, a gdy drzwi zostały uchylone, Rawsthorne widział przez nie główne wejście, natychmiast zobaczyłby więc Caustona, gdyby ten się pojawił.

- Causton nie powinien być w ogóle się stąd ruszać - powiedział zmartwiony. - Nigdy nie widziałem St. Pierre w takim stanie. Miasto zaczyna wrzeć.

- Nic mu nie będzie - uspokoiła go Julie. - Ma spore doświadczenie w takich sprawach. To jego praca.

- Dzięki Bogu, że nie moja - powiedział z przekonaniem Rawsthorne. - Wojska rządowe musiały ponieść nad Negrito straszną klęskę. W mieście jest pełno uciekających dezertersów i wielu rannych. - Pokręcił głową. - Skoro tak się stało, atak Favela musiał być zupełnie zaskakujący. Siły rządowe mają co najmniej trzykrotną przewagę liczebną.

- Wspomniał pan, że Serrurier stawia opór - rzekła Julie. - To znaczy, że walki będą trwały nadal.

- Mogą trwać bardzo długo - powiedział z powagą Rawsthorne. - Serrurier ma jednostki, które wczoraj nie wzięły udziału w walce. Favel nie dał im na to czasu. Ale te nowe formacje okopują się na północy miasta, co oznacza kolejną bitwę. - Z dezaprobatą mlasnął językiem. - Obawiam się, czy Favel nie przecenił swoich sił.

Zamilkł i wszyscy wsłuchali się w odgłosy walki. Od strony przedmieść dobiegał nieustanny łoskot dział, który przerywała często bliższa i głośniejsza eksplozja spadającego pocisku. Powietrze w hotelu drgało i wypełniało się stopniowo lotnym pyłem, lśniąc we wpadających do foyer promieniach słońca jak w świetle reflektorów.

Julie ruszyła się z miejsca i zaczęła szukać czegoś w pudłach, które Eumenides upchnął z tyłu.

- Jadł pan śniadanie, panie Rawsthorne?

- Nie miałem czasu, moja droga.

- Równie dobrze możemy zjeść coś teraz - powiedziała rzeczowo Julie. - Myślę, że zdołam pokroić chleb, jeśli trochę się przesuniemy. Lepiej go zjedzmy, zanim zupełnie szcerstwieje.

Skonsumowali śniadanie złożone z chleba i mielonki, popijając to wszystko wodą sodową. Gdy skończyli, Rawsthorne zapytał:

- Która godzina? Nie mogę sięgnąć do zegarka.

- Dziesiąta piętnaście - odparła Julie.

- Możemy dać Caustonowi jeszcze trzy kwadranse - oświadczył Rawsthorne. - Potem musimy jechać. Przykro mi, ale to konieczne.

- W porządku - rzekła cicho Julie. - Sam nam powiedział, żebyśmy wyruszyli o jedenastej.

Chwilami słyszeli odległe nawoływania i podniecone okrzyki, a od czasu do czasu tupot nóg. Nagle Eumenides zapytał:

- Pana samochód... jes' na ulicy?

- Nie - odparł Rawsthorne. - Zostawiłem go z tyłu hotelu. - Zamilkł na moment. - Wóz Wyatta jest w opłakanym stanie. Ma rozbite wszystkie szyby. Ktoś ściągnął koła, pewnie potrzebował opon.

Zapadło niezręczne milczenie. Pani Warmington ścisnęła kurczowo torebkę, coraz to wygłaszając jakiś monolog. Julie nie zwracała na nią uwagi. Słyszając wybuchy pocisków zastanawiała się, co będzie, jeśli któryś trafi bezpośrednio w hotel. Nie miała pojęcia, jakie zniszczenia może spowodować. Widywała takie rzeczy tylko w kinie i w telewizji, słusznie jednak uważała, że film daje jedynie mglistą wizję rzeczywistości. Zaszło jej w ustach i poczuła, że bardzo się boi.

Upływały smętne minuty. Pani Warmington zapiszczała przeraźliwie, gdy w pobliżu

wybuchł pocisk - jeszcze żaden nie trafił tak blisko - i w foyer poleciały wszystkie szyby. Zaczęła się podnosić, ale Julie przyciągnęła ją z powrotem. - Proszę nie ruszać się z miejsca! - krzyknęła. - Tu jest bezpieczniej.

Pani Warmington opadła na ziemię i Julie jakby lepiej się w tym momencie poczuła. Spojrzała na Eumenidesa, którego twarz wyglądała blado w nikłym świetle. Zastanawiała ją, o czym myśli.

Było mu ciężko, gdyż radząc sobie słabo z angielskim nie mógł się łatwo porozumieć. Kiedy mu się przyglądała, podniósł dłoń do oczu i obwieścił:

- Za piętnaście 'denasta. Myślę, że lepiej załadować samochód.

Rawsthorne ruszył się z miejsca.

- Tak, to chyba dobry pomysł - powiedział, starając się otworzyć drzwi. - Chwileczkę. Jest już Causton.

- Dzięki Bogu! - odetchnęła Julie.

Rawsthorne otworzył szerzej drzwi i nagle zmartwiał.

- Nie, to nie on - wyszeptał. - To jakiś żołnierz, a za nim idzie jeszcze jeden. - Zamknął ostrożnie drzwi, zostawiając tylko wąską szparę, by jednym okiem móc wyglądać na zewnątrz. Żołnierz niósł przewieszony przez ramię karabin, natomiast idący za nim mężczyzna, także w mundurze, nie miał broni. Weszli do foyer, niedbałymi kopniakami usuwając z drogi wyplatane krzesła i stali tam przez chwilę, rozglądając się po zakurzonej luksusowym wnętrzu. Jeden z nich odezwał się, wskazując na coś ręką, a drugi wybuchnął śmiechem i obaj zniknęli im z oczu.

- Poszli do baru - wyszeptał Rawsthorne.

Usłyszał brzęk butelek i głośny śmiech, a w pewnym momencie rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Potem zapadła cisza.

- Nie możemy wyjść, dopóki tam są - powiedział półgłosem. - Zobaczyliby nas.

Będziemy musieli zaczekać.

Czekanie przeciągało się i Rawsthorne poczuł, że cierpnie mu noga. Niczego nie słyszał, zaczął się więc zastanawiać, czy żołnierze nie opuścili hotelu tylnymi drzwiami. W końcu zapytał szeptem:

- Która godzina?

- Dwadzieścia po jedenastej.

- To bez sensu - oświadczyła głośno pani Warmington. - Nic nie słyhać, musieli już sobie pójść.

- Cisza! - skarcił ją Rawsthorne. Jego głos zabrzmiał szorstko. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym powiedział spokojnie: - Możliwe, że sobie poszli. Spróbuję się rozejrzeć.

- Niech pan będzie ostrożny - szepnęła Julie. Miał zamiar znów otworzyć drzwi, znieruchomiał jednak i zaklął cicho od nosem. Jeden z żołnierzy wyłonił się z baru i szedł powoli przez foyer, popijając z butelki. Kiedy znalazł się przy wejściu do hotelu, stał tam przez chwilę, wyglądając na ulicę przez rozbite szyby w obrotowych drzwiach, po czym krzyknął nagle do kogoś na zewnątrz, machając butelką w powietrzu.

Dwaj kolejni mężczyźni weszli do środka, wdając się z nim w krótką rozmowę. Żołnierz szerokim gestem wskazywał w kierunku baru, jakby chciał powiedzieć „serdecznie zapraszam”. Jeden z dwóch mężczyzn zakrzyknął do kogoś na zewnątrz i nagle kilkunastu ludzi w mundurach przemaszerowało przez foyer do baru. Słyszało się wrzawę gromkich męskich głosów.

- Niech ich cholera! - zaklął Rawsthorne. - Zaczynają bankiet.

- Co możemy zrobić? - zapytała Julie.

- Nic - odparł krótko Rawsthorne. Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Myślę, że to dezertery. Wolałbym, żeby nas nie zauważyli, zwłaszcza... - Urwał w pół zdania.

- Zwłaszcza kobiet - dokończyła beznamiętnym tonem Julie i poczuła, że pani Warmington zaczyna drżeć.

Leżeli w milczeniu, nasłuchując dochodzącej z baru wrzawy, ochrypłych krzyków, odgłosów tłuczonego szkła i hałaśliwych śpiewów. Rawsthorne stwierdził w końcu:

- W mieście nie obowiązują już chyba żadne prawa.
- Chcę się stąd wydostać! - oświadczyła nagle na cały głos pani Warmington.
- Uspokójcie tę kobietę! - syknął Rawsthorne.
- Nie zostanę tutaj - krzyknęła, próbując się podnieść.
- Niech pani przestanie - szepnęła gniewnie Julie, ciągnąc ją z powrotem.
- Nie możecie mnie tu zatrzymać! - wrzasnęła pani Warmington.

Julie nie miała pojęcia, co zrobił Eumenides, ale nagle pani Warmington osunęła się na nią jak ciepła, bezwładna, zwiotczała masa. Julie dźwignęła się gwałtownie, by zrzucić ją z siebie, po czym szepnęła:

- Dziękuję, Eumenidesie.

- Na litość boską! - syknął Rawsthorne, wyteżając słuch, aby sprawdzić, czy w brzmieniu głosów dochodzących od strony baru nie nastąpiła jakaś nagła i niepokojąca zmiana. Nic jednak nie zaszło. Zrobiło się nawet jeszcze głośniejsze. Alkohol uderzał tym ludziom do głowy. Po chwili Rawsthorne zapytał cicho:

- Co się dzieje z tą kobietą? Jest nienormalna?

- Nie - odparła Julie. - Po prostu potwornie rozpuszczona. Przez całe życie robiła wszystko po swojemu i nie potrafi wyobrazić sobie sytuacji, w której takie postępowanie naraża ją na śmierć. Nie umie się przystosować. - W głosie Julie pobrzmiewała zaduma. - W sumie chyba mi jej żal.

- Tak czy inaczej, niech lepiej siedzi cicho - stwierdził Rawsthorne, po czym wyjrzał przez szparkę. - Bóg raczy wiedzieć, jak długo to towarzystwo tu zostanie. Upijają się coraz bardziej.

Leżeli nasłuchując awanturniczego zgiełku, który zagłuszały chwilami odgłosy bitwy. Julie spoglądała ciągle na zegarek, zastanawiając się, jak długo to jeszcze potrwa. Co pięć minut mówiła sobie, że już za pięć minut wyjdą, ale okazywało się inaczej. Nagle usłyszała stłumiony głos Rawsthorne'a.

- O co chodzi? - zapytała szeptem.

Rawsthorne odwrócił głowę.

- Nadchodzą następni - oznajmił i zaczął znowu obserwować bieg wydarzeń. Tym razem zjawiono się siedmiu ludzi: sześciu żołnierzy i mężczyzna wyglądający na oficera. Zdyscyplinowanym krokiem weszli do foyer i zaczęli się rozglądać. Oficer zajął do baru i coś krzyknął, ale jego głos utonął w zgiełku, wyjął więc rewolwer i strzelił w powietrze. W hotelu zapanowała nagle cisza.

Pani Warmington lekko się poruszyła, wydając bełkotliwy jęk. Zaciśnięwszy jej rękę na ustach Julie usłyszała gniewny pomruk Rawsthorne'a i zobaczyła, że odwraca nieco głowę, jakby rzucał okiem, co dzieje się za jego plecami.

Oficer krzyknął coś rozkazującym tonem i dezernerzy zaczęli jeden za drugim wychodzić z baru do foyer. Stali tam, mrużąc między sobą i rzucając oficerowi zuchwałę, wyzywające spojrzenia. Jako ostatni pojawił się żołnierz z karabinem. Był zupełnie pijany.

Oficer nawymyślał im, chrypiąc z wściekłości. Potem wykonał lakoniczny gest i rozkazał krótko, by ustawili się w szeregu. Pijany żołnierz z karabinem krzyknął coś i zdjął broń z ramienia, odbezpieczając ją. Oficer rzucił zwięzły rozkaz stojącemu za nim mężczyźnie. Ten uniósł lufę erkaemu i nacisnął spust. Foyer wypełniło się głośnym staccato i seria pocisków ugodziła żołnierza w pierś, ciskając nim o stół, który załamał się z trzaskiem.

Zabłąkana kula przedziurawiła drzwi w pobliżu głowy Rawsthorne'a. Cofnął się odruchowo, nie spuścił jednak oka z foyer i zobaczył, jak oficer znużonym gestem daje znak dezernerom, którzy ustawiają się posłusznie w szeregu i wychodzą z hotelu pod eskortą uzbrojonych żołnierzy. Oficer włożył rewolwer do kabury i spojrzał na leżące zwłoki. Kopnął je ze złością, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Dopiero po pięciu minutach Rawsthorne powiedział ostrożnie:

- Myślę, że teraz możemy wyjść.

Kiedy otworzył drzwi i do magazynu wpadło światło, Julie puściła panią Warmington,

która osunęła się bezwładnie na Eumenidesa. Rawsthorne wygramolił się na zewnątrz i Julie poszła w jego ślady, po czym oboje odwrócili się, by wyciągnąć starszą panią.

- Jak ona się czuje? - zapytała Julie. - Myślałam, że ją uduszę, ale musiałam ją uciszyć. Rawsthorne pochylił się nad panią Warmington. - Nie jej nie będzie - zapewnił.

Dopiero w dwadzieścia minut później znaleźli się w samochodzie, gotowi do wyjazdu. Pani Warmington - przytomna, ale zupełnie oszołomiona - nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Eumenides był blady i wstrząśnięty. Kiedy usadowił się w samochodzie, zauważył tuż pod lewym rękawem marynarki długie rozdarcie i uświadomił sobie z niewczesnym przerażeniem, że zbłąkana kula, która przestraszyła Rawsthorne'a, o mało nie trafiła go w serce.

- Mamy pełny bak benzyny - oznajmił Rawsthorne sprawdzivszy wskaźniki. - A z tyłu są dwa zapasowe kanistry. To powinno wystarczyć.

Uruchomił silnik i samochód zaczął zjeżdżać po wąskiej alei z tyłu hotelu w kierunku głównej ulicy. Umieszczona na masce brytyjska flaga powiewała z lekka na wietrze.

Była za kwadrans druga.

### III

Kiedy Causton wyszedł z hotelu, miał wrażenie, że bardzo rzuca się w oczy, jak gdyby ze wszystkich stron padały na niego oskarżycielskie spojrzenia, wkrótce jednak uspokoił się, zdawszy sobie sprawę, że otaczający go ludzie są zajęci wyłącznie własnymi problemami. Patrząc w głąb zatłoczonej ulicy w stronę Place de la Liberation Noire zauważył kłęb czarnego dymu, który wskazywał miejsce pożaru, a potem na jego oczach gdzieś na samym środku placu wybuchł pocisk.

Odwrócił się i zaczął wraz z innymi spieszyć w przeciwnym kierunku. Panował piekielny harmider. Grzmot dział, jękliwy świst przecinających powietrze pocisków i ogłuszające eksplozje wystarczająco dawały się we znaki, ale zgiełk tłumu był jeszcze gorszy. Z jakiegoś powodu wszyscy krzyczeli, a fakt, że robili to w niezrozumiałym dla niego języku, pogarszał tylko sprawę.

W pewnej chwili ktoś chwycił go za rękę, wykrzykując mu prosto w twarz bezsensowne słowa. Causton powiedział: „Przykro mi, stary, ale nic z tego nie rozumiem” i odtrącił przytrzymującą go dłoń. Dopiero odwróciwszy się zdał sobie sprawę, że sam też wydzierał się na całe gardło.

W tłumie przeważała ludność cywilna, choć było tam także wielu żołnierzy, w większości nie uzbrojonych. Na ogół nie wyglądali na rannych i zachowywali niezłą formę, jeśli nie liczyć zmęczenia i czającego się w ich oczach strachu. Causton doszedł do wniosku, że ludzie ci musieli po raz pierwszy w życiu zetknąć się z huraganowym ostrzałem artyleryjskim i załamali się pod jego naporem. Nie brakowało również rannych, przytrzymujących w mozolnym marszu złamane ręce lub kulejących z powodu ran na nogach. Najpotworniejszy był widok młodego żołnierza, który szedł chwiejnym krokiem, trzymając się rękami za brzuch, a spomiędzy śliskich palców wysuwały mu się czerwone wnętrzości.

Morale ludności cywilnej ucierpiało chyba nawet bardziej niż wojska. Ludzie biegali tam i z powrotem, jakby bez celu. Causton obserwował pewnego człowieka, który w ciągu sześciu minut minął go sześciokrotnie, spiesząc za każdym razem w przeciwnym kierunku, dopóki nie zniknął w tłumie. Natknął się też na dziewczynę w czerwonej sukience, która stała na środku ulicy, zakrywając sobie rękami uszy, a jej urodziwa twarz była wykrzywiona w nieustannym krzyku. Słyszał go jeszcze długo, przedzierając się wśród przerażonego tłumu.

Postanowił w końcu wejść w jakąś boczną ulicę, z dala od ścisłu, przedostał się więc na chodnik i skręcił w pierwszą przecnicę. Nie było tam tak tłoczno, dzięki czemu mógł poruszać się szybciej. Powinien o tym pamiętać, gdy będzie wyjeżdżał z miasta

samochodem. W pewnej chwili natknął się na młodego żołnierza, który siedział na pomarańczowej skrzyni. Obok miał karabin, a jeden z rękawów munduru zwisał mu luźno wzdłuż ciała. Causton przystanął i zapytał:

- Złamałeś rękę?

Młody człowiek podniósł wzrok, nic nie rozumiejąc. Jego twarz była szara ze zmęczenia. Causton poklepał się po ramieniu.

- Le bras - powiedział, po czym uczynił taki gest, jakby przełamywał na kolanie kij. - Złamane?

Żołnierz smętnie przytaknął.

- Zajmę się tym - oświadczył Causton i przykucnął, pomagając mu zdjąć bluzę.

Rozwalił nogą pomarańczową skrzynkę, aby zrobić szyny, po czym opatrzył żołnierzowi ramię. - Wszystko będzie dobrze - stwierdził na odchodnym. Bluzę i karabin zabrał jednak ze sobą. Miał już teraz niezbędne rekwizyty.

Bluza od munduru była za ciasna, więc jej nie zapiął. Spodnie nie pasowały do kompletu, brakowało też czapki, nie uważał jednak, by miało to znaczenie. Najważniejsze, że przypominał wyglądem żołnierza, co dawało mu prawo do bycia na wojnie. Podniósł karabin i odbezpieczwszy go stwierdził, że magazynek jest pusty, Uśmiechnął się z zadumą. To również było bez znaczenia. Nigdy w życiu do nikogo nie strzelał i nie miał zamiaru teraz zaczynać, Posuwając się powoli zaznaczoną starannie na mapie okrężną drogą dotarł wzdłuż wybrzeża na wschodnie peryferie miasta. Z ulgą stwierdził, że jest tam mniej tłoczno, a ludzie są jakby spokojniejsi. Przy drodze zauważył wąski strumień uchodźców, który w ciągu dnia miał się przekształcić w istną powódź. Im szybciej Rawsthorne wywiezie ich z miasta, tym będzie lepiej dla wszystkich, zawrócił więc, spoglądając na zegarek. Było później, niż sądził: dochodziła dziesiąta.

Okazało się, że zmierza teraz pod prąd i coraz trudniej mu się poruszać, a w miarę, jak zbliżał się do niespokojnego centrum, miało być jeszcze gorzej. Spojrzał przed siebie i zobaczył na nieboskłonie rozpostarty nad centralnymi dzielnicami całun dymu. Miasto zaczynało płonąć. „To i tak długo nie potrwa”, przemknęła mu ponura myśl. Chyba, że Wyatt się mylił.

Przeciskał się do tego domu wariatów, jakim było St. Pierre, rozpychając się w tłumie napierających na niego ciał i bezlitośnie torując sobie drogę kolbą karabinu. W pewnym momencie natknął się na żołnierza, który robił to samo. Stanęli twarzą w twarz. Causton odwrócił karabin i z głośnym trzaskiem odciągnął rygiel, myśląc „co zrobię, jeśli to do niego nie dotrze?” Żołnierz spojrzał nerwowo na wycelowaną w jego brzuch lufę, próbował bez przekonania podnieść broń, którą trzymał w rękach, ale widać zmienił zdanie i cofnął się, znikając w tłumie. Causton smętnie się uśmiechnął i ruszył dalej.

Był niedaleko od hotelu Imperiale, kiedy tłum tak bardzo zgęstniał, że nie dało się już iść. „Chryste!”, pomyślał. „Jesteśmy tu wystawieni na pociski jak kaczkę”. Próbował się cofnąć, ale okazało się to równie trudne jak marsz do przodu. Najwyraźniej jakaś nieruchoma przeszkoda zatrzymała tłum.

Zobaczył, co to takiego, gdy cofnął się wystarczająco, prawie do narożnika. Z bocznej ulicy wyłoniła się nieoczekiwanie grupa wojskowych, stając w szeregu w poprzek głównej arterii z bronią wycelowaną w tłum. Wyciągano stamtąd mężczyzn i ustawiano ich rzędem na pustym odcinku jezdni. Causton, rzuciwszy tylko okiem, próbował się schować, ale było już za późno. Czyjaś ręka pochwyciła go błyskawicznie, wyciągnęła z tłumy i pchnęła, by dołączył do pozostałych. Serrurier robił pospieszoną obławę na swą rozpadającą się armię.

Spojrzał na grupę ludzi, do których go dołączono. Byli to sami żołnierze i żaden nie był ranny. Wpatrywali się w ziemię z minami winowajców. Causton zwiesił ramiona, spuścił głowę i stanął dyskretnie między nimi, usuwając się jak najdalej w tył. Po chwili zjawił się jakiś oficer i wygłosił do nich mowę. Causton nie zrozumiał ani słowa, ale pojął mniej więcej, o co chodzi. Byli dezertkami, uciekinierami z pola walki, których należało rozstrzelać, jeśli nie o świcie, to o wiele wcześniej. Mieli szansę pozostać przy życiu jedynie wtedy, gdy pójdą stawić czoło działom Favela, ku większej chwale San Fernandez

i prezydenta Serruriera.

Aby trafić im do przekonania, oficer przeszedł wzdłuż pierwszego szeregu żołnierzy i wybrał sześciu z nich. Zostali zaprowadzeni pod fronton jednego z budynków, jak nieszczęsne, oszołomione i niczego nie rozumiejące stadko owiec. Nagle rozległ się terkot broni maszynowej i wszyscy zachwiali się, padając pod gradem kul. Oficer podszedł spokojnie w ich kierunku i strzelił w głowę jakiemuś krzyczącemu jeszcze nieszczęśnikowi, po czym odwrócił się i wydał stanowczy rozkaz.

Na dezertarów wszystko to skutecznie podziało. Pośród wrzaskliwych komend podoficerów uformowali w miarę uporządkowaną kolumnę i odmaszerowali w boczną uliczkę. Między nimi był Causton. Spojrzał po drodze na pluton egzekucyjny w ciężarówce, a potem na sześć martwych ciał po drugiej stronie ulicy. „Pour encourager les autres”, pomyślał.

Tak oto Causton został wcielony do armii Serruriera.

#### IV

Dawson był zdumiony tym, co zrobił.

Należał przez całe życie do cywilizowanej społeczności Północnej Ameryki i w efekcie nie zdołał nigdy sprawdzić, jak by się zachował, gdyby naprawdę znalazł się w opalach. Jak większość żyjących współcześnie cywilizowanych ludzi nie miał do czynienia z tego typu sytuacjami. Społeczeństwo hołubiło go i zapewniało mu ochronę, a on płacił jak należy podatki, aby owa opieka trwała nadal i aby inni ludzie odgradzali go od prymitywnej rzeczywistości, w której zdarza się śmierć od kuli lub z powodu tortur.

Chociaż cieszył się opinią niezależnego, typowo amerykańskiego supermana i choć istniało ryzyko, że pewnego dnia uwierzy w to, co piszą o nim gazety, w głębi duszy rozumiał fałszywość tego obrazu i od czasu do czasu zastanawiał się, jakim człowiekiem jest naprawdę. Odpędzał od siebie te myśli, gdy tylko je sobie uświadomił, miał bowiem nieprzyjemne poczucie własnej słabości i bardzo go ono dręczyło. Obraz, który ukształtował na użytek publiczny, przedstawiał kogoś, kim chciał być i nie potrafił znieść podejrzeń, że może wcale taki nie jest. Nie było jednak sposobu, żeby to sprawdzić. Nigdy dotąd nie został poddany próbie. Ubodła go nieukrywana pogarda Wyatta i poczuł coś w rodzaju wstydu, że próbował ukraść samochód. Mężczyzna nie powinien tak postępować. Gdy więc nastąpiła dla niego godzina próby, jakiś wewnętrzny impuls sprawił, że skrzyżowawszy ręce powiedział śmiało do podinspektora Roseau „wynoś się do diabła, koleś, i to migiem”.

Teraz więc, gdy wokół rozpełtało się istne piekło, leżał na łóżku zdumiony tym, co zrobił. Nigdy by nie uwierzył, że zdoła znieść tyle bólu. Odczuwał dumę, że tracąc już przytomność w gabinecie Roseau spojrzął w jego nieprzejednaną twarz i wymamrotał jeszcze raz powtarzam: idź do diabła, sukinsynu”.

Ocknął się w czystej pościeli, mając zabandażowane ręce i opatrzone rany. Nie wiedział, jaki był tego powód. Nie pojmował też, dlaczego nie może podnieść się na łóżku. Próbował kilka razy, a potem zrezygnował, koncentrując uwagę na swym nowym, zdumiewającym wcieleniu. W ciągu jednej krótkiej godziny odkrył, że już nigdy nie będzie musiał tworzyć swego publicznego wizerunku i że nie potrzebuje się więcej wzbraniać przed autoanalizą.

- Już nigdy nie będę się bał - wyszeptał głośno przez posiniaczone wargi. - Na Boga, wszystko przetrzymałem. Nie muszę się więcej bać!

A jednak odczuwał znowu strach, gdy zaczął się ostrzał artyleryjski. Nie umiał zapanować nad pierwotnymi reakcjami organizmu. Jego gruczoły pracowały normalnie i kiedy na Place de la Liberation Noire spadła lawina pocisków, zaczął się bać. Skulił się na łóżku i patrzył w sufit, zastanawiając się bezradnie, czy nie wleci tamtędy jakaś bomba, by pozbawić go odwagi, którą właśnie w sobie odkrył.

#### V

Wyatt siedział obok, w rogu celi, zatykając rękami uszy z powodu nieopisanego, ogłuszającego hałasu. Przelatujący kawałek szyby przeciął mu twarz, ale na szczęście oczy nie ucierpiały. Przez jakiś czas wyjmował ostrożnie ze skóry odłamki szkła, co było bardzo bolesnym zabiegiem. Musiał tak się na tym skoncentrować, że nie zwracał uwagi na nic więcej. Teraz jednak zaczął zdawać sobie w pełni sprawę, co się dzieje.

Wyglądało na to, że Favel skierował wszystkie działa na Place de la Liberation Noire. Eksplozje następowały jedna po drugiej, a przez okienko wpadał do celi gryzący zapach prochu. Posterunek policji nie został jeszcze trafiony, a przynajmniej tak się Wyattowi zdawało. Był pewien, że zauważyłby to. Siedział w kącie, skulony jak konik polny, z podkurczonymi nogami i głową opuszczoną między kolana, zastanawiając się intensywnie, co zrobi, gdy na posterunek spadną pociski - o ile w ogóle pozostanie wtedy przy życiu. Nagle rozległ się potężny huk, od którego zdrząło w celi powietrze. Wyatt poczuł się jak mysz w ogromnym bębnie. Przez moment był kompletnie ogłuszony i wrzawa z zewnątrz docierała do niego jakby przez sto warstw tkaniny. Stanął chwiejnie na nogach, potrząsnął skołataną głową i oparł się o ścianę. Po chwili poczuł się lepiej i zaczął oglądać z uwagą niewielkie pomieszczenie, w którym go więzono. Posterunek został trafiony - to nie budziło wątpliwości - i, na miły Bóg, coś musiało się zawalić.

Popatrzył na przeciwległą ścianę. Z pewnością nie było na niej przedtem wybrzuszenia. Podeszedł bliżej, aby mu się przyjrzeć i zobaczył biegnącą pionowo długą, zygzakowatą szczelinę. Przyłożył w tym miejscu rękę, napierając ostrożnie na mur, a potem przywarł do niego ramieniem, próbując pchnąć mocniej. Mur nawet nie drgnął.

Cofnął się i zaczął rozglądać się po celi, aby znaleźć coś, czym mógłby go rozbić. Spojrzał na taboret, ale mu nie odpowiadał - był zrobiony z lekkiego drewna. Stanowiłby wystarczająco dobrą broń przeciwko człowiekowi, ale nie nadawał się do walki z murem. Pozostawało jeszcze łóżko. Zrobiono je z żelaza, a u wezłowia i w nogach główna rama osadzona była w otworach. Wezłowie łóżka składało się z metalowych rurek połączonych sworzniami, które jednak porzewiały i wyciąganie ich było nie lada zadaniem. Ale pół godziny później Wyatt miał już niezły zestaw narzędzi, którymi mógł się posłużyć: dwa prymitywne łomy, kilka skrobaczek, wykonanych ze sprężyn od łóżka oraz przedmiot, dla którego nie znalazł nazwy, ale który bez wątplenia potrafiłby do czegoś wykorzystać.

Czując się jak Edmund Dantes uklęknął pod ścianą i za pomocą skrobaczki zaczął usuwać ze szczeliny luźną zaprawę. Liczyła sobie kilka wieków, była twarda i nie poddawała się łatwo, ale eksplozja nadwerżyła mur, stopniowo więc Wyatt zdołał wydrążyć niewielki otwór, na tyle szeroki i głęboki, by wsadzić weń końcówkę łomu. Potem napiął do oporu mięśnie i udało mu się poruszyć odrobinę kamienny blok, z którym walczył.

Cofnąwszy się o krok, by zbadać sytuację, uświadomił sobie, że intensywny ostrzał artyleryjski placu ustał. Pocisk, który spowodował pęknięcie muru, musiał być jednym z ostatnich, jakie wystrzelono w ich kierunku i teraz słychać było tylko ogólny zgiełk bitwy, toczącej się na północ od miasta.

Wyatt przestał myśleć o wojnie i spojrzał z zadumą na swój zaimprovizowany łom. Łom jest dźwignią, a raczej jej częścią - drugą stanowi punkt podparcia, którego mu brakowało. Chwycił tył łóżka i ustawił go pod ścianą. Nadawał się na punkt podparcia, ale nie w miejscu, gdzie była dziura. Musiał zacząć od początku i zrobić następny otwór.

Zajęło to znowu sporo czasu. Zdrapywał cierpliwie twardą jak stal zaprawę, rozbijając ją na kawałki i odłupując, a kiedy skończył, miał posiniaczone i zakrwawione kostki, zaś czubki palców były tak obolałe, jakby ktoś szlifował je do żywego ciała papierem ściernym. Wyatt zaczynał też odczuwać pragnienie. Wypił całą wodę z niewielkiej karafki, którą miał w celi, a od owej potężnej eksplozji nikt się już w pobliżu nie zjawił. Był to dobry znak.

Wetknął końcówkę łomu w nowy otwór i znów wyteżył wszystkie siły. Raz jeszcze poczuł, że mur minimalnie drgnął. Chwycił tylną część łóżka i ustawił ją piętnaście centymetrów od ściany, po czym wsunął łom w dziurę. Spoczywał wygodnie na metalowej ramie. Wyatt głęboko wciągnął powietrze i oparł się o niego całym ciężarem. Coś musiało

pęknąć: łom, łóżko, mur - albo on sam. Miał nadzieję, że będzie to mur.

Czuł, jak metalowa rurka łomu wygina się pod ciężarem jego ciała, nadal jednak napierał z całej siły, odrywając stopy od ziemi. Nagle coś zazgrzytało, mur przestał stawiać opór i Wyatt wylądował na podłodze. Odwróciwszy się zaczął kaszleć i rozpędzać ręką unoszący się w celi kurz. Przez wyrwę, którą wybił w murze, wpadały do środka jasne promienie słońca.

Odpoczywał kilka minut, a potem poszedł sprawdzić rozmiar szkód. Według jego obliczeń powinien przebić się jedynie do sąsiedniej celi i było wielką niewiadomą, czy zastanie w niej otwarte drzwi. Jednak ku swemu zaskoczeniu wyjrawszy przez dziurę zobaczył, aczkolwiek niezbyt wyraźnie, fragment placu, zasłonięty częściowo przez poszarpany zewnętrzny mur.

Pocisk, który trafił w posterunek, zniszczył całkowicie sąsiednią celę i tylko dzięki łaskawości znakomitych, choć zapomnianych już budowniczych więzienia, Wyatt nie przeniósł się na łono Abrahama.

Teraz wystarczyło, by przesunął dwa ciężkie bloki z ciosanego kamienia, z których zrobiono mur. Z trudem zmieścił się w otworze, ale na szczęście był szczupły i zdołał się precyzyjnie. Skończyło się na paru nowych zadrapaniach. Po drugiej stronie trudno było znaleźć oparcie dla stóp, gdyż połowa podłogi wyleciała w powietrze i biuro na parterze znalazło się całkowicie pod gołym niebem. Z dołu patrzyły na Wyatta szeroko rozwarte, brązowe oczy jakiegoś człowieka. Był jednak martwy. Leżał na wznak, a klatkę piersiową przygniatał mu kamienny blok.

Balansując po szerokim na stopę występie muru, który dawał jedyne oparcie i pomagając sobie przy tym rękami, Wyatt obserwował równocześnie plac. Był opustoszały i wyludniony, jeśli nie liczyć setek porzucanych wszędzie ciał, ciał ludzi ubranych w jasnoniebieskie mundury armii rządowej. Położenie zmieniał jedynie dym, który wydobywał się z kilkunastu płonących jak pochodnie wojskowych ciężarówek, zgrupowanych wokół centralnego punktu placu: heroicznego posągu Serruriera. Tyle że pomnika już nie było. Zdmuchnęła go z cokołu lawina pocisków.

Wyatt popatrzył w dół. Bez trudu mógłby tam zejść i znaleźć się na wolności. Potem jednak spojrzął przed siebie i zobaczył wiszące bezwładnie na pojedynczym zawiasie drzwi zniszczonej celi. Zawahał się, ale wiedział, co trzeba zrobić. Musiał odszukać Dawsona.

Posuwając się ostrożnie wzdłuż wąskiego występu muru dotarł do jego szerszej i bezpieczniejszej części w pobliżu drzwi. Odtąd wszystko poszło już gładko i w ciągu trzydziestu sekund znalazł się na korytarzu z celami. O dziwo, poza pokrywającą wszystko grubą warstwą kurzu nic tam nie wskazywało, że budynek został trafiony przez pocisk.

Idąc korytarzem krzyknął: „Dawson!” i zdumiał się, że jego głos brzmi jak krakanie. Odchrząknąwszy zawołał ponownie, tym razem głośniejszym głosem: „Dawson! Dawson!”

Ze znajdujących się wokół cel dobiegły go bezładne krzyki, nie mógł jednak rozróżnić głosu Dawsona. Zawołał ze złością: „Taisez-vous!” i wrzawa umilkła. Słysząc tylko słaby krzyk z końca korytarza. Przyspieszył kroku i zawołał ponownie:

- Jest pan tam, Dawson?

- Tutaj! - odpowiedział ledwo słyszalny głos.

Wyatt stwierdził, że dochodzi z pomieszczenia obok biura Roseau. Spojrzął na drzwi. Nie była to cela, więc łatwo się tam dostanie. Chwycił ciężką gaśnicę i posługując się nią jak taranem roztrzaskał szybko zamek i wpadł do środka.

Dawson leżał na łóżku z obandażowaną głową i rękami. Miał podbite oczy i stracił chyba kilka zębów.

- Mój Boże! Co oni z panem zrobili? - powiedział Wyatt przyglądając mu się.

Dawson patrzył na niego w milczeniu przez kilka sekund, po czym zdobył się na uśmiech.

- Patrzył pan ostatnio w lustro? - zapytał, wymawiając boleśnie słowa przez opuchnięte wargi.

- No dobrze - stwierdził Wyatt. - Uciekajmy stąd.



- Nie mogę - oznajmił Dawson, hamując gniew. - Ci dranie przywiązali mnie do łóżka.

Wyatt zrobił krok do przodu i zobaczył, że faktycznie tak było. Dawsona przewiązano dwoma szerokimi pasami, a klamry znajdowały się głęboko pod łóżkiem, o wiele dalej niż mógł sięgnąć. Wyatt wszedł tam i zaczął je rozpinać.

- Co się stało po tym, jak pana pobili? - zapytał.

- Tego właśnie nie pojmuję - odparł z zakłopotaniem Dawson. - Obudziłem się tutaj, cały w bandażach. Po co mnie opatrzyli, do diabła?

- Napędziłem Roseau trochę strachu - wyjaśnił Wyatt. - Cieszę się, że to podziałało.

- Pewnie mimo wszystko nie chcieli mnie stracić - stwierdził Dawson. - Dlatego mnie przywiązali. Przeżywałem tu katusze, czekając aż przez sufit wpadnie jakiś pocisk. Dwa razy myślałem już, że tak się stało.

- Dwa razy? Sądziłem, że był tylko jeden wybuch.

- Zdaje się, że dwa - powiedział Dawson, wstając z łóżka. Skinął głową na krzesło. - Niech mi pan pomoże włożyć spodnie. Sam chyba nie dam rady. Nie tymi rękami. Och, jakże bym chciał spotkać jeszcze tego sukinsyna Roseau.

- Jak pańskie nogi? - zapytał Wyatt, pomagając mu się ubrać.

- W porządku.

- Będziemy musieli zejść kawałek po ścianie. Niewiele, byle tylko wydostać się na ulicę. Myślę, że da pan sobie radę. Chodźmy.

Znaleźli się na korytarzu.

- Trochę dalej jest dobrze przewietrzona cela - oznajmił Wyatt. - Tamtędy wyjdziemy.

Nagle w korytarzu zabrzmiało przerażająco głośne echo wystrzału. Kula odbiła się rykoszetem od ściany tuż obok głowy Wyatta, obsypując go odłamkami kamienia. Przykucnął gwałtownie i odwróciwszy się zobaczył Roseau, który szedł za nimi korytarzem, chwiejąc się na nogach. Wyglądał strasznie. Mundur miał w strzępach, a prawa ręka zwisała mu luźno, jakby była złamana. Trzymał rewolwer w lewej dłoni i może to uratowało Wyatta przed następnym strzałem, który chybił.

- Tamta cela! - wrzasnął, popychając gwałtownie Dawsona.

Dawson przebiegł kilka metrów, dzielących go od drzwi i zatrzymał się w ostatniej chwili, by nie zlecieć w przepaść, która niespodziewanie rozwarła mu się pod nogami.

Wyatt wycofywał się wolniej, obserwując uważnie Roseau, który szedł chwiejnym krokiem po korytarzu. Roseau nie powiedział ani słowa. Wierchem dłoni, która trzymała broń, otarł krew z zaślepionych fanatyzmem oczu i poruszając szczęką wymierzył niepewnie, aby oddać kolejny strzał. Kiedy rewolwer wypalił, Wyatt rzucił się do drzwi celi i usłyszał wyraźnie głuchy odgłos, gdy kula utkwiała we framudze.

- Tędy! - krzyknął Dawson i Wyatt przeszedł pospiesznie po gruzowisku na wąski występ muru. - Jeżeli ten szaleniec tu się zjawi, będziemy musieli skakać.

- Równie dobry sposób na złamanie nogi, jak każdy inny - stwierdził Wyatt.

Poczuł pod palcami jakiś luźno leżący przedmiot i po chwili ścisnął w dłoni kamień wielkości pięści.

- Idzie - oznajmił Dawson.

Roseau przeszedł przez próg, powłócząc nogami. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że ma przed sobą przepaść. Ruszył niepewnie do przodu, wlepiając wzrok w Wyatta. W chwili, gdy czubki jego butów nie miały już oparcia, podniósł trzymany w drżącej dłoni rewolwer.

Wyatt rzucił kamieniem, trafiając Roseau w skroń. Rewolwer wypalił, a Roseau zatoczył się i straciwszy grunt pod nogami runął twarzą w znajdujące się na dole rumowisko. Jego ręka spoczęła na ramieniu martwego mężczyzny, jakby odnalazł zagubionego kompana, a wzniesiony na nowo kurz pokrył po chwili otwarte, zdumione oczy zmarłego.

Dawson głęboko wciągnął powietrze.

- Chryste! Co za uparty sukinsyn! Dziękuję, panie Wyatt.

Wyatt cały się trząsł. Stał plecami do ściany na występie muru i czekał, aż przestanie

dygotać. Dawson spojrział w dół na ciało Roseau i rzekł:

- On chciał pana wrobić. Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, Wyatt. Niczego się ode mnie nie dowiedział.

- Tak też myślałem - powiedział spokojnie Wyatt. - Zejdźmy na dół. Na razie nic się tu nie dzieje, ale może się to cholernie szybko zmienić.

Schodzili powoli na ulicę. Dawson miał z tym trudności, gdyż bolały go ręce, ale Wyatt pospieszył mu z pomocą. Kiedy stanęli na chodniku, Dawson zapytał:

- Co teraz robimy?

- Ja wracam do hotelu Imperiale - oznajmił Wyatt. - Muszę odnaleźć Julie. Muszę sprawdzić, czy jest jeszcze w St. Pierre.

- Którędy się tam idzie?

- Przez plac - odparł Wyatt, wskazując ręką kierunek. Zaczęli iść przez Place de la Liberation Noire i Dawson patrzył

z przerażeniem na ślady masakry. Wokół leżały setki ciał. Zmuszeni byli je omijać, nie mogli więc przejść w prostej linii więcej niż pięć metrów. W końcu dali za wygraną i zaczęli stąpać po zwłokach.

W pewnej chwili Dawson odwrócił się i wymiotował. Od dłuższego czasu nic nie pił ani nie jadł, więc torsje były suche i wymuszone.

Wyatt kopnął jakiś przedmiot, który głucho zadźwięczał. Spojrzawszy pod nogi zobaczył ściętą ludzką głowę. Patrzyły z niej pozbawione wyrazu oczy, a w lewej skroni widniała potworna dziura.

Była to głowa spizowego posągu Serruriera.

## 5

### I

Causton maszerował przy akompaniamencie huku dział.

Pocił się w upalnym słońcu, wydłużając krok w odpowiedzi na chłoszczące komendy sierżanta i zastanawiał się, jak wybrnie z tej opresji. Gdyby na kilka minut zdołał wyjść z szeregu, wystarczyłoby tylko ściągnąć mundur, rzucić karabin i byłby znów cywilem. Ale nie miał na to większych szans. Byłych dezertów obserwowali pilnie żołnierze uzbrojeni w erkaemy oraz oficer, którego wożono bez przerwy dżipem z jednego końca kolumny na drugi.

W pewnej chwili Causton lekko się potknął. Wyrównał zaraz krok, ale idący obok niego człowiek odwrócił się i powiedział coś w miejscowym języku patois, najwyraźniej zadając mu pytanie. Causton udał niemowę - najdosłowniej w świecie. Wykonywał palcami jakieś skomplikowane ruchy, mając w Bogu nadzieję, że tamten nie pozna się na oszustwie. Mężczyzna piskliwie zachichotał, szturchając w plecy idącego przed nim żołnierza. Najwyraźniej uznał to za świetny dowcip, że mają w swoim gronie niemowę i na Caustona zwróciły się ciekawskie spojrzenia. Miał nadzieję, że pasta do butów na jego twarzy nie spłynie razem z potem.

Słyszał w niewielkiej odległości strzały z ręcznej broni: terkot cekaemów i bardziej nierównomierne, sporadyczne odgłosy karabinów. Były o wiele bliżej, niżby się spodziewał. Favel przesunął linię frontu daleko w głąb przedmieść St. Pierre i sądząc z kanonady niewiarygodnie szybko wyzbywał się amunicji. Causton drgnął, gdy o sto metrów w prawo wybuchł pocisk, dewastując jedną z chat. Żołnierze poczuli się niepewnie i wyraźnie zwolnili tempo marszu.

Sierżant krzyknął coś, oficer zaklął i kolumna ponownie przyspieszyła. Po chwili skręcili w przecznicę i zatrzymali się. Causton obserwował z zainteresowaniem wojskowe ciężarówki, zaparkowane jedna za drugą wzdłuż ulicy i zauważył, że są w większości puste. Zobaczył też, jak żołnierze przetaczają paliwo z baków jednych pojazdów do innych.

Oficer wystąpił naprzód i znów wygłosił do nich mowę. Odpowiadając najwidoczniej na jego pytanie kilku ludzi w kolumnie podniosło karabiny, machając nimi w powietrzu, więc Causton zrobił to samo. Na zwięzły rozkaz oficera żołnierze ci wyszli z szeregu i ustawili się po drugiej stronie ulicy. Causton poszedł z nimi. Oficer najwyraźniej oddzielał ludzi mających broń od tych, którzy porzucili swoje karabiny.

Sierżant przeszedł wzdłuż szeregu stojących od siebie w odstępach, uzbrojonych żołnierzy. Każdego o coś pytał, po czym wydzielał amunicję ze skrzynki, którą niosło za nim dwóch ludzi. Kiedy dotarł do Caustona i zadał mu pytanie, ten odciągnął tylko zamek, żeby pokazać, że karabin jest pusty. Sierżant rzucił mu w ręce dwa magazynki naboju i poszedł dalej.

Causton spojrzął na ciężarówkę. Z jednej z nich wyladowywano karabiny i wręczano je nie uzbrojonym żołnierzom. Nie dla wszystkich starczyło. Z namysłem podrzucił w dłoń dwa magazynki naboju, patrząc za odjeżdżającą ciężarówką, którą zaopatrzono w ropę kosztem innych. Serrurierowi zaczynało brakować paliwa, broni i amunicji, albo raczej miał wszystkiego pod dostatkiem, tylko nie tam, gdzie chciał i nie wtedy, gdy czegoś potrzebował. Było wysoce prawdopodobne, że jego korpus zaopatrzenia został całkowicie rozbity wskutek nadspodziewanie skutecznego ataku Favela.

Załadował karabin, wkładając drugi magazynek do kieszeni. Trudności Serruriera z zaopatrzeniem mogły przyczynić się do śmierci dobrego zagranicznego dziennikarza. Znalazł się w zdecydowanie nieodpowiednim miejscu. Mimo swej awersji do broni uznał, że lepiej być na wszystko przygotowanym. Rozejrzał się wokół, rozważając szansę ucieczki, ale stwierdził ze smutkiem, że były równe zeru. Kto mógł jednak wiedzieć, co przyniosą zmienne koleje wojny?

Padły kolejne gromkie rozkazy i żołnierze znowu odmaszerowali, kierując się tym razem prostopadle do drogi, którą przyszli z centrum miasta. Causton wywnioskował, że posuwają się równolegle do linii ognia. Znaleźli się w jednej z najuboższych dzielnic St. Pierre, w nędznym osiedlu ruder, które zbudowano ze sprasowanych puszek po nafcie i pordzewiałego żelastwa. Nie zauważył żadnego z mieszkańców. Ukrywali się w swych lichych domostwach albo w Pośpiechu je opuścili.

Kierunek marszu ponownie się zmienił. Słyszeli coraz wyraźniej zgiełk bitwy i w końcu wyszli na otwartą przestrzeń, na wrzynający się w przedmieścia cypel ziemi. Kazano im tam stanąć i rozciągnąć się w długi szereg. Causton przypuszczał, że w tym miejscu się zatrzymają. Żołnierze zaczęli się okopywać, używając bagnetów zamiast narzędzi, a Causton z zapalem ich naśladował.

Stwierdził, że wybrano mu na cmentarz wyjątkowo smrodliwe miejsce. Owa leżąca w pobliżu slumsów otwarta przestrzeń była śmietniskiem, na które nie troszczący się o higienę mieszkańcy wyrzucali wszystko, czego chcieli się pozbyć. Causton wbił niechcący pożyczony bagnet w wydęte ścierwo psa, które leżało na wpół zagrzebane pod stertą popiołu. Z cichym sykiem uszły z niego gazy, powodując potworny odór. Causton zakrył ręką usta i przesunawszy się trochę w bok zaczął kopać na nowo, tym razem z lepszym skutkiem. Okazało się, że kopanie na śmietniku ma swoje zalety: bardzo łatwo było zrobić dół, w którym mieścił się człowiek.

Wykopawszy go Causton zaczął się rozglądać. Najpierw spojrzął w tył, szukając drogi ucieczki. Tuż za sobą zobaczył sierżanta, nieugiętego twardziela, z lufą karabinu wymierzoną - może celowo - wprost w niego. Za sierżantem, dokładnie naprzeciwko pierwszego rzędu ruder, stali szeregiem w pewnych odstępach od siebie mocni chłopcy kapitana, gotowi powalić serią z erkaemu każdego, kto próbowałby ucieczki. Sam kapitan znajdował się za żołnierzami. Dowodził nimi od tyłu, kryjąc się za jedną z ruder. Obok stał dżip z włączonym silnikiem i Causton wywnioskował, że kapitan był gotów zwiać, gdyby front się załamał. Nie dawało to powodów do radości.

Skoncentrował uwagę na tym, co działo się z przodu. Pas wolnej przestrzeni rozciągał się z obu stron aż po horyzont i miał około czterystu metrów szerokości - może trzysta pięćdziesiąt. Dalej znajdowały się lepiej skonstruowane domy bogatszych obywateli St.

Pierre. Pas ziemi niczyjej podkreślał ich odrębność i oddzielał je od slumsów. Bitwa najwyraźniej rozgrywała się właśnie tam. Pociski i granaty eksplodowały z przerażającą regularnością, bez umiaru rozrzucając na wszystkie strony fragmenty efektownych rezydencji. Ogień ręcznej broni nie ustawał ani na chwilę. W pewnym momencie źle wymierzony pocisk wylądował zaledwie pięćdziesiąt metrów przed Caustonem, który pochylił głowę i poczuł, jak spadają na niego grudki ziemi.

Doszedł do wniosku, że musi tamtędy przebiegać front i że siły rządowe przegrywają. W przeciwnym razie po co wojsko montowałoby pospiesznie drugą linię ze źle uzbrojonych dezertersów? Mimo wszystko miejsce wybrano nie najgorzej. Gdyby front się załamał, ludzie Favela musieliby pokonać czterysta metrów otwartej przestrzeni. Potem pomyślał jednak o nędznych dwóch magazynkach naboju, które mu przydzielono. Może żołnierze Favela nie mieliby w sumie zbyt trudnego zadania. Wszystko zależało od tego, czy wojska rządowe zdołają się wycofywać w uporządkowany sposób,

Przez dłuższy czas nic się nie działo i Causton, leżąc w upalnym słońcu, poczuł się sennie. Żołnierze mówili mu, że wojna to czas, w którym długie okresy nudy przerywane są krótkimi chwilami strachu. Gotów był im wierzyć, chociaż sam nigdy tego nie doświadczył. Ale też jego praca polegała głównie na przemykaniu się z jednego gorącego miejsca w drugie, a w przerwach oddawał się ze znużeniem poznawaniu zmysłowych uciech w kilkunastu różnych krajach. Ta mała próbka żołnierki zdecydowanie nie przypadła mu do gustu.

Odwracał się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nie wzrosły szanse ucieczki, ale nic się nie zmieniało. Sierżant wpatrywał się w niego z kamiennym obliczem, a stojący z tyłu żołnierze byli stale na swoich miejscach. Kapitan na przemian palił nerwowo papierosy i obserwował przez połowę lornetkę linię frontu. Chcąc zaskarbić sobie życzliwość sierżanta, by móc liczyć na jego przyszłe względy, Causton rzucił mu w pewnej chwili papierosa. Sierżant wyciągnął rękę, spojrział na papieros ze zdumieniem, po czym uśmiechnął się i zapalił go. Odwzajemniwszy uśmiech Causton odwrócił głowę z nadzieją, że nie przyjaźni została zawiązana.

Niebawem zgiełk na linii frontu zaczął narastać i Causton dostrzegł pierwsze poruszające się sylwetki ludzi. Kilka widocznych w oddali postaci przemykało ukradkiem pod ścianami odległych domostw. Wyteżył wzrok, żałując, że nie ma lornetki kapitana. Słyszał za sobą jego stanowcze rozkazy i dochodzące z bliższej odległości buńczuczne krzyki sierżanta, nie zwracał jednak na nie uwagi, gdyż rozpoznał właśnie w odległych postaciach żołnierzy wojsk rządowych. Biegli co sił w nogach. Front został przełamany. Znajdujący się najbliżej niego żołnierz wystawił karabin i odbezpieczył go. Causton usłyszał, jak przez cały szereg okopów przechodzi seria metalicznych trzasków, nie oderwał jednak wzroku od rozgrywających się przed nim scen. Najbliższy żołnierz w niebieskim mundurze był w połowie drogi - o jakieś dwieście metrów od niego - gdy nagle wyrzucił w górę ręce i bezradnie runął do przodu, jakby się o coś potknął. Upadł skulony na ziemię, zadrgał konwulsyjnie i znieruchomiał.

Pole wypełniali teraz wycofujący się bezładnie żołnierze. Niektórzy, doświadczeni w boju, uciekali krótkimi zygzakami, stale zmieniając kierunek, aby zmylić celujących w nich od tyłu strzelców. Tak robili co bardziej inteligentni. Ci głupszy albo tacy, których obezwładnił strach, biegli wprost przed siebie i to właśnie ich dopadały kule z terkocących cekaemów i trzaskających karabinów.

Causton stwierdził nagle ze zdumieniem, że znajduje się pod ostrzałem. Wokół niego rozlegały się ciągle jakieś świsty, których źródła nie potrafił początkowo określić. Ale gdy zauważył kątem oka, że leżący w pobliżu pies podniósł nagle tylną łapę, jakby Polował we śnie na zające, a o dziesięć metrów dalej wyschnięta ziemia wystrzeliła w górę fontannami kurzu, wcisnął się do swej nory jak żółw w skorupę. Dziennikarska ciekawość wzięła jednak górę i po chwili znów wystawił głowę, aby zobaczyć, co się dzieje.

Na pole zaczęły spadać pociski z moździerzy, wzniesając potężne obłoki kurzu, które przemieszczały się powoli z wiatrem. Pierwszy z wycofujących się żołnierzy był już całkiem

blisko i Causton widział jego rozdziawione usta i szeroko otwarte oczy. Słyszał też twarde uderzenia butów o suchą ziemię. Był w odległości niecałych dziesięciu metrów, kiedy upadł, rozrzucając na boki ręce i nogi, a gdy znieruchomiał, Causton zobaczył w tyle jego głowy otwartą ranę.

Pędzący za nim żołnierz zmienił kierunek i biegł dalej, a jego nogi pracowały jak tłoki. Przeskoczył Caustonowi nad głową i zniknął mu za plecami, gnany przerażeniem. Potem pojawił się następny, i następny, i jeszcze wielu - wszyscy umykali w panice za drugą linię obrony. Sierżant podniósł głos do krzyku, gdy w okopach dało się zauważyć nerwowe poruszenie, jakby żołnierze szykowali się do ucieczki. Gdzieś w pobliżu rozległ się strzał. „Zginiemy, jeśli będziemy uciekać i jeśli tu zostaniemy - w tym drugim przypadku trochę później”, pomyślał Causton. Lepiej było nie ruszać się z miejsca - na razie.

Przez ponad pół godziny mijali ich wyzbyci bojowego ducha żołnierze, którzy ocalili z linii frontu. Niebawem Causton usłyszał dochodzące z tyłu pojedyncze strzały. Ocalałych doprowadzano siłą do porządku. Spojrzał na pole, spodziewając się ataku armii Favela, nie się jednak nie działo, poza tym, że ogień moździerzy na moment ustał, a potem zaczęły strzelać od nowa, tym razem bezpośrednio w ich pozycje. W ciągu tych paru chwil, gdy znad pola bitwy odpływał dym, Causton ujrzał dziesiątki rozrzuconych po polu ciał i usłyszał z kilku miejsc stłumione krzyki i jęki.

Potem nie miał już nawet czasu o niczym pomyśleć, gdyż z nieba zaczął się sypać grad stalowych pocisków. Przycupnął w swojej dziurze, wbijając palce w cuchnące odpadki, gdy ziemia drżała i chwiała mu się pod nogami. Wydawało mu się, że mija cała wieczność, choć później doszedł do przekonania, że trwało to najwyżej kwadrans. Wówczas miał jednak wrażenie, że nigdy się nie skończy. „Jezu Chryste!”, modlił się w duchu. „Pozwól mi się stąd wydostać”.

Kanonada umilkła równie niespodziewanie, jak się zaczęła. Causton był oszołomiony i leżał przez chwilę w swej dziurze, zanim zdołał podnieść głowę. Uczyniwszy to spodziewał się zobaczyć pierwszą falę atakujących ich żołnierzy Favela, wyteżył więc wzrok, by wyrzec przez rzednące powoli obłoki kurzu i dymu. Ale w dalszym ciągu niczego tam nie było - tylko puste pole i skurczone ciała.

Odwrócił powoli głowę. Blaszone rudery tuż za linią okopów zostały zniszczone, niektóre całkowicie, a ziemia była poznaczona lejami. Dżip kapitana, pozbawiony wskutek wybuchu tylnych kół, płonął jak pochodnia, a po nim samym nie było śladu. W pobliżu leżał korpus jakiegoś mężczyzny - bez głowy, rąk i nóg. Causton pomyślał smętnie, czy to czasem nie sierżant. Z trudem wyprostował obolałe nogi i uznał, że jeśli ma uciekać, nadeszła po temu stosowna pora.

Z sąsiedniej dziury wyłonił się jakiś człowiek z twarzą poszarzałą od kurzu i strachu. Miał szkliste, nieprzytomne oczy. Podźwignął się i zaczął się oddalać chwiejnym krokiem. Jakby spod ziemi pojawił się sierżant i coś do niego krzyknął, żołnierz nie zwrócił jednak na to uwagi, więc tamten uniósł karabin i strzelił. Uciekający mężczyzna upadł w groteskowy sposób.

Causton ponownie przykucnął, gdy z kryjówki sierżanta dobiegła wygłaszana łamaną francuszczyzną tyrada. Ten człowiek zasługiwał na podziw: był twardym, zawodowym żołnierzem, który nie toleruje takich bzdur, jak dezercja w obliczu wroga. Cholernie mu jednak przeszkadzał.

Causton spojrział na wychylające się z okopów głowy, pobieżnie je przeliczył i był zaskoczony, jak wielu ludzi przeżyło bombardowanie. Czytał kiedyś, że dobrze okopana armia może przetrwać bardzo intensywny ostrzał artyleryjski - dlatego właśnie pierwsza wojna światowa trwała tak długo - ale doświadczenie tego na własnej skórze było czymś zupełnie odmiennym. Popatrzył na pole, nie spostrzegł jednak żadnego ruchu, który świadczyłby o ataku. Umilkły nawet strzały z ręcznej broni.

Odwróciwszy się zobaczył, jak sierżant gramolił się ze swej kryjówki i kroczy odważnie wzdłuż okopów, by sprawdzić, co dzieje się z jego ludźmi. Z drugiej strony pola nie padł żaden strzał i Causton zaczął zachodzić w głowę, co się stało. Popatrzył z niepokojem na

stalowo błękitne niebo, jakby w oczekiwaniu kolejnej burzy pocisków, po czym podrapał się z namysłem w policzek, obserwując sierżanta.

Nagle rozległy się znowu strzały z ręcznej broni. Ogień cekaemów dochodził z zaskakująco bliskiej odległości i z nieoczekiwanego kierunku. Na ich stanowiska posypał się grad kul i sierżant, podziurawiony pociskami, zakręcił się wokół własnej osi i runął jak długi, znikając w dole. Causton schylił głowę, nasłuchując odgłosów intensywnej strzelaniny, które dobiegały z tyłu, z lewej strony.

Zostali okrzyknięci.

Słyszał krzyki i tupot nóg, gdy pozostali żołnierze rzucili się do ucieczki, sam nie ruszył się jednak z miejsca. Przeczynał, że pakują się w kłopoty, a zresztą nie miał już chęci należeć do armii Serruriera. Im dalej będzie od tej jednostki, tym lepiej się poczuje. Leżał więc w swojej dziurze i udawał nieboszczyka.

Ogień cekaemów nagle umilkł, ale Causton jeszcze przez kwadrans nie wyściubił nawet czubka nosa nad powierzchnię ziemi. Kiedy to uczynił, zobaczył najpierw długi szereg żołnierzy, wyłaniających się spośród domów po drugiej stronie pola. Ludzie Favela szli oczyścić teren. Pospiesznie wypełznął z kryjówek i zaczął czołgać się na brzuchu w kierunku zrujnowanych domostw, spodziewając się poczuć w każdej chwili tępe uderzenia kul. Miał jednak gdzie się kryć, gdyż ziemia była zryta wybuchami pocisków i okazało się, że może pełznąć z jednego leja do drugiego, nie wystawiając się prawie na ogień.

W końcu znalazł się pod osłoną domów i spojrzął w tył. Ludzie Favela przeszli już prawie przez pole. Miał wrażenie, że będą strzelać do wszystkiego, co się porusza i że powinien poszukać sobie bezpieczniejszego miejsca. Nasłuchiwał wrzawy dochodzącej z lewego skrzydła - ktoś podejmował jeszcze walkę, ale skończy się ona, gdy tylko dotrą tam nadciągający żołnierze. Zaczął kierować się w prawo, przemykając od jednej rudery do drugiej i starając się wycofać jak najdalej.

Po drodze ściągnął bluzę od munduru i wytarł nią twarz. Może na widok białej skóry żołnierz trzymający palec na spuście zawaha się - warto było przynajmniej spróbować. Nie widział ani śladu wojsk rządowych i wszystko wskazywało na to, że Favela lada chwila odniesie ostateczne zwycięstwo - niewiele już mogło go powstrzymać.

Nagle wpadł na pewien pomysł i spróbował wejść do jednego z domostw. Przyszło mu do głowy, że nie ma sensu uciekać. Przecież właściwie wcale nie chciał doganiać jednostek Serruriera, nieprawdaż? O wiele lepiej było się ukryć, a potem pokazać żołnierzom Favela.

Drzwi nie były zaryglowane. Zaskrzypiały, gdy je pchnął i wszedł do środka. Mieszkanie było opuszczone. Składało się zaledwie z dwóch pokoi i wystarczył rzut oka, by się przekonać, że nikogo tam nie ma. Rozejrzawszy się zobaczył miednicę na rozklekotanym stojaku, a nad nią popstrzone przez muchy i odrapane lustro, obok którego znajdował się z jednej strony nadzwyczaj barwny oleodruk z madonną, zaś z drugiej oficjalny, urzędowy portret Serruriera.

Zdjął pospiesznie wyidealizowaną fotografię prezydenta i wkopał ją pod łóżko. Wolał nie ryzykować podejrzeń, gdyby ktoś go tu nakrył. Potem nalał do miednicy letnią wodę i zaczął myć twarz, uważnie nasłuchując, co dzieje się na zewnątrz. Po pięciu minutach uświadomił sobie z rozpaczą, że wygląda nadal jak Murzyn o śniadej cerze. Pasta do butów była wodoodporna i nie chciała zejść, choć ścierał ją ze wszystkich sił. Wielu mieszkańców San Fernandez miało jaśniejszą skórę i równie europejskie rysy twarzy.

Nagle wpadł na pewien pomysł. Rozpiął przód koszuli, by spojrzeć na swą klatkę piersiową. Dwa dni wcześniej czuł się nieco zażenowany własną bledością, ale teraz dziękował Bogu, że nie miał ochoty się opalać. Ściągnąwszy koszulę przygotował się na długie oczekiwanie.

Do wyjścia na zewnątrz skłonił go odgłos silnika. Pomyślał, że ktoś, kto przejeżdża tamtędy samochodem, okaże się na tyle cywilizowany, by go natychmiast nie zastrzelić, wyszedł więc z szafy do pokoju od frontu i wyjrzał przez okno. Za kierownicą land rovera siedział biały, męczący.

- Hej, człowieku! - krzyknął Causton, rzucając się do drzwi. - Arritez!

Kierujący land-roverem mężczyzna obejrzał się i samochód gwałtownie zahamował. Gdy Causton podbiegł bliżej, nieznajomy spojrzął na niego z zainteresowaniem.

- Kim pan jest, do diabła? - zapytał.

- Dzięki Bogu! - powiedział Causton. - Mówi pan po angielsku, jest pan Anglikiem.

Nazywam się Causton. Chyba można by mnie nazwać korespondentem wojennym.

Mężczyzna popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Nie za szybko pan się tu znalazł? Wojna zaczęła się dopiero wczoraj po południu. Nie przypomina pan korespondenta wojennego, raczej Murzyna z kabaretu, który znalazł się przed niewłaściwą publicznością.

- Jestem jak najbardziej autentyczny - zapewnił go Causton.

Mężczyzna wziął do ręki erkaem, który leżał obok niego na siedzeniu.

- Myślę, że Favel powinien się panu przyjrzeć - stwierdził. - Proszę wsiadać.

- Właśnie z nim chcę się widzieć - oznajmił Causton, wdrapując się do land-rovera i zerkając nieufnie na erkaem. - Jest pan jego przyjacielem?

- Można tak powiedzieć - odparł nieznajomy. - Nazywam się Manning.

## II

- Jest za gorąco - oznajmiła tonem skargi pani Warmington. Julie zgodziła się z nią, ale nie powiedziała tego głośno: pani

Warmington była ostatnią osobą, której przyznałaby rację w jakiegokolwiek sprawie. Poruszyła się lekko, próbując odkleić sobie bluzkę od pleców i popatrzyła przez przednią szybę samochodu. Zobaczyła dokładnie to samo, co w ciągu ostatnich trzydziestu minut: niewielki ręczny wózek, załadowany niebezpiecznie wysoko nędznym dobytkiem i popychany przez starca oraz małego chłopca, którzy trzymali się uparcie środka drogi, nie chcąc zjechać na pobocze.

Rawsthorne, nie kryjąc rozdrażnienia, zredukował ponownie bieg z drugiego na pierwszy.

- Zagotuje się silnik, jeżeli będziemy dalej tak jechać w tym upale - stwierdził.

- Nie wolno nam się zatrzymać - powiedziała z niepokojem Julie.

- To mogłoby się okazać trudniejsze niż jazda - oświadczył Rawsthorne. - Oglądała się pani ostatnio za siebie?

Julie obróciła się w fotelu i wyjrzała przez tylną szybę samochodu, który pokonywał właśnie niewielkie wzniesienie. Za nimi, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się długa kolumna uciekinierów z St. Pierre. Widywała już takie sceny na starych kronikach filmowych, ale nie spodziewała się nigdy, że ujrzy coś podobnego na własne oczy. Była to wędrówka ludów, żmudny marsz tych, którzy uciekali od nadciągającej wojennej pożogi, wioząc tyle uciulanego dobytku, ile zdołały pomieścić ich niewiarygodnie różnorodne pojazdy. Widziała dziecinne wózki, do których nie wsadzono niemowląt, lecz zegary, odzież, obrazy i rozmaite ozdoby; dwukółki, które popychano przed sobą lub do których zaprzęgnięto osły; poobijane samochody niewiarygodnie starych roczników, autobusy, ciężarówki i lepsze wozy bardziej zamożnych obywateli.

Ale przede wszystkim byli tam ludzie: mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, bogaci i biedni, zdrowi i chorzy. Nie śmiali się ani nie rozmawiali, tylko w milczeniu, jak bezwolne bydło, posuwali się naprzód, idąc z poszarzałymi twarzami i spuszczonej oczami, a ich jedyną widoczną reakcją stanowiły szybkie, nerwowe ruchy głowy, gdy oglądali się, by spojrzeć na drogę.

Julie odwróciła się, gdy Rawsthorne zatrąbił na idącego uparcie przed nimi starca.

- Ten cholernik nie chce się usunąć - powiedział ze skargą w głosie. - Gdyby zszedł choć trochę na pobocze, mógłbym przejechać.

- Ta droga, ona upada na bok - odezwał się Eumenides, wskazując na wózek. - On się boi, że mu sisko zleci.

- Tak - przyznał Rawsthorne. - Wózek jest mocno przeciążony, a pobocze faktycznie

stromo opada.

- Jak daleko musimy jeszcze jechać? - zapytała Julie.

- Około trzech kilometrów. - Rawsthorne wskazał głową przed siebie. - Widzi pani to miejsce, w którym droga okrąży cypel? Musimy je minąć.

- Jak pan sądzi, ile to potrwa?

Rawsthorne przyhamował, żeby nie najechać na starca.

- W tym tempie jeszcze ze dwie godziny.

Samochód włókł się, podjeżdżając zrywami do przodu. Piesi uciekinierzy poruszali się w istocie szybciej niż zmotoryzowani i Rawsthorne zaczął się zastanawiać, czy nie zostawić wozu. Odrzucił jednak ten pomysł niemal natychmiast. Trzeba by zabrać ze sobą żywność i wodę, a także pościel - w ciągu nadchodzącego tygodnia wszystkie te rzeczy będą im zbyt potrzebne, by zostawiać je w samochodzie.

- Jest z tej wojny przynajmniej jeden pożytek - stwierdził. - Zmusiła ludzi do opuszczenia St. Pierre.

- Nie wszyscy stamtąd uciekną - zauważyła Julie. - A co z wojskiem?

- Favel ma cholernego pecha - stwierdził Rawsthorne. - Wyobraża pani sobie? Zając miasto i paść ofiarą huraganu. Czytałem wiele o wojnie, ale z czymś podobnym nigdy się nie zetknąłem.

- Serrurier też na tym ucierpi - powiedziała Julie.

- Owszem - przyznał z zadumą Rawsthorne. - Ciekawe, kto pozbiera szczątki. - Popatrzył przed siebie. - Lubię Wyatta, ale mam nadzieję, że myli się co do tego huraganu. Widzi pani, taka możliwość istnieje. On polega w dużym stopniu na intuicji. Chciałbym, żeby Pavel miał szansę zwyciężyć.

- Ja też mam nadzieję, że się myli - stwierdziła pośpiesznie Julie. - Jest tam w pułapce.

Rzuciwszy okiem na jej spiętą twarz, Rawsthorne przygryzł wargę i umilkł. Czas włókł się tak samo wolno jak samochód, w pewnej chwili Rawsthorne zauważył mijającą ich grupę młodych mężczyzn. Byli sprawni i krzepcy, choć ubrani w łachmany. Jeden trzymał w ręku plik banknotów i przeliczał je, drugi obracał na wskazującym palcu lśniący naszyjnik.

- Szkoda, że Causton zabrał twój rewolwer, Eumenidesie - stwierdził w zamyśleniu Rawsthorne. - Mógłby się nam przydać, Ci chłopcy to rabusie. Zabrali pieniądze i biżuterię, ale wkrótce zgłodnieją i spróbują zdobyć żywność, gdziekolwiek ją znajdą. Eumenides wzruszył ramionami.

- Za późno. On 'ziół broń. Sam wizia'em.

Objechali wreszcie cypel i Rawsthorne oznajmił:

- Jeszcze kilkaset metrów i skręcamy. Poszukajcie odpowiedniego miejsca, żeby zjechać z szosy. Potrzebujemy jakiejś bocznej drogi.

Z mozołem posuwali się dalej, ciągle na pierwszym biegu, lecz po chwili Eumenides powiedział:

- Zakreśmy tu.

Rawsthorne wyciągnął szyję.

- Tak, wygląda nieźle. Ciekawe, dokąd prowadzi.

- Spróbujmy - zaproponowała Julie. - Nikt tamtędy nie jedzie.

Rawsthorne skręcił samochodem w nieutwardzoną, boczną drogę i natychmiast był w stanie wrzucić drugi bieg. Przejechawszy kilkaset metrów po wybojach znaleźli się w obszernym kamieniołomie.

- Cholera! - zaklął. - To ślepa droga.

Julie poruszyła się na fotelu.

- Możemy przynajmniej wysiąść i rozprostować nogi, zanim pojedziemy z powrotem. No i myślę, że powinniśmy znowu coś przekąsić, skoro jest okazja - dodała.

Chleb szcerstwiał, masło rozplątało się i zaczynało cuchnąć, woda była letnia, a na domiar wszystkiego upał nie sprzyjał apetytom, zjedli jednak co nieco, siedząc w kamieniołomie w cieniu zabudowań i dyskutując, co robić dalej.



- Nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy zostać tutaj - stwierdziła pani Warmington.  
- To spokojne miejsce.

- Obawiam się, że nie - odparł Rawsthorne. - Na południe stąd widać jeszcze morze.  
Zdaniem Wyatta huragan nadciągnie właśnie z południa.

Pani Warmington nie kryła zniecierpliwienia.

- Myślę, że ten młody człowiek to panikarz. Moim zdaniem nie będzie żadnego huraganu. Obejrzałam się, kiedy było jeszcze widać bazę. Ciągłe stoją tam na kotwicy statki. Komandor Brooks nie wierzy w ten huragan, więc dlaczego my mielibyśmy uważać inaczej?

- Za dużo ryzykujemy, jeśli się myli - odparła spokojnie Julie, po czym zwróciła się do Rawsthorne'a. - Musimy wrócić na szosę i spróbować jeszcze raz.

- Wcale tak nie uważam - powiedział Rawsthorne. - Nie sądzę, żeby to było możliwe. Ta droga odchodziła od szosy pod ostrym kątem - nie widzę, w jaki sposób moglibyśmy wjechać samochodem w ten zator. Nikt by się nie zatrzymał, żeby nas przepuścić. - Spojrzał w górę na ścianę kamieniołomu. - Musimy przedostać się jakoś na drugą stronę.

- Nie będę nawet próbowała się tam wspinać - parsknęła pani Warmington. - Zostaję tutaj.

Rawsthorne roześmiał się.

- Nie musimy się wspinać. Obejdziemy tę ścianę. Trochę bliżej przy drodze jest dogodniejsze miejsce do wspinaczki. - Przeżuwał z niesmakiem czerstwy chleb. - Wyatt mówił, że musimy dostać się na północne zbocze, prawda? No cóż, to właśnie zrobimy.

- Zostawiamy samochód? - zapytał nagle Eumenides.

- Będziemy musieli. Zabierzemy z niego wszystko, co potrzebne, a potem zaparkujemy go za tymi chatami. Przy odrobinie szczęścia nie wpadnie nikomu w oko.

Skończywszy krótki posiłek zaczęli się pakować. Julie spojrzała na zmaltretowaną panią Warmington i oznajmiła, zmuszając się do wesołości:

- Cóż, nie będzie zmywania naczyń.

Pani Warmington wcale to jednak nie obchodziło. Usiadła po prostu w cieniu i sapała. „Zrzuci w ten sposób nadwagę szybciej niż przy najlepszej diecie”, pomyślała zjadliwie Julie.

Kiedy Rawsthorne wyprowadził samochód na drogę, wyladowali wszystkie zapasy.

- Lepiej zrobić to tutaj - stwierdził. - Miejsce leży na uboczu i nie podejrzaj nas żaden z tych młodych zbirów. - Spojrzał w górę. - Szczyt jest niedaleko. Nie przypuszczam, żeby to wzniesienie miało dużo więcej niż sześćdziesiąt metrów wysokości.

Zabrał samochód z powrotem do kamieniołomu.

- Pewnie nie mamy innego wyjścia, chociaż uważam, że to bzdura - powiedziała obrażonym tonem pani Warmington, po czym zwróciła się do Eumenidesa: - Niech pan tak nie stoi. Proszę coś wziąć.

Julie rzuciła pani Warmington piorunujące spojrzenie.

- Pani też będzie musiała coś nieść.

Pani Warmington spojrzała niepewnie na porośnięte krzakami zbocze.

- Ależ ja nie mogę. Rozumie pani, moje serce...

Julie pomyślała, że serce pani Warmington bije zdrowo jak dzwon - i jest równie twarde.

- Koce są lekkie - powiedziała. - Proszę je wziąć. - Rzuciła pani Warmington zwinięte w tobolek koce. Ta nie była na to przygotowana i upuściła torebkę, która upadła z głuchym łoskotem na zakurzoną ziemię. Schyliły się po nią równocześnie.

Podniósłszy torebkę Julie stwierdziła, że jest dziwnie ciężka.

- A cóż pani tu nosi?

Pani Warmington wyrwała jej torebkę, rzucając koce.

- Moją biżuterię, kochana. Nie przypuszcza pani chyba, że ją zostawię.

- Te koce mogą ocalić pani życie - stwierdziła Julie, wskazując na nie ręką. - Klejnoty nic nie pomogą. - Wbiła w panią Warmington twarde spojrzenie. - Proponuję, żeby skupiła się pani bardziej na pracy niż na wydawaniu rozkazów. Postępuje pani jak dotąd cholernie

niewłaściwie i jest pani tylko balastem.

- W porządku - odparła pani Warmington, przestraszona być może wyrazem twarzy Julie. - Proszę się nie unosić. Jest pani zbyt apodyktyczna, moja droga. Nic dziwnego, że nie złapała pani sobie męża.

Julie puściła tę uwagę mimo uszu, podnosząc karton pełen butelek z wodą. Gdy wchodziła pod górę, uśmiechnęła się do siebie. Kilka dni wcześniej takie szyderstwo mogłoby ją zboleć, ale nie teraz. Kiedyś myślała, że jest może zbyt niezależna, żeby spodobać się mężczyźnie. Może mężczyźni wolą właśnie takie poddane im, skrajnie kobiece partnerki, które ona uważała zawsze za pasożyty, nie dające nic w zamian za otrzymane dobro. A niech to diabli! Nie miała zamiaru ukrywać przed żadnym mężczyzną swej wrodzonej inteligencji, a jeśli któryś dałby się na coś takiego nabrać, i tak nie byłby wart małżeństwa. Wolała pozostać sobą niż być taką głupią, niezaradną, opasłą istotą, jak pani Warmington.

Serce więzło jej jednak w krtani na myśl, że może już nigdy nie zobaczyć Wyatta.

Przeniesienie zapasów na szczyt wzgórze zajęło im sporo czasu. Rawsthorne, choć chętny do pomocy, był już niemłody i nie starczało mu sił i energii, by znieść długotrwałe obciążenie. Pani Warmington nie nadawała się zupełnie do jakiegokolwiek pracy, kiedy więc dowlokła się na szczyt ze swoim niewielkim tobołkiem koców, usiadła i patrzyła, jak pracują pozostali. Julie miała niezłą kondycję, nie była jednak przyzwyczajona do intensywnego upału i ostre słońce przyprawiało ją o zawroty głowy. Tak więc większość zapasów dźwigał Eumenides, robiąc to chętnie i bez słowa skargi. Za każdym razem, gdy pozostawiał ładunek na szczycie, pozwalał sobie jedynie na pogardliwe spojrzenie w kierunku pani Warmington.

Wreszcie przeniesiono wszystkie zapasy, kładąc je na razie na wzgórzu. Od strony morza widać było biegnącą wzdłuż wybrzeża główną drogę, która roiała się nadal od uciekinierów. Podążali z St. Pierre na wschód. Samo miasto przesłaniał przyładek, słychać było jednak odległy grzmot dział, a od zachodu wzbijała się w niebo coraz większa smuga dymu.

Po drugiej stronie wzgórze zbrocze opadało w niewielką zieloną dolinę, gęsto obsadzoną rosnącymi w długich rzędach bananowcami. O ponad półtora kilometra dalej znajdował się podłużny, niski budynek, wokół rozrzuconych było kilka mniejszych chat. Rawsthorne spojrzał z zadowoleniem na plantację bananowców.

- Będziemy tu przynajmniej mieli dużo cienia. Ziemia jest uprawiona i łatwo w niej kopać. A upadający bananowiec nie zrobi nikomu krzywdy.

- Zawsze lubiłam banany - oznajmiła pani Warmington.

- Tych nie radziłbym jeść. Są niedojrzałe i mogą pani zaszkodzić. - Rawsthorne namyślał się przez chwilę. - Nie znam się na huraganach tak, jak Wyatt, ale co nieco o nich wiem. Jeżeli huragan nadciąga z południa, wiatr będzie początkowo wiał ze wschodu; musimy więc zabezpieczyć się od tej strony. Później wiatr powieje z zachodu i to komplikuje sprawę.

Eumenides wskazał na coś ręką.

- Tam, dołek w ziemi.

- Rzeczywiście - przyznał Rawsthorne, po czym wstał i sięgnął po jedną z łopat. - Wsadzając je do samochodu przypuszczałem, że mogą się przydać. Idziemy? Możemy zostawić tu te wszystkie rzeczy, dopóki nie będziemy pewni, dokąd je zabrać.

Zeszli na plantację, która była zupełnie opuszczona.

- Będziemy trzymać się z daleka od tamtego budynku - powiedział Rawsthorne. - To koszary dla pracujących tu więźniów. Przypuszczam, że Serrurier rozkazał trzymać tych ludzi pod kluczem, ale nie warto ryzykować. - Pogrzebał w ziemi pod jednym z bananowców i prychnął pogardliwie. - Co za nędzne uprawy! Te rośliny wymagają podcinania. Jeśli nie będą ostrożni, ogarnie je panamska zaraza. Ale odkąd Serrurier doszedł do władzy, na całej wyspie jest tak samo, wszystko się wali.

Dotarli do zagłębienia terenu i Rawsthorne uznał, że to dobre miejsce.

- Daje niezłe schronienie - stwierdził, wbijając łopatę w ziemię. - A teraz kopujemy.  
- Co kopać? - zapytał Eumenides.  
- Doły, jak w wojsku. - Rawsthorne zaczął wymierzać odległości. - Będzie ich pięć, po jednym dla każdego z nas i jeden na prowiant.

Kopali na przemian: Rawsthorne, Eumenides i Julie, natomiast pani Warmington dyszała, siedząc w cieniu. Praca nie należała do najcięższych, gdyż ziemia, jak przewidywał Rawsthorne, była miękka, ale w palącym słońcu bardzo się pocili. Kiedy niewiele brakowało do końca, Julie przerwała, aby napić się wody i spojrzała na pięć... czyżby grobów? Zabrzmiało jej ponuro w pamięci nieoficjalne motto jednostek inżynierskich piechoty morskiej: „Najpierw kopujemy jamy, potem w nich umieramy”. Mimo upału przeszedł ją dreszcz.

Kiedy skończyli wreszcie kopanie dołów i znieśli na dół wszystkie zapasy, było już blisko do zachodu słońca, chociaż upał zdawał się doskwierać bardziej niż kiedykolwiek. Rawsthorne uciął z rosnących w pobliżu bananowców kilka ogromnych liści i poprzykrywał nimi rozkopaną ziemię.

- Podczas wojny domowej nie zaszkodzi się zamaskować. Zresztą te drzewa i tak wymagają przycięcia.

Julie podniosła głowę.

- Skoro mowa o wojnie: czy te działa nie grzmiały jakby głośniej... jakby były bliżej?

Rawsthorne zaczął uważnie nasłuchiwać.

- Chyba tak. - Zmarszczył brwi. - Ciekawe, czy... - Cmoknął językiem i pokręcił głową.

- Czy co?

- Pomyślałem sobie, że walki mogą przesunąć się w naszym kierunku - odparł. - Ale nie sądzę, żeby tak było. Jeżeli nawet Favel zajmie St. Pierre, musi zaatakować siły Serruriera pomiędzy miastem a Cap Sarrat, a to jest po drugiej stronie.

- Ale te działa naprawdę coraz bardziej słychać - nalegała Julie.

- To z powodu wiatru - stwierdził Rawsthorne. Jego głos zabrzmiał jednak niepewnie. Nie było żadnego wiatru.

O zachodzie słońca zaczęli szykować się do snu i ustalili kolejność wart. Postanowili jednomyślnie, że pozwolą pani Warmington spać przez całą noc, gdyż i tak nie można było na niej polegać. Przez jakiś czas rozmawiali o wszystkim i o niczym, po czym ułożyli się do snu, pozostawiając Julie na pierwszej warcie.

Siedziała wśród zapadających nagle ciemności, nasłuchując odgłosu dział. Jej niewprawne ucho odbierało to tak, jakby znajdowały się tuż obok, w dolinie, pocieszała się jednak argumentacją Rawsthorne'a. Tyle, że na zachodzie, od strony St. Pierre, pulsowała na niebie czerwona luna - miasto było w ogniu.

Poszperawszy w kieszeniach znalazła zgnieciony papieros i zapaliła go, chciwie zaciągając się dymem. Miała za sobą ciężki dzień. Była spięta i papieros pozwolił jej się odprężyć. Siedziała oparta o drzewo bananowe - a raczej bylinę, czy jak to się tam nazywa - i myślała o Wyattcie, zastanawiając się, co go spotkało. Może poniósł śmierć, znalazłszy się w wirze walki. A może miotał się w celi, oczekując śmiertelniego huraganu, którego nadejścia tylko on się spodziewał. Pragnęła z całego serca, by byli razem. Bez względu na to, co miało się stać, chciała być przy nim.

A Causton? Co stało się z Caustonem? Gdyby trafił z powrotem do hotelu, znalazłby notatkę, którą przytwierdzili do drzwi magazynu pod schodami i zorientowałby się, że zdołali uciec. Wiedziaby jednak za mało, by móc do nich dołączyć. Miała nadzieję, że jest bezpieczny, ale myślami powracała ciągle do Wyatta.

Wszedł właśnie księżyc, gdy zgodnie z planem Julie obudziła Eumenidesa.

- Wszędzie spokój - oznajmiła cicho. - Nic się nie dzieje.

Eumenides skinął głową, mówiąc

- Działa bar'zo blisko. Bar'ziej niż psie'tem.

- Tak myślisz?

Ponownie przytaknął, ale nic już nie powiedział, więc Julie weszła do swego dołu

i ułożyła się do snu. „Jest tu jak w grobie”, pomyślała wyciągając się na kocu, który leżał na dnie. Raz jeszcze wspomniała Wyatta, tym razem bardzo mgliście i półprzytomnie. Zdążyła zasnąć, zanim myśl o nim dotarła do jej świadomości.

Obudziła się, czując dotyk na twarzy. Gdy się poderwała, ktoś ją przytrzymał.

- Śśś... - syknął jakiś głos. - Prosie być cicho.

- Co się dzieje, Eumenidesie? - wyszeptała.

- Nie wiem - odparł półgłosem. - Duzio tu luzi. Prosie pos'uchać. Wyteżywszy słuch wychwyciła trudny do określenia dźwięk, który zdawał się dochodzić ze wszystkich kierunków równocześnie.

- To wiatr w liściach bananowców - mruknęła.

- Nie wiatr - stwierdził stanowczo Eumenides.

Zaczęła ponownie nasłuchiwać i tym razem doleciał do niej jakby odległy głos.

- Nie wiem, czy się nie mylisz - powiedziała - ale myślę, że powinniśmy wszystkich obudzić.

Eumenides poszedł potrząsnąć Rawsthorne'a, zaś Julie obudziła panią Warmington, która zapiszczała ze zdziwienia.

- Proszę być cicho, do diabła - warknęła Julie, zatykając dłonią otwierające się znowu usta pani Warmington. - Możliwe, że jesteśmy w opałach. Niech pani zostanie na miejscu i będzie gotowa w każdej chwili do ucieczki. I proszę nie robić hałasu.

Podeszła do Rawsthorne'a i Eumenidesa, którzy naradzali się półgłosem.

- Coś się dzieje - stwierdził Rawsthorne. - Artyleria przestała strzelać. Eumenidesie, wejdź na górę i zobacz, co się stało nad morzem, po drugiej stronie zbocza. Ja rozejrzę się w dolinie. Księżyc świeci na tyle jasno, że jest niezła widoczność. - W jego głosie pobrzmiwała nuta zakłopotania. - Ale ten cholerny hałas dochodzi ze wszystkich stron. - Podniósł się i zapytał: - Poradzi pani sobie,

- Na pewno - odparła. - I nie pozwolę tej cholernej babie się odzywać, choćbym musiała jej przyłożyć.

Obaj mężczyźni oddalili się i straciła ich z oczu, gdy zniknęli wśród upraw. Rawsthorne kluczył między rzędami bananowców, zbliżając się coraz bardziej do koszar dla więźniów. Wkrótce dotarł do przebiegającej przez plantację drogi dostawczej i przystanął, nie przechodząc na drugą stronę. Dobrze się stało, gdyż usłyszał w pobliżu jakiś głos.

Znieruchomiał i czekał, obserwując grupę idących drogą mężczyzn. Byli to żołnierze wojsk rządowych - sądząc z tonu ich głosów zmęczeni i zniechęceni. Z zasłyszanego w połowie zdania wywnioskował, że przegrali bitwę i wcale im się to nie spodobało. Zaczekał, aż się oddalą, po czym przeszedł przez drogę i zapuścił się w plantację po drugiej stronie.

Tutaj dosłownie wpadł na leżącego tuż przy drodze rannego człowieka. Mężczyzna głośno krzyknął z bólu i Rawsthorne uciekł, bojąc się, że hałas zwróci czyjąś uwagę. Błąkając się po plantacji, uzmysłowił sobie nagle, że wokół niego, pośród cieni rzucanych przez liście w poświacie księżyca, jest pełno ludzi. Ciągnęli od strony St. Pierre, posuwając się między rzędami bananowców w sposób bezładny i niezdyscyplinowany.

Nagle zauważył błysk płomienia, a potem jaśniejącą coraz bardziej łunę zapalonego właśnie ogniska. Cofnął się i poszedł inną drogą, ale i tam natknął się na podobną scenę. Ogniska pojawiały się wokół jak robaczki świętojańskie, a gdy podszedł ostrożnie do jednego z nich, zobaczył kilkunastu mężczyzn, którzy siedzieli albo leżeli w pobliżu ognia, przypiekając na kijach niedojrzałe banany, aby nadawały się do zjedzenia.

Wtedy to zorientował się, że otacza go pokonana armia Serruriera, a kiedy usłyszał od strony drogi, którą dopiero co przechodził, ryczące silniki ciężarówek, zaś tuż za plecami wypowiedaną ostrym tonem komendę, zdał sobie również sprawę, że wojsko zaczyna się przegrupowywać przed jutrzejszą bitwą i że ma się ona prawdopodobnie rozegrać właśnie tu, gdzie stoi.

Dawson poczuł się lepiej, gdy tylko opuścił Place de la Liberation Noire i skończyły się widoki, które przyprawiły go o mdłości. Jego nogom nic nie dolegało, bez trudu nadążał więc za Wyattem, który bardzo się spieszył. Chociaż pociski nie spadały już na centrum miasta, od północy odgłosy bitwy znacznie się nasiliły i Wyatt czuł, że powinien dotrzeć do hotelu Imperiale, zanim rozgorzeją tam walki. Musiał mieć pewność, że Julie jest bezpieczna.

W miarę, jak oddalali się od placu i rejonu budynków rządowych zaczęli spotykać ludzi, najpierw idących pojedynczo lub parami. Potem w coraz większych grupach. Zanim dotarli w okolice hotelu Imperiale, który na szczęście był niedaleko, na ulicach zrobił się tłok i Wyatt zdał sobie sprawę, że jest oto świadkiem spowodowanej wojną paniki wśród cywilnej ludności.

Elementy przestępcze zaczęły już wykorzystywać sytuację i większość drogich sklepów w pobliżu hotelu splądrowano i okradziono. Leżące na chodniku zwłoki dowodziły, że policja reagowała stanowczo. Wyatt zacisnął jednak wargi, zauważając rozciągnięte pod sklepem jubilera ciała dwóch policjantów - ulice St. Pierre w szybkim tempie przestawały być bezpieczne.

Przecisnął się przez rozkrzyczany, podniecony tłum i wbiegłszy po schodach do hotelu wpadł przez obrotowe drzwi do foyer.

- Julie! - zawołał. - Causton!

Nie było odpowiedzi.

Przebiegł przez foyer i potknął się o martwego żołnierza, który leżał obok przewróconego stolika tuż przy barze. Krzyknął jeszcze raz, a potem zwrócił się do Dawsona:

- Idę na górę. Proszę sprawdzić, czy nie znajdzie pan czegoś tu na dole.

Dawson wszedł do baru, rozdeptując potłuczone szkło i rozejrzał się wokół. „Ktoś cholernie dobrze się tu bawił”, pomyślał. Szturchnął obandażowaną ręką opróżnioną do połowy butelkę szkockiej i ze smutkiem pokręcił głową. Chętnie by się napił, ale pora nie była po temu stosowna.

Odwrócił się, czując przyływ triumfu. Jeszcze nie tak dawno piłby o każdej porze, ale odkąd przetrzymał ataki podinspektora, poczuł, że wzbiera w nim siła i pękają okowy. Podobnie jak upartym milczeniem dał odpór Roseau, teraz przeciwstawiał się temu, co uważał za swą największą wadę i odkrywał w ten sposób nowy rodzaj wolności: wolność bycia sobą. Wielki Jim Dawson umarł, a narodził się ponownie młody Jimmy - z wyglądu może trochę starszy i pomarszczony na twarzy, ale tak samo młodzieńczy, energiczny i niewinny jak ów chłopak, którym był przed wielu laty. Przybyło mu jedynie mądrości, a może także głębokiego poczucia wstydu z powodu tego, co zrobił ze sobą w imię sukcesu.

Przeszukał pomieszczenia na parterze hotelu i niczego nie znalazłszy wrócił do foyer, gdzie spotkał Wyatta.

- Na dole nic nie ma - oznajmił.

- Zniknęli - stwierdził Wyatt, wyraźnie przygnębiony.

Patrzył na martwego żołnierza, który leżał z zakrwawioną piersią obok przewróconego stołu. Wokół niego latały bzykające muchy.

- Myśli pan, że mogło ich zabrać wojsko? - zapytał ostrożnie Dawson.

- Nie wiem - odparł ciężko Wyatt.

- Przepraszam za to wszystko - powiedział Dawson. - Przykro mi, że to się stało z mojego powodu.

Wyatt odwrócił głowę.

- Nie wiemy, czy pan zawinił. To i tak mogło się zdarzyć. - Poczuł nagle zawroty głowy i musiał usiąść.

Dawson popatrzył na niego zatroskany.

- Wie pan co? - powiedział. - Myślę, że przydałby się nam obu jakiś posiłek. Kiedy ostatnio jedliśmy? - Pokazał obandażowane ręce i powiedział przepraszająco: -

Przygotowałbym coś, ale nie potrafię chyba otworzyć puszeki.

- Co oni panu zrobili?

Dawson wzruszył ramionami i schował ręce za plecy.

- Bili mnie i trochę maltretowali. Jakoś to wytrzymałem.

- Oczywiście, ma pan rację - przyznał Wyatt. - Musimy coś zjeść. Zobaczę, co uda mi się znaleźć.

W dziesięć minut później pochłaniali łączywie, prosto z puszek zimny gulasz. Dawson stwierdził, że potrafi utrzymać łyżkę w lewej dłoni i obejmując puszkę zgiętym prawym ramieniem mógł się jako tako pożywiać. Było to bolesne, gdyż lewa ręka rwała jak diabli, kiedy zaciskał ją na łyżce, za nic jednak nie chciał, by Wyatt karmił go jak niemowlę. Tego by nie zniósł.

- Co teraz robimy? - zapytał. Wyatt nasłuchiwał odgłosu dział.

- Nie mam pojęcia - powiedział powoli. - Szkoda, że Causton albo Julie nie zostawili żadnej wiadomości.

- Może to zrobili.

- W ich pokojach niczego nie znalazłem. Dawson zastanowił się nad tym.

- Może nie byli w swoich pokojach. Mogli być w piwnicy. Plac był pod ostrzałem artyleryjskim, a to niedaleko stąd; może ukrywali się w piwnicy.

- Tu nie ma takiego miejsca.

- W porządku, więc mogli schować się gdzie indziej. Gdzie by pan się ukrył podczas bombardowania? - Poruszył się na krześle i wiklina zaskrzypiała. - Znam faceta, który przeżył naloty na Londyn. Mówił, że najbezpieczniej było pod schodami. Może pod tamtymi.

Odłożył niezgrabnie łyżkę i podszedł do schodów.

- Hej! - krzyknął. - Coś jest przypięte do drzwi.

Wyatt upuścił z hałasem puszkę i pobiegłszy za Dawsonem zdarł z drzwi jakąś kartkę.

- Causton zniknął - oznajmił. - Ale pozostali wsiedli do samochodu Rawsthorne'a i pojechali na wschód, poza rejon zatoki. - Wyatt głęboko odetchnął. - Dzięki Bogu.

- Cieszę się, że odjechali - powiedział Dawson. - Co teraz, ruszamy za nimi?

- Niech pan to zrobi - odparł Wyatt. - Dam panu wszystkie niezbędne wskazówki.

Dawson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Ja? A co pan zamierza?

- Nasłuchiwałem huku dział - powiedział Wyatt. - Myślę, że Favel się przedarł. Chcę się z nim spotkać.

- Czy pan zupełnie zwariował? Jak człowiek trafi w sam środek takiej cholernej wojny, to go zastrzelą. Niech pan lepiej idzie ze mną na wschód.

- Zostaję - stwierdził z uporem Wyatt. - Ktoś musi zawiadomić Favela o huraganie.

- Dlaczego niby Favel miałby pana wysłuchać? - dopytywał się Dawson. - Skąd pewność, że w ogóle pan do niego dotrze? Kiedy zjawi się Favel, w mieście dojdzie do krwawej masakry. Nie będzie pan miał szans.

- Myślę, że Favel nie jest taki. Moim zdaniem to rozsądny człowiek, a nie psychopata, jak Serrurier. Jeśli uda mi się do niego dostać, chyba mnie wysłucha.

Dawson jęknął, ale rzut oka na nieugięte oblicze Wyatta przekonał go, że dalsza dyskusja jest bezużyteczna.

- Cholernie z pana uparty i ograniczony facet, Wyatt - stwierdził. - Jest pan głupim frajerem, który nie ma dość rozsądku, by nie stać na deszczu, kiedy leje mu się na łeb. Ale skoro tak pan zamierza postąpić, zostanę tu chyba tak długo, aż zobaczę, jak dostanie pan w dupę.

Wyatt spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Nie musi pan tego robić - powiedział spokojnie.

- Wiem, że nie muszę - odparł Dawson tonem skargi. - Ale mimo wszystko zostaję. Może Causton miał rację. Może powstanie z tego niezła książka. - Spojrział na Wyatta z ukosa, na poły kpiąco, na poły krytycznie. - Byłby z pana świetny bohater.

- Niech mnie pan nie miesza do swojej pisaniny - ostrzegł Wyatt.
- Nie ma sprawy - stwierdził Dawson. - Martwy bohater nie może mnie zaskarżyć.
- A zmarły pisarz nie wydaje książek. Niech się pan lepiej stąd wynosi.
- Zostaję - powtórzył Dawson. Czuł, że ma wobec Wyatta dług. Był mu coś winien.

Może zostając przy nim będzie miał okazję do rewanzu.

- Jak pan chce - powiedział obojętnie Wyatt i skierował się do drzwi.
- Chwileczkę - powstrzymał go Dawson. - Nie dajmy się od razu zastrzelić. Ustalmy, co się dzieje. Dlaczego pan uważa, że Favel się przedarł?
- Jeszcze niedawno słychać było silny ostrzał artyleryjski; teraz umilkł.
- Umilkł? Na mój gust brzmi tak samo.
- Niech pan posłucha uważniej - poradził Wyatt. - Odgłosy dział dochodzą ze wschodu i z zachodu, ale nie z centrum.

Dawson przechylił głowę na bok.

- Ma pan rację. Sądzi pan, że Favel przedarł się przez środek?

- Możliwe.

Dawson usiadł.

- A więc wystarczy, żebyśmy tu zaczekali, a Favel sam do nas i przyjdzie. Nie trzeba się denerwować, Wyatt.

Wyatt wyjrzał przez pozbawione szyb okno.

- Może i ma pan rację. Na ulicy jest teraz pusto. Nie widać żywej duszy.
- Ci ludzie mają głowę na karku - stwierdził Dawson. - Nikt nie chce stawać na drodze wkraczającym wojskom; nawet, gdy chodzi o armię Favela. Może i jest tak rozsądny, jak pan twierdzi, ale zza lufy karabinu trudno to ocenić. Mądrzej będzie poczekać tutaj i obserwować, co się dzieje.

Wyatt zaczął przechadzać się tam i z powrotem po foyer. Dawson przyglądał mu się i widział, że jest coraz bardziej rozdrażniony.

- Ma pan papierosa? - zapytał nagle. - Moje zabrali gliniarze.
- Moje też. - Wyatt zaprzestał nerwowej wędrówki. - Powinny być jakieś w barze.

Poszedł tam i znalazłszy paczkę papierosów wetknął jeden Dawsonowi do ust i zapalił.

Dawson zaciągnął się głęboko, po czym zapytał:

- Kiedy spodziewa się pan tego swojego huraganu?
- Może jutro, może pojutrze. Jestem odcięty od źródeł informacji.
- Więc niech się pan uspokoi, na Boga! Favel jest już w drodze, a pańskiej dziewczynie nic nie grozi. - Dawson zmrużył oczy, widząc że Wyatt odwraca głowę. - Ona jest pańską dziewczyną, prawda?

Wyatt milczał, więc Dawson zmienił temat.

- Co, pańskim zdaniem, Favel ma zrobić z tym huraganem? Ten człowiek prowadzi teraz wojnę.

- Za dwa dni już nie będzie to konieczne - obiecał Wyatt. - A jeżeli pozostanie w St. Pierre, straci swoją armię. Musi mnie wysłuchać.

- Mam nadzieję, że to zrobi - stwierdził filozoficznie Dawson. - Jest naszą jedyną szansą na wydostanie się stąd. - Uniósł niezdarnie lewą rękę, by wyjąć z ust papierosa i uderzył nią o krawędź stołu. Skrzywił się, wydając stłumiony jęk.

- Rzućmy lepiej okiem na te ręce - powiedział Wyatt. - Nic im nie jest.

- Chyba nie chce pan ich stracić. Zobaczymy.

- Mówię przecież, że wszystko jest w porządku - zaprotestował Dawson.

Wyatt popatrzył na jego ściągniętą bólem twarz.

- Chcę je obejrzeć - powtórzył. - W tropiku wszystko zachowuje się inaczej. - Zaczął odwiązywać jeden z bandaży i aż syknął ujrzawszy, co pod nim jest. - Chryste! Co oni z panem robili?

Dłoń była zbita na miazgę. Odwiązując powoli bandaż zobaczył, ku swemu przerażeniu, że odchodzą wraz z nim dwa paznokcie. Palce, wyglądające jak jeden wielki siniak, przypominały w niektórych miejscach krwisty befszytk.

Dawson oparł się z powrotem o krzesło.

- Trzymali mnie i tłukli po rękach gumowym wężem. Nie złamali chyba żadnych kości, ale przez dłuższy czas nie będę mógł pisać na maszynie.

Wyatt przyciął sobie kiedyś palec drzwiami. Niby głupstwo, lecz nigdy w życiu nie czuł równie dotkliwego bólu. Paznokciec zsiniał, ale lekarzowi udało się go uratować. Odtąd bardzo uważał na ręce. Teraz, patrząc na zbitą do krwi dłoń Dawsona, odczuwał mdłości. Wyobrażał sobie, jak wielki ból musiały mu sprawiać uszkodzone zakończenia nerwów.

- Teraz mogę już nie żałować, że zabiłem Roseau - powiedział ponuro.

- Ja nigdy go nie żałowałem - stwierdził Dawson, lekko się uśmiechając.

Wyatt był zaintrygowany. Dawson okazał się kimś lepszym, niż przypuszczał. To nie był ten sam człowiek, który próbował ukraść samochód, bo obleciał go strach. Coś musiało się z nim stać.

- Będzie panu potrzebna maść - powiedział nagle. - Nie zaszkodziłby też zastrzyk penicyliny. Po drugiej stronie ulicy jest apteka. Zobaczą, co uda mi się tam znaleźć.

- Proszę uważać - zaniepokoił się Dawson. - Na ulicy nie jest teraz najbezpieczniej.

- Będę się miał na baczności - zapewnił go Wyatt i ruszył do drzwi. Naprzeciwko była drogeria w amerykańskim stylu. Już się o niej włamano, miał jednak nadzieję, że zapasy leków pozostały nietknięte. Zanim wyszedł wyjrzał ostrożnie na ulicę, a nie zauważywszy żadnego ruchu wyskoczył z hotelu i przebiegł na drugą stronę ulicy.

W drogerii panował rozgardiasz, ale Wyatt nie zwracał na to uwagi, tylko poszedł wprost do magazynu leków na zapleczu i zaczął przetrząsać utrzymane w idealnym porządku szuflady, szukając tego, co było mu potrzebne. Znalazł bandaże, tabletki kodeiny i maść, nie natrafił jednak na antybiotyki. Nie tracił czasu na dalsze poszukiwania. Przystanął ponownie przy drzwiach drogerii, aby wyjrzeć na ulicę i znieruchomiał, widząc człowieka, który przemknął na drugą stronę i schował się w bramie.

Człowiek ów wychylił głowę zza lufy karabinu, po czym dał znak ręką i wzdłuż ulicy przebiegło następnych trzech mężczyzn. Trzymali się blisko murów, przeskakując z bramy do bramy. Byli bez mundurów, ale Wyatt pomyślał, że muszą należeć do przedniej straży armii Favela. Otworzył ostrożnie drzwi i wyszedł na zewnątrz, trzymając w podniesionych do góry rękach bandaże i leki.

O dziwo, nie od razu go zauważono i zdołał przejść do połowy ulicy, zanim został zatrzymany. Odwrócił się do nadchodzącego żołnierza, który popatrzył na niego podejrzliwie.

- Nie ma tu ludzi Serruriera - wyjaśnił Wyatt. - Gdzie jest Favel?

Żołnierz uniósł groźnie broń.

- Co pan tam ma?

- Bandaże - odparł Wyatt. - Dla rannego przyjaciela. Został tam, w hotelu. Gdzie jest Favel?

Poczuł, jak ktoś przytyka mu do pleców broń, ale nie odwrócił się. Stojący przed nim człowiek poruszył lekko na boki lufą karabinu.

- Do hotelu - rozkazał.

Wyatt wzruszył ramionami i zaczął iść, otoczony przez grupkę żołnierzy. Jeden z nich pchnął obrotowe drzwi, mając broń gotową do strzału. Wyatt zawołał po angielsku:

- Niech pan nie rusza się z miejsca, Dawson. Mamy gości. Idący przed nim żołnierz odwrócił się na pięcie i przytknął mu do brzucha lufę broni.

- Pren'gar' - oznajmił tonem groźby.

- Powiedziałem tylko przyjacielowi, żeby się nie bał - wyjaśnił spokojnie Wyatt.

Wszedłszy do hotelu zobaczył, że Dawson siedzi zdenerwowany na krześle i wpatruje się w żołnierza, który trzyma go na muszce.

- Mam bandaże i trochę kodeiny - oznajmił. - To powinno uśmierzyć nieco ból.

Ludzie Favela rozdzielili się i przeczesali cały parter, poruszając się jak zawodowcy. Nie znalazłszy niczego zgromadzili się ponownie w foyer i skupili wokół swego dowódcy, którego Wyatt uznał za sierżanta, choć ten nie nosił dystynkcji. Sierżant szturchnął nogą



zwłoki żołnierza i zapytał:

- Kto go zabił?

Pochylony nad Dawsonem Wyatt podniósł wzrok i wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - stwierdził i powrócił do swego zajęcia.

Sierżant podszedł bliżej i spojrzał na dłonie Dawsona. - Kto to zrobił?

- Policja Serruriera - odparł Wyatt, nie podnosząc wzroku.

- A więc nie lubicie Serruriera - mruknął sierżant. - To dobrze.

- Muszę odszukać Favela - nalegał Wyatt. - Mam dla niego ważną wiadomość.

- Co to za ważna wiadomość, blanc?

- Jest przeznaczona tylko dla Favela. Jeżeli będzie chciał, sam panu powie.

Dawson poruszył się.

- O co tu chodzi?

- Próbuję przekonać tego człowieka, żeby zabrał mnie do Favela. Nie mogę mu powiedzieć, że nadciąga huragan. Gdyby w to nie uwierzył, nigdy bym do Favela nie dotarł.

- Dużo pan mówi, blanc - stwierdził sierżant. - Lepiej, żeby ta pańska ważna wiadomość była dobra, bo inaczej Favel wypruje panu flaki. - Zamilkł, a potem dodał z ponurym uśmiechem: - I mnie także.

Odwrócił się, aby wydać szereg krótkich rozkazów. Wyatt odetchnął głęboko.

- Dzięki Bogu - powiedział. - Nareszcie do czegoś dochodzimy.

## 6

### I

Najwyższym punktem Cap Sarrat było wzgórze, którego wierzchołek znajdował się trzynaście i pół metra nad poziomem morza. Na szczycie wzgórza stał wysoki na sto dwadzieścia metrów kratowy maszt radiowy, do którego umocowano szereg anten radarowych. Z anteny na samej górze wieży precyzyjnie skonstruowane falowody przekazywały sygnały elektroniczne do niskiego budynku na dole. Sygnały te, wzmocnione wiele milionów razy, były następnie przenoszone na ekran lampy oscyloskopowej, tworząc zieloną poświatę, która rzucała właśnie mdłe światło na twarz młodszego podoficera Josepha W. Harmona.

Podoficer Harmon był znudzony i zmęczony. Szefowie przez cały dzień gonili go do roboty. Przez większość czasu musiał być w pogotowiu na swoim stanowisku bojowym, a potem wyznaczono mu rutynowy nocny dyżur przy radarze, spał więc bardzo niewiele. Początkowo ekscytował się dochodzącymi znaną Zatoką Santego, od strony St. Pierre, odgłosami kanonady, a jeszcze bardziej podniecił go wzbijający się nad miastem słup dymu i wiadomość, że podzielona na dwie części armia Serruriera otacza bazę i lada chwila mogą spodziewać się ataku.

Ale człowiek nie może trwać długo na fali podniecenia i teraz, o piątej nad ranem, tuż przed wschodem słońca, poczuł się znudzony i senny. Bolały go oczy, a kiedy na chwilę je zamknął, zdawało mu się, że ma pod powiekami ziarenka piasku. Zamrugnął i zaczął znów wpatrywać się w ekran radaru, śledząc przesunięcia świetlnej smugi, której jednostajny ruch po okręgu działał hipnotyzująco.

Nagle drgnął, zauważając niewielką zieloną plamkę, która szybko rozplynęła się w nicość. Aby ją zlokalizować, musiał zaczekać, aż świetlna smuga zrobi następny obrót. I wtedy zobaczył ponownie ów mglisty kształt, elektroniczny rysunek pod szkłem, znikający równie szybko jak powstał. Sprawdził kierunek i określił go na 174 stopnie.

„Stamtąd nic nam nie grozi”, pomyślał. Było to niemal dokładnie na południu, na samym skraju ekranu. Niebezpieczeństwo - jeśli miało nadejść - zagrażało im od lądu, ze strony groteskowych sił powietrznych Serruriera. Wcześniej w powietrzu sporo się działo, ale teraz wszystko ucichło i lotnictwo San Fernandez było jakby całkowicie wyłączone z akcji. Fakt ten spowodował pewne poruszenie wśród oficerów, nie miał jednak żadnego

znaczenia dla Harmona, który pomyślał z przekąsem, że wszystko, co interesowało kadre oficerską, jego pozbawiało snu.

Spojrzał na ekran i znowu zauważył lekkie zakłócenia na południu. Jako doświadczony operator radaru wiedział bardzo dobrze, co to takiego. Zza linii horyzontu nadciągała burza i świetlna smuga na ekranie wskazywała, gdzie się zaczyna. Zawahał się przez moment, nim sięgnął po słuchawkę telefonu, ale w końcu podniósł ją zdecydowanym ruchem. Miał polecenie, żeby zadzwonić do oficera dyżurnego, gdyby zdarzyło się cokolwiek - powtarzam: cokolwiek - niezwykłego. Mówiąc „proszę z porucznikiem Moore'm” odczuwał pewną satysfakcję, że może przerwać mu drzemkę w jakimś zacisznym kącie.

Tak więc kiedy komendant Schelling zjawił się w biurze o ósmej rano, zastał na biurku raport, napisany porządnie na maszynie i ułożony starannie na bibule do atramentu. Wziął go do ręki, myśląc o czymś innym i nagle doznał wstrząsu, gdy otrzymana wiadomość ugodziła go jak ostrze harpuna. Chwycił za telefon i powiedział szorstko:

- Połączcie mnie z nadzorem radarowym. Z oficerem dyżurnym.

Czekając na rozmowę przejrzał ponownie raport. Gdy go przeczytał, sprawa zaczęła wyglądać jeszcze gorzej. Usłyszawszy trzask w słuchawce, powiedział:

- Poruczniku Moore... Skończył dyżur?... Więc kto mówi? W porządku, chorąży Jennings. Co z tą burzą na południu?

Bębnił niecierpliwie palcami o blat biurka, słuchając, co Jennings ma do powiedzenia, po czym rzucił słuchawkę i poczuł, że Pot występuje mu na czoło. Wyatt miał rację: Mabel zmieniła kurs, aby odwiedzić San Fernandez. Kiedy odszukiwał wszelkie posiadane o huraganie informacje, wkładając starannie do teczki kartki papieru, jego organizm działał wystarczająco sprawnie, ale jakiś wewnętrzny głos skamlał: „To cholernie niesprawiedliwe! Dlaczego Wyatt miał rację, skoro kierował się przecuciem, pozbawionym naukowych przesłanek? Dlaczego, do cholery, Mabel nie trzyma się przewidywanego kursu? Jak, na Boga, wyjaśnię to Brookswi?”

Wpadł biegiem do centrum radarowego. Jeden rzut oka na ekran monitora wyjaśnił wszystko. Odwrócił się do Jenningsa i warknął:

Dlaczego nie zawiadomiono mnie wcześniej?

Porucznik Moore wysłał panu do biura raport, sir.

- To było prawie trzy godziny temu. - Wskazał na gęstniejące zielone pasemka u dołu ekranu. - Wie pan, co to jest?

- Tak, sir - odparł Jennings. - Znosi się na małą burzę.

- Na małą burzę? - powtórzył głucho Schelling. - Zejdź mi z drogi, głupcze. - Przecisnął się obok Jenningsa i wyszedł chwiejnym krokiem na oświetlony słońcem korytarz. Stał niezdeterminowany i zwilżył wargi. Należało, oczywiście, zawiadomić komandora. Opuszczał centrum radarowe jak człowiek idący na własną egzekucję. Chorąży Jennings spoglądał za nim zdumionym wzrokiem.

Oficer dyżurujący w biurze obok gabinetu Brooksa miał wątpliwości, czy powinien pozwolić, by Schelling przeszkadzał komandorowi. Schelling pochylił się nad jego biurkiem i powiedział z naciskiem:

- Jeżeli nie zobaczę się z komandorem w ciągu dwóch minut, przez najbliższych dwadzieścia lat będzie pan klepał łańcuchy kotwiczne.

Odczuł pewną satysfakcję widząc, że udało mu się zastraszyć oficera, ale przygasiła ją obawa o to, co powie Brooks.

Na biurku Brooksa jak zwykle panował porządek, a on sam siedział w identycznej pozycji, jakby przez ostatnie dwa dni w ogóle się nie ruszył.

- No i cóż, komendancie? - powiedział na powitanie. - Podobno ma pan do mnie jakąś pilną sprawę.

Schelling przełknął ślinę.

- Eee... tak, sir. Chodzi o Mabel.

Na twarzy Brooksa nie drgnął żaden mięsień, ton jego głosu także się nie zmienił, pojawiła się w nim jednak nagle nuta napięcia, gdy zapytał spokojnie:

- W czym rzecz?

- Zdaje się, że huragan zboczył z przewidywanego kursu - powiedział bez ogródek Schelling.

- Zdaje się? Zmienił kurs czy nie?

- Tak, sir. Zmienił.

- No i?

Schelling napotkał twarde spojrzenie szarych oczu Brooksa i głośno przełknął ślinę.

- Zmierza prosto w naszym kierunku. - Zaniepokojony milczeniem komandora ciągnął dalej: - Nie powinno było do tego dojść, sir. To przeczy wszelkim teoriom. Huragan miał przejść na zachód od Kuby. Nie mam pojęcia, dlaczego zmienił kurs i nie znam żadnego meteorologa, który mógłby to wyjaśnić. Jest tak wiele spraw, o których...

Brooks po raz pierwszy zmienił pozycję.

- Niech pan przestanie głądzić, Schelling. Ile mamy czasu? Schelling położył na biurku teczkę i otworzył ją.

- Huragan jest teraz nieco ponad dwieście siedemdziesiąt kilometrów stąd i przesuwa się z prędkością osiemnastu kilometrów na godzinę. To nam daje piętnaście, może szesnaście godzin.

- Nie interesuje mnie pańskie rozumowanie - stwierdził Brooks. - Pytałem tylko o czas.

- Obrócił się na fotelu i podniósł słuchawkę telefonu. - Proszę z oficerem operacyjnym... Komendancie Leary, niech pan rozpocznie natychmiast realizację Planu K - Zerknął na zegarek. - Godzina ósma trzydzieści jeden. Tak jest. Natychmiastowa ewakuacja.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się do Schellinga.

- Nie przejmowałbym się tym za bardzo, komendancie. To ja podjąłem decyzję, żeby tu pozostać, a nie pan. Wyatt nie dysponował żadnymi faktami. Opierał się tylko na niejasnych przecuciach.

- Może byłem jednak zbyt nieustępliwy, sir - stwierdził Schelling.

Brooks machnął ręką.

- To także wziąłem pod uwagę. Znam możliwości moich oficerów. - Odwrócił się i spojrzął za okno. - Żałuję tylko, że nie możemy nic zrobić dla mieszkańców St. Pierre. To, oczywiście, wykluczone. Wrócimy tu jak najszybciej i pomożemy oczyścić teren, ale huragan porozbija statki i sytuacja nie będzie łatwa. - Popatrzył na Schellinga. - Zna pan swoje obowiązki w ramach Planu K?

- Tak, sir.

- Więc niech pan je wypełni.

Przyglądał się Schellingowi z wyrazem politowania, gdy ten opuszczał jego biuro, potem zaś wezwał swego osobistego adiutanta. Było sporo do załatwienia - wiele niezbędnych spraw. Gdy tylko został znów sam, podszedł do sejfu w ścianie i zaczął przekładać dokumenty do wzmocnionej ołowiem aktówki. Dopiero po wypełnieniu swych ostatnich służbowych obowiązków w bazie na Cap Sarrat spakował kilka osobistych rzeczy, które chciał zabrać, między innymi wyjęte z szuflady biurka zdjęcie żony i dwóch synów.

## II

Eumenides Papegaikos był bardzo przerażony. Nie nadawał się na bohatera i nie podobało mu się położenie, w jakim się znalazł. Co prawda prowadzenie nocnego klubu wiązało się z pewnymi trudnościami, miały one jednak taki charakter, że dzięki pieniądзом można było im sprostać. Zarówno skorumpowani policjanci Serruriera, jak i oferujący ochronę miejscowi gangsterzy dawali się przekupić, co wyjaśniało częściowo, dlaczego żądał od klientów tak wysokich opłat. Pieniądze nie mogły go jednak ochronić przed wojną domową, a całe złoto świata nie potrafiło powstrzymać nadciągającego huraganu.

Miał nadzieję, że zabierze się na Cap Sarrat razem z Amerykankami, ale przez Wyatta i wybuch wojny stało się to niemożliwe. W pewnym sensie dziękował losowi, że znalazł się wśród cudzoziemców. Miał trudności z angielskim, lecz dzięki temu mógł ukryć swe obawy

i niepokoje. Nie zgłaszał się nigdy na ochotnika, ale z udawaną ochotą robił wszystko, co mu kazano, maskując w ten sposób wewnętrzny strach. Dlatego właśnie przekradał się teraz ostrożnie przez plantację bananowców, zmierzając w kierunku szczytu wzgórza, za którym widać było morze.

Słyszał wokół przeróżne dźwięki: granie cykad i cichsze, bardziej złowieszcze odgłosy, które dochodziły jakby ze wszystkich stron. Od czasu do czasu rozlegał się brzęk metalu, odległy szmer rozmów, albo sporadyczny szelest liści bananowców, które podczas parnej, bezwietrznej nocy powinny być nieruchome.

Dotarł na szczyt wzgórza cały spocony i spojrzał w dół, w kierunku nadmorskiej drogi. Panowało tam spore ożywienie. Dudniły ciężko silniki ciężarówek, błyskały światła, a w jasnym blasku księżycy poruszało się wiele postaci. Kamieniołom, w którym zostawili samochód, był teraz pełen pojazdów. Przyjeżdżały i odjeżdżały bez przerwy wąską drogą.

Po chwili Eumenides cofnął się i zawrócił do reszty grupy. Wzdłuż całej plantacji rozbłyskiwały światła, migotały ogniska rozbijającej obóz armii. Czasem potrafił rozróżnić pojedyncze sylwetki ludzi, gdy poruszali się na tle płomieni. Schodził po zboczach z nadzieją, że gdyby go nawet dostrzeżono, zostanie wzięty za jeszcze jednego żołnierza, który błąka się w ciemnościach. Podążał ostrożnie w kierunku kotliny, w której wykopali jamy. Dotarł tam bez problemów, ale stracił sporo czasu. Minęła prawie godzina, zanim dołączył do Julie i pani Warmington.

Z dna zamaskowanej dziury dobiegł go ostrożny szept Julie:

- Eumenides?

- Tak. 'Zie jes' Rawst'orne?

- Jeszcze nie wrócił. Co się dzieje?

- Duzio luzi. Zio'niezie. Armia - odparł Eumenides, zmagając się dzielnie

z angielszczyzną.

- Wojska rządowe? Ludzie Serruriera?

- Tak. - Zatoczył ręką łuk. - Sien'zie.

Pani Warmington cicho jęknęła, a Julie powiedziała powoli:

- Serrurier musiał zostać pobity - wyparty z St. Pierre. Co robimy?

Eumenides milczał. Nie wiedział, co mogliby zrobić. Gdyby próbowali się wydostać, niemal na pewno by ich schwytano, ale jeśli nie ruszą się z miejsca, zostaną zauważeni za dnia.

- Czy jacyś żołnierze są w pobliżu? - zapytała Julie.

- Som sześć'esiąt metrów stont - oznajmił Eumenides, wskazując ręką kierunek. - Pani mówi g'ošno. Us'ysiom.

- Dzięki Bogu, że znaleźliśmy tę kotlinę - stwierdziła Julie. - Lepiej wejdź do dziury, Eumenidesie i przykryj się liśćmi bananowca. Zaczekamy na pana Rawsthorne'a.

- Boję się - dobiegł z ciemności słaby głos pani Warmington.

- Myśli pani, że ja nie? - szepnęła Julie. - A teraz proszę już być cicho.

- Ale oni nas zabijają - zaczęła lamentować pani Warmington, podnosząc głos. - Zgwałca nas, a potem zabijają.

- Na litość boską, niech się pani uspokoi! - skarciła ją Julie na tyle ostro, na ile mogła to zrobić szeptem. - Usłyszają panią!

Pani Warmington jęknęła cicho i umilkła. Julie ułożyła się na dnie jamy i czekała na Rawsthorne'a, zastanawiając się, kiedy wróci i co też zrobią, gdy przyjdzie.

Rawsthorne był w opałach. Przeszedłszy na drugą stronę drogi dostawczej miał teraz trudności z powrotem. W obu kierunkach ciągnął nieustannie sznur pojazdów, ryczące ciężarówki sunęły jedna za drugą z zapalonymi reflektorami, nie mógł więc przemknąć się niepostrzeżenie. Odnalazł zresztą drogę dopiero po długich poszukiwaniach. Był tak zdumiony obecnością wojska, że się zgubił, błądząc między rzędami bananowców, wśród rzucających cienie liści, uciekając w popłochu przed jedną grupą żołnierzy, aby zaraz natknąć się na następną.

Zanim się uspokoił, był już daleko od drogi i - udręczony swym strasznym odkryciem - potrzebował prawie półtorej godziny, by dotrzeć do niej z powrotem. Nie miał złudzeń, co by się z nim stało, gdyby został zauważony. Propaganda Serruriera działała sprawnie. Okłamywał tych ludzi, mącił im w głowach, a potem ich szkolił i wcielał do armii. Dla nich wszyscy blanc to Amerykanie, czyli złe duchy z mitologii Serruriera. Zastosowano by dziwaczne równanie, w którym biały człowiek oznacza Amerykanina, czyli szpiega - i Rawsthorne zostałby natychmiast rozstrzelany.

Poruszał się więc ostrożnie, przemykając między bananowcami. Było i tak, że musiał trwać w bezruchu przez pół godziny, gdyż z drugiej strony drzewa, za którym się ukrył, ucięło sobie pogawędkę kilku żołnierzy. Przyłgnął do szerokich liści, modląc się w duchu, by któremuś z nich nie przyszło do głowy przejść się wokół bananowca. Miał jednak szczęście.

Kiedy mógł znowu ruszyć w drogę, zaczął myśleć o tym, co mówili ci ludzie. Żołnierze byli zmęczeni i zniechęceni, skarżyli się na nieudolność swych dowódców i wspominali ze strachem siłę artylerii Favela. Stale powracało pytanie: gdzie są nasze działa? Nikt nie potrafił na nie odpowiedzieć. Krążyły pogłoski, że armia przegrupowuje się pod dowództwem generała Rocambeau i że za dnia zaatakują St. Pierre. Chociaż Favel przechwycił sporą część ich wojskowego wyposażenia, wycofujące się jednostki Rocambeau zdążyły opróżnić arsenał San Juan i mieli dość amunicji, by przystąpić do ataku. Żołnierze mówili z większym ożywieniem, kiedy wspominali o Rocambeau i wyglądało na to, że wstępuje w nich nowa nadzieja.

W końcu Rawsthorne odnalazł drogę i czekał w ciemnościach na jakąś lukę w sznurze pojazdów, ale nie mógł się jej doczekać. Spojrzał z rozpaczą na zegarek. Do świtu było niedaleko, a musiał przejść na drugą stronę, zanim się rozwidni. Wreszcie, straciwszy nadzieję, że ruch osłabnie, ruszył wzdłuż pobocza drogi i dotarł do zakrętu. W tym miejscu miał szansę przejść, unikając światła reflektorów. Zaczekał, aż minęła go jedna z ciężarówek, po czym przebiegł przez drogę i rzucił się do rowu po drugiej stronie. Światła następnej skręcającej ciężarówki omiotły przestrzeń ponad miejscem, gdzie leżał skulony.

Gdy wreszcie zorientował się w przybliżeniu, gdzie szukać kotliny, w której ukrywała się reszta grupy, na wschodzie już świtało. Poruszał się z trudem, dochodząc do wniosku, że tego rodzaju wyczyny są dobre dla młodszych, jak Wyatt czy Causton, ale dla starszaka w jego wieku mogą się źle skończyć.

Julie obudziła się w swej kryjówce, gdy zaczęło świtać. Usiadła ostrożnie, podniosła ogromne zielone liście i rozejrzała się wokół, zastanawiając się, gdzie jest Rawsthorne. Nikt nie zbliżył się do ich kotliny i wyglądało na to, że mogą uniknąć pojmania, jeśli pozostaną w ukryciu i zachowają ciszę. Najpierw musiała jednak sprawdzić, z której strony najbardziej zagrażało im niebezpieczeństwo.

- Idę na skraj kotliny - szepnęła do Eumenidesa.

Liście bananowca poruszyły się i padła odpowiedź: - Dobrze.

- Niech mnie pani nie zostawia - powiedziała błagalnie pani Warmington, podnosząc się nagle. - Proszę nie odchodzić. Boję się.

- Ciii... Nie idę daleko, tylko parę metrów. Proszę tu zostać i siedzieć cicho.

Czołgając się między drzewami znalazła miejsce, z którego mogła obserwować plantację. W słabym świetle poranka widziała krzątające się postaci i słyszała przyciszone głosy. Najbliższa grupa żołnierzy była zaledwie o pięćdziesiąt metrów od niej, ale wszyscy spali skuleni wokół wygasającego ogniska.

Oddaliła się od swej kryjówki po to, by sprawdzić zawczasu w świetle dnia, na ile dobrze są zamaskowani. Spojrzawszy za siebie, w kotlinę, stwierdziła, że świeżo wykopana ziemia fatalnie rzuca się w oczy, wystarczyło jednak kilka dodatkowych liści, by temu zaradzić. Same otwory w ziemi były zupełnie niewidoczne, a przynajmniej powinny być, o ile ta przekłeta baba nie narobi hałasu.

Pani Warmington siedziała wyprostowana i rozglądała się wokół nerwowo, nadal przyciskając do piersi torebkę.

- Schowaj się, kretynko - syknęła Julie, ale ku jej zaskoczeniu pani Warmington otworzyła torebkę, wyjęła z niej grzebień i zaczęła rozczesywać włosy. „Ona nigdy się nie zmieni”, pomyślała z rozpaczą Julie. „Nie umie się przystosować i zrezygnować ze swych nawyków”. Bez wątpienia, poranna troska o fryzurę była godna pochwały, gdy mieszkało się w mieście, ale na ich zielonym wzgórzu mogła oznaczać śmierć.

Julie miała właśnie wracać, by zmusić panią Warmington, choćby i siłą, do ukrycia się w dziurze, gdy przykuł jej uwagę ruch po drugiej stronie kotliny. Po zboczach schodził jakiś żołnierz. Przeciągnął się, jakby dopiero co wstał i poprawił karabin na ramieniu. Julie znieruchomiała i przeniosła wzrok na panią Warmington, która przeglądała się akurat w lusterku. Usłyszała wyraźnie jej typowo kobiecy pomruk dezaprobaty na widok rozczochranej fryzury.

Żołnierz również go usłyszał. Zdjął z ramienia karabin i zaczął schodzić ostrożnie w głąb kotliny. Gdy odciągnął rygiel, do uszu pani Warmington dotarł metaliczny trzask. Spostrzegłszy podchodzącego do niej mężczyznę krzyknęła i zaczęła szperać w torebce. Żołnierz przystanął zdumiony, po czym na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Zaczął zbliżać się do niej, odkładając karabin.

W tym momencie w upalnym powietrzu poranka rozbrzmiały echem trzy głucho eksplozje. Żołnierz krzyknął, zatoczył się i padł jak długi u stóp pani Warmington, rzucając się jak wyjęta z wody ryba. Na wysokości ramienia bluza jego munduru była zaplamiona krwią.

Eumenides wyskoczył jak diabeł z pudełka ze swojej dziury w tej samej chwili, gdy Julie zaczęła biec. Kiedy dotarła na dno kotliny, pochylał się nad leżącym żołnierzem, który wydawał jakieś jęki. Spojrzał obojętnym wzrokiem na zakrwawioną rękę i stwierdził:

- Jes' zaścielony!

- Szedł w moim kierunku! - krzyczała pani Warmington, wymachując trzymanym w dłoni pistoletem. - Chciał mnie zgwałcić, zamordować!

Julie miała już tego dość i z całej siły trzasnęła ją na odlew w twarz. Była doprowadzona do ostateczności. Musiała za wszelką cenę uciszyć tę histeryczkę. Pani Warmington nagle zamilkła, a jej pozbawione czucia palce puściły pistolet. Eumenides pochwycił go i szeroko otworzył oczy.

- To mój! - stwierdził ze zdumieniem.

Julie odwróciła się gwałtownie, słysząc za plecami krzyk i zobaczyła trzech zbiegających po zboczach żołnierzy. Pierwszy z nich, spostrzegłszy leżącą twarzą do ziemi postać i pistolet w dłoni Eumenidesa, nie tracił czasu na dyskusje. Podniósł broń i strzelił Grekowi w żołądek.

Eumenides jęknął i zgiął się wpół, trzymając się rękami za brzuch. Upadł na kolana i pochylił się do przodu. Żołnierz uniósł karabin i pchnął go bagnetem w plecy. Gdy Eumenides padł na ziemię, tamten postawił na nim nogę i wyciągnąwszy bagnet dźgał go tak długo, aż leżące ciało otoczyła kałuża krwi.

Rawsthorne, obserwujący to wszystko z krawędzi kotliny, odczuwał mdłości, ale nie mógł oderwać wzroku od oglądanej sceny. Słyszał krzyki i widział, jak brutalnie potraktowano kobiety. Jeden z żołnierzy szturchał je bezlitośnie bagnetem i widać było, jak Julie spływa z ramienia krew. Pomyślał, że natychmiast je zastrzeli, ale nadszedł jakiś oficer i obie kobiety wyprowadzono z kotliny, pozostawiając tam tylko martwe ciało Eumenidesa Papegaikosa.

Rawsthorne potrzebował kilku minut, by jego zszokowany umysł zaczął znów normalnie funkcjonować. W końcu ruszył z miejsca, czołgając się na brzuchu. Nie wiedział jednak, dokąd właściwie pójdzie, ani co dalej zrobi.

### III

Wyatt przekonał się, jak trudno jest zlokalizować Favela. Razem z Dawsonem trafił

w ręce jakiegoś młodszego oficera, który był zbyt przejęty bieżącymi działaniami taktycznymi, by zwracać na niego uwagę. Aby pozbyć się ciężaru, oficer przekazał ich dalej pod eskortą pojedynczego szeregowca, który był zrozpaczony, że zabierają go z pola walki. Dawson popatrzył na niego i powiedział:

- Morale tych chłopców jest w najlepszym porządku.

- Bo wygrywają - stwierdził lakonicznie Wyatt. Prześladowało go przekonanie, że musi natychmiast zobaczyć się z Favelem, rozumiał jednak, iż nie będzie to łatwe. Wojnę toczono w dwóch oddzielnych miejscach, na zachód i na wschód od St. Pierre. Potężne, uderzenie Favela w środek armii Serruriera rozbiło ją na dwie nierówne części: większość wojska wycofywała się na wschód, ciągle stawiając opór, a mniejsza grupa uciekała w popłochu na zachód, aby dołączyć do nie wykrwawionych jeszcze jednostek, które strzegły Cap Sarrat.

Jeden z nieco starszych oficerów zaśmiał im się w twarz, gdy Wyatt zażądał spotkania z Favelem.

- Pan chce się z nim widzieć? - powtórzył z niedowierzaniem. - Blanc, ja też bym chciał, tak samo, jak wszyscy. Favel nie siedzi w jednym miejscu. Ma mnóstwo pracy.

- Czy zjawi się tutaj? - zapytał Wyatt.

- Postaram się tego uniknąć - mruknął oficer. - Przyjeżdża tylko tam, gdzie są kłopoty, a ja wolałbym mu ich nie przysparzać. Ale niewykluczone, że się zjawi - zawyrokował. - Wyruszamy przeciwko Rocambeau.

- Czy możemy tu zostać?

- Proszę bardzo, jeśli tylko nie będziecie nikomu przeszkadzać. Zostali więc w dowództwie batalionu i Wyatt przekazał Dawsonowi pokrótce, czego się dowiedział.

- Moim zdaniem ma pan cholernie małe szansę, żeby się z nim zobaczyć - stwierdził Dawson. - Czy pan zawracałby sobie w takiej sytuacji głowę jakimś stukniętym naukowcem?

- Chyba nie - przyznał niechętnie Wyatt. Przysłuchiwał się uważnie wszystkiemu, co działo się wokół i zaczynał powoli zdawać sobie sprawę z sytuacji na polu walki. O Serrurierre nie wspomiano prawie wcale, natomiast nazwisko Rocambeau było na ustach wszystkich.

- Kim, do diabła, jest ten Rocambeau? - dopytywał się Dawson.

- Był jednym z młodszych generałów sił rządowych - wyjaśnił Wyatt. - Przejął dowództwo, kiedy zginął stary Deruelles i okazał się sprytniejszy, niż sądził Favel. Favel liczył, że rozstrzygnie losy wojny jednym uderzeniem, ale Rocambeau wyprowadził wojska rządowe z pułapki, z powodzeniem dokonując odwrotu. Wycofał się na wschód i przegrupowuje siły do kolejnego ataku, a co najważniejsze, udało mu się zdobyć dość ciężarówek, by opróżnić arsenał San Juan. Ma dostatecznie dużo amunicji i zapasów broni, by zakończyć tę wojnę w nieprzyjemny dla Favela sposób.

- Czy Favel nie może pójść za ciosem i wykończyć go, zanim ten będzie gotowy? Zanim, że tak powiem, złapie oddech?

Wyatt pokręcił głową.

- Favel wyczerpał już prawie wszystkie siły. Walczy bez przerwy z przeważającymi siłami. Przedarł się tutaj aż z gór i jego ludzie padają z nóg ze zmęczenia. On także musi się zatrzymać, aby odpocząć i przegrupować siły.

- I co teraz będzie?

Wyatt skrzywił się.

- Favel zrobi postój w St. Pierre, bo nie ma siły nacierać dalej. Będzie się tam bronił, a wtedy nadciągnie huragan i rozprawi się ze wszystkimi. Na tych nisko położonych terenach wokół Zatoki Santego żadna z armii nie będzie miała szans. Tej wojny nikt nie wygra.

Dawson spojrział na Wyatta kątem oka.

- Może lepiej stąd zmykajmy - zaproponował. - Moglibyśmy pójść w górę Negrito.

- Kiedy zobaczę się z Favelem - powiedział stanowczo Wyatt.

- W porządku - westchnął Dawson. - Zaczekamy tu i pogadamy z Favelem; być może. -

Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Gdzie dokładnie przegrupowuje siły Rocambeau?

- Na wschodzie, tuż obok nadmorskiej drogi, około ośmiu kilometrów za miastem.

- Święta panienko! - wykrzyknął Dawson. - Czy to nie tam poszedł Rawsthorne i reszta grupy?

- Staram się o tym nie myśleć - stwierdził posępnie Wyatt. - Dawson był przybity.

- Przepraszam za ten idiotyczny numer z samochodem - powiedział zawstydzony. -

Gdybym tego nie zrobił, nie zostalibyśmy rozdzieleni.

Wyatt spojrział na niego z zaciekawieniem. Dawson przeszedł jakąś metamorfozę. Nie był tym samym człowiekiem, którego poznał w klubie Maraca - wielkim, sławnym pisarzem, ani też marudnym facetem z celi, który kazał mu iść do diabła.

- Kiedyś już pana o to pytałem, ale mnie pan skarcił - zauważył ostrożnie.

Dawson podniósł wzrok.

- Chce pan wiedzieć, dlaczego próbowałem zabrać pański samochód? Powiem panu.

Byłem przerażony. Wielki Jim Dawson miał potężnego stracha.

- Tak właśnie przypuszczałem - powiedział z namysłem Wyatt. - Nie pasuje to do pańskiej reputacji.

Dawson zaśmiał się gorzko, bez odrobiny wesołości.

- Słyszał pan o mnie same bzdury - przyznał otwarcie. - Łatwo dają się zastraszyć.

- Tego bym nie powiedział - stwierdził Wyatt, patrząc Dawsonowi na ręce.

- To śmieszne - powiedział Dawson. - Kiedy stanąłem z Roseau twarzą w twarz i zrozumiałem, że nie zdołam go przekonać, żeby mnie wypuścił, powinienem był się przerazić, a zamiast tego wpadłem w szal. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. A za moją reputacją kryje się fałszerstwo, celowo zaaranżowana robota. I bardzo łatwo było tego dokonać. Jedzie się do Afryki, strzela do byle lwa i już wszyscy uważają człowieka za bohatera. Łowi się w morzu rybę nieco większą niż inni i znów jest się kimś. Brutalnie to wykorzystywałem i stworzyłem wielkiego Jima Dawsona, „papierowego tygrysa”, jak mówią Chińczycy. Poza tym nie uwierzy pan, ile potrafi zdziałać pozbawiony skrupułów agent prasowy.

- Ale po co? - zapytał bezradnie Wyatt. - Jest pan dobrym pisarzem, potwierdzają to wszyscy krytycy. Nie potrzebuje pan sztucznej reklamy.

- To, co sądzą krytycy i co ja sam myślę, to dwie różne rzeczy. - Dawson spoglądał na zakurzony czubek buta. - Zawsze, gdy siadam do maszyny i widzę czystą kartkę papieru, czuję skurcze w żołądku. A kiedy zapełniam już całe mnóstwo stron i powstaje książka, uczucie to jeszcze bardziej przybiera na sile. Nie napisałem dotąd niczego, co by mi się podobało. Nie byłem nigdy w stanie przelać na papier tego, o co mi naprawdę chodzi. Tak więc za każdym razem, gdy ukazywała się moja książka, bałem się, że robi klapę i musiałem jakoś ją zareklamować, aby dobrze się sprzedawała. Dlatego właśnie wymyśliłem postać wielkiego Jima Dawsona.

- Próbował pan dokonać rzeczy niemożliwej - osiągnąć doskonałość.

Dawson szeroko się uśmiechnął - i nadal będą próbował - stwierdził jowialnie. - Ale to już bez znaczenia. Chyba przestałem się wreszcie bać.

Wiele godzin później Wyatt obudził się nagle czując, że ktoś nim potrząsa. Nie wiedział nawet, kiedy zasnął i dopiero z trudem oprzytomniawszy zdał sobie sprawę, jak bardzo ma zdrętwiałe kończyny i obolałe stawy. Otworzył oczy, ale zaraz je zmrużył, gdyż osłepiło go boleśnie światło latarki.

- Wyatt to pan, czy ten drugi facet? - zapytał jakiś głos.

- To ja - odparł. - Kim pan jest? - Odrzucił koc, którym ktoś troskliwie go przykrył i wlepił wzrok w patrzącego na niego z góry postawnego brodacza.

- Nazywam się Fuller. Szukam pana po całym St. Pierre. Favel chce się z panem widzieć.

- Chce widzieć się ze mną? Skąd w ogóle wie o moim istnieniu?

- To osobna historia. Chodźmy.



Wyatt podniósł się ze skrzypiącego łóżka i wyrztał za próg. Wstawał właśnie błądy świt. Zobaczywszy kontury stojącego na ulicy dżipa i usłyszawszy warkot silnika odwrócił się i zapytał:

- Nazywa się pan Fuller? Jest pan Anglikiem, jednym z tych, którzy mieszkają na północnym wybrzeżu, w Campo de las Perlas?

- Zgadza się.

- Ten drugi to Manning.

- Nie myli się pan - przyznał niecierpliwie Fuller. - Ruszajmy, Nie ma czasu na pogawędkę.

- Chwileczkę - zaproponował Wyatt. - Obudzę Dawsona.

- Nie ma na to czasu - zaprotestował Fuller. - Może tu zostać.

Wyatt odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

- Proszę posłuchać. Oprawcy Serruriera skatowali tego człowieka z pańskiego powodu. Wszystko przez pana i Manninga. Z tej samej przyczyny omal nie zostaliśmy obaj rozstrzelani. Pójdzie razem ze mną.

- No dobrze, tylko niech się pan pośpieszy - zgodził się łaskawie Fuller.

Wyatt obudził Dawsona i zapoznał go szybko z sytuacją. Dawson wygramolił się z posłania, pytając od razu:

- Ale skąd on się o panu dowiedział, do cholery?

- Fuller z pewnością wyjaśni mi to po drodze - odparł Wyatt.

Ton jego głosu wskazywał, że byłoby lepiej dla Fullera, gdyby złożył odpowiednie wyjaśnienia.

Wsiedli do dżipa i ruszyli w drogę.

- Favel założył kwatery w hotelu Imperiale - oznajmił Fuller. - To dobre miejsce, usytuowane w centrum.

- Szlag by trafił - zaklął Dawson. - Nie musieliśmy ruszać się ani na krok. Byliśmy tam zaledwie dziś... nie, wczoraj po południu.

- Budynki rządowe ucierpiały wskutek bombardowania - stwierdził Fuller. - Przez dłuższy czas nie będzie można z nich korzystać.

- Nie musi pan nas przekonywać - powiedział z przejęciem Dawson. - Byliśmy tam.

- Słyszałem - rzekł Fuller. - Współczuję panom.

Wyatt spoglądał w niebo, wciągając w nozdrza powietrze. Zważywszy na wczesną porę było zaskakująco ciepło i zanosilo się na upalny dzień. Wyatt zmarszczył brwi i zapytał:

- Dlaczego Favel po mnie posłał?

- Jakiś angielski dziennikarz opowiedział mu bardzo dziwną historię, coś na temat huraganu. W sumie to jedna wielka bzdura, ale Favel na tyle przejął się sprawą, że gdy tylko rozlokowaliśmy się w mieście, kazał rozesłać ludzi, by pana odnaleźli. To pan jest tym specjalistą od pogody, prawda?

- Tak - potwierdził Wyatt bezbarwnym głosem.

- A więc Causton się przedarł - powiedział Dawson. - To dobrze.

Fuller zarechotał.

- Najpierw odsłużył swoje w armii rządowej. Powiedział nam, że wylądowaliście w pudle, na Place de la Liberation Noire. Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, bo dość dokładnie zrównaliśmy go z ziemią, ale na posterunku policji nie znaleziono zwłok żadnych białych ludzi, istniała więc szansa, że udało wam się uciec. Szukałem pana przez całą noc. Favel nalegał, a kiedy on się uprze, sprawa musi być załatwiona.

- Kiedy znowu zaczną się walki? - zapytał Wyatt.

- Gdy tylko Rocambeau zdecyduje się na atak - odparł Fuller. - My prowadzimy działania defensywne, brak nam teraz sił na cokolwiek innego.

- A co z wojskami rządowymi na zachodzie?

- Nadal są zgrupowane wokół Cap Sarrat. Serrurier ciągle się obawia, że jankesi wyjdą stamtąd i wbiją mu nóż w plecy.

- Zrobią to?

Fuller obruszył się.

- Nie ma mowy. To lokalny konflikt i jankesi nie chcą się mieszać. Myślę, że woleliby Favela niż Serruriera; któż by nie wolał?, ale nie mają zamiaru interweniować. Dzięki Bogu, Serrurier jest innego zdania.

Wyatt zastanawiał się, co Fuller ma z tym wszystkim wspólnego: mówił jak osoba zajmująca wysoką pozycję wśród przywódców rebelii i z pewnością dobrze znał Favela. Nie zadawał mu jednak na ten temat żadnych pytań. Miał na głowie istotniejsze sprawy. Najważniejsze, że Favel chciał się z nim widzieć, starał się więc raz jeszcze uporządkować argumenty, które mu przedstawi.

Fuller zatrzymał dżipa przed hotelem Imperiale i wszyscy wysiedli. Wokół panował ożywiony ruch i Wyatt zauważył, że obrotowe drzwi zostały usunięte, aby nie blokować wejścia do hotelu. Przyznał Favelowi kolejny punkt za sprawne działanie i dbałość o szczegóły. Podążył za Fullerem do środka i stwierdził, że w hotelu zaszły zmiany. Foyer zostało uprzątnięte, a amerykański bar pełnił rolę pomieszczenia sztabowego.

- Proszę tu poczekać - powiedział Fuller. - Zawiadomię szefa, że pan przyjechał.

Kiedy się oddalił, Dawson stwierdził:

- Tak właśnie lubię oglądać wojnę: z dystansu.

- Może zmieni pan zdanie, kiedy Rocambeau zaatakuję.

- Bardzo możliwe - przyznał Dawson. - Ale nie będę się tym zadreślał.

Na schodach rozległ się jakiś krzyk i zobaczyli, że zbiega po nich Causton.

- Witam panów z powrotem - powiedział. - Cieszę się, że wyszliście z pudła.

Wyatt uśmiechnął się z przekąsem.

- Wykurzyli nas stamtąd.

- Niech pan w to nie wierzy - zaproponował Dawson. - Wyatt świetnie się spisał.

Wydostał nas obu. - Spojrzał badawczo na Caustona. - Co pan ma na twarzy, pastę do butów?

- Zgadza się - potwierdził Causton. - Nie mogę pozbyć się tego świństwa. Pewnie chcielibyście się umyć i przebrać w jakieś czyste rzeczy.

- Gdzie jest Julie i Rawsthorne? - zapytał Wyatt.

Causton sposepniał.

- Rozdzieliliśmy się już dość dawno. Mieli iść na wschód.

- I poszli - stwierdził Wyatt. - Teraz mają na karku wojska Rocambeau.

Nie było na ten temat żadnych więcej komentarzy. Po chwili milczenia Causton stwierdził:

- Lepiej skorzystajcie panowie z okazji, żeby się umyć. Favel na razie was nie przyjmie. Prowadzi właśnie taktyczną naradę, próbując jakoś wybrnąć z sytuacji bez wyjścia.

Zaprowadził ich na górę do swego pokoju, użyczając upragnionego mydła i gorącej wody. Wystarczył rzut oka na rękę Dawsona, by natychmiast posłano po lekarza, który pospiesznie zabrał go ze sobą. Potem Causton wręczył Wyattowi czystą koszulę, mówiąc:

- Może pan skorzystać z mojej golarki.

Wyatt usiadł na łóżku, by się ogolić. Zdecydowanie poprawiało mu się samopoczucie.

- Jak to się stało, że odłączył się pan od grupy?

Causton zrelacjonował mu wszystko, po czym dodał:

- Dotarłem w końcu do Favela i zdołałem go przekonać, że jest pan ważną osobistością.

- Podrapał się w głowę. - Albo nie było wcale potrzeby go przekonywać, albo mam większą siłę perswazji niż przypuszczałem, bo szybko pojął, w czym rzecz. To łebski facet.

- Jeśli zapomnimy o huraganach; czy pańskim zdaniem ma szansę na wygranie tej wojny?

Causton uśmiechnął się półgębkiem.

- Na to pytanie nie ma odpowiedzi. Armia rządowa jest o wiele silniejsza. Na razie wygrywał dzięki zaskoczeniu i swej inteligencji. Przewiduje każdą ewentualność. Przygotowywał ten atak od wielu miesięcy. - Causton zaśmiał się w kułak. - Wie pan, że główne siły rządowej artylerii w ogóle nie weszły do akcji. Działa ugrzęzły w piekielnym

korku w dolinie Negrito i Favel przechwycił je wszystkie, gdy zszedł z gór. Myślałem, że po prostu miał szczęście, ale teraz wiem, że Favel nigdy nie polega na szczęściu. Całe to cholerne zamieszanie zostało zaplanowane. Favel przekupił Lescuyera, dowódcę rządowej artylerii. Lescuyer wydał sprzeczne rozkazy, wskutek czego dwie kolumny jego wojsk, idące z przeciwnych kierunków, spotkały się na tej samej drodze. On tymczasem gdzieś się ukrył. Zanim Deruelles zdołał opanować sytuację, było już po wszystkim. Sam także poniósł śmierć.

- I pewnie wtedy przejął dowództwo Rocambeau - stwierdził Wyatt.

Causton przytaknął.

- Szkoda, że tak się stało. Rocambeau jest cholernie zręcznym dowódcą, o wiele lepszym niż Deruelles. Wyprowadził wojska rządowe z zasadzki. Bóg jeden wie, co się teraz stanie.

- Czy Favel nie miał problemów z jednostkami pancernymi, kiedy wyszedł na równinę? Causton uśmiechnął się.

- Prawie wcale. Szybko doprowadził do porządku przechwyconą artylerię, rozprawiając się bezlitośnie ze wszystkim, co stanęło mu na drodze. Potem uformował działa w sześć ruchomych kolumn i zaczął polowanie na wojska pancerne Serruriera. Gdy tylko pokazał się jakiś czołg czy pojazd opancerzony, strzelało do niego tuzin dział, rozrywając go na strzępy. Wszystko było z góry ukartowane. Dopóki nie pojawił się Rocambeau, dowódcy wojsk rządowych tańczyli tak, jak zagrał im Favel. Wie pan, jak załatwił trzeci pułk na Place de la Liberation Noire? Miał w mieście zaopatrzone w nadajniki obserwatorów, którzy namierzali mu tę jednostkę w momencie, gdy szykowała się do wymarszu.

- Wiem - stwierdził rzeczowo Wyatt. - Widziałem, jakie były tego skutki.

Causton uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- W równie sprytny i skuteczny sposób wyeliminował groteskowe siły powietrzne Serruriera. Początkowo samoloty startowały i zrzucały jak należy bomby, ale gdy odbyły po trzy loty, okazało się, że brakuje im paliwa, otwarto więc rezerwowe zbiorniki na lotnisku. Okazało się, że ktoś wsypał do nich cukru, na San Fernandez go nie brakuje, i teraz wszystkie maszyny stoją na ziemi z lepкими silnikami.

- Poczynania Favela zasługują z pewnością na najwyższe oceny - stwierdził Wyatt. - A co mają z tym wspólnego Manning i Fuller?

- Nie dowiedziałem się jeszcze wszystkiego. Myślę, że brali udział w dostarczaniu broni. Favel wiedział z pewnością, czego potrzebuje. Karabiny, kaemy, ruchome działa, w tym cholernie dużo armat do walki w górach i moździerzy, a także zapasy amunicji musiały kogoś kosztować fortunę, ale nie udało mi się ustalić, kto to wszystko finansował.

- Manning i Fuller byli akurat tam, gdzie trzeba - powiedział powoli Wyatt - i policja uznała najwyraźniej, że mają z Favelem wiele wspólnego. Dawsona pobito do nieprzytomności, próbując wydobyć z niego jakieś nowe informacje.

- Widziałem jego ręce - stwierdził Causton. - Co im powiedział?

- A co mógłby powiedzieć? Po prostu się nie poddał.

- Jestem zaskoczony - przyznał Causton. - Wśród chłopaków z prasy ma opinię pozera. Wiemy, że ta katastrofa lotnicza, która przydarzyła mu się parę lat temu na Alasce, została zaaranżowana, żeby rozreklamować jego najnowszą książkę. Wymyślił to Don Wiseman, zlecając zadanie pilotowi wyczynowemu. - Kim jest Don Wiseman?

- To agent prasowy Dawsona. Zawsze byłem zdania, że wszystko, czego dowiadujemy się o Dawsonie, przechodzi najpierw przez szkło powiększające Wisemana.

- Może pan chyba uważać go za byłego agenta Dawsona - powiedział cicho Wyatt.

Causton uniósł brwi.

- A więc tak to wygląda?

- Dawson jest w porządku - oświadczył Wyatt, gładząc świeżo wygolony policzek, po czym odłożył golarkę i zapytał: - Kiedy zobaczę się z Favelem?

Causton wzruszył ramionami.

- Jak będzie gotowy. Musi pan zrozumieć, że on prowadzi wojnę i być może teraz

zaczyna ją przegrywać. Chyba brakuje mu powoli pomysłów. Rozplanował dobrze początkowy etap walki, który właśnie się kończy. Teraz czeka go wyniszczające starcie z Rocambeau, a nie jest na nie przygotowany. Dysponuje pięcioma tysiącami ludzi przeciw piętnastotysięcznej armii rządowej i jeśli dojdzie do wojny na wyczerpanie, zostanie pokonany. Być może będzie musiał wycofać się w góry.

- Niech szybko się decyduje - stwierdził pośpiesznie Wyatt, zapinając koszulę. - Mabel nie będzie na niego czekać.

Causton siedział przez chwilę w milczeniu, a potem zapytał niemal błagalnym tonem:

- Czy ma mu pan do zaoferowania coś konkretnego, poza tym pańskim przecuciem?

Wyatt podszedł do okna i spojrzął na upalne błękitne niebo.

- Niewiele - odparł. - Gdybym był w bazie i miał swoje przyrzędy, doszedłbym może do jakichś logicznych wniosków, ale bez aparatury... - Wzruszył ramionami.

Causton wydawał się przygnębiony.

- Widzi pan, taka pogoda zwiastuje huragan - oznajmił Wyatt. - Ten bezwietrzny, duszny klimat nie jest rzeczą naturalną. Coś zatrzymało normalny ruch wiatru z południowego wschodu. Domyślam się, że to huragan Mabel. - Wskazał głową na morze. - Jest gdzieś tam, za horyzontem. Nie mogę dowieść z całą pewnością, że zmierza w naszym kierunku, ale jestem o tym przekonany.

- Na dole wisi barometr - powiedział Causton. - Może by się na coś przydał? - zapytał z niejaką nadzieją w głosie.

- Rzucę na niego okiem - stwierdził Wyatt. - Ale nie sądzę, by to cokolwiek dało.

Zeszli na dół, gdzie mieściła się pełna zgiełku główna kwatera armii i Causton pokazał mu barometr, wiszący na ścianie w gabinecie dyrektora. Wyatt popatrzył nań ze zdumieniem.

- Wielki Boże! Barometr Torricellego. Co za starość! - Postukał go delikatnie. - Ma pewnie ze sto lat. - Przyjrzał się uważnie jego tarczy i dodał: - Nie, niezupełnie. Adameus Copenhans, Amsterdam, rok 1872.

- Przyda się na coś? - zapytał Causton.

Wyatt był wyraźnie rozbawiony.

- To tak, jakby wręczyć fizykowi nuklearnemu kilof, żeby rozbił parę atomów. - Postukał ponownie w tarczę i strzałka drgnęła. - Ten instrument mówi nam, co dzieje się w danym momencie, a to nie ma większego znaczenia. Chciałbym wiedzieć, co się zdarzyło w ciągu minionej doby. Wiele bym dał za barograf aneroidowy z zapisem ostatnich trzech dni.

- A więc ten jest bezużyteczny?

- Niestety. I tak dawałby zapewne fałszywy odczyt. Nie przypuszczam, żeby ktoś zawracał sobie głowę korygowaniem wskaźnika temperatury, szerokości geograficznej, i tak dalej.

Causton przybrał sarkastyczny ton.

- To jest właśnie problem naukowców: dorobiliście się tak wyrafinowanej aparatury, że nie potraficie się już bez niej obejść. Co robili meteorolodzy, zanim dostali do dyspozycji satelity i wszystkie te elektroniczne wynalazki?

- Polegali na doświadczeniu i intuicji - odparł spokojnie Wyatt. - Właśnie to robię.

Kiedy miało się do czynienia z wieloma huraganami; z tyłoma, co ja; rozwija się u człowieka szósty zmysł, który podpowiada, czego się po nich spodziewać. Nie wykażą tego przyrzędy, ani nie pomoże tu żadna analiza. Nazwałbym to raczej głosem doświadczenia.

- Ja panu wierzę - stwierdził Causton płaczliwym tonem. - Rzecz w tym, czy uda nam się przekonać Favela?

- Tym się nie przejmuję - powiedział Wyatt. - Martwi mnie raczej, jak postąpi Favel, kiedy zdołamy go przekonać. Jest w sytuacji bez wyjścia.

- Zobaczmy, czy skończył już naradę - zaproponował Causton. - Jako dziennikarz ciekaw jestem, co zrobi. - Otarł pot z czoła. - Chyba ma pan rację: ta pogoda jest nienormalna.

Favel był nadal zajęty. Czekali w foyer, obserwując kurierów, wchodzących i wychodzących przez drzwi hotelowej jadalni, w której odbywała się narada. W końcu pojawił się Fuller i skinął na nich ręką.

- Teraz kolej na panów - oznajmił. - Proszę się streszczać. - Obdarzył Wyatta szczerym spojrzeniem swych niebieskich oczu. - Osobiście uważam, że to strata czasu. Tutaj nie ma huraganów.

- Serrurier powiedział mi to samo i prawie identycznie się wyraził - stwierdził Wyatt. - On też nie jest meteorologiem.

- Chodźmy wreszcie - zachnął się Fuller. - Chciałbym mieć to z głowy.

Zaprowadził ich do jadalni. Na poustawianych obok siebie stołach leżały mapy, a w głębi sali rozmawiało półgłosem kilku mężczyzn. Wyatt skojarzył to sobie nieodparcie z dużym, bogato udekorowanym pomieszczeniem, w którym Serrurier odbywał naradę przed bitwą, była jednak pewna subtelna różnica. Nie widział nigdzie złotych ozdób, ani nie dostrzegł żadnych oznak hysterii.

Causton ujął go za łokieć.

- To Manning - oznajmił, wskazując głową wysokiego białego mężczyznę. - Obok niego stoi Favel.

Favel był chudym, zylastym mężczyzną niewielkiego wzrostu. Miał jaśniejszą cerę niż typowy mieszkaniec San Fernandez, a przy tym - rzecz zaskakująca i niezrozumiała - wyraziste, błękitne oczy, co stanowiło bardzo niezwykłą cechę u człowieka czarnej rasy. Ubrany był zwyczajnie, w rozpiętą pod szyją schludną drelichową bluzę koloru khaki, z której wyłaniał się silny, masywny kark. Kiedy odwrócił się, aby powitać Wyatta, wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki, a w kącikach niespokojnych ust zadrgał uśmiech.

- A, pan Wyatt - zagaił. - Szukałem pana. Chcę usłyszeć, co pan ma do powiedzenia, chociaż, sądząc ze słów pana Caustona, obawiam się, że nie przypadnie mi to do gustu. - Jego angielszczyzna była płynna, pozbawiona obcego akcentu.

- Nadciąga huragan - stwierdził bez ogródek Wyatt.

Favel nie zmienił wyrazu twarzy. Spoglądając na Wyatta z żartobliwym uśmiechem na ustach, powiedział jedynie:

- Doprawdy?

- To dość kategoryczne stwierdzenie, panie Wyatt - odezwał się Manning, wysoki, biały mężczyzna. - Nie było tutaj huraganu od 1910 roku.

- Męczy mnie już słuchanie uwag na ten temat - powiedział Wyatt znużonym głosem. - Czy rok 1910 to jakaś magiczna data? Czyżby huragany pojawiały się regularnie co sto lat i następny będziemy mieli w roku 2010?

- Skoro nie w 2010, to kiedy możemy się go spodziewać? - zapytał cicho Favel.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin - powiedział otwarcie Wyatt. - Nie przypuszczam, żeby później.

Manning pogardliwie wyduł wargi, ale Favel uciszył go gestem ręki.

- Wiem, Charles, że nie chcesz, żeby cokolwiek przeszkadzało nam w prowadzeniu wojny, ale powinniśmy chyba posłuchać, co pan Wyatt ma do powiedzenia. To może mieć duże znaczenie dla naszych przyszłych planów. - Oparł się wygodnie o blat stołu, wycelowując w Wyatta brązowy palec. - A teraz niech mi pan przedstawi dowody.

Wyatt głęboko zaczerpnął tchu. Musiał przekonać o swojej racji tego szczupłego, śniadego mężczyznę, którego wzrok stał się nagle chłodny.

- Jeden z satelitów meteorologicznych zlokalizował ten huragan przed pięcioma dniami. Cztery dni temu, biorąc udział w rutynowym locie zwiadowczym, przeprowadziłem pomiary i stwierdziłem, że to wyjątkowo silny cyklon, jeden z najgorszych, z jakimi się zetknąłem. Kontrolowałem jego kurs i aż do chwili, gdy wyjechałem z bazy, był on zgodny z przewidywaniami. Potem nie miałem już możliwości go śledzić.

- Przewidywany kurs - powtórzył Favel. - Czy San Fernandez leży na szlaku huraganu?

- Nie - przyznał Wyatt. - Ale wystarczy niewielkie odchylenie od kursu, żeby nas zaatakował, a huragany zmieniają kierunek z niewiadomych powodów.

- Poinformował pan o tym komandora Brooksa? - zapytał szorstko Manning.

- Tak.

- No cóż, nie dał wiary pańskim opowieściom. Siedzi nadal w Cap Sarrat, po drugiej stronie zatoki, i nie zamierza się stamtąd ruszać.

- Komandor Brooks ma związane ręce - stwierdził ostrożnie Wyatt, patrząc na Favela. - Musi brać pod uwagę różne sprawy, zwłaszcza wojnę, którą prowadzicie. Podejmuje świadome ryzyko.

Favel skinął głową.

- Słusznie. Rozumiem położenie, w jakim znalazł się komandor Brooks, nie będzie chciał opuścić bazy na Cap Sarrat w zaistniałej sytuacji. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Ja też bym nie chciał, żeby ją opuszczał. Dzięki swojej mistrzowskiej bezczynności trzyma prezydenta Serruriera w szachu.

- To nie ma nic do rzeczy - odezwał się ostro Manning. - Gdyby był tak samo pewny, jak Wyatt, że nadciąga huragan, z pewnością ewakuowałby bazę.

Favel pochylił się naprzód.

- Czy pan jest tego pewien, panie Wyatt?

- Tak.

- Mimo że pozbawiono pana aparatury i nie ma pan pełnych informacji?

- Tak - powtórzył Wyatt, po czym spojrzał Favelowi prosto w oczy i dodał: - Dwa dni temu, zanim rozpoczęły się walki, spotkałem w górach, w pobliżu St. Michel, pewnego człowieka. Mocował dach swojej chaty.

Favel pokiwał głową.

- Ja też widziałem, jak ktoś to robił. Zastanawiałem się...

- Na litość boską! - nie wytrzymał Manning. - To nie jest zebranie towarzystwa folklorystycznego! Mamy podjąć bardzo ważne decyzje i musimy je opierać wyłącznie na faktach.

- Uspokój się, Charles - powiedział Favel. - Pochodzę z Zachodnich Indii, tak samo jak pan Wyatt. Swój ciągnie do swego. - Zauważył zdziwienie na twarzy Wyatta i wybuchnął śmiechem. - O, tak. Wiem o panu wszystko. Mam dossier na temat wszystkich zamieszkujących wyspę cudzoziemców. - Nagle spoważniał. - Czy rozmawiał pan z nim; z tym człowiekiem, który mocował dach chaty?

- Tak.

- I co powiedział?

- Mówił, że nadciąga wielki wiatr. Powiedział, że gdy skończy zabezpieczać dach, dołączy do rodziny, która schroniła się w jaskini w górach. Twierdził, że wielki wiatr pojawi się za dwa dni.

- Jak to się ma do pańskiej wiedzy na temat huraganu?

- Dokładnie się zgadza.

Favel zwrócił się do Manninga.

- Ten człowiek udał się do jaskini, by zaność modły do starego, zapomnianego już prawie bóstwa; starszego nawet od tych, które moi przodkowie przywieźli z Zachodniej Afryki. To Hunraken, karaibski bóg burzy.

Manning przyglądał mu się bezmyślnie. Favel mruknął „nieważne”, po czym odwrócił się do Wyatta i powiedział:

- Wierzę głęboko w instynkt samozachowawczy tutejszych ludzi. Możliwe... - pokiwał szczupłym, brązowym palcem - ale tylko możliwe, że huragan jednak nadciągnie. Zakładając, że to nastąpi, jakie mogą być jego skutki, jeśli zaatakuje nas tutaj, w St. Pierre?

- Mabel to wyjątkowo silny... - zaczął Wyatt.

- Mabel? - Favel zaśmiał się krótko. - Wy, naukowcy, utraciliście poczucie dramatyizmu. Hunraken to o wiele lepsze imię. - Machnął ręką. - Ale niech pan kontynuuje.

Wyatt zaczął ponownie.

- Huragan zaatakuje od południa i uderzy na Zatokę Santego. Woda jest tam płytka i ulegnie spiętrzeniu. Nastąpi zjawisko, które nazywa się popularnie falą pływową.

Favel strzelił palcami.

- Mapa. Zobaczymy, jak to wygląda na mapie.

Na jednym ze stołów rozłożono mapę w dużej skali i wszyscy skupili się wokół niej.

Causton przysunął się bliżej, obserwując z zainteresowaniem, jak Favel i Wyatt wzajemnie na siebie oddziaływują. Manning, mimo swego sceptycyzmu, był zafascynowany rozmiarami tragedii, której obraz nakreślił przed nimi Wyatt i patrzył z takim samym zaciekawieniem jak pozostali. Mniej bystry Fuller stał z boku, uśmiechając się półgębkiem. Dla niego była to tylko naukowa paplanina - wszyscy wiedzieli, że na San Fernandez nie ma huraganów.

Favel położył rękę na mapie, dokładnie na środku Zatoki Santego.

- Jeśli chodzi o tę falę pływową, jak wysoko sięgnie woda?

- Nie znam się na hydrografii, to nie moja działka - stwierdził Wyatt. - Ale mogę panu powiedzieć w przybliżeniu. Niskie ciśnienie w centrum huraganu podwyższy normalny poziom morza o jakieś, powiedzmy, sześć - osiem metrów. Kiedy fala znajdzie się u wejścia do zatoki i uderzy o mieliznę, zacznie się spiętrzać. Jej poziom wzrośnie również z powodu zawężenia przestrzeni. Gdy fala wtargnie do zatoki, coraz większe ilości wody będą musiały zmieścić się na ograniczonej powierzchni. - Zawahał się, po czym stwierdził z przekonaniem: - Można zakładać, że główna fala sięgnie na wysokość piętnastu metrów.

Ktoś aż syknął z wrażenia. Favel podał Wyattowi czarny flamaster, mówiąc:

- Pomińmy na razie siłę wiatru. Proszę zaznaczyć te obszary, które mogą znaleźć się pod wodą.

Wyatt stał nad mapą, trzymając w dłoni mazak.

- Także wiatr będzie popychał fale - stwierdził. - Cały obszar wokół zatoki, leżący poniżej dwudziestu metrów wysokości, zostanie całkowicie zalany. Dla bezpieczeństwa określiłbym ten poziom na dwadzieścia pięć metrów. - Opuścił dłoń i zaznaczył śmiało na mapie sinusoidalną linię. - Wszystko, co leży poza tą kreską w kierunku morza znajdzie się w rejonie powodzi.

Przerwał, a po chwili wskazał na mapie górną część Zatoki Santego.

- Rzeka Negrito cofnie się pod naporem wpadającej do zatoki fali. Cała ta woda będzie musiała znaleźć gdzieś ujście, należy więc oczekiwać poważnych powodzi jakieś szesnaście kilometrów w głąb doliny Negrito. Huragan przyniesie również mnóstwo wody w postaci deszczu.

Favel przyjrzał się mapie i pokiwał głową.

- Zupełnie jak wtedy - stwierdził. - Czytał pan o huraganie z 1910 roku, panie Wyatt?

- Niewiele. Brakuje zresztą danych na jego temat. Mało jest wiarygodnych informacji.

- Pochłonął sześć tysięcy ofiar - powiedział spokojnie Favel. - Uważam, że to bardzo interesująca liczba. - Zwrócił się do Manninga - Spójrz na tę linię, Charles. Otacza cały przylądek Cap Sarrat, płaskowyż, na którym jest lotnisko, aż do podnóża Mont Rambeau, miasto St. Pierre i równinę, łącznie z ujściem rzeki Negrito. To wszystko zostanie zatopione.

- O ile Wyatt się nie myli - podkreślił Manning.

- Właśnie. - Favel pochylił głowę. Jego spojrzenie stało się nieruchome i przez chwilę trwał pogrążony w myślach. Nagle odwrócił się do Wyatta i zapytał: - Czy ten człowiek z okolic St. Michel powiedział coś jeszcze?

Wyatt starał się wysilić pamięć.

- Niewiele. Aha, mówił, że nadciąga jeszcze jeden wiatr, gorszy może od huraganu. Powiedział, że Favel schodzi z gór.

Favel uśmiechnął się smętnie.

- Czyżby mój naród uważał, że jestem niszczycielską siłą? Nie przypuszczam, żebym był gorszy od huraganu. - Zwrócił się do Manninga. - Zamierzam postępować tak, jakby pojawienie się tego huraganu było stwierdzonym faktem. Nie mogę zrobić nic innego. Dostosujemy do tego nasze plany.

- Ależ Julio, prowadzimy wojnę! - powiedział przerażonym głosem Manning. - Nie

możesz ryzykować.

- Muszę - odparł Favel. - To mój naród, Charles. W tym mieście żyje sześćdziesiąt tysięcy ludzi, a może ono ulec zniszczeniu.

- Chryste! - powiedział Manning, rzucając Wyattowi wściekle spojrzenie. - Julio, nie możemy walczyć równocześnie z Rocambeau, Serrurierem i huraganem. Nie przypuszczam, żeby dotarł tu huragan i nie uwierzę w to, dopóki Brooks nie ruszy się z bazy. Jak, do diabła, mamy w tych warunkach dokonać dyslokacji wojska?

Favel położył mu dłoń na ramieniu.

- Czy pomyliłem się kiedykolwiek w ocenie sytuacji, Charles?

Manning wydał pełne rozpaczy westchnienie, które zabrzmiało równie dobitnie, jakby zawył głośno z wściekłości.

- Na razie nie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale wszystko zdarza się kiedyś po raz pierwszy. A zawsze miałem przecucie, Julio, że jeśli już popełnisz błąd, okaże się on cholernie poważny.

- Wtedy wszyscy zginiemy i będzie to bez znaczenia - stwierdził oschle Favel, po czym zwrócił się do Wyatta: - Czy potrafi pan zdobyć jakiś dowód na potwierdzenie swoich słów?

- Chciałbym spojrzeć na morze - powiedział Wyatt.

Favel zamrugał oczami, po raz pierwszy zbity z tropu.

- Taki drobiazg z łatwością da się załatwić. Charlesie, dopilnuj, żeby pan Wyatt otrzymał wszystko, czego potrzebuje. Chcę, żebyś osobiście się nim zajął. - Spojrzał na zaznaczoną na mapie krętą, czarną linię. - Mam wiele do przemyślenia. Chciałbym zostać sam.

- W porządku - stwierdził z rezygnacją Manning.

Skinął głową na Wyatta i ruszył do drzwi. Wyatt i Causton podążyli za nim do foyer, gdzie Manning odwrócił się nagle, chwycił Wyatta za koszulę i zaciskając na niej swą potężną dłoń rzucił wściekle: - Ty pieprzony bubku! Nieźle namieszalesz, co?

- Niech pan zabierze te swoje cholerne łapy - powiedział chłodno Wyatt.

Być może złowrogi błysk, który pojawił się w jego oczach, był dla Manninga ostrzeżeniem, gdyż puścił go i rzekł:

- W porządku. Ale muszę pana uprzedzić. - Podsunął Wyattowi palec pod nos. - Jeżeli po tym wszystkim, co pan naopowiadał, nie będzie huraganu, Favel może i zapomni o całej sprawie; ale ja nie. I obiecuję, że zanim minie kolejna doba, będzie o jednego meteorologa mniej.

Cofnął się i obrzucił Wyatta spojrzeniem pełnym chłodnej pogardy.

- Favel kazał mi pana niańczyć. Mam na zewnątrz samochód. Zawiozę pana, dokąd pan zechce. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Causton popatrzył w ślad za nim.

- Lepiej, żeby pan się nie mylił, Wyatt - mruknął. - I to ani odrobinę. Jeśli Mabel nie zjawi się w porę, nie chciałbym być w pańskiej skórce.

- Jedzie pan? - zapytał Wyatt, wyraźnie blady.

- Za nic nie przepuszczę takiej okazji.

Manning nie odzywał się ani słowem. Powiózł ich w kierunku doków, obok ograbionego arsenału San Juan i wjechał na długie molo.

- Czy to wystarczy?

- Chciałbym dostać się na sam koniec - powiedział Wyatt. - O ile nie jest to niebezpieczne dla samochodu.

Manning powoli pojechał dalej, zatrzymując wóz parę metrów od końca mola. Wyatt wysiadł i stał wpatrzony w ciężkie fale, napływające od strony wejścia do zatoki i z otwartego morza. Causton otarł pot z czoła, mówiąc do Manninga:

- Boże, co za upał. Zawsze tu o świcie tak gorąco?

Manning nic mu nie odpowiedział. Wskazał za to głową na Wyatta i zapytał:

- Do jakiego stopnia można na nim polegać?

- Nie mam pojęcia - odparł Causton. - Znam go dopiero od czterech dni. Ale jedno



mogę panu powiedzieć: to najbardziej uparty facet, jakiego spotkałem.

Manning westchnął ciężko, ale nic już nie mówił.

Wyatt wrócił po kilku minutach i wszedł do wozu. - No i co? - zapytał Manning.

Wyatt przygryzł wargę.

- Morze jest na tyle wzburzone, że powstają na nim potężne fale. To wszystko, co mogę panu powiedzieć.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Manning. - Nic więcej?

- Proszę się nie martwić - uspokoił go Wyatt, uśmiechając się zjadliwie. - Będzie pan miał swój huragan. - Popatrzył na niebo. - Chcę, żeby poinformowano mnie o najmniejszych oznakach zachmurzenia albo mgły, gdziekolwiek bym się znajdował.

- W porządku - obiecał Manning, wrzucając wsteczny bieg. Miał właśnie puścić sprzęgło, gdy nad wodą rozbrzmiała potężna; eksplozja. Odwrócił gwałtownie głowę, pytając: - Co to było, do diabła?

Huk eksplozji odbijał się jeszcze echem od gór za St. Pierre, gdy rozległ się następny wybuch. Causton odczuwał się pełnym podniecenia głosem:

- Coś się dzieje w bazie. Niech pan patrzy!

Przez szeroką na sześć i pół kilometra Zatokę Santego, która dzieliła ich od bazy, wszystko było dokładnie widać. W niebo wznosił się leniwie słup czarnego dymu i Wyatt wiedział, że musi on być potężny, skoro jest widoczny z tej odległości. Nagle coś go tknęło i powiedział:

- Brooks ewakuuje bazę. Pozbywa się zapasów amunicji, żeby Serrurier ich nie przechwylił.

Manning przyglądał mu się zaskoczony, a potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, gdy w równych odstępach czasu zaczęły rozbrzmiewać jedna po drugiej kolejne eksplozje.

- Na Boga! - ryknął. - Więc naprawdę zbliża się huragan!

## 7

### I

Favel był wyrozumiały.

- To, że Charles wydaje się zadowolony, wcale nie oznacza iż me rozumie powagi sytuacji - powiedział. - Po prostu lubi mieć odczynienia z rzeczywistością. Nie chce walczyć z cieniami.

W jadalni hotelu Imperiale było potwornie duszno i Causton żałował, że nie działają wentylatory. Favel obiecał uruchomić jak najszybciej miejską elektrownię, ale na razie nie miało to znaczenia. Odkleił koszulę od pleców i spojrzał na Wyatta. „Nie tylko Manning jest szczęśliwy,

Pomyślał Wyatt udowodnił wreszcie, że Wyatt udowodnił wreszcie, że się nie myli.

Chociaż jednak Wyatt wydawał się bardziej odprężony, daleko mu było do zadowolenia. Czekali ich wiele pracy, umykał cenne minuty, a tymczasem Favel sypał beztrosko nic nie znaczącymi uwagami. Wzruszył ramionami, okazując rozdrażnienie, po czym podniósł wzrok, gdy Favel zapytał go wprost:

- Co pan radzi zrobić, panie Wyatt?

- Przeprowadzić ewakuację - odparł bez wahania. - Całkowitą ewakuację St. Pierre. Manning prychnął pogardliwie.

- Toczmy wojnę, do cholery. Nie możemy robić dwóch rzeczy naraz.

- Nie byłbym tego taki pewny - powiedział cicho Favel. - Charles, podejdź tutaj do stołu, gdzie dołączyli do jakiegoś mężczyzny i pochyleni rozmawiali półgłosem.

Wyatt rzucił okiem na Caustona, przypominając sobie, co ten powiedział, zanim zaczęła się narada. Wyrażał się z pewnym cynizmem o Favelu i jego zatroskaniu o „własny

naród”.

- jasne, że się o tych ludzi niepokoi - mówił. - St. Pierre to największe miasto na wyspie. Stanowi źródło władzy, dlatego właśnie się tu zjawiał. Ale władza pochodzi od obywateli, nie zapewniają jej same budynki i on jako polityk bardzo dobrze o tym wie.

Wyatt zauważył, że Favel wygląda na idealistę, na co Causton wybuchnął śmiechem.

- Bzdura! To obdarzony praktycznym zmysłem polityk, a w polityce brakuje miejsca na idealizm. Nie tylko Serrurier zabijał, Favel także miał w tym swój udział.

Wyatt przypomniał sobie masakrę na Place de la Liberation Noire i był zmuszony przyznać mu rację. Nie mógł się jednak zgodzić, że Favel jest gorszy od Serruriera - widział przecież ich obu w akcji.

Favel i Manning byli za chwilę z powrotem i Favel oznajmił:

- Jesteśmy w opałach, panie Wyatt. Ewakuacja Amerykanów z Cap Sarrat stawia przede mną dziesięciokrotnie trudniejsze zadanie. Wszystkie odciążone jednostki wojsk rządowych mogą teraz zaatakować nasze prawe skrzydło. - Uśmiechnął się. - Na szczęście przypuszczamy, że Serrurier sam przejął dowództwo, a wiem od dawna, jak kiepski z niego generał. Rocambeau na lewym skrzydle to zupełnie inna sprawa, chociaż jego ludzie są zmęczeni i pobici. Mówię panu: gdyby Serrurier i Rocambeau zamienili się pozycjami, wojna skończyłaby się w ciągu dwunastu godzin, a ja byłbym martwy. - Pokręcił głową ze smutkiem. - I chce pan, żebym w tych warunkach ewakuował całą ludność stolicy.

- Trzeba to zrobić - powiedział z uporem Wyatt.

- Zgadzam się - stwierdził Favel. - Tylko jak?

- Będzie pan musiał poprosić o rozejm. Trzeba...

Manning odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Rozejm! - powtórzył drwiąco. - Myśli pan, że Serrurier się na to zgodzi, skoro wie, że może nas teraz zgnieść jak skorupkę orzecha?

- Zgodzi się, gdy powiemy mu o huraganie. Favel pochylił się naprzód i oświadczył z naciskiem:

- Serrurier to szaleniec. Huragany nic go nie obchodzą. On po prostu wie, że nie ma ich na tej wyspie. Sam mi pan o tym wspominał, relacjonując naszą rozmowę.

- Teraz musi uwierzyć - powiedział Wyatt podniesionym głosem. - Jak inaczej wytłumaczy ewakuację bazy na Cap Sarrat?

Favel machnął ręką.

- Z łatwością znajdzie na to wyjaśnienie. Amerykanie wycofali swe siły, ponieważ obawiali się ataku potężnej armii Serruriera, Czarnej Gwiazdy Antyli. Uciekli, bo się przestraszyli.

Wyatt spojrział na niego zdumiony i nagle pojął, że Favel wcale się nie myli. Po człowieku, który odpędza huragan za pomocą dekretu, należy spodziewać się automatycznie pompatycznych i paranoidalnych reakcji.

- Może i ma pan rację - przyznał niechętnie.

- Jestem o tym przekonany - stwierdził stanowczo Favel. - Co więc należy teraz zrobić? Proszę za mną, pokażę panu. - Poprowadził Wyatta do stołu z mapą. - Tu jest St. Pierre, a tutaj pańska linia, oznaczająca obszar powodzi. Ludność St. Pierre zostanie ewakuowana w górne rejony doliny Negrito, z dala od rzeki. Podczas tej operacji wojsko będzie musiało powstrzymać ataki Serruriera i Rocambeau.

- I wcale nie będzie to takie cholernie proste - zauważył Manning.

- Mam zamiar jeszcze bardziej całą sprawę utrudnić - stwierdził Favel. - Chcę, żeby ewakuację nadzorowało dwa tysiące żołnierzy. Kolejny tysiąc musi stawić czoła Serrurierowi na prawym skrzydle, a dwa tysiące powstrzymają Rocambeau na lewym. Będą, oczywiście, dysponować całą artylerią.

- Julio, miej serce! - zaprotestował Manning. - Nie da się tego zrobić w ten sposób. Nie powinniśmy tracić ludzi. Jeżeli masz za mało piechoty do ochrony dział, zostaną zaraz przechwycone. Nie możesz tak postąpić.

- Muszę - upierał się Favel. - Pozostało niewiele czasu. Aby ewakuować wszystkich

mieszkańców, będziemy potrzebowali ludzi, którzy wyprowadzą ich z domów, choćby siłą, jeśli okaże się to konieczne. - Zerknął na zegarek. - Jest dziewięta trzydzieści. Za dziesięć godzin nie chcę widzieć w mieście ani jednego cywila. Odpowiadasz za ewakuację, Charles. Bądź bezwzględny. Gdyby nie chcieli wychodzić, popędź ich bagnietami. Jeśli i to nie pomoże, zastrzel dla przykładu parę osób. Ale wyprowadź tych ludzi z miasta.

Wyatt słuchał obojętnego głosu Favela, pojmując po raz pierwszy, że Causton mówił prawdę. Ten człowiek wykorzystywał władzę, jako broń, patrzył na ludzi okiem polityka, widząc w nich tłum, a nie jednostki. Może tak musiało być. Postępował z bezwzględnością chirurga, który podczas nagłej operacji musi posłużyć się skalpelem: niszczy tkankę, aby uratować pacjenta.

- No więc wyprowadzimy ich z miasta - powiedział Manning. - I co dalej?

Favel wskazał ręką na mapę, mówiąc cicho:

- Potem pozwolimy, by Serrurier i Rocambeau zajęli St. Pierre. Po raz pierwszy w historii ludzie wykorzystają huragan jako broń.

Wyatt wstrzymał oddech, do głębi zaszokowany. Wystąpił naprzód i powiedział drżącym głosem:

- Nie może pan tego zrobić.

- Doprawdy? - Favel odwrócił się gwałtownie w jego stronę. - Próbowałem zniszczyć tych ludzi przy pomocy żelaza i gdybym tylko mógł, zabiłbym każdego z nich. Oni z kolei chcą uśmiercić mnie i moich żołnierzy. Dlaczego nie miałbym pozwolić, żeby wyręczył mnie huragan? Bóg jeden wie, ilu moich ludzi straci życie w obronie mieszkańców St. Pierre. Wielu zginie, bo przewaga tamtych wynosi pięć do jednego. Dlaczego więc huragan nie miałby wyrównać rachunku krzywd?

Wyatt cofnął się, gdyż pełne ognia, błękitne oczy Favela przepełniły go nagle lękiem.

- Ostrzegłem pana, aby ocalić ludziom życie, a nie po to, by zabijać - rzekł po chwili. - To niehumanitarne.

- A czy bomba wodorowa jest humanitarna? - odparował Favel. - Niech pan ruszy mózgowicą: co innego mogę zrobić? Dziś po południu, gdy skończy się ewakuacja, moi ludzie pozostaną sami w St. Pierre. Nie mam, oczywiście, zamiaru ich tam zostawiać. Kiedy się wycofają, siły rządowe wejdą do miasta, sądząc, że jesteśmy w odwrocie. Cóż innego mogliby pomyśleć? Nie proszę ich żeby utonęli w St. Pierre. znajdą się w mieście na własne ryzyko

- Jak daleko się wycofacie? - zapytał Wyatt.

- Do linii, którą sam pan zakreślił - odparł bez skrępowań Favel. - Na ile to możliwe, będziemy się trzymać poziomu dwudziestu pięciu metrów.

- Moglibyście wycofać się jeszcze dalej - powiedział rozgorączkowany Wyatt. - Poszliby za wami na wyżej położone tereny.

Favel grzmotnął ręką w blat stołu tak głośno, że zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu.

- Nie mam ochoty na dalszą walkę. Dość już było ofiar. Nieci huragan robi swoje.

- To zbrodnia.

- A czym innym jest wojna? - zapytał Favel, odwracając się do Wyatta plecami. - Dość już tego, jesteśmy teraz zajęci. Zobaczmy, Charles, których ludzi mogę ci dać do dyspozycji.

Przeszedł na koniec sali, pozostawiając Wyatta w szoku. Po chwili znalazł się przy nim Causton i położył mu dłoń na ramieniu,

- Proszę nie zaprzętać sobie głowy polityką książąt - poradził. - Wiele pan ryzykuje.

- To sprzeczne z etyką mojej pracy - powiedział cicho Wyatt. - Nigdy nie chciałem, by do tego doszło.

- Otto Frisch i Lise Meitner także nie mieli złych zamiarów, gdy w 1939 roku rozszczepili atom uranu. - Causton skinął głową w kierunku Favela. - Jeśli znajdzie pan sposób na poskromienie huraganów, tacy ludzie jak on będą decydowali o tym, do czego je wykorzystywać.

- Mógłby ocalić wszystkich - powiedział Wyatt silniejszym już głosem. - Mógłby, rozumie pan? Gdyby wycofał się w góry, wojska rządowe poszłyby za nim.

- Wiem - przytaknął Causton.
- Ale nie zamierza tego zrobić. Chce je zamknąć w St. Pierre.

Causton podrapał się w głowę.

- To może nie być takie proste, jak się wydaje. Do czasu zakończenia ewakuacji musi powstrzymać siły Rocambeau i Serruriera, a następnie przeprowadzić kontrolowany odwrót, nie dając się po drodze rozgromić. Potem będzie musiał rozlokować ludzi na wysokości dwudziestu pięciu metrów, a cholernie trudno jest utrzymać tak długi odcinek, gdy się ma pięć tysięcy żołnierzy, odliczając tych, których straci podczas akcji. Na dokładkę będą musieli się okopać, żeby nie zagroził im huragan. - Pokręcił głową z powątpiewaniem.

- To w sumie ryzykowna operacja.

Wyatt popatrzył w kierunku Favela.

- Myślę, że on jest tak samo żądny władzy jak Serrurier.

- Posłuchaj, chłopcze - rzekł Causton. - Zaczynj wreszcie myśleć. On postępuje tak, jak powinien postąpić w zaistniałych okolicznościach. Musi skończyć to, co zaczął i w niepewnej sytuacji, w jakiej znalazł, skorzysta z każdej dostępnej broni, nawet z huraganem. - Przerwał zamyślony. - Może nie jest taki zły, jak przypuszczałem. Chyba mówił szczerze, że nie chce więcej walczyć.

- Całkiem możliwe - skwitował Wyatt. - Pod warunkiem, że wygra.

Causen szeroko się uśmiechnął.

- Po co uczy się pan zasad polityki. Do diabła, wy naukowcy jesteście czasem cholernie naiwni.

- Miałem zajmować się fizyką atomową - stwierdził Wyatt z odcieniem rozpaczony w głosie. - Chciał tego mój promotor, ale nie podobały się końcowe rezultaty ich prac. A teraz i tak spotyka mnie to, czego starałem się uniknąć.

- Nie może pan spędzić całego życia w wieży z kości słoniowej - powiedział szorstko Causton. - Nie da się uciec od świata, który nas otacza.

- No nie - przyznał Wyatt, marszcząc brwi. - Ale muszę załatwić pewną sprawę. Co z Julie, Rawsthorne'm i pozostałymi? Trzeba jakoś pomóc.

Causton wydał stłumiony jęk.

- Co miał pan zamiar zrobić? - zapytał ostrożnie.

- Coś, musimy wymyślić - odparł ze złością Wyatt. - Potrzebny mi jakiś środek transportu, samochód czy coś w tym rodzaju, i eskorta na część trasy.

Causton dochodził przez chwilę do równowagi, po czym rzekł:

- Nie wpadł pan chyba na pomysł, żeby wchodzić na tereny zajmowana przez wojska Rocambeau, prawda?

- Zdaje się, że to jedyne rozwiązanie - oznajmił Wyatt. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- No cóż, nie obarczałbym teraz Favela tą sprawą - poradził Causton. - Jest bardzo zajęty. - Przypatrywał się Wyattowi z namysłem, próbując stwierdzić, czy jest całkowicie przy zdrowych zmysłach. - Poza tym Favel nie chciałby pana stracić.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał Wyatt.

- Będzie chciał, aby obserwował pan niebo i określił harmonogram działań.

- Nie nadaję się do takich rzeczy - odparł Wyatt, zaciskając zęby.

- Niech pan posłucha - powiedział twardo Causton. - Favel musi się zatroszczyć o ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Pan myśli o czterech osobach, a właściwie tylko o jednej. Sam pan widzi, że chce wyprowadzić ludzi z St. Pierre, choć nie ma to znaczenia dla jego wojskowych planów. Prawdę mówiąc, ta operacja może mu cholernie zaszkodzić. Pozostawiam panu decyzję, jak powinien pan postąpić. - Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wyatt patrzył za nim z uczuciem skurczu w żołądku. Causton miał oczywiście rację. Wcale się, do cholery, nie mylił. Wyatt siedział w tej sprawie po uszy, czy mu się to podobało, czy nie: ratując mieszkańców St. Pierre pomoże zniszczyć wojska rządowe. Może byłoby lepiej spojrzeć na zagadnienie z odwrotnej strony: pomagając zniszczyć armię ocali ludzi. Ale owe rozmyślenia nie poprawiły mu zanadto samopoczucia.

## II

O godzinie jedenastej miasto St. Pierre zawrzało. Plan Manninga był brutalnie prosty. Oddziały ewakuacyjne, rozpoczynając akcję równocześnie na wschodnich i zachodnich peryferiach, tuż za liniami gotowych do walki jednostek, wypędzały mieszkańców na ulice, przechodząc systematycznie od domu do domu. Ludziom pozwalano zabrać odzież, którą mieli na sobie i tyle żywności, ile potrafili unieść - nic więcej. Efekt był taki, jakby ktoś wsadził kij w mrowisko i mocno nim poruszył.

Manning wydał oficerom mapy miasta, na których wykreślono czerwone i niebieskie linie. Czerwony kolor wskazywał szlaki komunikacyjne wojska. Osobom cywilnym nie wolno było pod groźbą śmierci poruszać się po oznaczonych w ten sposób ulicach. Wojsko musiało za wszelką cenę mieć zapewnioną ochronę i zaopatrzenie, i nic nie powinno w tym przeszkadzać. Niebieskie linie prowadziły do głównej drogi, która wiodła w głąb doliny Negrito..

Właśnie tamtędy Wyatt wioził Julie, choć wydawało mu się, że minęło od tego czasu już ze sto lat.

Nie obyło się bez incydentów. Niebieskie linie pozwalały na ruch tylko w jednym kierunku i przepis ten musiano egzekwować siłą. Tym, którzy usiłowali iść pod prąd, rozkazywano bezwzględnie, aby zawrócili, a jeśli to nie pomagało, ostrze bagnetu stawało się przekonywującym argumentem. Czasem jednak, na przykład gdy oszalały ojciec próbował odnaleźć swą rodzinę, nie wystarczał nawet bagnet i wtedy przemawiała zza niego donośniejszym głosem lufa karabinu. Ciało odciągano na pobocze, aby nie hamowało jednostajnego marszu powłóczęgich nogami ludzi.

Było to brutalne, ale konieczne. Dlatego tak postępowano.

Causton kręcił się po mieście, mając na ręku opaskę oficera powstańców. W żadnym z zapalnych punktów targanego konfliktami świata, które miał okazję opisywać w swych reportażach, nie widział dotąd niczego podobnego. Był zarazem przerażony i szczęśliwy. Przerażał go rozmiar rozgrywającej się na jego oczach tragedii, ale triumfem napawała świadomość, że jest jedynym obecnym na miejscu dziennikarzem. Kiedy wyczerpały mu się baterie w magnetofonie, powrócił do stenografii, której nauczył się jako początkujący reporter i zaczął robić pospieszne, wprawne zapiski w ukradzionych ze sklepu papierniczego notatnikach, aby zarejestrować rozgrywające się sceny dla spragnionego wiadomości świata.

Ludność zachowywała się biernie. Przez całe lata Serrurier eliminował systematycznie jej przywódców, a pozostali byli jak stado owiec. Protestowali głośno, gdy kazano im wychodzić z domów, ale milkli na widok broni, a gdy znaleźli się już na zewnątrz, dołączali posłusznie do długiej kolumny uchodźców i szli powoli naprzód, poganiani do szybszego marszu przez deptających im po piętach ludzi Favela. Gdy na ulicach znalazła się większa liczba mieszkańców, nie dało się, oczywiście, uniknąć zamieszania i zatorów. Na jednym z narożników, gdzie dwie szerokie arterie wpadały pod niewielkim kątem w trzecią, powstał zamęt: nie sposób było rozdzielić kłębowiska napierających na siebie ciał. Rozkrzyczani podoficerowie Favela potrzebowali dwóch godzin, aby sobie z tym poradzić, a gdy w końcu uporali się z zatorem, pozostało w owym miejscu świadectwo chaosu: kilkadziesiąt zmiażdżonych i zaduszonych ofiar.

Causton objechał miasto pożyczonym samochodem i w końcu skręcił w kierunku Negrito, sprawdzając na mapie, jak można tam najszybciej dotrzeć zaznaczonym na czerwono szlakiem. Dostał się boczną drogą na główną szosę, która prowadziła do doliny Negrito, w okolice miejsca, gdzie przechwycono artylerię Serruriera i zobaczył znikającą w oddali długą kolumnę uchodźców. Stała tam spora grupa powstańców, licząca około stu żołnierzy. Wyciągali z maszerującej kolumny dobrze zbudowanych mężczyzn, tworząc z nich oddziały, które dokądś odprowadzano. Zaciekawiony Causton podążył za jedną

z grup, chcąc się przekonać, dokąd idą i zobaczył, że uzbrojeni w karabiny żołnierze Favela ustawiają tych ludzi do kopania rowów.

Favel formował na wysokości dwudziestu pięciu metrów swą ostatnią linię obrony.

Kiedy Causton wrócił do samochodu, zobaczył pozostawioną przez powstańców niewielką stertę zwłok, które rzucono niedbale na stos na poboczu drogi. Byli to pacyfiści - ludzie, którzy nie chcieli kopać rowów w imię zwycięstwa.

Mając już dość widoku śmierci, Causton zastanawiał się, czy nie szukać schronienia w górze rzeki. Zawrócił jednak i pojechał z powrotem do miasta, ponieważ nie dokończył jeszcze swojej pracy, a praca była całym jego życiem. Dotarł znów do głównej kwatery w hotelu Imperiale i zapytał o Wyatta, znajdując go w końcu na dachu, wpatzonego w niebo.

Sam też spojrział w górę i zobaczył kilka pierzastych chmur, nie chroniących prawie wcale przed słonecznym żarem.

- Czy coś się zaczęło? - zapytał.

Wyatt odwrócił się.

- Niech pan spojrzy na te chmury - odparł. - Mabel jest już blisko.

- Nie wyglądają szczególnie groźnie - stwierdził Causton. - Mamy takie same w Anglii.

- Wkrótce zauważy pan różnicę.

Causton spojrział na niego porozumiewawczo.

- Przestał pan się już stawiać?

- Chyba tak - odparł posępnie Wyatt.

- Powiem panu coś na pocieszenie - rzekł Causton. - Ludzie, których spotka kara, to żołnierze Serruriera, a żołnierzom płaci się za zabijanie. Nie można tego powiedzieć o kobietach i dzieciach z St. Pierre.

- Jak jest teraz w mieście?

- Niewesoło - odparł Causton. - Splądrowano trochę sklepów, ale ludzie Favela szybko położyli temu kres. - Celowo nie wspomniał, w jaki sposób wyciąga się ludzi z domów.

Powiedział tylko: - Problem w tym, że za miasto prowadzi w zasadzie jedna droga. Potrafi pan sobie wyobrazić, ile miejsca zajmuje na niej ludność całej metropolii?

- Nie miałem okazji tego sprawdzić - stwierdził cierpko Wyatt.

- Próbowałem zrobić w pamięci szybką kalkulację - oznajmił Causton. - Wyszło mi dziewiętnaście kilometrów. A ponieważ poruszają się z prędkością najwyżej półtora kilometra na godzinę, cała kolumna potrzebuje sześciu godzin, żeby minąć jakiś punkt na trasie.

- Spędziłem godzinę na przeglądaniu map - oświadczył Wyatt. - Favel chciał, żebym zaznaczył miejsca, w których ludność będzie bezpieczna. Zrobiłem, co mogłem, kierując się przebiegiem tych cholernych poziomic, ale czy mogę gwarantować bezpieczeństwo? - Uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Nie wiem. To miasto powinno dysponować gotowym planem ewakuacji, który w razie huraganu można by wyjąć z szuflady i wykorzystać - powiedział gniewnie.

- Favel tu nie zawinił - zauważył słusznie Causton. - Może pan obciążyć odpowiedzialnością Serruriera. - Zerknął na zegarek. - Jest pierwsza, a Rocambeau jeszcze się nie ruszył. Musiał oberwać bardziej, niż przypuszczaliśmy. Jadł pan już coś?

Wyatt pokręcił przecząco głową, więc Causton zaproponował:

- Zobaczymy, co uda się przyszykować. Potem możemy przez dłuższy czas nie mieć okazji, żeby cokolwiek zjeść.

Udali się na dół, gdzie zatrzymał ich Manning, który właśnie wszedł.

- Kiedy ma nadejść ten huragan? - zapytał obcesowo.

- Na razie nie potrafię powiedzieć - odparł Wyatt. - Ale proszę mi dać jeszcze parę godzin, a dostanie pan dokładne informacje.

Manning wydawał się rozgoryczony, ale nie odezwał się ani słowem.

- Czy można tu znaleźć coś do jedzenia? - zapytał Causton. - Zaczynam być głodny.

Manning uśmiechnął się.

- Znaleźliśmy kilka zabłąkanych kurcząt. Pozwólcie panowie ze mną.

Zaprowadził ich do biura dyrekcji, które zamieniono na oficerską mesę. Favel kończył właśnie spożywać posiłek. Zaczął wypytywać Wyatta, podobnie jak Manning, był jednak o wiele bardziej dociekliwy. Potem wrócił do swoich map, zostawiając ich, aby spokojnie coś zjedli.

Causton zaczął obgryzać udko kurczęcia, lecz po chwili przerwał, celując nim w Manninga.

- Jak pan się tu znalazł? - zapytał. - Co pana łączy z Favelem?

- Interesy - odparł bezceremonialnie Manning.

- Na przykład fachowe porady na temat prowadzenia wojny?

Manning uśmiechnął się.

- Favel nie musi się tego uczyć.

Causton wydawał się pogrążony w myślach.

- Aha - powiedział, jakby nagle doznał olśnienia. - Pracuje pan dla AFC.

Wyatt podniósł wzrok.

- Co to takiego?

- Spółka handlująca owocami na Antylach. Robi kokosowe interesy w tym rejonie świata. Zastanawiałem się, skąd Favel dostaje pieniądze.

Manning odłożył kość.

- Tego panu nie powiem, prawda?

Nie wygadałbym się przed dziennikarzem.

- Nie bezpośrednio - przyznał Causton. - Ale gdyby ten dziennikarz wyczuwał, o co chodzi i znalazł się wystarczająco na swojej robocie, by domyślić się całej reszty, chciałby pan, żeby dowiedział się prawdy; czyż nie? Zgodnie, rzecz jasna, z pańskim punktem widzenia.

Manning roześmiał się.

- Lubię pana, Causton. Naprawdę. No cóż, mogę coś panu opowiedzieć, ale nieoficjalnie, więc proszę się na mnie nie powoływać. Założmy, że rozmawiam tu sobie spokojnie z Wyattem, a pan nadstawia te swoje długie uszy. - Spojrzał na Wyatta. - Powiedzmy, że istniała pewna duża amerykańska spółka, która zainwestowała kiedyś na San Fernandez spory kapitał i cały jej majątek został wywłaszczony przez Serruriera.

- AFC - rzekł Causton.

- Możliwe - stwierdził Manning. - Ale nie mówię tego głośno. Szefowie spółki byli, oczywiście, wściekli jak osy, ich straty przekroczyły dwadzieścia pięć milionów dolarów. Akcjonariusze także nie mieli powodów do zadowolenia. To połowa historii. W drugiej połowie pojawia się Favel: facet, który mógł coś w tej sprawie zrobić, kierując się własnymi pobudkami. Nie miał jednak pieniędzy na zakup broni i szkolenie ludzi, czy nie jest więc rzeczą naturalną, że się porozumieli?

- Ale dlaczego wybrali pana na pośrednika? - zapytał Causton.

Manning wzruszył ramionami.

- Pracuję w tej branży. Jestem do wynajęcia. Nie chcieli zatrudnić Amerykanina, to by mogło źle wyglądać. Tak czy inaczej, pojechałem robić zakupy za pieniądze spółki. W Szwajcarii mieszka pewien facet, Amerykanin, który ma dość broni, by wyposażać brytyjską armię, nie mówiąc o naszym błahym przedsięwzięciu. Favel wiedział dokładnie, co jest mu potrzebne: karabiny, kaemy, moździerz, które mają dużą siłę rażenia, a równocześnie dają się łatwo transportować, bez odrzutowe karabinki i parę dział do walki w górach. Odesłał kilku swych najlepszych ludzi z wyspy i założył dla nich obóz szkoleniowy; lepiej nie powiem panu gdzie. Wynajął tym zaczął kilku instruktorów, aby nauczali jego żołnierzy obsługi dział, a potem zaczął znów stopniowo werbować wyspiarzy. Kiedy miał dość ludzi, dostarczaliśmy mu broń.

- Chce mi pan wmówić, że zrobiono to wszystko, by spółka handlująca owocami mogła zarobić o kilka dolarów więcej? - zapytał z niedowierzaniem Wyatt.

Manning przeszył go wzrokiem, zaciskając dłoń w pięść.

- Bynajmniej - powiedział szorstko. - Skąd panu to przyszło do głowy?

- Proszę wybaczyć mojemu młodemu koledze - wtrącił pospiesznie Causton. - Ma jeszcze mleko pod nosem. Nie rozumie pewnych spraw, na co miałem okazję zwrócić mu już uwagę.

- Gdyby Favel to usłyszał, straciłby pan głowę - stwierdził Manning, celując w Wyatta palcem. - Ktoś musiał wykurzyć stąd Serruriera, a tylko Favel okazał się dość odważny. Nie dało się tego zrobić w zgodzie z konstytucją, bo Serrurier ją unieważnił. Musiała więc poleć się krew, jak przy zabiegu chirurgicznym. Przykre to, ale prawdziwe.

Odprężył się i uśmiechnął do Caustona.

- Mogło się okazać, że nasza hipotetyczna spółka złapała tygrysa za ogon. Favel nie pozwoli zrobić z siebie figuranta. Wie pan, jest po trosze reformatorem i będzie walczył o godziwe zarobki i dobre warunki pracy na plantacjach. - Wzruszył ramionami. - Nie należę do spółki. Nie moja sprawa, czy Favel będzie gryzł rękę, która go karmiła.

Wyatt skrzywił się. Wychodziło na to, że Causton znowu miał rację. W pokrętnym świecie polityki wszystko traciło swój sens. Był to świat, w którym czern i biel mieszały się w jakiś nieokreślony odcień szarości, w którym złych czynów dokonywano ze słusznych pobudek, a dobre intencje wydawały się podejrzane. Nie należał do tego świata i chciał znaleźć się jak najszybciej poza nim, wśród nieskomplikowanych liczb i wzorów, gdzie jedynym jego zmartwieniem było to, jak zachowa się huragan.

Chciał powiedzieć „przepraszam”, ale zobaczył, że Manning nadal rozmawia z Caustonem.

- ... będzie lepiej, gdy uda się stworzyć na San Fernandez fundusz rozwoju i kapitał przestanie płynąć do kieszeni Serruriera. Trochę dodatkowych pieniędzy bardzo by się tu przydało. Mogłoby to być dobre miejsce do życia.

- Czy Favelowi można zaufać? - zapytał Causton.

- Chyba tak. Ma skłonności liberalne, ale nie jest żadnym mdłym liberałem, ani nie zechce się podporządkować Rosjanom, jak Castro. Postawi się także Amerykanom. - Manning wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Każe im płacić za bazę na Cap Sarrat o wiele więcej, niż ich dotąd kosztowała. - Spoważniał i dodał: - Będzie dyktatorem, bo nie ma teraz innego wyjścia. Serrurier wypaczył tym ludziom charaktery, wymordował im przywódców i pozbawił wszystkich odwagi. Nie stać ich jeszcze na utworzenie rządu.

Przypuszczam jednak, że nie będzie złym dyktatorem; na pewno lepszym niż Serrurier.

- Hm - mruknął Causton. - Musi się liczyć z ostrą krytyką ze strony ograniczonych idealistów, którzy nie mają pojęcia, co się tu dzieje.

- Nie będzie się tym przejmował - zapewnił Manning. - Nie obchodzi go ani trochę, co mówią o nim ludzie. Poza tym potrafi odplacić pięknym za nadobne.

Stół zatrzęsł się i od wschodu zabrzmiał odgłos grzmotu. Manning podniósł głowę.

- Zaczyna się zabawa. Rocambeau przystąpił do ataku.

### III

Julie wyglądała przez szparę w drzwiach baraku, skleconego z porzewiałej blachy, nie zwracając uwagi na piskliwy głos pani Warmington, która siedziała za nią, skulona na jednej ze skrzyń. Wyglądało na to, że w kamieniołomie jest jeszcze sporo ciężarówek, choć słyszała, jak wiele z nich odjeżdżało. Ciągłe było też wokół mnóstwo żołnierzy: jedni stali w grupach, rozmawiając i paląc papierosy, inni krzatali się, zajęci swymi sprawami. Dziękowała losowi, że oficer nie uznał za konieczne postawienie przed barakiem strażnika. Sprawdził tylko zewnętrzny rygiel na drzwiach i wepchnął obie kobiety do środka.

Przeżywała przez panią Warmington ciężkie chwile. Ta baba była nie do zniesienia. Kiedy je schwytano i sprowadzono do kamieniołomu, pani Warmington próbowała przekonać żołnierzy, że powinni ją wypuścić, podnosząc głos, aby dotarły do nich jej argumenty. Mówiła, że jest Amerykanką i nie może być traktowana jak przestępca, skoro broniła tylko swego życia i honoru. Nic to nie pomogło, gdyż żaden z żołnierzy nie rozumiał



po angielsku, mogła więc wykrzykiwać sobie do woli. Wtrącono je do baraku i zaraz o nich zapomniano. Julie miała przynajmniej taką nadzieję.

Odwróciła się od drzwi, rozdrażniona nie ustającym monologiem pani Warmington.

- Na litość boską, czy może pani zamilknąć? - powiedziała znużonym głosem. - Chce pani, żeby tu przyszli i uspokoili panią karabinem? Proszę mi wierzyć, że to zrobią, kiedy zajdzie im pani za skórę tak, jak mnie.

Usta pani Warmington zamknęły się jak wieko skrzyni, ale nie na długo.

- To niedopuszczalne - odezwała się po chwili tonem skargi. - Kiedy wrócę do domu, dowie się o tym Departament Stanu.

- Jeśli pani wróci - stwierdziła brutalnie Julie. - Proszę pamiętać, że zabiła pani człowieka. Zastrzeliła go pani z pistoletu Eumenidesa. - Skinęła głową w kierunku drzwi. - Nie spodoba im się to.

- Przecież o niczym nie wiedzą - zauważyła chytrze pani Warmington. - Myślą, że zrobił to ten Grek.

Przez dłuższą chwilę Julie patrzyła na nią z odrazą.

- Nie wiedzą - przyznała. - Ale mogą dowiedzieć się ode mnie.

Pani Warmington głośno przełknęła ślinę.

- Nie zrobiłaby pani tego... prawda?... - Jej głos zamarł na widok wyrazu twarzy Julie.

- Owszem, jeśli nie zamknie pani tej swojej wielkiej gęby - powiedziała Julie, nie siląc się na delikatność. - Zabiła pani Eumenidesa. Jest pani tak samo winna jego śmierci, jakby go pani osobiście postrzeliła i zakłuła bagnetem. To był miły facet. Może brakowało mu odwagi, komu jej nie brakuje, ale był miły. Nie zasłużył na śmierć. Nie zapomnę pani tego, proszę więc mieć się na baczności. Gdyby zginęła pani teraz z mojej ręki, nie byłoby to morderstwo, tylko sprawiedliwa egzekucja.

Mówiła spokojnym, pozbawionym emocji głosem, ale jej słowa zabrzmiały groźnie i pani Warmington wcisnęła się w kąt z przerażeniem w oczach.

- Obchodź się więc ze mną ostrożnie, ty wielka purchawko, bo mogę nie zdzierzyć. Potrafiłabym cię zabić, nie powinno to być zbyt trudne. - Jej głos brzmiał obojętnie, ale gdy spojrzała na swoje dłonie, zobaczyła, że gwałtownie zaczęły drżeć.

Odwróciła się i wyjrzała ponownie przez szparę w drzwiach, zdumiona swym zachowaniem. Nigdy dotąd nie zaatakowała nikogo z taką furją, nigdy nie trzęsła się tak z wściekłości. Już zbyt długo okazywała takt, który wpojono jej jako stewardesie i poczuła ulgę, mogąc wyładować gniew na tej próżnej i narażającej wszystkich na niebezpieczeństwo kobiecie. Ogarnęła ją fala energii i wiedziała, że postąpiła słusznie.

Poczuła, jak coś ciepłego spływa jej po udzie, a spojrzawszy na rękę zobaczyła w miejscu, gdzie szturchnięto ją bagnetem, krzepnącą krew. Na zewnątrz panował spory ruch, ale ponieważ nikt nie zwracał szczególnej uwagi na blaszaną budę, zdjęła spodnie i zaczęła oglądać rany na nogach.

Kiedy obie kobiety sprowadzano na dół, pani Warmington udało się, o dziwo, zachować torebkę. Teraz Julie wzięła ją do ręki i wysypała zawartość na podłogę. Ujrzała typowy śmietnik, jaki znaleźć można zwykle w damskiej torebce: szminkę, puderniczkę, grzebień, pieniądze w banknotach i monetach - całkiem nawet sporo, czeki podróżne, pióro, notes, paczkę chusteczek higienicznych, buteleczkę aspiryny, piersiówkę z alkoholem (jak się okazało, był to bourbon), zestaw szpilek do włosów i kilka luźnych skrawków papieru. Wszystko przenikała woń rozsypanego pudru.

Pogrzebała palcem w tej stercie przedmiotów i stwierdziła drwiąco: „zgubiła pani swoje klejnoty”. Potem wzięła chusteczki i zaczęła tamować sobie krew. Rany nie były poważne - najgłębsza nie miała nawet pół centymetra - mocno jednak krwawiły i Julie wiedziała, że gdy krwawienie ustanie, jej nogi zrobią się bardzo sztywne i obolałe. Wzięła dwie tabletki aspiryny, wsypując sobie połowę zawartości buteleczki do kieszeni bluzy. Połykając aspirynę żałowała, że nie mają wody i zaczęła się zastanawiać, jak by temu zaradzić. Potem wciągnęła na powrót spodnie i rzuciła pani Warmington resztę chusteczek.

- Proszę doprowadzić się do porządku - rozkazała szorstko i podeszła znów do drzwi.

Stała tam przez dłuższy czas, obserwując, co dzieje się na zewnątrz. Kamieniołom stanowił zapewne dogodny parking dla wojskowych pojazdów: był usytuowany blisko głównej drogi, a nie blokował ruchu. Kręciło się tam mnóstwo ciężarówek, Julie zauważyła jednak, że starano się na ogół, aby jak najmniej wozów stało beczynnie. Przez chwilę zaświtała jej nadzieja, choć niewielka, że wszyscy odjadą, zapominając o uwięzionych w baraku białych kobietach i zastanawiała się, jakie są na to szanse.

Po pewnym czasie znudziło ją obserwowanie zmieniającej się scenerii, która w zasadzie pozostawała taka sama, zaczęła więc rozglądać się po wnętrzu baraku. Pani Warmington siedziała cicho w kącie, wpatrując się w nią przerażonym wzrokiem. Julie nie zwracała na to uwagi. Skrzynki okazały się w większości puste, ale za dużą, wypełnioną żelaznym złomem skrzynią na herbatę, znalazła młot kowalski i kilof. Oba narzędzia były w niezłym stanie.

Julie spróbowała podnieść młot, a potem zaczęła sprawdzać ściany baraku. Jego drewniana konstrukcja była zbutwiała, a gwoździe, na których trzymały się pordzewiałe żelazne blachy, zżerała korozja, pomyślała więc, że powinna bez trudu przebić się na zewnątrz, o ile tylko nikt jej nie usłyszy - co wydawało się mało prawdopodobne. Położyła narzędzia w mało widocznym miejscu przy drzwiach, aby mieć je pod ręką i wróciła na swój punkt obserwacyjny.

Kończył się ranek i z kamieniołomu zniknęły powoli parkujące tam pojazdy. Gdy słońce powędrowało wyżej, w baraku zrobiło się gorąco jak w piecu, a blaszane ściany były tak nagrzane, że nie dało się ich dotknąć. Obie kobiety siedziały w środku, pocąc się i nasłuchując zgrzytu przierzucanych biegów i wycia silników jeżdżących tam i z powrotem ciężarówek. Z czasem zaczęły odczuwać potworne pragnienie.

Julie zastanawiała się, jaki los spotkał Rawsthorne'a i doszła do wniosku, że musiał również dostać się do niewoli, a może zginął. Ją i panią Warmington uratowało nadejście czarnoskórego oficera, ale Rawsthorne mógł mieć mniej szczęścia. Uświadamiała sobie ponurą prawdę, że jeśli nie wydostanie się z baraku, czekają śmierć. Rawsthorne wykluczył kamieniołom jako miejsce schronienia przed huraganem, bez względu więc na losy wojny domowej zginie, jeśli nie zdoła uciec.

Zacząła znowu myśleć o Wyatt'cie. Wielka szkoda, że teraz, gdy wreszcie się odnaleźli, nie mogą być razem i że zapewne oboje stracą życie. W tym momencie nie widziała dla siebie większych szans ratunku i choć nie miała pojęcia, co się stało z Wyattem, wątpiła, czy zdołał przeżyć walki, które toczyły się w St. Pierre.

Wyrwał ją z zamyślenia głos pani Warmington.

- Chce mi się pić.

- Mnie też - odparowała Julie. - Niech się pani zamknie!

Coś się działo - a raczej przestało się właśnie dziać. Stanowczym gestem nakazała pani Warmington milczenie. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Co prawda z głównej nadmorskiej szosy słyhać było nadal ruch pojazdów, ale łoskot ciężarówek w pobliskim kamieniołomie ustał. Wyjrzała ponownie przez szparę w drzwiach i zobaczyła na zewnątrz jednego tylko żołnierza, który siedział po turecku w cieniu o kilkanaście metrów dalej, najwyraźniej drzemiąc. Miały więc jednak strażnika.

Julie odwróciła się i wyrwała pani Warmington torebkę, wyjmując z niej plik banknotów. Ta wybuchnęła gniewem.

- To moje! Niech mi ich pani nie zabiera!

- Chce pani wody, prawda? - zapytała Julie. - Może uda nam się ją kupić. - Spojrzała na grubego zwitek pieniędzy. - Możliwe nawet, że kupimy sobie wolność; o ile będzie pani cicho. - Pani Warmington natychmiast zamknęła usta, a Julie dodała: - Nie potrafię mówić ich językiem, ale spróbuję. Tak czy inaczej, pieniądze przemówią dostatecznie głośno.

Podeszła do drzwi i wyrzawszy przez szparę krzyknęła:

- Hej, ty tam!

Żołnierz odwrócił się leniwie i mrużąc oczy popatrzył w kierunku baraku. Zobaczył coś, co wyglądało na banknot o dużym nominale, wystający ze szpary w drzwiach i poruszający

się powoli w górę i w dół. Podniósł się ociężale, wziął do ręki karabin i podszedł do baraku. Żądza zysku osłabiła jego czujność. Banknot zniknął mu z oczu, gdy próbował go pochwycić i jakiś kobiecy głos powiedział:

- L'eau... agua. Dostaniesz pieniądze.

Żołnierz podrapał się w głowę, a potem jego twarz rozjaśniła się.

- A, l'eau!

- Właśnie. Dostaniesz pieniądze; te pieniądze, rozumiesz? Jak przyniesiesz wodę.

Zaczął bełkotać coś w niezrozumiałym dialekcie patois, mówiąc na koniec:

- L'argent... la monnaie... pour l'eau?

- Właśnie, głupku. Nareszcie pojąłeś.

Skinął głową i oddalił się, a Julie odetchnęła z ulgą. Miała wrażenie, że jej wyschnięte gardło jest szorstkie jak papier ścierny i na myśl o zimnej wodzie poczuła przez chwilę zawroty głowy. Należało jednak coś zrobić, zanim wróci żołnierz. Było mało prawdopodobne, by otworzył drzwi - nie miał zapewne klucza - więc w jaki sposób poda im do baraku wodę?

Chwyciła młot i postukała ostrożnie w dolną część drzwi, gdzie były one najbardziej nadwerężone. Potem zawinęła nim jak kijem do golfa, uderzając tylko raz w zbutwiałe drewno. W drzwiach powstał niewielki otwór. Nie odważyła się robić niczego więcej. Nie wiedziała, jak daleko odszedł żołnierz. Mógł być na tyle blisko, że usłyszy hałas. Jedno głośne uderzenie może ujść jego uwadze, ale nie cała ich seria, potrzebna do wyważenia drzwi.

Zobaczyła, że wraca z butelką i blaszanym kubkiem. Przystanął na chwilę, przyglądając się bezradnie, gdy zaczęła kołatać do drzwi. Potem powiedział coś i wzruszył ramionami. Zrozumiała, że nie może otworzyć drzwi, schyliła się więc i wystawiła rękę przez wybity otwór.

- Tędy! - krzyknęła, mając nadzieję, że nie zorientuje się, iż dziury tej przedtem nie było.

Żołnierz przykucnął pod drzwiami, trzymając butelkę i kubek poza zasięgiem jej ręki.

- L'argent - zamruczał basem. - La monnaie.

Skłęła go, wypychając przez dziurę banknot. Pochwyciwszy pieniądze, podsunął metalowy kubek tak, że mogła po niego sięgnąć. Wciągnęła go ostrożnie do środka, uważając, by nic się nie wylało i podała wodę pani Warmington. Kiedy sięgnęła po butelkę, była ona nadal za daleko. Żołnierz uśmiechnął się szeroko i powiedział wesoło: „L'argent?”, musiała więc dać mu jeszcze pieniądze, zanim ją dostała.

Woda, chociaż ciepła, była błogosławieństwem dla jej wysuszonego gardła. Opróżniła jednym haustem pół butelki, po czym przestała pić, patrząc na panią Warmington, która zlizywała z krawędzi brudnego kubka ostatnią kroplę płynu.

- Proszę się tak nie spieszyć - powiedziała. - To kosztowny towar. Za jeden kubek zapłaciła pani ponad cztery dolary. - Odstawiła butelkę w kąt i spojrzała na zegarek. Była dwunasta trzydzieści.

Żołnierz znowu siedział w cieniu, rzucając jednak okiem w kierunku baraku w nadziei na dalszy łatwy zarobek.

- Mógłby stąd odejść, do cholery - zakłęła Julie.

Nagle usłyszała za sobą jakieś stukanie. Odwróciwszy się zobaczyła, że pani Warmington wpatruje się z nadzieją we wnętrze kubka, jakby oczekiwała, że napełni się on w jakiś magiczny sposób. Stukanie nie ustawało. Dochodziło z głębi baraku, Julie zbliżyła się więc do tylnej ściany i uważnie nasłuchiwała. Ktoś wybijał znajomy, choć pozbawiony ostatnich taktów rytm, w którym rozpoznała starą wyliczankę z czasów dzieciństwa, postukała zatem dwa razy, aby ją uzupełnić i zapytała cicho:

- Kto to?

- Rawsthorne. Proszę nie robić hałasu. Serce podskoczyło jej w piersi.

- Jak pan się tu dostał?

- Widziałem, jak prowadzono panie do kamieniołomu. Obserwowałem wszystko z góry.

Udało mi się zejść dopiero przed chwilą, gdy ten cholerny strażnik się stąd wyniósł.

- Dokąd poszedł? - zapytała pospiesznie Julie.

- Zniknął mi z oczu gdzieś na drodze - odparł Rawsthorne. - Myślę, że poszedł aż do głównej szosy.

- To dobrze! - ucieszyła się Julie. - Chyba mogę się postarać, żeby zrobił to jeszcze raz.

Jeżeli odejdzie tak daleko, damy radę się stąd wydostać. Może pan tam poczekać?

- Tak - odparł Rawsthorne. Powiedział to głosem starego, bardzo zmęczonego człowieka. - Mogę poczekać.

Wróciwszy na miejsce Julie stwierdziła, że pani Warmington wypila resztę wody z butelki. Spojrzała na nią wyzywająco i zapytała:

- Cóż, to były moje pieniądze, prawda?

Julie wyrwała jej z rąk butelkę.

- Nieważne. Wynosimy się stąd. Niech się pani przygotuje i siedzi cicho.

Podeszła do drzwi i zawołała: „L'eau... jeszcze wody, proszę”, wymachując przez szparę kolejnym banknotem. Tym razem nie okazała się dość szybka i żołnierz zdążył go chwycić, zanim cofnęła rękę. Uśmiechnął się z zadowoleniem, wpychając banknot do kieszeni, nie odmówił jednak przyjęcia butelki i kubka.

Patrzyła w ślad za nim, aż zniknął jej z oczu i zmusiła się, by odczekać jeszcze całe dwie minuty, po czym ze wszystkich sił grzotnęła młotem w drzwi. Jedna z desek pękła na całej długości. Była zbutwiała ze starości i z braku ochronnej farby, więc kolejne uderzenie rozbiło ją na kawałki.

- Proszę poczekać! - zawołał Rawsthorne, wsuwając głowę w wybitą dziurę. - Niech pani uderzy w tym miejscu - powiedział, wskazując okolice zamka.

Julie ponownie zamachnęła się młotem. Zasuwa i skobel wyskoczyły ze zbutwiałego drewna i drzwi otworzyły się, skrzypiąc zawiasami.

- Chodźmy - powiedziała. - Szybko! - Wybiegła, nie troszcząc się zbyt o to, czy pani Warmington jej towarzyszy.

- Tędy! - krzyknął Rawsthorne.

Julie popędziła jego śladem i znaleźli się za skałą, w miejscu niewidocznym od strony baraku.

- Jesteśmy nadal w pułapce - oznajmił Rawsthorne. - Z tego kamieniołomu nie ma wyjścia, a jeśli pójdziemy drogą, natkniemy się na wracającego strażnika.

- A jak pan się tu dostał?

Rawsthorne wskazał ręką ku górze.

- Zszedłem tędy i o mało nie skręciłem sobie karku. Ale nie damy rady się tam wspiąć, zanim wróci strażnik. Powystrzelałby nas jak kaczki. - Rozejrzał się wokół. - Możemy jedynie gdzieś się ukryć.

- Ale gdzie?

- U góry jest skalny występ - powiedział Rawsthorne. - Jeżeli się tam położymy, z dołu nikt nie powinien nas zauważyć. Pospieszmy się, pani Warmington.

Była to nieporadna wspinaczka. Julie i Rawsthorne podsadzili najpierw nieruchawą panią Warmington, a potem Rawsthorne wszedł na górę i odwrócił się, aby pomóc Julie. Wtoczyła się na wąską półkę, obcierając sobie kolana i położyła płasko na brzuchu. Trzymała nisko głowę, jednak w oddali widziała narożnik baraku i spodziewała się ujrzeć lada chwila wracającego z wodą strażnika.

- Załóżmy, że wydostaniemy się z kamieniołomu - szepnęła. - Co wtedy?

- Tam, na górze, nie ma już żołnierzy - odparł Rawsthorne. - Wycofali się z plantacji w kierunku St. Pierre. Moim zdaniem generał Rocambeau wkrótce zaatakuje. Pomyślałem, że moglibyśmy przemknąć się na jego tyłach, idąc przez góry, aż dotrzemy do Negrito. Powinniśmy tam być wystarczająco bezpieczni. - Przerwał na chwilę. - Może nam jednak zabraknąć czasu. Patrzyła pani na niebo?

Julie odwróciła głowę i spojrzała w górę, mrużąc oczy przed intensywnym słońcem.

- Niewiele widzę, tylko parę pierzastych chmur. Są wysoko.

- Wokół słońca jest otoczka - zauważył Rawsthorne. - Myślę, że huragan wkrótce tu nadciągnie.

Julie spostrzegła jakiś ruch w pobliżu baraku.

- Ciii... Wrócił strażnik!

Żołnierz popatrzył ze zdumieniem na barak, upuszczając butelkę i kubek. Nie zwracał uwagi, że woda wylewa mu się na piaszczysty grunt. Zdjął z ramienia karabin i Julie usłyszała zupełnie wyraźny trzask metalu, gdy go odbezpieczał. Zaczął rozglądać się po kamieniołomie. Julie zmartwiała. Skoro ona go widziała, on także mógł ją zobaczyć, jeśli tylko spojrzy uważnie we właściwym kierunku.

Żołnierz obszedł powoli barak. Poruszał się ostrożnie, z bronią gotową do strzału. Słyszała suchy chrzęst jego kroków. Zaczął iść w ich kierunku, zamierzając przeszukać kamieniołom. Zatoczył szeroki łuk, zaglądając we wszystkie dziury i rozpadliny, jakie pozostały po eksplozjach. Kiedy podszedł bliżej, zniknął im z oczu i Julie wstrzymała oddech, mając zarazem nadzieję, że pani Warmington zachowa spokój. Był teraz zupełnie blisko. Stał bezpośrednio pod skalną półką i słyszała nawet jego chrapliwy oddech.

Stał tak przez dłuższy czas. Nie było słyhać jego kroków i Julie wyobrażała sobie, że spogląda w górę, na skalny występ, zastanawiając się, czy nie warto by tam zajrzeć. Usłyszawszy brzęknięcie i zgrzyt uderzającego o skałę metalu pomyślała: „Odłożył broń. Musi mieć wolne ręce, żeby móc się wspinać. Idzie do góry!”

Wzdrygnęła się na odgłos silnej eksplozji. Potem nastąpiła kolejna - i jeszcze jedna. Usłyszała tupot nóg i po kilku sekundach zobaczyła, jak żołnierz oddala się od nich, biegnąc przez kamieniołom, a potem przystaje i patrzy na drogę, osłaniając ręką oczy przed promieniami słońca. Eksplozje następowały szybko jedna po drugiej. Julie już je rozpoznawała. Był to ostrzał artyleryjski. Rocambeau przystąpił do ataku i Favel stawiał zaporę ogniową.

Żołnierz zawahał się i rozejrzał jeszcze raz po kamieniołomie, a następnie powiesił karabin na ramieniu i zniknął jej z oczu, idąc szybkim krokiem w kierunku drogi.

- Chyba sobie poszedł - oznajmiła po dłuższej chwili. Rawsthorne podniósł się na łokciu i rozejrzał wokół.

- Więc my też musimy iść - stwierdził. - Trzeba wspiąć się pod górę.

#### IV

Siły Favela odparły pierwszy atak na wschodzie, rozbijając lawiną pocisków i bomb uderzenie wojsk rządowych, które próbowały pokonać otwartą przestrzeń w rejonie najdalej położonych przedmieść. Rocambeau nie posiadał artylerii i był bezradny wobec tej nawałnicy ognia, miał jednak ludzi - siedem tysięcy żołnierzy przeciw dwutysięcznej armii Favela - i bezlitośnie ich wykorzystywał.

Podczas pierwszego ataku było pięciuset poległych, ale zanim został on odparty, Rocambeau zajmował już pozycje w odległości dwustu metrów od najbliższych zabudowań, a jego ludzie okopywali się w dołach, pozostałych po bombardowaniu. Z tyłu nadchodziły stopniowo posiłki. Żołnierze przeczołgiwali się między lejami, aż w końcu ich stanowiska były nie do zdobycia.

Favel nie zamierzał wcale przystępować do kontr uderzenia - nie mógł też atakować. Ponad połowa jego ludzi obsługiwała działa, a osłaniało ich zaledwie dziewięciuset piechurów - niebezpiecznie mała jednostka. Piechota była jednak wyjątkowo dobrze wyposażona do stoczenia decydującej bitwy. Żołnierze dysponowali wszelką automatyczną bronią, odebraną tym, którzy ewakuowali teraz miasto i mieli czas, żeby dobrze ją rozłokować. Rocambeau musiałby stracić jeszcze wielu ludzi, zanim uzyskałby szansę dotarcia do morderczych dział, które dziesiątkowały jego armię - o ile w ogóle by mu się to udało. Działa te można było bowiem w każdej chwili wycofać. Ich przodki i środki transportu znajdowały się pod ręką i na rozkaz przemieszczono by je w kolumnie na z góry przygotowane pozycje. Wtedy Rocambeau musiałby zaczynać atak od nowa, tracąc

bezsensownie kolejnych żołnierzy.

Favel nie opuszczał nawet kwatery dowództwa. Jego oficerowie wiedzieli, czego się od nich oczekuje i powierzał im z pełnym zaufaniem realizację obmyślonego planu, sam mógł więc skoncentrować się na spodziewanym ataku z zachodu. Tego ranka zszedł do doków i obserwował ewakuację Amerykanów z bazy na Cap Sarrat. Dzielila go od nich przestrzeń zatoki, ale silne szkła lornetki skracały odległość. Jeden za drugim wypływały okręty i startowały z rykiem silników samoloty, kierując się na północny wschód, w stronę Puerto Rico, gdzie miały być bezpieczne. Nad przylądkiem zaczął unosić się mglisty słup czarnego dymu: płonęły zbiorniki z benzyną. Komandor Brooks nie pozostawiał niczego, co ktoś mógłby wykorzystać.

Favel zastanawiał się, co zrobi Serrurier. Zamiast zająć się ważniejszymi sprawami, natychmiast zajmie bazę. Zawsze bolało go, że Amerykanie okupują Cap Sarrat i próbował kilkakrotnie zerwać z nimi umowę, spotykając się jednak stale ze stanowczą odmową amerykańskiego rządu. Teraz mógł zająć przylądek - i robi to, odnosząc nic nie znaczące zwycięstwo, za którym czaiło się widmo klęski. Stracił czas na Cap Sarrat, zamiast zorganizować atak na St. Pierre, mając w rezerwie świeże siły nie wykrwawionych jeszcze oddziałów, wyzbytych już irracjonalnej obawy, że Amerykanie wbiją im nóż w plecy.

Kiedy więc Favel usłyszał na wschodzie działa, grzmiące w odpowiedzi na atak Rocambeau, lekko się uśmiechnął. Rocambeau, ze swą pobitą i tracącą bojowego ducha armią, pierwszy wszedł do akcji, a Serrurier rozkoszował się nadal poczuciem złudnego triumfu na Cap Sarrat. To dobrze! Niech tam zostanie. Gdyby wiedział, że ma przeciw swej ośmiotysięcznej armii zaledwie tysiąc żołnierzy, zmieniłby może zdanie. Ale nikt mu tego nie powie, a nawet gdyby tak się stało, zapewne by nie uwierzył. Był nader podejrzliwy i obawiając się podstępów nie dałby wiary tak bzdurnemu twierdzeniu.

Favel wezwał ordynansa i kazał mu sprowadzić jak najszybciej Manninga i Wyatta. Potem rozsiadł się na krześle, zapalając z przyjemnością długie, cienkie cygaro.

Wyatt był znów na dachu, obserwował przez lornetkę horyzont i tam znalazł go ordynans. Niebo pokrywały teraz unoszące się wysoko delikatne pasemka pierzastych cirrusów, ustępując miejsca napływającym z południa cirrostratusom, które rozpościerały się jak ogromna biała płachta. Panował nadal potworny upał, a powietrze było nieruchome i duszne, bez śladu wiatru. Słońce spowijała mglista otoczka. Dla Wyatta był to złowieszczy znak. Spojrzał ponownie na zegarek, po czym zszedł na dół, aby zobaczyć się z Favelem.

Zastał tam Manninga, który składał mu sprawozdanie z przebiegu ewakuacji.

- Spieszmy się, jak tylko można - oznajmił. - Ale to musi trochę potrwać.

- Nie mamy czasu - wtrącił szorstko Wyatt. - Mabel zbliża się szybciej niż przypuszczałem.

- Kiedy to się zacznie? - zapytał Manning.

- Około piątej.

- Chryste! - wykrzyknął Manning. - Nie damy rady!

- Musimy - stwierdził krótko Favel, po czym zwrócił się do Wyatta: - Co ma pan na myśli mówiąc, że huragan zacznie się o piątą?

- Wiatr osiągnie prędkość stu kilometrów na godzinę.

- A co z powodzią?

Wyatt wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - wyznał uczciwie. - Nie badałem huraganów od tej strony. Nie wiem właściwie, kiedy należy się spodziewać fali, ale przypuszczam, że tuż po szóstej.

- Teraz jest druga - powiedział z namysłem Favel. - Daje nam to cztery godziny, a w najgorszym razie trzy. Co może się w tym czasie wydarzyć?

- Niewiele - odparł Wyatt. - W ciągu następnej godziny warstwa chmur wyraźnie zgęstnieje i pojawi się wiatr. Potem będzie wiał coraz silniej.

- Charles, jak przebiega ewakuacja na wschodzie? Możemy wycofać się na drugą linię obrony?

Manning niechętnie przytaknął.

- Teren jest przygotowany, ale byłaby to przesada. Gdyby Rocambeau się przedarł, a mogłoby mu się udać, jeśli nie zachowamy ostrożności podczas odwrotu, znajdzie się w samym środku naszych oddziałów i będziemy bez szans.

Favel przysunął do siebie telefon.

- Wycofujemy się - powiedział stanowczo. - Przyspiesz wszystko, Charles. Zróbcie, co w waszej mocy.

- W porządku, Julio - odparł znużonym głosem Manning. - Postaram się - dodał i odszedł szybkim krokiem.

Wyatt zawahał się, nie wiedząc, czy nie powinien również wyjść, ale Favel, rozmawiając przez telefon, powstrzymał go gestem ręki, oparł się więc o krawędź stołu i czekał.

Favel odłożył starannie słuchawkę i powiedział:

- Wspominał pan o deszczu, panie Wyatt. Czy będzie on miał duże znaczenie?

- Należy się spodziewać silnych opadów, nigdy pan takich dotychczas nie widział.

Zwiększą one rozmiary powodzi w dolinie Negrito, ale brałem to pod uwagę, gdy poprosił mnie pan o zaznaczenie bezpiecznych miejsc. Największe deszcze wystąpią w prawym dolnym kwadrancie huraganu, ale myślę, że będzie to na zachód od nas. Mimo wszystko, w ciągu dwudziestu czterech godzin można się spodziewać opadów w granicach od piętnastu do dwudziestu pięciu centymetrów.

- Spora ulewa - zauważył Favel. - Uniemożliwi zapewne prowadzenie poważniejszych operacji wojskowych.

Wyatt zaśmiał się ponuro.

- Mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie zamierza pan podejmować żadnych tego typu działań. Przeszkodzi panu wiatr, jeśli nie deszcz.

- Myślałem o tym, co będzie później - stwierdził Favel. - Dziękuję, panie Wyatt. Proszę mnie informować, gdyby działo się coś ważnego.

Wyatt wrócił więc na dach i obserwował gromadzące się na horyzoncie ciemne nimbostratusy.

Powtórne uderzenie Rocambeau trafiło w próżnię. Co prawda ogień artylerii był równie silny jak poprzednio, ale strzały z broni ręcznej rozległy się dopiero wtedy, gdy jego ludzie weszli już ponad kilometr w głąb miasta. Wypełniali pospiesznie niespodziewaną lukę, zanadto rozciągając szyki i kiedy natrafili na opór, było ich niewielu. Maruderzy mieli szczęście, ale idący na czele nadgorliwcy poważnie ucierpieli z powodu silnego ognia broni maszynowej i musieli cofnąć się nieco, by lizać swe rany.

Nie sprzeciwiali się jednak, bo usłyszawszy nagle huk dział z drugiej strony miasta wiedzieli, że Serrurier rozpoczął wreszcie atak. Teraz Favel i jego rebelianci zostaną z pewnością pokonani.

Serrurier był jeszcze bardziej bezwzględny i gruboskórny niż Rocambeau, jeśli chodzi o poświęcanie swoich ludzi. Jego uporczywy atak na żałośnie słabe pozycje obrońców okazał się druzgocący. Pomimo ognia ich artylerii i obfitości broni maszynowej, którą dysponowali, przełamał opór wojsk Favela w trzech miejscach, grożąc rozczłonkowaniem jego niewielkich sił. Favel zareagował stanowczo, nakazując natychmiastowy odwrót do miasta. Przy stosunku sił osiem do jednego nie miał szans na otwartej przestrzeni, ale walki uliczne to co innego.

Bój stawał się coraz bardziej zażarty na obu frontach i ludzie Favela stopniowo ustępowali, ponosząc znaczne straty, bez porównania jednak mniejsze, niż wojska rządowe. W hotelu Imperiale trwał bez przerwy ruch, gdyż Favel domagał się, by informowano go na bieżąco o przebiegu ewakuacji, starannie planując odwrót swych oddziałów na obu skrzydłach, aby dostosować go do powolnego przepływu fali uciekinierów z St. Pierre i niechętnie ustępując pola w zamian za ponoszone przez wroga straty. Było to ryzykowne przedsięwzięcie, które kosztowało go zbyt wielu dobrych żołnierzy, trzymał się jednak uparcie swego planu, który jakoś funkcjonował.

Wycofując się pozostawił w płomieniach wschodnią i zachodnią część miasta. Rozkazał

swoim ludziom podpalić wszystkie budynki, aby postawić zapórę z ognia przed nadciągającymi oddziałami zwycięskich wojsk rządowych. Płomienie, podsycane przez wzmagający się wiatr, strzelały pod niebo, a dym szybował na północ, rozpościerając się nad doliną Negrito.

O czwartej Favel zdecydował, że nie zdoła ocalić swej artylerii i dał rozkaz, aby działa zagwoźdzono i porzucono, gdy dowódcy uznają to za stosowne. Drogę do Negrito wypełniały tłumy uchodźców i nie dałoby się równocześnie ciągnąć tamtędy dział. Wiedział poza tym, że po przejściu huraganu nie będą one potrzebne. Ponad tysiąc pięciuset żołnierzy, których Manning wykorzystał do ewakuacji, zajęło już pozycje na linii obrony na poziomie dwudziestu pięciu metrów. Serrurier i Rocambeau nacierali coraz szybciej z coraz silniejszym naporem.

W pięć minut później Favel rozkazał wszystkim opuścić kwaterę dowództwa i ordynans poinformował o tym Wyatta, który rzucił jeszcze tylko okiem na ciemny horyzont i pospiesznie zbiegł na dół. Favel czekał w foyer. Przyglądał się, jak do stojącej pod hotelem ciężarówka ładowane są mapy i wyglądało na to, że bardziej interesuje go zapalone cygaro niż zgiełk bitwy.

- Pozwolimy, żeby Serrurier i Rocambeau podali sobie ręce - stwierdził. - Myślę, że stracą trochę czasu na powitania, a może i opróżnią razem butelkę rumu. My też utworzymy front; tyle, że jesteśmy zjednoczeni. - Uśmiechnął się. - Nie sądzę, żeby Rocambeau był zachwycony perspektywą podporządkowania się rozkazom Serruriera.

Jeden z żołnierzy krzyknął coś z ciężarówki i Favel, upewniwszy się, że ma zapalone cygaro, przyłożył płonąca jeszcze zapalną do skrawka papieru. Mówiąc „przepraszam” wszedł z powrotem do baru, a kiedy wrócił, Wyatt zauważył za jego plecami błysk ognia.

- No już, musimy jechać - oświadczył Favel, wypychając Wyatta przez drzwi na ulicę. Gdy ciężarówka ruszyła, Wyatt obejrzał się w kierunku hotelu Imperiale i zobaczył buchający z okien dym, rozwiewany przez coraz bardziej porywisty wiatr.

Było wpół do piątej po południu.

## 8

### I

Wyatt był zwolennikiem ewakuacji, ale teraz zobaczył, jak ona wygląda i przeżył szok.

Ciężarówka jechała przez opustoszałe ulice w centrum miasta, a od białych fasad budynków odbijały się wokół echem odgłosy walki, gdy oddziały powstańców, zawężając pierścień obrony, dokonywały smętnego odwrotu. Niebo coraz bardziej ciemniało i zerwał się wiatr, który rozrzucał po brudnych chodnikach strzępy papieru. Miasto przenikał zapach pożarów, a dym, zamiast wznosić się do góry, snuł się nad ulicami i podrażniał gardło.

Wyatt zakasłał i spojrzał na leżące na chodniku zwłoki. Nieco dalej zobaczył następne, potem jeszcze jedno. Byli to cywile, sami mężczyźni. Odwrócił gwałtownie głowę, pytając Favela:

- Co się tu działo, do diabła?

Favel, spoglądając przed siebie, odparł obojętnie:

- Czy potrafi pan sobie wyobrazić, co to znaczy ewakuować miasto w ciągu paru godzin? Jeśli ludzie nie chcą iść, trzeba ich do tego zmusić.

Ciężarówka zwolniła, aby ominąć kolejne zwłoki, leżące na środku ulicy. Była to kobieta w zadziwiająco wzorzystej czerwonej sukience w kwiaty i żółtej chuście na głowie. Leżała jak porzucona przez dziecko zabawka, z kończynami rozrzuconymi nieprzyzwoicie na boki w paroksyzmie nagłej śmierci.

- Wspólnie ponosimy za to winę, panie Wyatt - stwierdził Favel. - Pan posiadał informacje, a ja władzę. Bez pańskiej wiedzy te wydarzenia nie miałyby miejsca. Podzielił się pan wiadomościami z kimś, kto był władny je wykorzystać.



- Czy musiano zabijać? - zapytał cicho Wyatt.

- Nie było czasu na wyjaśnienia, żadnych gotowych planów, ludziom brakowało wiedzy. - Twarz Favela przybrała surowy wygląd. - Wszystkim wiadomo, że na San Fernandez nie mamy huraganów - stwierdził, cytując jakby czyjeś słowa. - Ludzie po prostu nie wiedzieli. To jeszcze jedna zbrodnia prezydenta Serruriera, być może najgorsza ze wszystkich. Należało więc zastosować przymus.

- Jak wiele było ofiar? - zapytał ponuro Wyatt.

- Któż to wie? Ale ile osób ocalało? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia, trzydzieści? W takich sytuacjach należy dokonywać bilansu.

Wyatt milczał. Wiedział, że będzie musiał żyć ze świadomością tego, co się wydarzyło i że będzie to dla niego bolesne. Mógł się jednak jeszcze postarać, by Favel zmienił decyzję i nie skazywał na pewną śmierć uwięzionych w mieście oddziałów rządowych.

- Czy trzeba dalej zabijać? - zapytał. - Czy musi pan nadal prowadzić walki wokół St. Pierre? Ilu ludzi zginie przez pana w mieście, Julio Favel? Pięć tysięcy? Dziesięć, piętnaście?

- Już za późno - stwierdził surowo Favel. - Nie mogę postąpić inaczej, choćbym nawet chciał. Ewakuacja zajęła wiele czasu, jeszcze się zresztą nie skończyła, a moi ludzie będą mieli szczęście, jeżeli dotrą na czas na przygotowane dla nich stanowiska. - W jego głosie zabrzmiał ton sarkazmu. - Nie jestem chrześcijaninem, nie wielu uczciwych polityków może sobie na ten luksus pozwolić, ale znajduję dla siebie usprawiedliwienie w Biblii. Bóg sprawił, rozstały się wody, pozwalając Izraelitom przejść po suchej ziemi, lecz gdy Mojżesz wyciągnął rękę, fale zalały ścigających ich Egipcjan; wszystkich żołnierzy, wszystkie konie i rydwany pochłonęło Morze Czerwone.

Ciężarówka stanęła przy punkcie kontrolnym, za którym Wyatt dostrzegł długi szereg uchodźców, wyłaniających się z bocznej drogi. Nadszedł jeden z oficerów sił powstańczych i wdał się w rozmowę z Favelem, a potem jakiś biały, machając ręką, pospieszył w ich kierunku. Był to Causton.

- Długo na was czekałem - powiedział. - Jak daleko oddziały rządowe weszły do miasta?

- Nie mam pojęcia - odparł Wyatt. Wygramolił się z ciężarówki i zapytał: - Co się tu dzieje?

Causton wskazał ręką na uciekinierów.

- To już ostatni z całego tłumu - wyjaśnił. - Powinni przejść w ciągu najbliższego kwadransa. - Rozłożył szeroko ramiona. - To tutaj Favel się zatrzymuje. Poziom dwudziestu pięciu metrów. Porywisty wiatr szarpał rękawami jego koszuli. - Wybrałem już dla nas odpowiednią dziurę. Chyba, że chce pan pchać się w górę rzeki

- Więc pan tu zostaje?

- Oczywiście - odparł ze zdziwieniem Causton. - W tym miejscu najwięcej będzie się działo. Dawson także tutaj jest. Mówił, że na pana czeka.

Wyatt odwrócił się i spojrzał na miasto. W oddali widział morze, które nie wyglądało już jak srebrna taca, lecz miało brudny kolor nie oczyszczonej cyny. Na południu wypełniała niebo stalowo szara masa zawieszonych nisko nimbostratusów, które przynosiły ze sobą ulewny deszcz i zawodzący wiatr. Obniżony pułap chmur i nadpływający z miasta dym sprawiały, że wyraźnie się już ściemniało. Poprzez ciche zawodzenie wiatru słychać było odgłosy bitwy, głównie strzały z ręcznej broni, z rzadka tylko huk dział. W zależności od siły podmuchów hałas miał różne natężenie: chwilami wydawał się odległy, chwilami dochodził z bardzo bliska. Zbocze opadało w kierunku miasta. Między wierzchołkiem niewysokiego wzgórza, na którym stał Wyatt a najbliższymi zabudowaniami nie było żywej duszy.

- Zostaję tutaj - powiedział ostro. - Chociaż, do diabła, sam nie wiem dlaczego. - Oczywiście wiedział. Jego zainteresowanie wynikało z dziwnego połączenia zawodowej ciekawości, jaki wpływ będzie miał huragan na płytkie wody oceanu oraz makabrycznego zafascynowania widokiem zagłady miasta i armii. Spojrzał na drogę i zapytał: - Gdzie

dokładnie Favel zajmuje pozycje?

- Na tym wzgórzu. Na przeciwległym zbocz wykopano doły. Ludzie mogą do nich wskoczyć, kiedy naprawdę popsuje się pogoda.

- Mam nadzieję, że w tych wykopach jest dobry system odwadniający - stwierdził ponuro Wyatt. - Będzie lało jak nigdy dotąd. Wszystkie doły pozbawione drenażu natychmiast wypełnią się wodą.

- Favel o tym pomyślał - stwierdził Causton. - Bystry z niego gość.

- Pytał mnie o wielkość opadów - zauważył Wyatt. - Pewnie z tego powodu.

- Panie Wyatt! - zawołał Favel. - Kwatera główna jest o jakieś trzysta metrów w górę drogi.

- Zostaję z Caustonem - odparł Wyatt, podchodząc do ciężarówki.

- Jak pan chce. - Favel wykrzywił usta. - Ani pan, ani ja nic już więcej nie możemy zrobić, chyba tylko pomodlić się do Hunrakena, albo innego stosownego bóstwa. - Powiedział coś do kierowcy i ciężarówka wjechała między rzadniejący tłum uchodźców.

- Chodźmy do Dawsona - zaproponował Causton. - Założyliśmy tam nasz nowy dom.

Podążając za nim zeszli z drogi na przeciwległą stronę zbocza, gdzie znaleźli Dawsona, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na skraju wielkiego wykopu. Ucieszył się na widok Wyatta, mówiąc:

- No, witam! Myślałem, że znowu pana złapali!

Wyatt spojrział na wykop, który miał z tyłu rów odwadniający, najwyraźniej jednak za mały.

- Trzeba go pogłębić - oznajmił. - I powinny być dwa. Są tu Jakieś łopaty?

- Trochę nam ich brakuje - odparł Dawson. - Ale spróbuję coś znaleźć.

Wyatt rozejrzał się po zbocz i zobaczył, że pełno jest na nim ludzi, którzy tworzyli długi, rozciągnięty szereg, ryjąc w ziemi jak krety. Inni uwijali się na szczycie wzgórza, skąd widać było miasto, ustawiając kaemy, kopiąc kolejne doły, bardziej dla obrony przed ogniem nieprzyjaciela niż przed nadciągającym wiatrem, i obserwując uważnie, czy z St. Pierre nie przedarły się oddziały Serruriera.

- Mam nadzieję, że nie myli się pan co do tej powodzi - powiedział Causton. - Gdyby było inaczej, rozpęta się tu istne piekło. Favel porzucił działa. Nie mógł ich transportować, gdy drogę blokowali uchodźcy.

- Mabel uderzy wprost na nas - potwierdził Wyatt. - Dojdzie do powodzi.

- Oby tak się stało. Z wojskowego punktu widzenia Serrurier jest teraz górą. Założę się, że skacze z radości.

- Nie będzie, jeśli spojrzysz za siebie, na morze. Dawson wrócił, niosąc pod pachą cienki kawałek blachy.

- Nie ma łopat, ale może to wystarczy.

Causton i Wyatt pogłębili rów odwadniający i wykopali jeszcze jeden. Dawson obserwował ich pracę. Wyatt podniósł wzrok i zapytał

- Jak pańskie ręce?

- W porządku - odparł Dawson. - Lekarz mi je opatrzył.

- Po co pan się tu kręci? - spytał Wyatt. - Powinien pan pójść w górę rzeki, póki jest okazja.

Dawson pokręcił głową.

- Widział pan tych ludzi? Nigdy jeszcze nie oglądałem bardziej przybitego, zniechęconego tłumu. Boję się, że gdybym do nich dołączył, poczułbym się tak samo. Może zresztą będę mógł tu w czymś pomóc.

- A co by pan robił? - zapytał Causton. - Nie może pan pracować rękami, więc nie będzie pan strzelał z karabinu, ani kopał dołów. Nie widzę w tym żadnego sensu.

Dawson wzruszył ramionami.

- Nie zamierzam więcej uciekać - powiedział z uporem. - Robiłem to już cholernie długo, od wielu lat. Zatrzymam się właśnie tutaj, na szczycie tego wzgórza.

Causton zerknął na Wyatta, unosząc brwi, po czym lekko się uśmiechnął i powiedział

tylko:

- Myślę, że nic już tu po nas. Chodźmy na górę i zobaczmy, co nam grozi.

Minęli ich ostatni mieszkańcy St. Pierre, zmierzający w głąb doliny Negrito, ale w oddali nadal widniały na drodze postaci ludzi, wspinających się mozolnie na wyżej położone tereny. Soczyście zielone uprawy trzciny cukrowej wyglądały jak wzburzone morze gdyż wzmagający się wiatr powodował falowanie giętkich roślin. Pozostali tylko żołnierze, choć na zboczu widać było bardzo niewielu spośród tych, którzy siedzieli w szeregu oddalonych od siebie okopów. Wkrótce jednak, w miarę zorganizowanego odwrotu wojsk z St. Pierre, ich liczba miała się zwiększyć.

Wyatt wdrapał się na szczyt wzgórza, padając plackiem obok jednego z powstańców, który odwrócił się do niego, szeroko uśmiechnięty.

- Co się dzieje, żołnierzu? - zapytał.

Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Patrz pan - powiedział, pokazując palcem kierunek. - Zaraz nadejdą. Za jakieś dziesięć minut. - Sprawdził zamek karabinu i położył przed sobą parę magazynków amunicji.

Wyatt spojrzął na miasto, położone u podnóża nagiego zbocza. Odgłosy wystrzałów dochodziły z bardzo bliskiej odległości i od czasu do czasu słyszał nad głową świst zabłąkanej kuli. Wkrótce zauważył w dole jakieś poruszenie i po zboczu zaczęła wspinać się grupa ludzi. Pokonywali je bez pośpiechu, ale całkiem szybko. Znajdujący się za Wyattem oficer wydał głośny rozkaz i trzech mężczyzn, skupieni o kilkanaście metrów dalej wokół karabinu maszynowego, zabrali się do pracy, obracając cekaem w kierunku, który dowódca wskazywał palcem.

Wspinający się ludzie dotarli na szczyt i poszli dalej. Nieśli moździerz, który zmontowali szybko na przeciwległym zboczu. Przyglądający się im Causton stwierdził krytycznie:

- Niewiele jest do tego pocisków.

Po zboczu wspinali się teraz kolejni żołnierze, przeprowadzając powoli zorganizowany odwrót, osłaniani przez swych towarzyszy, którzy nadal toczyli w dole, wśród zabudowań, trudną walkę. Causton domyślał się, że ogląda ostatni z serii zaplanowanych i kontrolowanych skoków, które pozwoliły defensywnym oddziałom Favela wydostać się z St. Pierre i zrobiła na nim wrażenie opanowana postawa tych ludzi. Nie była to paniczna ucieczka z pogromu, w jakiej wcześniej uczestniczył, lecz spokojny odwrót w obliczu wroga, jedna z najtrudniejszych operacji wojskowych.

Rzuciwszy tylko okiem na wycofujących się żołnierzy Wyatt skierował wzrok na południe. Horyzont był ciemny, niemal czarny i rozjaśniał go jedynie niewyraźny błysk odległego piorunu, który uderzył z gęstej chmury, zaś widoczny bliżej nimbostratus, oświetlony jakby od wewnątrz, miał nieprzyjemną, żółtą barwę. Wiatr zawracał na zachód i był teraz o wiele silniejszy. Wyatt oceniał jego siłę na siedem do ośmiu stopni, wiał więc z prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, osiągając w porywach do osiemdziesięciu kilometrów. Nie dawało to powodu do zmartwienia nikomu, kto nie wiedział, co wisi w powietrzu. Zanosilo się po prostu na jedną z burz, jakie wielokrotnie nawiedzały San Fernandez. Zapewne Rocambeau, jeśli nadal dowodził armią, był zadowolony, że spadnie deszcz, który wygasi liczne pożary w mieście.

Wycofujący się żołnierze spieszyli teraz tłumnie pod górę, ustawiani przez swych podoficerów na linii strzału i zaopatrywani w dodatkową amunicję. Kładli się na szczycie wzgórza w płytkich wykopach, które dla nich zrobiono, z twarzami skierowanymi znowu w stronę zbliżającego się nieprzyjaciela. Causton trącił Wyatta łokciem i spytał:

- Te zabudowania w dole, na jakiej są wysokości?

Wyatt musiał się zastanowić. Wzniesienie nie należało do najwyższych, a schodzące ku miastu zbocze było bardzo długie, odparł więc:

- Skoro wzgórze leży dwadzieścia pięć metrów nad poziomem morza, te budynki znajdują się na wysokości najwyżej piętnastu metrów.

- A zatem dotrze tam fala przypływu?

- Tak - potwierdził Wyatt. - Sięgnie zapewne do połowy zbocza. Causton skubał w zamyśleniu dolną wargę.

- Chodzi chyba o to, żeby przygwoździć wojska rządowe do tych zabudowań. Są odległe o trzysta metrów i żołnierze będą musieli prowadzić atak pod górę, na otwartej przestrzeni. Może Favelowi jednak się uda. Tyle że jego ostatnim oddziałom trudno będzie uwolnić się od nieprzyjaciela.

- Mam nadzieję, że pan się nie myli, Wyatt - powiedział Dawson. - Oby ta pańska fala nie przetoczyła się przez wzgórze. Zalałaby nas wszystkich. - Pokręcił głową, uśmiechając się z niedowierzaniem. - Chryste, gdzie ja się znalazłem! Musiałem chyba oszaleć.

- Może wszyscy mamy nie po kolei - stwierdził Causton. - Obserwujemy coś, czego dotąd nie próbowano robić: wykorzystanie huraganu do pokonania całej armii. Cóż to będzie za materiał, kiedy, i jeśli, się stąd wydostanę!

- Coś podobnego już się zdarzyło - oznajmił Wyatt. - Favel wspominał o pewnym precedensie: kiedy Mojżesz uciekał przez Morze Czerwone przed ścigającymi go Egipcjanami.

- Faktycznie - przyznał Causton. - O tym nie pomyślałem. Cholernie dobry... - Przerwał nagle, wskazując ręką przed siebie. - Zobaczcie, tam na dole coś się dzieje!

U podnóża zbocza pojawił się długi szereg żołnierzy. Przemykali szybko, cały czas posuwając się naprzód i przystając tylko na krótko, aby oddać strzały w kierunku zabudowań. Ustawiony w pobliżu karabin maszynowy wyrzucił z siebie jednym tchem serię pocisków, a potem przeszedł w równomierny terkot. Wszyscy ludzie na wzgórzu zaczęli strzelać, dając osłonę ogniową ostatnim wycofującym się w nich kierunku oddziałom powstańców. Obrońcy mieli tę przewagę, że patrzyli z góry i nawet znajdując się na niewielkiej wysokości mogli strzelać nad głowami swych towarzyszy.

Z tyłu zabrzmiał silny huk wystrzału z moździerza i w parę sekund później tuż obok najbliższego domu wybuchła bomba. Wśród zabudowań dochodziło do kolejnych eksplozji, a gdy na tyłach wypaliło jedno z niewielu pozostałych jeszcze dział, rozległ się głośniejszy grzmot i świst pocisku. Causton, usłyszawszy znów wokół siebie niesamowite gwizdy, schował głowę, aby nie wystawała zza wzgórza.

- Ci dranie nie mają żadnej oglady - stwierdził. - Odpowiadają nam strzałami.

Na szczyt wzgórza zaczęli napływać ostatni żołnierze Favela, ślaniając się i upadając na przeciwległym zboczu, gdzie byli już bezpieczni. Pozostawili za sobą część towarzyszy. Wyatt zauważył w połowie wzniesienia trzy niekształtne wzgórki i pomyślał, jakim poświęceniem musieli wykazać się ci ludzie, odpierając ataki sił rządowych do czasu ewakuacji miasta. Żołnierze odpoczywali, łapiąc oddech, a potem, po napiciu się wody i zjedzeniu czekającej na nich przekąski, wracali do szeregu.

Tymczasem w działaniach nastąpiła przerwa. Z zabudowań padały przypadkowe, sporadyczne strzały, których skutki były niewielkie albo żadne. Powstańcy, stosując się do wyraźnych rozkazów swych oficerów, nie strzelali w ogóle. Mieli zbyt mało amunicji, aby ją marnować. Było oczywiste, że dowódca wojsk rządowych, korzystając z osłony, jaką dawało mu miasto, przegrupowuje siły do ataku na wzgórze.

Mimo szybkiego spadku temperatury Causton był lekko spocony.

- W Bogu nadzieja, że zdołamy ich powstrzymać - stwierdził. - Kiedy zaatakują, pójdą na całość. Gdzie jest ten pański przeklęty huragan, Wyatt?

Wyatt wpatrywał się w horyzont.

- Już niedaleko - odparł spokojnie. - Wiatr ciągle się wzmacza. Nadciągają chmury deszczowe, nimbostratusy i fraktonimbusy. Walki wkrótce się skończą. Nie można toczyć bitwy podczas huraganu.

Wiatr wiał teraz z prędkością osiemdziesięciu a w porywach stu kilometrów na godzinę. Gnał przed sobą chmury dymu znad St. Pierre, przybierające postać rozproszonej mgły. Wskutek tego trudno było dostrzec morze, zdołał jednak zauważyć na jego powierzchni białe plamy, świadczące o jeszcze silniejszym wietrze, - Nadchodzą - oznajmił

Causton, padając plackiem, gdy strzelanina od strony zabudowań przybrała nagle na sile. U podnóża zbocza pojawili się żołnierze w jasnoniebieskich mundurach i ruszyli ławą pod górę. Szli zygzakiem, zmieniając nagle kierunek i przyklękając czasem na jedno kolano, aby oddać strzał. Szybko posuwali się naprzód, a gdy pokonali odległość stu metrów, z zabudowań wyłoniła się kolejna fala żołnierzy, mająca wesprzeć atakujących.

- Chryste! - odezwał się zdławionym głosem Dawson. - Musi ich tam być parę tysięcy. Dlaczego nie strzelamy, do cholery?

Zbocze zaczęła zalewać fala ludzi w niebieskich mundurach, ale ze szczytu wzgórza nie padł ani jeden strzał. Wiatr był już na tyle silny, że utrudniał marsz i Wyatt widział trzepoczące ubrania, zauważył też dwukrotnie zdmuchnięte z głów czapki, które wyglądały w powietrzu jak czarne punkciki. Niektórzy żołnierze tracili grunt pod nogami i pozbawieni równowagi ulegali porywom wiatru, szli jednak dalej, kuląc się i wspinając coraz wyżej.

Dopiero gdy pierwsi z nich byli w połowie zbocza, ze szczytu wzgórza poszybowała w niebo raca, rozbłyskując mnóstwem czerwonych gwiazd. Powstańcy odpowiedzieli skoncentrowanym ogniem i natychmiast rozpętało się istne piekło. Słysząc było trzask karabinów, terkot cekaemów, a z tyłu głucho dudnienie nielicznych dział i moździerzy.

Nadciągająca fala żołnierzy gwałtownie zadrżała, by za chwilę znieruchomieć. Causton zobaczył, że osuwają się pokotem jak skoszony łąn pszenicy, gdy na linii obrony odezwał się cekaem, tnąc ich gradem kul niczym ruchomym ostrzem. Ludzie padali na otwartym polu - martwi, ranni lub rozpaczliwie szukający schronienia tam, gdzie nie można go było znaleźć. Causton zauważył, że połowa cekaemów Favela strzela w ustalonych z góry kierunkach, tak iż atakujący wpadali w sieć, którą tworzyły w powietrzu przelatujące kule. Ginęli posuwając się naprzód i uciekając, bo w obu przypadkach trafiali wprost na linie ognia ustawionych pod różnymi kątami karabinów maszynowych. Między uwięzionych w zasadzce żołnierzy spadały bomby i pociski. Favel, uzależniwszy całkowicie swój los od nadciągającego huraganu, wystrzeliwał z lekkomyślną rozrzutnością resztki amunicji. Ziemia drżała, zakwitając ciemnymi sylwetkami uwalnianych nagle drzew, a obłoki dymu i pyłu ulatywały w dal, porywane przez wiatr. Ostrzał z dołu był żałośnie nikły. Może nie miał kto strzelać, a może ci, którzy przeżyli, doznali zbyt silnego wstrząsu, aby się o to troszczyć.

Zamieszanie trwało przez pięć minut, które wydawały się wiecznością, po czym nagle, jakby na rozkaz, natarcie załamało się i atakujący zaczęli się cofać, pozostawiając za sobą poniewierające się zwłoki, świadectwo tego, jak wysoko zakończył się szturm zaledwie sto metrów od szczytu wzgórza. Uciekając w popłochu nadal ginęli, trafiani kulami karabinów, przeszywani morderczym ogniem cekaemów i rozrywani na strzępy pociskami moździerzy. Kiedy wszystko ucichło, ziemia zasłana była poszarpanymi szczątkami ludzkich ciał.

- O, mój Boże! - wyszeptał Dawson. Miał bladą twarz, jakby był chory, a z jego ust wydobyło się urywane westchnienie. - Musieli stracić jedną czwartą ludzi.

Causton poruszył się.

- Serrurier na pewno przejął dowództwo - stwierdził ze spokojem. - Rocambeau nie dokonywałby nigdy tak idiotycznego ataku od frontu, nie na tym etapie walki. - Odwrócił się i popatrzył na ludzi, którzy tuż za nim obsługiwali moździerz. - Ci chłopcy wystrzelali wszystkie pociski. Nie mają już amunicji. Nie wiem, czy wytrzymamy kolejne natarcie.

- Nie będą więcej atakować - zapewnił Wyatt z chłodnym przeświadczeniem. - Jeśli chodzi o walkę, ta wojna już się skończyła. - Spojrzał na walające się po zboczu ciała. - Szkoda, że nie mogłem tego powiedzieć pół godziny temu, chociaż właściwie co to za różnica? Teraz i tak wszyscy zginą. - Opuścił wzgórze i odszedł w stronę wykopu.

W ciągu najbliższych kilku godzin w St. Pierre zginą tysiące ludzi, ponieważ zawiadomił Favela o nadciągającym huraganie. Czuł się winny, ale nie bardzo wiedział, jak mógłby postąpić inaczej.

Była też jeszcze inna sprawa. Nie potrafił nawet zadbać o bezpieczeństwo jednej dziewczyny. Nie miał pojęcia, gdzie jest Julie: czy zginęła, czy żyje, a może schwytali ją żołnierze Rocambeau? Był tak zajęty huraganem, że prawie jej nie widział, a teraz myślał tylko o niej i poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy. Nie użalał się nad sobą, ani nawet

nad Julie. Był po prostu wściekły na własną głupotę i nieudolność.

Jak na swoje lata zachowywał się infantylnie.

Causton wsłuchiwał się w odgłosy wystrzałów, dochodzące nadal z lewej strony.

- Mam nadzieję, że Wyatt się nie myli - stwierdził. - Kiedy Favel znalazł się w podobnej sytuacji, oskrzydlił pozycje wroga. - Wskazał głową w kierunku, z którego docierały odległe odgłosy walki. - Jeśli Serrurier zdoła się tamtędy przedrzeć, przetoczy się Przez wzgórze jak walec i zetrze powstańców na miazgę.

- Myślę, że Wyatt ma jednak rację - powiedział Dawson. - Niech pan spojrzy na morze.

Horyzont był czarny, a miasto spowijała szara mgła, przez którą przebijały czerwone łuny pożarów. Pasma zawieszonych nisko chmur sunęły po niebie jak zjawy, pędzone wiatrem, który gwałtownie przybrał na sile, wydając diabelski skowyt. Nad morzem zalśniła przez moment błyskawica i Caustonowi spadła na rękę pojedyncza kropla deszczu.

- Wygląda to dość paskudnie - powiedział, spoglądając w niebo. - Niech Bóg ma w opiece żeglarzy w taką noc.

- Niech ma w opiece Serruriera i jego armię - stwierdził Dawson, patrząc w dół na St. Pierre.

Causton obejrzał się na Wyatta, który siedział na skraj u wykopu.

- On bardzo to przeżywa - rzekł. - Uważa, że nie spełnił swego zadania. Głupi szczeniak; nie zrozumiał jeszcze, że doskonałość nie istnieje. Ale nauczy się, że życie to transakcja: trzeba zgodzić się na trochę zła w zamian za dużo dobrego.

- Mam nadzieję, że nigdy się tego nie nauczy - powiedział Dawson ściszym głosem. - Mnie też udzielono podobnej lekcji i nigdy nie wyszła mi ona na dobre. - Spojrzał Caustonowi prosto w oczy i ten po chwili odwrócił wzrok.

## II

Rawsthorne nie był już młody i dwa dni wyczerzonego wysiłku oraz życia pod gołym niebem wycisnęły na nim swe piętno. Nie mógł poruszać się szybko po wzniesieniach - jego płuca dawno utraciły swą prężność, a nogi energię. Oddech wiązał mu boleśnie w gardle, gdy starał się utrzymać dobre tempo marszu, a mięśnie ud paskudnie mu dokuczały.

Był jednak w lepszej formie niż pani Warmington, której ciało, po latach konsumowania przez nią ciasteczek z bitą śmietaną i przy braku ruchu, przypominało pulchną galaretkę. Sunęła za nim, sapiąc i potykając się, a jej nazbyt obfite kształty podrygiwały z wysiłku. Przez cały czas użalała się półgłosem nad swoją dolą, co harmonizowało z zawodzeniem wzmagającego się wiatru.

Julie, pomimo odniesionych ran, była w najlepszej kondycji z całej trójki. Choć nogi miała sztywne i obolałe z powodu pchnięć bagnetem, mięśnie okazały się twarde i wytrzymałe, a płuca pracowały równomiernie, gdy podążała za panią Warmington. Wyczerpująca gra w tenisa przynosiła teraz efekty i mozolna wspinaczka po zboczach nie sprawiała jej żadnych trudności.

Plan trasy ustalili Rawsthorne.

- Nie ma sensu uciekać przed wojskiem dalej na zachód - stwierdził. - Okolice St. Michel są nisko położone, a tutaj z pewnością nie należy zostawać, bo niewykluczone, że Rocambeau zostanie znowu odparty. Będziemy musieli przemknąć się na tyłach jego armii i pójść przez góry na północ; może aż do Negrito.

- Czy to daleko stąd? - zapytała zaniepokojona pani Warmington.

- Nie bardzo - odparł uspokajająco Rawsthorne. - Musimy przejść około trzynastu kilometrów, zanim zobaczymy dolinę Negrito. - Nie wspomniał tylko, że owych trzynaście kilometrów trzeba pokonać w trudnym terenie i że okolica będzie zapewne pełna dezertorów.

Ponieważ Rawsthorne miał wątpliwości, czy zdoła się wspiąć na ścianę kamieniołomu - a także prywatnie, nie wyrażane głośno zastrzeżenia co do alpinistycznych umiejętności pani Warmington - zeszli drogą do głównej szosy, poruszając się ostrożnie i czujnie

wypatrując niebezpieczeństwa. Nie chcieli napotkać strażnika, który ulotnił się w tamtym kierunku. Zeszli z drogi w miejscu, gdzie przedtem zaczynali wspinaczkę do plantacji bananów i Julie poczuła ściskanie w gardle, ujrawszy widoczny ciągle na piaszczystej ziemi ślad buta Eumenidesa.

Plantacja wyglądała na opuszczoną, posuwali się jednak ostrożnie, przemykając możliwie najciszej między rzędami bananowców. Rawsthorne poprowadził ich do kotliny, w której przedtem kopali doły. Miał nadzieję, że znajdą tam resztki żywności i - co ważniejsze - wodę. Nie było tam jednak niczego, prócz czterech pustych dołów oraz wyrzuconych puszek i butelek.

Julie spojrzała na zasypany dół i ogarnął ją przejmujący smutek na myśl o nieszczęsnym Greku. „Najpierw kopimy jamy, potem w nich umieramy”. Przepowiednia Eumenidesa spełniła się.

- Gdyby nie wojna, zalecałbym pozostanie tutaj - stwierdził Rawsthorne, po czym odchylił głowę w bok, nasłuchując. - Sądzi pani, że walki przesunęły się trochę dalej, czy nie?

Julie, posłuchawszy odgłosu dział, pokręciła głową.

- Trudno powiedzieć.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Rawsthorne. - Jeśli Rocambeau znowu poniesie klęskę, zostanie wyparty aż tutaj i znajdziemy się z powrotem w punkcie wyjścia.

Pani Warmington popatrzyła na kotlinę i wzdrygnęła się.

- Odejźmy z tego okropnego miejsca - powiedziała drżącym głosem. - Ono mnie przeraża.

„I nic dziwnego”, pomyślała Julie, „zabiłaś tu człowieka”.

- Pójdziemy na północ - oznajmił Rawsthorne. - Przez tę niewielką dolinę i za następne wzgórze. Musimy jednak zachować ostrożność. W okolicy może być wielu desperatów.

Poszli więc przez plantację, minęli drogę dostawczą i unikając starannie koszar więźniów zaczęli piąć się na wzgórze po drugiej stronie. Początkowo Rawsthorne narzucił ostre tempo, ale brakowało mu już energii i stopniowo zwolnił na tyle, że nawet pani Warmington mogła za nim nadążyć. Po uprawionej ziemi szło się łatwo, tak więc pomimo wolniejszego marszu posuwali się szybko.

Na szczycie pierwszego wzgórza opuścili plantacje bananów i znaleźli się wśród upraw ananasów, gdzie wszystko było w porządku, dopóki szli między rzędami roślin, unikając ostrych, spiczastych liści. Potem jednak trafili na trzcinę cukrową i przekonawszy się, że zbyt trudno byłoby się przez nią przedzierać, musieli rozejrzeć się za jakąś prowadzącą we właściwym kierunku drogą. Znaleźli wąską, piaszczystą ścieżkę wśród strzelistych, zielonych trzcin, które szeleściły i skrzypiały pod naporem wiatru. Pomimo bryzy i zawieszonych wysoko pierzastych chmur, które przesłaniały mglistą otoczką słońce, było nadal upalnie i Julie czuła się nieco oszołomiona, podążając bezmyślnie za panią Warmington.

Nie spotkali nikogo i wyglądało na to, że idą przez nie zamieszkałe tereny. Ścieżka opadała i wznosiła się, cały czas jednak wiodła pod górę i kiedy Julie obejrzała się, zobaczyła w oddali chaty. Z niewielkich domostw nie unosił się jednak dym i nie można tam było dostrzec żadnych oznak życia. Zaledwie wyszli spomiędzy upraw trzciny cukrowej, natknęli się na kolejne chaty. Rawsthorne zatrzymał ich gestem ręki, gdy tylko je ujrzeli.

- Musimy być ostrożni - szepnął. - Lepiej uważać niż później żałować. Zaczekajcie tutaj.

Pani Warmington natychmiast usiadła, chwytając się za stopy.

- Te buty zrobią ze mnie kalekę - oświadczyła.

- Cicho! - powiedziała Julie, przyglądając się spomiędzy trzciny chatom. - Mogą tu być żołnierze. Dezerterzy.

Pani Warmington zamilkła i Julie pomyślała zdumiona, że można ją jednak czegoś nauczyć. Po chwili wrócił Rawsthorne.

- W porządku - oznajmił. - Nie ma tu żywej duszy.

Wydostali się z gęstwiny trzciny i weszli między chaty, rozglądając się wokół. Pani

Warmington, spojrzawszy na prymitywne ściany z utwardzonej ziemi i słomiane dachy, prychnęła pogardliwie.

- Wyglądają gorzej niż chlewy - oznajmiła. - Nie nadają się nawet do trzymania świń.

- Ciekawe, czy jest tu gdzieś woda - zastanawiał się Rawsthorne. - Przydałaby się.

- Zobaczmy - powiedziała Julie i weszła do jednej z chat. Jej wnętrze było skromnie umeblowane i bardzo prymitywne, ale zarazem bardzo schludne. Trafwszy do niewielkiej izby, w której najwyraźniej mieściła się spiżarnia, stwierdziła, że przypomina ona kredens matki Hubbard - świeciła pustkami. W następnej chacie zastała to samo, a kiedy wyszła na polanę między zabudowaniami, okazało się, że Rawsthorne również niczego nie znalazł.

- Ci ludzie uciekli - stwierdził. - Zabrali ze sobą wszystkie wartościowe przedmioty albo gdzieś je zakopali. - Podniósł trzymaną w ręce butelkę. - Znalazłem trochę rumu, ale nie radziłbym gasić nim pragnienia. Mimo wszystko, może się jeszcze przydać.

- Myśli pan, że uciekli z powodu wojny? - zapytała Julie. - Czy z obawy przed huraganem, jak ten starzec z okolic St. Michel?

Rawsthorne potarł dłonią policzek i dał się słyszeć szorstki dźwięk.

- Trudno powiedzieć. Uważałbym raczej, że bali się wojny, ale nie ma to większego znaczenia.

- Ci ludzie musieli skądś brać wodę - stwierdziła Julie. - Może jest tam, na dole? -

Wskazała na ścieżkę, schodzącą po zboczu wzdłuż pola trzciny cukrowej. - Zobaczmy?

Rawsthorne zawahał się.

- Myślę, że nie powinniśmy się tu kręcić, to zbyt niebezpieczne. Moim zdaniem trzeba ruszać dalej.

Odkąd weszli w zarośla, marsz stał się trudniejszy. Ziemia była nieurodzajna i kamienista, a zmaltretowane drzewa czepiały się zbrocza, wystawiając zastygłe w dziwacznych pozach korzenie, o które bez przerwy się potykali. Wzgórze było w tym miejscu bardziej strome i resztki gleby spłynęły stąd dawno na niżej położone tereny, gdzie znajdowały się żyzne plantacje. Pod nogami mieli skały i piasek, z rzadka tylko pojedyncze kępki najbardziej odpornych gatunków traw, uczepionych podłoża wszędzie tam, gdzie skarłowaciałe drzewa nie przesłaniały słońca.

Dotarwszy do szczytu wzgórza stwierdzili, że mają przed sobą następne, jeszcze wyższe i bardziej strome. Julie spojrzała w dół na niewielką dolinę, mówiąc:

- Ciekawe, czy jest tam jakiś strumień.

Znaleźli w dole koryto rzeki, okazało się jednak wyschnięte, bez śladu wilgoci, ruszyli więc dalej. Pani Warmington zaczynała być bardzo wyczerpana. Dawno już opuściła ją zadziorność, a skłonność do wydawania poleceń ustąpiła miejsca zamilowaniu do zrzędzenia. Julie nieustannie i bezlitośnie ją poszturchiwała, starając się nie zapomnieć ani przez chwilę, jakich czynów dopuściła się ta kobieta. Rawsthorne również nie zwracał uwagi na jej skargi - wyęzał wszystkie siły, by zaciągnąć swe starzejące się ciało na to straszne, pokryte kurzem zbocze.

Dotarwszy do szczytu wyszli na płaskowyż i marsz stał się łatwiejszy. Teren pokrywała cienka warstwa wątpliwej jakości gleby, a roślinność była nieco bujniejsza. Na wykarczowanej polanie natrafili na kolejną niewielką osadę. Była również opuszczona i nie znaleźli w niej wody. Rawsthorne spojrział na poletko kukurydzy i trzciny cukrowej, mówiąc:

- Przypuszczam, że korzystają z deszczówki. No cóż, będą jej mieli teraz sporo. Proszę spojrzeć za siebie.

Na południu niebo pociemniało od chmur, a słońce przesłaniała jeszcze gęściejsza, szara mgła. Zrobiło się wyraźnie chłodniej i wiatr zdecydowanie przybrał na sile. W oddali, jakby z bardzo dużej odległości, słychać było nadal dudnienie dział. Na Julie nie robiło już ono większego wrażenia, nie wiadomo, czy z powodu dystansu, czy mniejszego natężenia ognia.

Rawsthorne był zaniepokojony nadciągającym huraganem.

- Nie możemy się teraz zatrzymywać. Musimy dostać się tam. - Wskazał na leżące



przed nimi jeszcze wyższe wzgórze. - Po drugiej stronie jest dolina Negrito.

- O Boże! - wykrzyknęła pani Warmington. - Nie dam rady. Po prostu nie dam rady!

- Musi pani - powiedział Rawsthorne. - Trzeba dotrzeć na północne zbocze, a to jest z tamtej strony. Ruszajmy.

Julie szturchnęła panią Warmington, aby ta stanęła na nogi i opuścili razem osadę. Spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej po południu.

W ciągu kolejnej godziny minęli płaskowyż i doszli do połowy wysokości wzgórza. Wiatr zmienił się tymczasem w gwałtowną wichurę. Ściemniało się o wiele wcześniej niż zazwyczaj. Na niebie wisały ciężkie chmury, ale nie zaczął jeszcze padać deszcz. Wicher uderzał w nich, gdy pięli się pod górę, smagając ich bezlitośnie. Niejeden raz tracili grunt pod nogami, osuwając się w dół w lawinie kurzu i kamieni. Wichura miotła karłowatymi drzewami, zamieniając ich gałęzie w niebezpieczne cepy, a suche liście szybowały wzdłuż zbocza na skrzydłach porywistego wiatru.

Zdawało im się, że minęła cała wieczność, zanim dotarli na szczyt, lecz i tak nie widzieli stamtąd doliny Negrito.

- Musimy zejść... drugą stronę... - wołał Rawsthorne, starając się przekrzyczeć wiatr. - Nie możemy... zostać... - Zakrztusił się od podmuchu wichru i straciwszy równowagę musiał podeprzeć się rękami.

Julie podążała jego śladem, ponaglając kopniakami idącą przed nią panią Warmington. Posuwali się z trudem wzdłuż grzbietu wzgórza, narażeni na wściekłe ataki wzmagającego się huraganu. Wokół siebie mieli gęstą, nieprzyjemnie żółtą poświatę, która wydawała się niemal namacalna, a z nieurodzajnej ziemi wznosiły się w górę tumany kurzu. Julie czuła go w ustach, zgrzytał jej między zębami.

W końcu zaczęli schodzić i zobaczyli trzysta metrów pod sobą dno doliny Negrito, ledwie widoczne w tej niezdrowej poświacie. Gdy tylko znaleźli się poniżej grzbietu wzgórza, wiatr nieco osłabł i Rawsthorne przystanął, ze zdumieniem patrząc w dół.

- Co tam się dzieje, do diabła?

Początkowo Julie nie wiedziała, o co mu chodzi, potem jednak spostrzegła, że w niższych partiach zboczy panuje ożywiony ruch i że z doliny podążają w górę grupki ludzi.

- Skąd oni się wszyscy wzięli? - zapytała zaskoczona.

Rawsthorne nagle się roześmiał.

- Mogli wyjść tylko z jednego miejsca: z St. Pierre. Ktoś musiał ich stamtąd wyprowadzić. - Zmarszczył brwi. - Ale bitwa jeszcze trwa. Tak mi się przynajmniej wydaje. Słyszysz pani działa?

- Nie - odparła Julie. - Ale i tak byśmy ich nie usłyszeli; przy tym wietrze...

- Ciekawe - zamyślił się Rawsthorne. - Zastanawiam się, czy... - Nie dokończył zdania, ale Julie pojęła, o co mu chodzi i serce podskoczyło jej w piersi. Ci wszyscy ludzie musieli opuścić St. Pierre zanim jeszcze cokolwiek wskazywało, że nadciąga huragan, a o ile się orientowała tylko jeden człowiek przewidywał jego nadejście. Tym wytrzymałym, zawziętym i upartym fanatykiem był David Wyatt. „A więc on żyje!”, pomyślała, czując, nie wiadomo dłaczego, ściskanie w gardle. „Dzięki Bogu, żyje!”

- Chyba nie powinniśmy schodzić od razu w dół - stwierdził Rawsthorne. - Czy to nie jest przypadkiem wąwóz?

Przez zbocze przebiegała rozpadlina, głębokie wyłobienie, powstałe wskutek działania czynników atmosferycznych i wody, które mogło zapewnić im z trzech stron osłonę przed wiatrem. Zeszli na ukos po stoku i pokonali strome ściany wąwozu. Wiatr wiał tam z jeszcze mniejszą siłą, choć słyszeli, jak wyje na wzgórzu, nad ich głowami. Znaleźli niewielką jamę, wydrążoną pod ogromną skałą. Była to niemal jaskinia, w której mogli usiąść.

I tam właśnie Rawsthorne opadł w końcu z sił. Trzymał się tylko dzięki temu, że chciał koniecznie doprowadzić kobiety w bezpieczne miejsce, ale teraz, gdy wykonał już postawione sobie zadanie, jego organizm zbuntował się przeciw cierpieniom, jakie musiał

znosić. Julie spojrzała z niepokojem na jego poszarzałą twarz i rozchylone usta.

- Dobrze się pan czuje, panie Rawsthorne?

- Nic mi nie będzie, moje dziecko. - Zdobył się na blady uśmiech i lekko poruszył ręką.

- W kieszeni... butelka... rumu. Chyba nam wszystkim... należy się... łyżek...

Julie znalazła rum, odkorkowała butelkę i przytknęła ją Rawsthorne'owi do ust.

Alkohol dobrze mu chyba zrobił, bo jego policzki - nabrały rumieńców, a przynajmniej tak jej się wydawało - w nikłym świetle niewiele dało się zobaczyć. Odwróciła się do pani Warmington, która była równie wyczerpana i wmusiła w nią trochę rumu, wlewając go jej do gardła przez zaciśnięte zęby.

Miała właśnie sama też się napić, kiedy usłyszała rozdzierający huk i zobaczyła oślepiający niebieski błysk, po którym nastąpił jednostajny, przeciągły grzmot. Przetarła oczy, a potem usłyszała deszcz, ciężkie krople, chłoszczące pokrytą kurzem ziemię. Wypełznawszy ze swej ciasnej kryjówki pozwoliła, aby strugi wody lały jej się na twarz i chwytając spadające krople w otwarte usta. Łapczywie chłoneła deszcz, wargami i całym ciałem, czując jak mokra koszula przylega jej do skóry. Woda pomogła jej bardziej niż rum.

### III

Wiatr szalał po St. Pierre, rozdmuchując płomienie palących się budynków, tak iż ogień przeskakiwał przez szerokie ulice i wyglądało na to, że całe miasto pochłonie niemożliwy do ugaznienia pożar.

Wtedy spadł deszcz i ugasił wszystko w ciągu piętnastu minut.

Przez pierwszą godzinę opady osiągnęły poziom ponad pięciu centymetrów. Była to nieprzyjemna, gwałtowna ulewa. Pędzone wiatrem ciężkie krople rozpryskiwały się jak szrapnele. Causton nigdy dotąd nie poczuł uderzenia deszczu. Nigdy nie sądził, że kropla wody może być tak ogromna, ani że potrafi ugodzić z tak obezwładniającą siłą. Początkowo myślał, że to grad, potem jednak zobaczył na ziemi obok swej kryjówki rozpryskującą się wodę. Każdą z tych kropli można by chyba napęlić filizankę. Zamrugał oczami, odrzucając włosy z czoła. W chwilę potem, gdy kolejna kropla wody z przerażającą siłą uderzyła go w skroń, skulił się na dnie dołu.

Dawson jęknął z bólu i odwrócił się na bok, chowając pod siebie obandażowane dłonie, aby je osłonić. Nikt nie usłyszał jego nagłego krzyku, nawet Causton, który siedział skulony tuż obok, gdyż dziki skowyt wichru zagłuszał już teraz wszelkie inne odgłosy.

Wyatt wsłuchiwał się w brzmienie wiatru z profesjonalnym zainteresowaniem. Oceniał, że zwiększył on nagle prędkość do dwunastu stopni, czyli najwyższego poziomu skali Beauforta. Stary admirał Beaufort opracował swoją skalę z myślą o kapitanach żaglowców i zrobił to z pełną świadomością. Dwunasty stopień odpowiadał prędkości wiatru, przy której - jego zdaniem - żaden rozsądny żeglarz nie pozostanie na morzu, o ile tylko będzie to od niego zależało. Dwunasty stopień oznacza wiatr o prędkości sześćdziesięciu pięciu węzłów czyli stu dwudziestu kilometrów na godzinę i admirała nie interesowały już większe wartości, gdyż dla kapitana żaglowca w sytuacji in extremis byłyby one tak samo bez znaczenia. Nie da się określić w stopniach nagłej śmierci.

Od czasów admirała Beauforta wiele się jednak zmieniło i Wyatt, który sam się do tego przyczynił, doskonale znał sytuację. Nie interesowało go tym razem oddziaływanie wiatru na pływający statek, lecz na wyspę i zabudowania w mieście. Wiatr o sile dwunastu stopni wywiera nacisk osiemdziesięciu pięciu kilogramów na każdy metr kwadratowy powierzchni, co oznacza ponad trzy tonowy napór na ściany przeciętnego budynku. Rozsądnie skonstruowany dom wytrzymałby taki nacisk, ale siła tego huraganu nie mieściła się w granicach rozsądku.

W przypadku Mabel najwyższa szacunkowa prędkość wiatru wynosiła w porywach dwieście siedemdziesiąt kilometrów na godzinę i wytwarzane ciśnienie przekraczało

znacznie pięćset kilogramów na metr kwadratowy powierzchni. Wystarczyłoby ono, aby oderwać człowieka od ziemi i przenieść go w powietrzu na bliżej nie określonej odległość. Wystarczyłoby, aby przechylić ścianę budynku i spowodować jego runięcie. Wystarczyłoby do wyrwania z korzeniami potężnego drzewa, zderzenia z pola wierzchniej warstwy gleby, zniszczenia plantacji, zrównania z ziemią dzielnic slumsów, do poziomu, z którego wyrosły.

Wyatt słuchał zatem szalejącego wiatru z niezwykłym zainteresowaniem.

Spuściwszy głowę, siedział razem z Caustonem i Dawsonem w dole pełnym wody. Tryskała z obu kanałów odwadniających jak z węży strażackich pod pełnym ciśnieniem, ale w wykopie wcale jej nie ubywało. Przypominało to siedzenie na samym środku rzeki. Po zboczu wzgórza spływały wokół głębokie na kilkanaście centymetrów potoki wody, rzeźbiąc koryta w miękkiej glebie. Wyatt wiedział, że nie potrwa to długo: gdy wiatr zwiększy prędkość, będzie miał dość siły, by ponownie porwać wodę z powierzchni ziemi i unieść ją w powietrze w postaci lekkiej, zacinającej mżawki. Jedno było pewne: nigdy nie słyszał, aby podczas huraganu ktokolwiek zmarł z pragnienia.

Deszcz, niosący miliony ton opadów, dostarczał potworowi energii. Na każdy kilometr kwadratowy obszarów, nad którymi przechodził huragan, spadało przeciętnie dwieście tysięcy ton wody, co uwalniało ogromne ilości ciepła, napędzającego okrzęzne wiatry. Była to potężna turbina, o średnicy pięciuset kilometrów i niewyobrażalnej niemal mocy.

Causton myślał o czymś zupełnie innym. Po raz pierwszy w życiu był naprawdę przerażony. Zajmował się w swojej pracy działalnością ludzi i wydawało mu się, że człowieka, istotę polityczną, potrafi zrozumieć. Jego rewirem był cały świat. Bywał w rejonach konfliktów, gdzie studenci wzniesli zamieszki na ulicach wielkich miast i gdzie wybuchały wojny w zielonej dżungli. Ale klęski żywiołowe - trzęsienia ziemi, powodzie, lawiny - były domeną innych.

Zawsze wiedział, że jeśli znajdzie się w tarapatkach, zdoła się jakoś wybronić, bo miał do czynienia z ludźmi, a z nimi można dyskutować. Teraz, po raz pierwszy w życiu, znalazł się w sytuacji, w której słowa okazałyby się daremne. Rozmowa z huraganem jest równie skuteczna, co z bengalskim tygrysem. Prawdę mówiąc, daje nawet mniejsze możliwości. Tygrysa można przynajmniej zastrzelić.

Wtedy, w bazie Cap Sarrat, słuchał z pewnym zaciekawieniem wykładu Wyatta o huraganach, frapował go jednak bardziej sam Wyatt, niż poruszany przez niego temat. Teraz żałował, że nie przysłuchiwał się uważniej i nie okazał większego zainteresowania. Szturchnął Wyatta i krzyknął:

- Ile czasu to potrwa?

Ciemna sylwetka Wyatta odwróciła się ku niemu i poczuł w uchu jego ciepły oddech.

- Co pan powiedział?

Przyłożył usta do ucha Wyatta i ryknął:

- Ile czasu to potrwa?

Wyatt ponownie się odwrócił.

- Około ośmiu godzin. Potem trochę odpoczniemy.

- A co będzie dalej?

- Następnym dziesięć godzin wiatru, tyle że z przeciwnego kierunku.

Causton był wstrząśnięty, że aż tak długo będzie musiał znosić ową ciężką próbę.

Zakładał, że potrwa to zaledwie trzy, może cztery godziny.

- Czy będzie gorzej niż jest? - zawołał.

- Jeszcze się właściwie nie zaczęło.

Krzyk Wyatta nie pozwalał określić tonu jego odpowiedzi, Caustonowi wydawało się jednak, że rozpoznaje w niej nutę chłodnego humoru.

Wcisnął się głębiej w dziurę, chłostany strugami deszczu i pomyślał z rozpaczą: jak to możliwe, żeby było jeszcze gorzej?"

Zaszło słońce i zapanowała absolutna ciemność. Nieprzenikniony mrok rozpraszały jedynie coraz częstsze zygzaki błyskawic. Wszelkie odgłosy grzmotów zagłuszała wichura. Wyatt miał wrażenie, że jej intensywność narasta - wiatr wiał coraz silniej, choć bez

przypadków nie sposób było określić dokładnie jego prędkości. Jedno było wszakże pewne: przekraczała ona znacznie maksymalne wartości na skali Beauforta.

Wyatt uśmiechnął się posepnie, przypomniał sobie pytanie Caustona: „czy będzie gorzej niż jest?” Ten człowiek nie miał pojęcia o siłach przyrody. Wybuch bomby atomowej wewnątrz takiego huraganu dodałby mu zaledwie odrobinę energii, która rozeszłaby się w powietrzu, wchłonięta przez potężniejszy żywioł. A czekający ich kataklizm, nie był jeszcze najstraszniejszy. Co prawda huragan Mabel miał potworną siłę, ale zdarzały się gorsze. Notowano też o wiele większe prędkości wiatru.

Próbował nie zwracać uwagi na skowyt wichru. Zaraz, ile to było? A, tak. Trzysta siedemdziesiąt dwa kilometry na godzinę. Taką prędkość wiatru odnotowano na Mount Washington, zanim aparatura uległa uszkodzeniu. To był rekordowy odczyt. Wiadomo także teoretycznie, jakie prędkości mają tornada. Nie można ich, oczywiście, zmierzyć - to najszybsze wiatry, osiągające ponad tysiąc kilometrów na godzinę - ale trzeba potężnej wichury, żeby zdźbło słomy przebiło deskę grubości trzech centymetrów.

Tornada są jednak stosunkowo słabe. Porównywanie ich z huraganami przypomina zestawianie myśliwca z bombowcem. Myśliwiec jest szybszy, ale bombowiec ma większą moc. Huragan gromadzi niewspółmiernie więcej energii niż tornado, czy jakikolwiek system wiatrów na Ziemi. Wyatt pamiętał z okresu studiów w Anglii potężny kataklizm, który nadciągnął tam w 1953 roku. Huragan szalał nad zachodnim Atlantykiem, ale potem przebył ocean i znalazł się nad północną Anglią, podnosząc poziom wód Morza Północnego tak samo, jak stało się za sprawą Mabel w Zatoce Santego. W Holandii puściły groble, a wschodnią Anglię zalały powodzie, wywołując największą od stuleci klęskę żywiołową w Europie. Huragan miał najbardziej diabelską moc ze wszystkich wiatrów.

Dawson przyciskał ręce do piersi. Był na wskroś przemoknięty i miał wrażenie, że nigdy, już nie wyschnie. Gdyby nie jego zamiłowanie do wędkarstwa, marzyłby pewnie o spędzeniu reszty życia na jakiejś przyjemnej pustyni, gdzie nie wiały tak silne wiatry - na przykład w Dolinie Śmierci. Ponieważ jednak lubił łowić, ryby, a okoliczne wody stwarzały do tego idealne warunki, wiedział, że jeśli tylko ocaleje, wróci w to miejsce. Z drugiej strony, po co miał w ogóle wyjeżdżać? Dlaczego by nie osiedlić się na San Fernandez? Nic nie trzymało go już teraz w Nowym Jorku i mógł równie dobrze żyć tam, gdzie mu się podobało.

Uśmiechnął się smętnie na myśl, że i tak realizowałyby w ten sposób program, opracowany dla niego przez agenta prasowego Wisemana, który kombinował, jak mógł, żeby spuścizna Hemingwaya pasowała do zupełnie odmiennej postaci Dawsona. Czyż Hemingway nie mieszkał na Kubie? Do diabła z tym wszystkim! Postępował, jak chciał, i już.

O dziwo, wcale się nie bał. Nieoczekiwana odwaga, jaką w sobie odkrył, stawiając czoła Roseau i jego zbirom, a potem ulga, jaką odczuł po szczerzej rozmowie z Wyattem, coś w nim wyzwoliły, jakieś pokłady męstwa, które przedtem było tłumione i służyło niewłaściwym celom. Powinien odczuwać strach, bo nigdy w życiu nie przydarzyło mu się nic równie przerażającego, a jednak nie bał się i ta świadomość dawała mu poczucie siły.

Leżał w pełnym wody wykopie, umorusany lepkiem błotem, smagany bezlitośnie przez deszcz i wiatr, ale bardzo zadowolony.

Huragan osiągnął największą siłę tuż po północy. Sam jego odgłos był przerażający: potworne, złowieszcze wycie żywiołu, które wdzierało się w mózg. Deszcz osłabł i nie było już wielkich kropli, tylko rozpylona mgiełka, pędząca tuż nad ziemią z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zgodnie z przewidywaniami Wyatta szalejący wiatr unosił w powietrze pokrywającą teren wodę.

Pioruny uderzały teraz bez przerwy, roztaczając nad wzgórzem błękitną poświatę. Podniósłszy w pewnej chwili wzrok Wyatt zobaczył niewyraźne zarysy gór: łańcuch Massif des Saints. One stawią opór straszliwemu wiatrowi. Osadzone głęboko w trzewiach ziemi, były godnym przeciwnikiem dla huraganu, który połamie sobie na nich kości. Może z powodu tej niewielkiej przeszkody Mabel straci niebezpieczny impet i pomknie dalej, nad

Karaiby, tylko po to, by zginąć od doznanej śmiertelnej rany. Być może. Ale nie ulży to cierpieniom San Fernandez.

W świetle kolejnej błyskawicy ujrzał; jak prześlizguje mu się nad głową coś dużego i płaskiego, co przypominało wirującą kartę do gry. Przedmiot uderzył w ziemię niecałe pięć metrów od wykopu, a potem znów wzbil się ostro w górę. Nie miał pojęcia, co to było.

Leżeli w wykopie, przywierając do gęstej, lepkiej mazi na dnie, ogłuszeni przez obłądny świst wichru, na wskroś przemoczeni i coraz bardziej zziębnięci w miarę, jak poddmuchy wiatru powodowały parowanie wilgoci z ubrań. Potęga szalejącego wokół żywiołu wstrząsnęła ich umysłami. W pewnej chwili Causton wystawił nieopatrznie łokieć nad powierzchnię ziemi i wiatr szarpnął mu rękę do przodu z taką siłą, że omal jej nie złamał. Zapewne by do tego doszło, gdyby staw barkowy został wykrecony w przeciwnym kierunku.

Nawet Wyatt, który rozumiał lepiej od innych, co się dzieje, był zdumiony gwałtownością żywiołu. Dotychczas, penetrując samolotem rejony huraganów, odczuwał swoistą wewnętrzną dumę, nie z powodu własnej odwagi, lecz męstwa i technicznej doskonałości ludzkiej rasy, która mogła znaleźć sposób na ich okiełznanie. Czym innym było jednak stawienie czoła nawałnicy, gdy skurzonego i bezbronniego ciała nie osłaniały nawet cienkie duralowe ścianki kabiny. Po raz pierwszy zetknął się z huraganem na ziemi. Mógł dzięki temu stać się lepszym meteorologiem - o ile tylko zdoła przeżyć, w co wątpił.

Stopniowo wszyscy popadali w odrętwienie. Umysł - mózg - przyjmuje ciosy tylko do pewnego momentu, potem włącza się automatycznie jego mechanizm obronny. Z upływem godzin niewiarygodny hałas stał się do tego stopnia elementem ich otoczenia, że już go nie słyszeli. Gdy adrenalina przestała być tłoczona do krwi, ich napięte mięśnie rozluźniły się i skonani zapadli w niespokojną drzemkę, rozciągając w błocie zwiotczałe kończyny.

O trzeciej nad ranem wichur zaczął nieco słabnąć i Wyatt, nawet podczas nerwowego letargu nasłuchujący fachowym uchem jego brzmienia, natychmiast zauważył zmianę. Deszcz całkowicie ustał i gnębił ich już tylko srogi wiatr, choć i on okazywał chwilami niezdecydowanie, od czasu do czasu dmuchając trochę mocniej, jakby żałował chwilowej bezczynności, lecz coraz bardziej opadając z sił.

O czwartej Wyatt poruszył się i spojrzał na zegarek, zmazując z tarczy błotnistą maź, aby dojrzeć świecące cyfry. Panowały nadal kompletne ciemności i mniej było błyskawic, słyszał jednak już teraz wśród chmur przetaczające się grzmoty, co znaczyło, że wiatr stracił na sile. Poruszył kończynami i ostrożnie wystawił rękę nad ziemię. Wiatr mocno w nią uderzył, zdołał jednak stawić mu opór, doszedł więc do wniosku, że jego siłę da się już określić w skali Beauforta. Była to przyjemna, spokojna burza.

Odkąd się ocknął, jego umysł znów pracował. Był ogromnie ciekawy, co dzieje się po drugiej stronie wzgórze i pokusa zbadania sytuacji zwyciężyła. Sprawdził ponownie siłę wiatru i pomyślał, że nie jest tak źle, przewróciwszy się więc na brzuch wypełznął z okopu i zaczął czołgać się po zboczach. Brnął mozolnie w błocie, targany przez wichurę. Było gorzej niż przypuszczał. Istniała ogromna różnica między siedzeniem w wykopie a znalezieniem się podczas huraganu na otwartej przestrzeni. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie ich kryjówka, nie uszliby z życiem. Wiedziony jednak chęcią zaspokojenia ciekawości parł uparcie do przodu i choć przejście dzielących go od szczytu wzgórze dwudziestu metrów zajęło mu Piętnaście minut, szczęśliwie je pokonał, wpadając w końcu do głębokiej na pół metra kałuży w jamie, którą wykopano bardziej dla ochrony przed gradem pocisków niż przed burzą.

Odpoczywał przez kilka minut w tej kryjówce, ciesząc się, że omijają go najsilniejsze poddmuchy wiatru, a potem podniósł głowę i wyrzwał w mrok, osłaniając dłońmi oczy. Początkowo niczego nie widział, kiedy jednak wichur na chwilę ucichł, usłyszał coś, co bardzo przypominało szum morza i pluskanie fal. Zamrugnął oczami i spojrzawszy jeszcze raz zobaczył w świetle błyskawicy przerażający widok.

W odległości najwyżej dwustu metrów szalało wzburzone morze, a gwałtowny wiatr zrywał grzywy krótkich, groźnych fal, roznosząc je nad bezmiarem wód. Podmuchał wicheru spryskał Wyattowi twarz wodnym pyłem. Oblizawszy wargi poczuł słony smak.

St Pierre było całkowicie pogrążone w wodzie.

## 9

I

Gdy na niebie pojawiło się pierwsze szare światło poranka, Julie rozprostowała zeszywniałe nogi. Podwijając je pod siebie miała nadzieję, że mniej zmokną. Zawiodła się, ale nie leżały chociaż w rwącym strumieniu. Z nastaniem dnia wiatr osłabł. Nie był już zaciekle, ani nie oblewał ich strugami wody, wzdłuż wąwozu płynął jednak nadal błotnisty potok.

Przeżyli ciężką noc. Niewielka grotka pod ogromną skałą chroniła ich dobrze od wiatru. Szalał wokół, ale nic im nie zrobił. Z wodą było inaczej. Płynęła z góry, najpierw powoli, potem coraz szybciej, spadając z chroniącej ich skały w postaci kaskady brudnej, brązowej cieczy, która rozpryskiwała im się coraz gwałtowniej u stóp, i niosąc ze sobą fragmenty powalonych drzew, zalegających wyższe partie wąwozu.

Gdy wiatr przybrał na sile, ściana wody, którą mieli przed oczami, była rozrywana i unoszona nad wzgórze w postaci drobnych kropelek, a kiedy wichura znów zmieniała kierunek, grotkę zalewał potop, jakby ktoś opróżniał nad nią pełną wannę. Zdarzało się to z jednostajną regularnością kilkanaście razy w ciągu godziny.

Ich kryjówka była ciasna, mała - i bezpieczna. Ściany wąwozu wznosiły się po obu stronach niemal pionowo i szarpiały odkryte zbocze wiatr w momentach szczególnego nasilenia burzy dosłownie wysysał z rozpadliny powietrze i na kilka uderzeń serca pozostawiał ich bez tchu. To im jednak nie szkodziło, a właściwie nawet pomagało, bo z powietrzem zniknęła również woda, dzięki czemu mieli chwilę wytchnienia.

Mogli albo siedzieć z wyprostowanymi nogami, pozwalając, by wodospad obmywał im stopy i narażając się na siniaki lub coś gorszego, gdyż strumień niósł ze sobą gałęzie drzew i kamienie, albo też podkurczyć nogi, wiedząc, że zdrętwieją. Stosowali na przemian obie te metody, rozprostowując nogi, gdy zanadto zeszywniały. Woda nie była zbyt zimna, za co Julie dziękowała Bogu, myślała jednak z determinacją, że po tak dokładnej kąpieli już nigdy w życiu nie będzie musiała wchodzić pod prysznic. Na samą myśl o syczącym strumieniu wody w domowej łazience robiło jej się niedobrze.

Początkowo mogli zupełnie swobodnie rozmawiać. Rawsthorne, który po rumie poczuł się lepiej, stwierdził: - Może tu trochę zmokniemy, ale myślę, że dzięki tej skale będziemy bezpieczni.

- Nie poruszy się? - zapytała nerwowo pani Warmington.

- Wątpię. Wygląda na mocno osadzoną. Prawdę mówiąc myślę, że to wychodnia skalnego podłoża. - Popatrzył przed siebie, za wodospad. - A tam w dole woda ma dobry odpływ. Nie cofnie się pod górę i nie zaleje nas. Musimy tylko siedzieć tu i czekać, aż to wszystko minie.

Julie wsłuchiwała się w coraz głośniejszy świst wiatru nad głową.

- Brzmi to tak, jakby cała wyspa miała się rozpaść. Rawsthorne cicho chrząknął.

- Nie rozpadła się w 1910 roku, nie widzę powodu, żeby miało się to stać teraz.

Julie wyciągnęła nogi spod wodospadu i podkurczyła je.

- Mamy teraz dość wody, aż za dużo. - Zamilkła na chwilę. - Zastanawiam się, jak ci wszyscy ludzie wydostali się w trakcie bitwy z St. Pierre.

- Przypuszczam, że Favel miał z tym coś wspólnego - odparł z namysłem Rawsthorne. - Musiał mieć, bo są w dolinie Negrito, a tamtędy prowadzi jego szlak komunikacyjny w góry.

- Sądzi pan, że David Wyatt powiedział mu o huraganie?

- Mam nadzieję. Znaczyliby to, że ów młody człowiek żyje. Favel mógł mieć jednak inne źródła informacji. Może nadeszła wiadomość z bazy, czy coś w tym rodzaju.

- Tak - powiedziała powoli, pogrążając się w milczeniu. Deszcz padał coraz

intensywniej i spływający wąwozem potok zamienił się na szczycie wielkiej skały w rwącą kipieli. Wiatr przybrał na sile i wtedy właśnie jego gwałtowne poddmuchy zaczęły zalewać grotę wodą, pozbawiając ich tchu i zmuszając do chwytania się skał w obawie przed naporem żywiołu. Pani Warmington była bardzo przerażona i chciała szukać bezpieczniejszego miejsca, ale Julie nie pozwoliła jej nigdzie iść.

Rawsthorne nie czuł się najlepiej. W ciągu dwóch minionych dni zbyt wiele przeżył i jego serce, nie funkcjonujące zbyt dobrze nawet w normalnych warunkach, zaczynało szwankować. Wątpił, czy zdołałby kontynuować tę ich ucieczkę z wybrzeża i dziękował losowi za możliwość wytchnienia, choćby w tak nieprzyjemnych warunkach. Pomyślał o Julie. Dobra z niej dziewczyna. W razie potrzeby była silna i twarda, nie bała się podejmować ryzyka. Zauważył jej zainteresowanie młodym Wyattem i miał nadzieję, że oboje przetrwają tę straszną noc, aby znowu się spotkać i normalnie żyć. Nie będą już jednak nigdy tymi samymi ludźmi - zmieni się ich stosunek do świata, a zwłaszcza do siebie nawzajem. Miał nadzieję, że potrafią się odnaleźć.

Co się zaś tyczyło tej przeklętej baby, pani Warmington, z jej wiecznym, nieznośnym zrzędzeniem, nie przejąłby się, gdyby woda porwała ją z grotę. Byłoby przynajmniej więcej miejsca i pozbyłby się zmory, która wysysała z nich soki. Nagle runęła na niego potężna ściana wody. Chwył ustami powietrze i myślał już tylko o tym, by przeżyć.

I tak mijała noc, długie godziny strachu w tym piekielku, wśród szalejącego wichru i zacinających strug wody. Przed świtem wiatr jednak ustał i grotę, nie zalewana już co kilka minut wodą, zaczęła wysychać. Julie rozprostowała zeszytywniałe nogi i pomyślała, że, o dziwo, wyjdą z tego cało. Obudziła Rawsthorne'a, który stwierdził:

- Tak, wiatr słabnie. Sądzę, że wszystko będzie dobrze.

- Mój Boże, z radością sobie stąd pójdę - powiedziała Julie. - Nie wiem tylko, czy potrafię utrzymać się na nogach. Sądząc z tego, jak się czuję, będzie mi potrzebna od nowa nauka chodzenia.

- Czy możemy już wyjść? - zapytała pani Warmington, po raz pierwszy od dłuższego czasu okazując ożywienie.

- Na razie nie. Zaczekamy, aż się bardziej rozwidni. Do tego czasu wiatr powinien jeszcze osłabnąć. - Rawsthorne zgiął ramiona i wyjrzał na zewnątrz. - Mam wrażenie, że byłoby łatwo się tam teraz utopić, zwłaszcza błądząc w ciemnościach.

Pozostali więc w swej ciasnej kryjówce, dopóki z mroku nie wyłoniły się ściany wąwozu i dopiero wtedy wyszli na spotkanie wspaniałemu światłu dnia: najpierw Julie, przeskakując ostrożnie przez zasłone spływającej szybko wody, potem pani Warmington, a na końcu Rawsthorne, który poruszał się wolno i z trudem, jakby miał nadwerężone stawy. Włosy Julie powiewały na hulającym po wąwozie wietrze. Wiał zdecydowanie mocno, ale nie był to huragan.

Przebrnęła po kolana w wodzie przez rwącą Strugę i dotarłszy do brzegu odwróciła się, aby podać rękę pani Warmington, która zapiszczała i poślizgnęła się.

- Mój but! - krzyknęła. - Zgubiłam but!

Był on już jednak daleko. Bystry potok uniósł go szybko w głąb doliny.

- Nic nie szkodzi - stwierdziła Julie. - To właściwie bez znaczenia. Może nie będziemy musieli iść już daleko.

Rawsthorne przyłączył się do nich i rzekł:

- Ciekaw jestem, co dzieje się w dolinie. Myślę, że należałoby to sprawdzić.

Julie spojrzała na niego.

- Jeśli wdrapiemy się na zbocze, powinniśmy mieć dobry widok. Chyba możemy pójść tamtędy.

Ziemia zamieniła się w gęsty szlam, nie było więc łatwo wydostać się z wąwozu. Grzęzli i potykali się na śliskiej powierzchni, w końcu jednak dotarli na szczyt, czepiając się zwisających gałęzi i mocno zakorzenionych kępek trawy. Wszystko, czego się chwyтали, aby podciągnąć się w górę, było solidnie osadzone. Przetrwały tylko silne okazy - słabe zniszczył huragan.

Nawet; kamieniste zbocze uległo dewastacji. Większość niskich, sękatych drzew świeciła bielą w miejscach, gdzie wiatr odłamał im gałęzie, a świeże blizny w czerwonej ziemi wskazywały, gdzie wyrwał drzewa z korzeniami. Prawie żadne nie miało liści. Całe zbocze zostało oczyszczone ze wszystkiego, co dało się ruszyć z miejsca.

Rawsthorne spojrzał w dolinę.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Proszę popatrzeć na rzekę, na Gran Negrito!

Całe dno doliny pokrywało ołowiane lustro wody. Trafiały tam - opady z większości południowych stoków Massif des Saints i wezbrane górskie potoki napotkały na swej drodze falę przyływu, napierającą od strony ujścia rzeki w Zatoce Santego. Rzeka wystąpiła z brzegów, zalewając bogate plantacje, niszcząc drogi i mosty, zatapiając gospodarstwa. Nawet z miejsca, gdzie stali - choć znajdowali się wysoko nad doliną - pomimo wiejącego jeszcze wiatru, słyszeli szmerzącą wodę.

Pani Warmington była błąda jak ściana.

- Czy nikt tam nie ocalał?

- Ludzie, których widzieliśmy, wspinali się po zboczach - stwierdził Rawsthorne. - Nie ma powodu przypuszczać, że zalała ich powódź.

- Zejdźmy na dół i sprawdźmy - zaproponowała Julie.

- Nie! - sprzeciwił się stanowczo Rawsthorne. Julie spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Sądzę, że huragan jeszcze się nie skończył.

- Ależ to bzdura! - powiedziała pani Warmington. - Wiatr coraz bardziej słabnie.

Oczywiście, że już po wszystkim.

- Nie rozumie pani - rzekł Rawsthorne. - Moim zdaniem jesteśmy w oku cyklonu.

Czeka nas jeszcze jego druga połowa.

- To znaczy, że mamy znowu przez to wszystko przechodzić? - zapytała z przerażeniem Julie.

Rawsthorne uśmiechnął się ponuro.

- Obawiam się, że będziemy musieli.

- Ale nie jest pan tego pewny - stwierdziła pani Warmington. - Prawda, że nie?

- Niezupełnie, ale uważam, że na razie nie powinniśmy ryzykować. Wszystko zależy od tego, czy trafiliśmy na centrum huraganu, czy przeszedł tylko bokiem. W tym pierwszym przypadku znajdujemy się teraz w oku cyklonu i czeka nas jeszcze druga połowa burzy. Za mało znam się jednak na meteorologii. Wyatt powiedziałby nam więcej, gdyby tu był.

- Ale go nie ma - skwitowała pani Warmington. - Wylądował w więzieniu. -

Pokuśtykała przez wzgórze i spojrzała w dół. - Tam są ludzie. Widzę, jak się poruszają.

Rawsthorne i Julie podeszli tam, gdzie stała i zobaczyli na położonych niżej zboczach ludzkie mrowie. Rawsthorne podrapał się po brodzie.

- W pewnym sensie to dobrze, że dolina jest pod wodą - stwierdził. - Nie mogą zejść z powrotem na dół. Mógłby ich tam zastać ponowny atak huraganu.

- No cóż, ja schodzę - zdecydowała nieoczekiwanie pani Warmington. - Mam już dość waszego ciągłego rozkazywania. Poza tym jestem głodna!

- Niech pani nie będzie idiotką - powiedziała Julie. - Pan Rawsthorne lepiej się na tym zna. Tu jest pani bezpieczniejsza.

- Idę - powtórzyła pani Warmington, usuwając się Julie z zasięgu ręki. - I nie zatrzyma mnie pani. - Podbródek drżał jej z głupiego uporu. - Moim zdaniem to bzdura, że czeka nas burza podobna do tej, którą właśnie przeszliśmy. Tak się nigdy nie dzieje. Tam na dole będzie jedzenie, a ja umieram z głodu.

Odsunęła się, gdy Julie zrobiła krok do przodu.

- O wszystko mnie pani obwinia. Wiem o tym. Ciągłe się pani nade mną znęca i bije mnie. Nie robiłaby pani tego, gdybym była od pani silniejsza. To wstyd, żeby bić starszą kobietę. Idę sobie. Zejdę na dół, do tamtych ludzi.

Odskokzyła, gdy Julie próbowała ją pochwycić i zaczęła schodzić chwiejnym krokiem po zboczu, kuśtykając nieporadnie z powodu braku jednego buta. Rawsthorne przywołał Julie z powrotem.



- Och, niech ta przeklęta baba sobie pójdzie. Przez cały czas była dla nas ciężarem. Cieszę się, że nie będę musiał już na nią patrzeć.

Julie zatrzymała się w pół kroku i ruszyła powoli z powrotem pod górę.

- Myśli pan, że nic jej się nie stanie? - zapytała niepewnie.

- Cholernie mało mnie to obchodzi - odparł Rawsthorne znużonym głosem. - Ciągle sprawiała nam tylko kłopoty i nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy narażać życie, żeby ją ratować. Zrobiliśmy dla niej wszystko, co było w naszej mocy. Więcej już się nie da.

- Przysiadł na skale, chowając twarz w dłoniach. - Boże, ależ jestem wykończony!

Julie pochyliła się nad nim.

- Dobrze się pan czuje?

Podniósł głowę, uśmiechając się do niej blade.

- Nic mi nie jest, moja droga. Wszystko byłoby w porządku, gdybym nie miał tylu lat.

W moim wieku przesiadywanie w mokrym ubraniu nie wychodzi człowiekowi na zdrowie. - Spojrzał w dół zbocza. - Już jej nie widać. Poza tym poszła w niewłaściwą stronę.

- Co takiego?

Rawsthorne uśmiechnął się i pomachał ręką w kierunku St. Pierre.

- Droga do St. Michel jest tam. Wychodzi z St. Pierre i biegnie wzdłuż górnych zboczy doliny Negrito, a potem pnie się wyżej i łączy z szosą nad morzem. Gdybyśmy się stąd ruszyli, proponowałbym iść właśnie tam. Nie przypuszczam, by ta droga została zalana.

- Ale pańskim zdaniem powinniśmy tu zostać - stwierdziła beznamytnie Julie.

- Właśnie. Obawiam się, że to jeszcze nie koniec huraganu. Znaleźliśmy tu bezpieczną kryjówkę, zostanemy w niej lepiej, dopóki nie nabierzemy całkowitej pewności. Jeżeli wiatr nie nasili się w ciągu najbliższych trzech, czterech godzin, będzie można spokojnie ruszać w drogę.

- W porządku. Zostaniemy tu - powiedziała Julie. Odeszła na bok i spojrzała w dół wąwozu na gładką tafłę wody, która spływała z ogromnej skały. Grota była całkowicie ukryta za tą wodną zasłoną. Roześmiała się i wróciła do Rawsthorne'a.

- Jedno mi się podoba. Teraz, kiedy poszedł sobie ten gruby babsztyl, będziemy mieli o wiele więcej miejsca.

## II

Wyatt stał na szczycie górującego nad St. Pierre wzgórza i spoglądał w dół na miasto. Wody cofnęły się od chwili, gdy zobaczył w świetle błyskawicy przerażający widok, jednak połowa metropolii była nadal zatopiona. Szczytowa fala pozostawiła ponure ślady zniszczeń, a niesione z przypływem szczątki zrujnowanego miasta znaczyły w połowie wysokości zbocza poziom najwyższego przyboru wody. Stożące w dole zabudowania, od których zaledwie kilka godzin wcześniej rozpoczęło się natarcie, zupełnie zniknęły, podobnie jak, rozległe połączone nieco dalej slumsów. Ocalało tylko centrum miasta: kilka nowoczesnych wieżowców z betonu i stali oraz stare kamienne budynki, które przetrwały już niejeden huragan.

Zniknęła też widoczna z daleka wieża radarów, pozwalająca określić położenie bazy na Cap Sarrat. Wiatr ściał ją tak, jak sierp ścina żdźbło trawy. Sama baza leżała zbyt nisko i w za dużej odległości, by można było stwierdzić, co jeszcze uległo tam zniszczeniu, Wyatt dostrzegł jednak lśniąca lustro wody w miejscu, gdzie nie powinna się ona znajdować.

Po armii rządowej nie było ani śladu. W zrujnowanym mieście nic się nie poruszało.

Causton i Dawson weszli na wzgórze za Wyattem i stanęli obok niego.

- Ale burdel! - stwierdził Causton, wydymając wymownie usta. - Dobrze, że udało nam się wyprowadzić stamtąd ludność. - Wetknął rękę do kieszeni i wyciągnął zapalniczkę oraz zamkniętą paczkę kruszących się papierosów. - Stwierdzam z dumą, że zawsze jestem przygotowany na wszelkie sytuacje. Oto wodoodporna zapalniczka, która działa niezawodnie w każdych warunkach. - Pstryknął nią i w górę wystrzelił równy płomień. - Ale popatrzcie na te cholerne papierosy.

Dawson spojrzął na płomień, palący się równomiernie przy bezwietrznej pogodzie.

- Czy naprawdę jesteśmy w centrum huraganu?

Wyatt potwierdził skinieniem głowy.

- W samym oku cyklonu. Za jakąś godzinę zerwie się znów nawałnica. Nie przypuszczam jednak, żeby Mabel przyniosła dalsze obfite opady, chyba że ta dziwka postanowi nie ruszać się z miejsca. Czasem im się to zdarza.

- Proszę nas już bardziej nie przerażać - błagał Causton. - Wystarczy świadomość, że mamy przed sobą kolejną porcję kłopotów.

Dawson potarł nieporadnie ucho obandażowaną ręką.

- Cholernie mnie boli.

- To ciekawe - powiedział Causton. - Mnie też.

- Spadło ciśnienie - wyjaśnił Wyatt. - Trzeba zatkać nos i dmuchnąć, żeby wyróżnić jego poziom w zatokach. - Skinął głową w kierunku zatopionego miasta. - Właśnie niskie ciśnienie zatrzymuje tam tę całą wodę.

Gdy Causton i Dawson prychali, wydając nieprzyjemne odgłosy, Wyatt spoglądał w niebo. Była tam warstwa chmur, nie potrafił jednak określić, na ile gruba. Słyszał, że w oku cyklonu można czasem zobaczyć błękitne niebo, sam jednak nigdy czegoś takiego nie widział, ani nie spotkał nikogo, kto zaobserwowałby podobne zjawisko, był więc skłonny uważać, że to jeszcze jedna z bajek, tak często wymyślanych w meteorologicznym światku. Dotknąwszy rękawa koszuli stwierdził, że jest prawie suchy.

- Niskie ciśnienie - podsumował. - I mała wilgotność. Szybko panowie wyschniecie. Proszę spojrzeć. - Wskazał głową miejsce, gdzie ziemia zaczynała delikatnie parować.

Causton obserwował grupę mężczyzn, schodzących po zboczu w kierunku St. Pierre.

- Czy Favel na pewno wie, że huragan jeszcze się nie skończył? - zapytał. - Ci chłopcy będą w opałach, jeżeli szybko tu nie wrócą.

- Wie o wszystkim - uspokoił go Wyatt. - Rozmawialiśmy na ten temat. Chodźmy się z nim zobaczyć. Gdzie jest ta jego kwatera?

- Tuż przy drodze, niedaleko stąd. - Causton nagle zarechotał. - Czy jesteśmy odpowiednio ubrani, żeby iść z wizytą?

Wyatt spojrzął na kolegów. Byli oblepieni od stóp do głów gęstym błotem.

Popatrzawszy na siebie stwierdził, że wygląda tak samo.

- Wątpię, czy Favel będzie w lepszej formie - zauważył. - Chodźmy.

Zawrócili, przechodząc obok swojego wykopu. Nagle Causton stanął jak wryty.

- Rany boskie! - wyszeptał. - Spójrzcie tylko!

W sąsiednim dole leżał człowiek z wyrzuconym w górę ramieniem. Wierzch jego dłoni, który powinien być intensywnie brązowy, przybrał brudnoszarą barwę, jakby z ręki odpłynęła cała krew. Causton zatrzymał się jednak z innego powodu: trup nie miał głowy. Nie było jej też nigdzie w pobliżu.

- Chyba wiem, jak to się stało - oznajmił ponuro Wyatt. - W czasie najsilniejszego wiatru coś przeleciało w powietrzu. Myślę, że to był zardzewiały kawałek blachy. Uderzył w ziemię właśnie w tym miejscu, a potem poszybował dalej.

- Ale gdzie jest ta cholerna głowa? - zapytał podenerwowany Dawson.

- Pewnie też porwał ją wiatr. Wiał z wyjątkową siłą.

Dawson odszedł na bok. Wyglądało na to, że zbiera mu się na mdłości. Causton, z trudem łapiąc oddech, stwierdził:

- To... to się mogło przydarzyć każdemu z nas.

- Mogło - zgodził się Wyatt. - Ale się nie przydarzyło. Ruszajmy. Nie ulegał emocjom. Widok nagłej śmierci nie robił na nim wrażenia i oglądana scena nie poruszyła go. Był już zbyt często świadkiem zabijania, widział zbyt wielu ludzi zastrzelonych lub rozerwanych na strzępy. Sam także pozbawił życia człowieka. Z pewnością Roseau zasługiwał na śmierć bardziej niż ktokolwiek inny, ale Wyatt był wytworem swego środowiska i zabijanie nie przychodziło mu łatwo. Widok czyjejś przypadkowej śmierci pod - czas huraganu nic dla niego nie znaczył i pozostał na nią nieczuły, gdyż nie dawała się porównać z zagładą całej

armii ludzi - również zabitych przez huragan, tyle że nie przypadkowo.

Kwatera główna: szereg wykopanych w ziemi dziur, pośpiech oficerów, rozszerzający się krąg działań, którymi kierował emanujący spokojem Favel.

Wyatt nie mógł się od razu do niego dostać. Nie przejmował się tym, bo miał już na temat Favela wyrobione zdanie i wiedział, że tamten o nim nie zapomni i przyjmie go w stosownym czasie. Pewne sprawy miały pierwszeństwo i Wyatt nie był najważniejszy. Kręcił się razem z Dawsonem po obrzeżach ruchliwego obozowiska i obserwował, co się dzieje. Coraz więcej żołnierzy wysyłano w kierunku doliny Negrito. Wyatt miał nadzieję, że Favel wie, co robi.

Causton gdzieś zniknął. Zapewne zajęty był pracą, choć Wyatt nie potrafił sobie wyobrazić, jaką jeszcze większą katastrofę mógł znaleźć dla swych żądnych sensacji czytelników. Dawson wyraźnie się niecierpliwił.

- Nie rozumiem, po co mamy tu czekać - gderał. - Równie dobrze moglibyśmy siedzieć w wykopie.

- Nie chciałbym, żeby Favel popełnił teraz błąd - stwierdził Wyatt. - Zostanę tutaj. Jeśli pan chce, proszę wracać. Później do pana przyjdę.

Dawson wzruszył ramionami.

- Wszystko jedno, czy jesteśmy tu, czy gdzie indziej - stwierdził, nie ruszając się z miejsca.

Po chwili podszedł do Wyatta wysoki Murzyn. Przyjrzawszy mu się bliżej Wyatt zauważył ze zdziwieniem, że to Manning. Twarz miał umazaną pokrywającym wszystko błotem.

- Julio chciałby się z panem zobaczyć - powiedział, po czym na jego twarzy pojawił się ponury uśmiech. - Trzeba przyznać, że miał pan nosa z tym huraganem.

- To jeszcze nie koniec - stwierdził krótko Wyatt.

Manning skinął głową.

- Wiemy o tym. Julio cholernie dokładnie wszystko planuje, żeby uratować co się da z tego rumowiska. Właśnie w tej sprawie chce się z panem widzieć. Myślę, że po spotkaniu zdobędę dla pana coś do jedzenia. Potem nie dostanie pan już pewnie niczego, dopóki nie pozbędziemy się tej przekłętej Mabel.

Favel powitał Wyatta znajomym grymasem skrzywionych w półuśmiechu ust. O dziwo, znalazł czas, żeby się umyć i wyglądał elegancko w czystej koszuli, chociaż jego drelichowe spodnie były sztywne od błota.

- Nie przesadził pan, panie Wyatt - stwierdził. - Ten huragan odpowiadał dokładnie pańskim ponurym prognozom.

- I jeszcze się nie skończył - rzekł bez ogródek Wyatt. - Co z tymi żołnierzami, których posłał pan nad Negrito? Jeśli nie będą ostrożni, wpadną w pułapkę.

Favel machnął ręką.

- To świadome ryzyko. Stale muszę podejmować takie decyzje. Rzućmy okiem na mapę.

Na tej właśnie mapie Wyatt zaznaczał bezpieczne jego zdaniem obszary w górze rzeki. Papier był rozmoknięty i poplamiony błotem, a wykreślone flamastrem linie rozmyły się i zamazały.

- Wysłano kurierów, żeby zgłosili się tutaj, kiedy huragan na chwilę ustanie i od pół godziny się u mnie zjawiają. Jest ich mniej, niżbym sobie życzył, ale wystarczy, by zorientować się z grubsza w sytuacji.

Jego ręka wędrowała po mapie.

- Miał pan rację, radząc mi wyprowadzić ludzi z dna doliny. Jest cała pod wodą, od ujścia rzeki aż do tego miejsca. - Zakreślił szybko ołówkiem odcinek doliny. - To jakieś trzysta kilometrów. Rzeka Gran Negrito wystąpiła z brzegów, a z gór wciąż jeszcze spływa woda, zasilając ją, i P'tit Negrito. Zawaliły się mosty i drogi są zalane.

- Kiepsko to wygląda - stwierdził Wyatt.

- Owszem - zgodził się Favel. - Ta droga, biegnąca skrótem nad Negrito do St. Michel,

jest w niezłym stanie. To teraz jedyny przejezdny szlak do St. Pierre. Ponieważ leży na zboczu doliny, nie dotarła tam powódź. W paru miejscach blokują przejazd zwalone drzewa, a trzy znajdujące się na trasie mosty nie są zbyt bezpieczne. Moi ludzie wszystko porządkują i sprawdzają te mosty. Inni kopią doły, żeby zabezpieczyć się przed powtórny atakiem huraganu. Kiedy będzie po wszystkim, wyjdą z ukrycia i dokonają przy mostach ostatnich niezbędnych napraw.

Wyatt pokiwał głową. Brzmiało to rozsądnie.

- Panie Wyatt, jak długo St. Pierre pozostanie pod wodą?

Wyatt spojrział na mapę.

- Co za linię pan tu zaznaczył?

- To aktualny zasięg powodzi; na ile jesteśmy w stanie go określić.

- Poziom sześciu metrów. Możemy tę linię przedłużyć. - Wziął do ręki ołówek i szybkim ruchem narysował na mapie łuk. - Powódź objęła połowę miasta, sporą część Cap Sarrat, wszystkie nisko położone tereny, łącznie z waszym lotniskiem, ale na wschód stąd już niewiele więcej, bo za cyplem są góry. Cały ten obszar jest pod wodą ze względu na niski poziom ciśnienia, ale gdy tylko Mabel przemieści się dalej, wszystko szybko wróci do normy.

- Więc możemy wyruszyć do St. Pierre zaraz po przejściu huraganu.

- Tak, nic już wam nie przeszkodzi.

- A co z powodzią w dolinie Negrito? Po jakim czasie woda zacznie opadać?

Wyatt zawahał się.

- To osobna sprawa. Rzeka cofnęła się od ujścia i nadal jest zablokowana przez falę przypływu tutaj, w Zatoce Santego. Co gorsza, cała woda spływająca jeszcze z gór będzie musiała dotrzeć do morza korytem rzeki. To potrwa bardzo długo, nie potrafiłbym jednak powiedzieć panu dokładnie, ile czasu.

- Tak myślałem - stwierdził Favel. - Moim zdaniem zajmie to co najmniej tydzień. - Wykreślił palcem linię na mapie. - Wysłałem jeden z pułków na drogę do St. Michel. Mają rozkaz zająć stanowiska wzdłuż zbocza nad doliną Negrito i okopać się. Kiedy przejdzie huragan, zejść na dół i poprowadzą ludzi przez góry na drogę do St. Michel, by ominąć w ten sposób zatopione tereny. - Podniósł wzrok znad mapy. - Inni żołnierze z tego pułku pójdą dalej w kierunku St. Michel i wzdłuż wybrzeża. Oprócz St. Pierre są na San Fernandez jeszcze inne miasta. Posyłanie tam tych ludzi teraz jest ryzykowne, ale pozwoli zaoszczędzić dwie godziny, a w ciągu takiego czasu, panie Wyatt, można uratować niejednego człowieka. - Pokręcił głową. - Będzie nam potrzebny sprzęt medyczny, koce, ubrania; wszystko, co jest niezbędne, aby utrzymać ludzi przy życiu.

- Amerykanie tu wrócą - zapewnił Wyatt. - Komandor Brooks na pewno poprosił już przez radio o pomoc. Założę się, że w Miami ładują właśnie sprzęt do samolotów ratowniczych.

- Mam nadzieję - stwierdził Favel. - Sądzi pan, że można będzie korzystać z lotnisk?

- Trudno powiedzieć. Moim zdaniem wasz własny port lotniczy do niczego się nie nada, ale lotnisko wojskowe w bazie jest przystosowane do trudnych warunków atmosferycznych, więc może nic mu się nie stało.

- Każę to sprawdzić, jak tylko skończy się huragan - powiedział Favel. - Dziękuję, panie Wyatt. Bardzo nam pan pomógł. Ile jest jeszcze czasu?

Wyatt popatrzył w szare niebo, a potem spojrział na zegarek. Ledwo wyczuwalny podmuch wiatru musnął mu policzek.

- Mamy niecałą godzinę - odparł. - Powiedzmy: trzy kwadransy, a potem znowu zacznie wiać. Przypuszczam, że tym razem niewiele popada.

- To drobna pocięcha - stwierdził Favel, łagodnie się uśmiechając.

Wyatt nieco się cofnął i Manning wcisnął mu w rękę otwartą konserwę.

- Niech pan je, póki można.

- Dzięki. - Wyatt rozejrzał się wokół. - Nie widzę nigdzie pańskiego kumpla, Fullera. Na twarzy Manninga pojawił się bolesny skurcz.

- On nie żyje - oznajmił półgłosem. - Został ranny w trakcie ostatniego natarcia i zmarł podczas huraganu.

Wyatt nie miał pojęcia, co powiedzieć. Formułka „przykro mi” wydała mu się mało stosowna, więc po prostu milczał.

- To był przyzwoity facet - stwierdził Manning. - Niezbyt bystry, ale nie zawodził w potrzebie. Można powiedzieć, że zginął przeze mnie. Sam go w to wszystko wciągnąłem.

Wyattowi przemknęło przez myśl, że nie on jeden ma poczucie winy. Nie przyniosło mu to ulgi, ale pomogło okazać więcej zrozumienia.

- Jak do tego doszło? - zapytał.

- Byliśmy w Kongo - wyjaśnił Manning. - Pracowaliśmy dla Czombego; no wie pan, jako najemnicy. Kontrakt właśnie się kończył, kiedy dostałem robotę tutaj. Zapytałem Fullera, czy chciałby ze mną pojechać. Zarobki były tak cholernie wysokie, że przystał na to z ochotą. Teraz forsa na niewiele mu się przyda. - Wzruszył ramionami. - Ale takie są reguły gry.

- Co zamierza pan robić?

- Tutaj nie ma już dla mnie zajęcia - stwierdził Manning. - Julio prosił, żebym został, ale nie byłoby mu chyba na rękę, gdyby jakiś biały odgrywał istotniejszą rolę w tym, co będzie się teraz działo. Podobno w Jemenie są wolne miejsca pracy; rojaliści potrzebują ludzi. Może tam pojedę.

Wyatt przyglądał się temu dobrze zbudowanemu mężczyźnie, który mówił o pracy, mając na myśli walkę.

- Na litość boską - powiedział. - Przecież mógłby pan zarabiać na życie w łatwiejszy sposób?

- Chyba mnie pan jednak nie rozumiał - odparł spokojnie Manning. - Oczywiście, dostaję pieniądze za to, że walczę, tak jak większość żołnierzy, ale sam wybieram, po czyjej chcę być stronie. Myśli pan, że walczyłbym dla Serruriera?

Wyatt zaczął go przeproszać i był zadowolony, gdy przerwało mu nadejście Dawsona, który oznajmił z podnieceniem:

- Hej, Dave, myślę, że powinienem panu o czymś powiedzieć. Jeden z tych facetów schodził właśnie doliną Negrito. Twierdzi, że w górach jest jakaś Amerykanka. Tak przynajmniej rozumiałem. Mówią tu idiotycznym językiem.

Wyatt gwałtownie się odwrócił.

- Co to za człowiek?

- Tamten facet. Ten, który skończył właśnie rozmawiać z Favelem.

Wyatt natychmiast się przy nim znalazł i chwycił go za rękę.

- Widział pan nad Negrito jakąś Amerykankę? - zapytał w języku wyspiarzy.

Mężczyzna odwrócił ku niemu zmęczoną twarz i pokręcił przecząco głową.

- Mówiono mi o niej. Sam jej nie widziałem.

- Gdzie to było?

- Za drogą do St. Michel, w dolinie.

Wyatt gwałtownie nim potrząsnął.

- Może mi pan to pokazać na mapie?

Żołnierz ze znużeniem skinął głową i pozwolił Wyattowi, by go poprowadził.

Pochyliwszy się nad mapą położył na niej czarny palec.

- To było mniej więcej tutaj.

Wyatt spojrział obojętnie na mapę i ogarnęło go przygnębienie. Julie nie mogła znajdować się w tamtym miejscu, tak daleko w głębi doliny. Szła z całą grupą wzdłuż nadmorskiej szosy.

- Czy ta kobieta była stara, czy młoda? - zapytał. - Jakie miała włosy? Jakiego była wzrostu?

Żołnierz mrugał oczami, bezmyślnie mu się przyglądając.

- Chwileczkę, Dave - wtrącił się Dawson. - Ten facet jest wykończony, ledwo trzyma się na nogach. - Wcisnął mężczyźnie do ręki butelkę. - Łyknij sobie, stary. To cię obudzi.

Kiedy mężczyzna pił z butelki rum, Dawson popatrzył na mapę.

- Jeśli ten facet był tam, gdzie mówi, przeszedł cholernie szybko kawał drogi.

- To nie może być Julie - stwierdził Wyatt przygnębionym głosem. - W tej notatce, którą zostawiła w hotelu Imperiale, była mowa, że pojedą drogą wzdłuż morza.

- Może tego nie zrobili - powiedział Dawson. - Może nie mogli. Niech pan nie zapomina, że toczyła się wtedy wojna. - Przyjrzał się mapie. - A gdyby pojechali tam, gdzie mieli zamiar, wpadliby na wycofującą się armię Rocambeau. Jeśli Rawsthorne ma choć trochę oleju w głowie, powinien był szybko ich stamtąd wyprowadzić. Niech pan posłucha, Dave. Posuwając się w prostej linii wzdłuż gór mogli dotrzeć do Negrito. Byłaby to cholernie uciążliwa wędrówka, ale istnieje taka możliwość.

Wyatt zwrócił się raz jeszcze do żołnierza, ponownie zadając mu pytania, ale nic to nie dało. Twierdził, że nie widział osobiście tej kobiety, nie orientował się, ile ma lat, nie znał koloru jej włosów - wiedział tylko tyle, że w górze doliny Negrito widziano jakąś Amerykankę. Wyatt zdawał sobie sprawę, że to nic nie znaczy. Mogła nie być nawet Amerykanką. Dla tych ludzi wszyscy biali są Amerykanami.

- To mógł być ktokolwiek, ale nie mogę ryzykować - stwierdził znużonym głosem. - Idę w góry.

- Hej! - krzyknął zaniepokojony Dawson i próbował go przytrzymać, ale uniemożliwiły mu to okaleczone dłonie. Wyatt uwolnił się z jego rąk i zaczął biec w kierunku drogi.

- Co się dzieje? - zapytał Manning, podchodząc od tyłu do Dawsona. Ten odparł zdławionym głosem:

- Za pół godziny rozpęta się tu istne piekło, a ten uparciuch wybiera się nad Negrito. Uważa, że jest tam jego dziewczyna.

- Panna Marlowe?

Dawson naprawdę troszczył się o Wyatta.

- Właśnie ona. Zobaczymy się później. Ktoś musi przypilnować tego szaleńca.

Zaczął biec za Wyattem. Manning też za nim popędził i gdy go dogonili, powiedział:

- Głupio postępuję, ale chyba znam sposób, żeby dotarł pan szybciej w góry. Proszę pójść ze mną.

Wyatt natychmiast zawrócił. Spojrzał na Manninga, a potem podążył jego śladem, gdy ten prowadził ich z powrotem do miejsca, gdzie stała na zboczu niska budowla z kamienia.

- Tutaj schowałem się w czasie huraganu - wyjaśnił Manning. - Wewnątrz jest mój land-rover. Może go pan zabrać.

Wyatt wszedł do środka, a Dawson zapytał:

- Co to za budowla?

- Stara kazamata. Znajdowały się w niej działa. Ma chyba z trzysta lat. Dawniej stanowiła część fortyfikacji portu. Favel nie chciał tu przyjść - powiedział, że jego ludzie nie powinni być narażeni na niebezpieczeństwo bardziej niż on. Ale ja musiałem zająć się Fullerem.

Usłyszeli ryk silnika, gdy Wyatt włączył stacyjkę i zaczął cofać land-rovera. Kiedy Dawson wskoczył do wozu, Wyatt stwierdził:

- Pan nie ma po co jechać.

Dawson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ja też jestem stuknięty. Muszę się panem opiekować. Przypilnować, żeby pan wrócił bezpiecznie do czubków.

Wyatt wzruszył ramionami, ostro wrzucając bieg.

- Niech pan się postara go nie rozwalić! - krzyknął Manning. - Należy do mnie, nie do firmy!

Pomachał ręką, gdy land-rover przemknął obok, ślizgając się kołami w błocie. Popatrzył za nim zamyślony, a potem wrócił do dowództwa, wiedząc, że Favel będzie go potrzebował.

Kiedy dotarli na drogę, jazda stała się łatwiejsza.

- Dokąd właściwie jedziemy?- zapytał Dawson.

Wyatt dociskał pedał gazu i land-rover podskakiwał na wybojach.

- Pojedziemy jak się da najwyżej nad dolinę Negrito - odparł. - Do miejsca, gdzie droga skręca w dół w kierunku wybrzeża i St. Michel. - Właśnie tam podziwiali z Julie panoramę i pili rozcieńczony „poncz plantatora”. - Mam nadzieję, że mosty są całe.

Dawson próbował się przytrzymać, gdy land-rover wszedł ostro w zakręt.

- Czy to daleko stąd?

- Jeżeli utrzymamy tempo, powinniśmy dojechać tam za pół godziny. Favel mówił, że przejazd blokują zwalone drzewa, ale mieli je usunąć.

Zaczęli piąć się pod górę i Dawson spojrział w lewo.

- Proszę popatrzeć na tę cholerną rzekę. Wygląda jak morze. Cała dolina jest pod wodą.

Wyatt koncentrował uwagę na drodze.

- To słona woda, albo przynajmniej słonawa. Nie sprzyja uprawom.

Nie spojrział nawet w bok. Zajmował się wyłącznie prowadzeniem wozu. Jechał zbyt szybko, wzięwszy pod uwagę, że droga pełna była serpentyn i stromych podjazdów. Wchodził zwykle w zakręty szerokim łukiem. Było mało prawdopodobne, by coś jechało z naprzeciwka, zawsze istniała jednak taka możliwość. Gotów był ryzykować, by nie zmniejszać prędkości.

Dawson odwrócił się, spoglądając z niepokojem na morze. Było zbyt daleko, by mógł dostrzec fale, zanim jednak land-rover pokonał ślizgiem kolejny zakręt, zobaczył przez moment odległy horyzont. Kłębiły się tam chmury - ich wielką, czarną masę przecinały błyskawice. Spojrział w bok na skupioną twarz Wyatta, a potem w górę, na mokrą drogę, która wiała się i pieła po południowych zboczach doliny Negrito. Czekala ich ciężka przeprawa.

Plantacje po obu stronach były zrujnowane. Delikatne bananowce leżały na ziemi, starte na miazgę przez atak huraganu. Poszarpane liście nielicznych stojących jeszcze drzew powiewały jak samotne sztandary, należało jednak wątpić, czy przetrwają kilka najbliższych godzin. Trzcina cukrowa była bardziej wytrzymała. Sztywne łodygi nadal stały prosto, z hałasem uderzając o siebie na wietrze, ale obdarte całkowicie z górnych, zielonych liści rośliny były skazane na wyginięcie.

Minęli kolejny zakręt i natknęli się na maszerujących powoli drogą żołnierzy. Wyatt zjechał na bok, aby nikogo nie potrącić, zmniejszył prędkości zaklął, że musi zmienić bieg. Żołnierze pomachali w kierunku mijającego ich samochodu i Dawson odpowiedział tym samym gestem. Miał nadzieję, że wkrótce gdzieś się ukryją - nie była to stosowna pora, żeby znajdować się na drodze.

Niebawem dotarli do pierwszego mostu, wiszącego nad wyschniętym zwykle korytem, w którym teraz grzmiał rwący potok. Spieniony nurt wypełniał wąską rozpadlinę na zboczu wzgórza, przepływając pod mostem i spadając kaskadą z pionowego niemal urwiska po drugiej stronie drogi. Obok mostu stali jacyś ludzie. Spojrzeli ze zdziwieniem, gdy land-rover podjechał bliżej i Wyatt dał im do zrozumienia, że chce przedostać się na drugi brzeg. Sierżant wzruszył ramionami, pokazując mu wolną drogę i Wyatt wjechał powoli na most.

Dawson spojrział w bok i wstrzymał oddech. Wydawało mu się, że czuje wibracje, gdy rozpędzony nurt uderzał od spodu w most i miał wielką nadzieję, że jego konstrukcja nie została nadwerężona. Widoczne pod nimi urwisko opadało ponad trzydzieści metrów w dół, a Dawson zawsze źle znosił duże wysokości. Zamknął oczy i otworzył je dopiero po kilku sekundach, usłyszawszy, że Wyatt zmienia bieg. Most był już za nimi, a samochód kontynuował długą wspinaczkę.

Mniej więcej co minutę Wyatt rzucał okiem na niebo. W miarę zbliżania się południowej strefy huraganu chmury gęstniały. Nieliczne stojące jeszcze bananowce powiewały potarganymi liśćmi i Wyatt wiedział, że nadciągają bardzo silne wiatry.

- Zapewne dotrzemy na szczyt akurat na czas - zauważył.

- A co potem?

- Ukryjemy się poniżej grzbietu wzgórza. Powinniśmy mieć towarzystwo: Favel wysłał tam jeden ze swoich pułków.

- Moim zdaniem to cholerna głupota - skomentował Dawson. - Co to pomoże?

- Chodzi o zorganizowanie się. Ci ludzie w dolinie nie potrafią tego zrobić, brak im dyscypliny i poczucia jedności, a po przejściu huraganu będzie jeszcze gorzej. Jeśli zaraz po ustaniu wiatru Favel zdoła wprowadzić między nich grupę zdyscyplinowanych żołnierzy, może ocalić niejedno życie. Słyszał pan kiedyś o szoku spowodowanym katastrofą?

- Raczej nie.

- Kiedy w jakiejś społeczności dochodzi do katastrofy, ludzie, którzy ją przeżyli, znajdują się w stanie szoku. Okazują się zupełnie bezradni. Nie chodzi wcale o to, że nie chcą sobie pomóc: nie są do tego zdolni. Siedzą beczynn timer, całkowicie otępiali, gdy setki osób umierają z braku podstawowej opieki. Nie robi się rzeczy tak oczywistych, jak przykrycie rannego kocem, choćby nawet ten koc był pod ręką. Jest to rodzaj zbiorowej katalepsji.

- Nieprzyjemna sprawa.

- Owszem. Zdarza się to także podczas wojny, w przypadku ciężkich bombardowań albo ataków artyleryjskich. Organizacje ratownicze, takie jak Czerwony Krzyż czy działające w Szwajcarii specjalne grupy alpejczyków, wiedzą, że w tego typu sytuacjach należy sprowadzić niezwłocznie pomoc z zewnątrz.

- Ale ludzie Favela nie przychodzą z zewnątrz - zaproponował Dawson. - Dostaną w kość tak samo jak wszyscy. Poza tym dopiero co brali udział w wojnie.

- Szok po katastrofie obejmuje w niewielkim stopniu zdyscyplinowane grupy, których ostoją jest silna struktura organizacyjna, uderza jednak poważnie w ludność cywilną. Żołnierze Favela mogą się okazać cholernie pomocni.

Minęli drugi most. Był starą, kamienną konstrukcją i trzymał się równie mocno jak skała, z której go zbudowano.

Potem, o kilka kilometrów dalej, napotkali na drodze wodę. Początkowo prześlizgiwali się po jej powierzchni, ale gdy przekroczyła głębokość piętnastu centymetrów, jazda stała się trudna. Wyatt zaklął.

- Favel mówił mi, że ta cholerna droga nie jest zalana. Woda lała się po odsłoniętym zboczach, przepływając przez drogę, a wiatr marszczył jej powierzchnię i unosił w powietrze delikatną mgiełkę. Wyatt podjechał powoli do ostatniego mostu, przy którym stał znowu oddział wojska.

- Co się stało? - zapytał.

Sierżant odwrócił się do niego i wskazał ręką ku górze.

- Blanc, w wąwozie obsunęła się ziemia.

- A co z mostem?

Żołnierz pokręcił głową.

- Niedobrze. Nie wolno przejeżdżać.

- Niech to szlag trafi! - zaklął Wyatt, wrzucając bieg. - Jadę na drugą stronę.

- Ejże! - ostrzegł Dawson, patrząc przed siebie. - Nie za dobrze mi to wygląda. - Most był drewniany, osadzony na podporach i wyglądał bardzo niepewnie. - On się poruszył. Jest przesunięty na bok.

Wyatt podjechał do przodu, zatrzymując się tuż przy moście. Cała jego konstrukcja była wygięta, a droga miała wyraźne odchylenie od poziomu. Wystawił głowę przez boczne okienko i spojrzawszy w dół na stojące w wąwozie podpory mostu zauważył surowe drewno popękanych belek. Targane wiatrem włosy spadały mu na oczy. Cofnął głowę i spojrzawszy na Dawsona zapytał:

- Spróbujemy?

- A czemu by nie zostawić wozu tutaj? - zaproponował Dawson. - Wspominał pan, że jesteśmy niedaleko szczytu.

- Możemy potrzebować samochodu po drugiej stronie. Przejadę nim przez most. Pan niech wysiądzie i pójdzie pieszo.

- A, do cholery! - powiedział Dawson. - Nie ma na co czekać. Land-rover wjechał powoli na most, pochylając się w tę samą stronę. Gdzieś u dołu rozległo się złowrogie,



długotrwałe skrzywienie, a potem gwałtowny, głośny trzask. Cały most zdrzął. Wyatt kontynuował jazdę w niezmiennie powolnym tempie, choć przechył był coraz wyraźniejszy. Odetchnął z ulgą, gdy przednie koła trafiły na solidny grunt i pozwolił sobie nacisnąć trochę mocniej pedał gazu. Land-rover szarpnął i z tyłu rozległ się trzask rozłupywanego drewna. Wyatt z zapamiętaniem pompował do silnika paliwo. Czuł, jak tylne koła buksują wskutek gwałtownego zwiększenia obrotów, a zaraz potem mknęli z niebezpieczną szybkością po drodze.

Dawson obejrzał się i w miejscu, gdzie przed chwilą był most, zobaczył przepaść. Z wąwozu dochodził łoskot i trzask belek. Dawson miał na czole krople potu, kiedy powiedział:

- Favelowi się to nie spodoba. Zniszczył pan most.
- I tak by się zawalił - stwierdził Wyatt, bardzo blady. - Mamy już niedaleko.

### III

Kiedy po krótkim okresie niewiarygodnego spokoju wiatr przybrał ponownie na sile, Julie stwierdziła bezbarwnym głosem:

- Miał pan rację. Huragan znów się zbliża.
- Obawiam się, że tak - potwierdził Rawsthorne. - Niestety. Julie skrzywiła się.
- Właśnie zdążyłam wyschnąć. A teraz znów będziemy musieli siedzieć pod tym

przeklętym wodospadem.

- W wąwozie jest lepiej - powiedział Rawsthorne zmęczonym głosem. - Mamy przynajmniej pewniejsze schronienie niż ci ludzie na dole.

Z ustaniem nawałnicy zrobiło się tak cicho, że słyszeli zupełnie wyraźnie szemranie zgromadzonego w dolinie tłumu. Chwilami było to coś więcej niż szmer. Gdy wiatr ucichł, dotarł do nich głośny krzyk zanoszącej się płaczem kobiety. Krzyczała przez dłuższy czas, a potem nagle umilkła. Julie spojrzała na Rawsthorne'a, ale nie powiedzieli do siebie ani słowa.

Spodziewała się, że ludzie ruszą z miejsca i wejdą na wzgórze, skoro wskutek powodzi nie można było przejść przez dolinę, ale nic takiego się nie stało.

- To mieszkańcy Zachodnich Indii - stwierdził Rawsthorne. - Znają się na huraganach. Wiedzą, że to jeszcze nie koniec.

- Zastanawiam się, co z wojną - powiedziała Julie.

- Z wojną? - Rawsthorne zaśmiał się krótko. - Już się skończyła. Czy Wyatt mówił pani, co się stanie z St. Pierre w razie huraganu?

- Powiedział, że będzie powódź.

- My, Anglicy, mamy wybitny talent do niedomówień. Jeśli w chwili ataku huraganu walczyły w St. Pierre jakieś armie, to już ich nie ma. Ani wojsk rządowych, ani powstańczych. Spór został definitywnie rozstrzygnięty. Oczywiście, mogły ocaleć jakieś niedobitki, rozproszone, bezużyteczne, niezdolne do walki oddziały, ale wojna się skończyła.

Julie popatrzyła przez bezlistne gałęzie na szare niebo. Miała nadzieję, że Wyatt wydostał się z miasta. Może był gdzieś tam, w dole, na zboczach doliny Negrito.

- A co z bazą? - zapytała.

Rawsthorne pokręcił głową.

- To samo - odparł. - Młody Wyatt był zdania, że wielka fala całkowicie ją zaleje. - Próbował pocieszyć Julie. - Ale widzi pani, komandor Brooks mógł zmienić zdanie i ewakuować bazę. To niegłupi facet.

- Dave próbował go przekonywać, ale on nie chciał słuchać. Ten dureń Schelling cały czas przeszkadzał. Nie sądzę, żeby ewakuował bazę. Ma zbyt sztywny kręgosłup. To prawdziwy marynarz, jeden z tych, co krzyczą „do diabła z torpedami!” i „do diabła z huraganami!”.

- Brooks nie zrobił na mnie takiego wrażenia - oznajmił ze spokojem Rawsthorne. -

A poznałem go bardzo dobrze. Miał przed sobą niesłychanie trudną decyzję i jestem pewien, że podjął taką, która była najodpowiedniejsza dla wszystkich zainteresowanych.

Julie spojrzała na rosnące na skraju wąwozu wysokie drzewo i zobaczyła, że jego górne gałęzie uginają się od wiatru. Wkrótce znów będą musieli schronić się do kryjówki. Wiedziała, że nie ma sensu niepokoić się o Wyatta - nic nie mogła dla niego zrobić. Pod ręką miała za to kogoś, kto dawał jej powody do zmartwienia.

Rawsthorne wyglądał bardzo źle. Ciężko oddychał, a gdy coś mówił, kosztowało go to sporo wysiłku. Jego twarz straciła rumiany kolor i przybrała barwę przybrudzonego pergaminu, a oczy wyglądały na jej tle jak rozmazane, ciemne plamki. Miał również trudności z poruszaniem się. Jego ruchy były powolne i niepewne, a ręce drżały mu, jakby dotknięte paraliżem. Siedzenie przez kilka najbliższych godzin w przemokniętym do cna ubraniu było najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać.

- Czy nie byłoby rozsądniej zejść na dół? - zapytała Julie.

- Nie znajdziemy tam lepszej kryjówki niż tutaj. Wąwóz osłoni nas całkowicie od wiatru.

- Ale woda...

Rawsthorne uśmiechał się uprzejmie.

- Moja droga, wszędzie zmoknie człowiek tak samo. - Przymknął oczy. - Martwi się pani o mnie, prawda?

- Tak - przyznała Julie. - Nie wygląda pan za dobrze.

- I niezbyt dobrze się czuję - wyznał. - To dawne dolegliwości, a już myślałem, że się ich pozbyłem. Co prawda lekarz mówił mi, że muszę unikać nadmiernego wysiłku, ale nie brał pod uwagę wojen i huraganów.

- Ma pan problemy z sercem, tak?

Skinął głową.

- Bieganie po tych górach jest dobre dla młodszych. Niech się pani nie martwi, moja droga. W niczym mi pani nie pomoże. Z całą pewnością nie mam zamiaru już dalej biec. Usiądę spokojnie pod tym wodospadem i poczekam, aż ucichnie wiatr. - Otworzył oczy i popatrzył na nią. - Masz w sobie dużo miłości, moje dziecko. Szczęściarz z tego Wyatta.

Julie zarumieniała się, po czym powiedziała cicho:

- Nie wiem, czy go jeszcze kiedyś zobaczę.

- Wyatt jest niezwykle uparty - stwierdził Rawsthorne. - Jeśli wytknął sobie jakiś cel, nie pozwoli się zabić, przeszkodziłoby to w jego planach. Wie pani, tamtej nocy, gdy zaczęła się bitwa, bardzo się o panią martwił. Nie wiem, czym był bardziej przejęty, huraganem czy pani bezpieczeństwem. - Poklepał ją po dłoni. Poczula, jak drżą mu palce. - Nadal będzie pani szukał.

Gwałtowny podmuch wiatru przemknął wśród bezlistnych drzew, osuszając łzy, które zaczęły nagle spływać jej po policzkach. Z trudem przełknęła ślinę i powiedziała:

- Myślę, że już czas wracać do naszej groty. Wiatr robi się coraz silniejszy.

Rawsthorne spojrzał w górę.

- Chyba musimy iść. Kiedy wiatr rozszałeje się na dobre, nie będzie tu zbyt przyjemnie. - Stał na nogi. Słysząc było niemal, jak zaskrzypiały. Ruszył naprzód niepewnym krokiem, po czym zatrzymał się na chwilę, mówiąc: - Kilka minut nas nie zbawi. Wcale nie tęsknię za tym wodospadem.

Podeszli na skraj wąwozu i spojrzeli w dół. Woda spływała nadal z ogromnej skały, choć może już nie z takim impetem.

- Niezbyt to wygodne posłanie dla moich starych kości - westchnął Rawsthorne.

Wiatr rozwiewał jego rzadkie włosy.

- Myślę, że powinniśmy zejść na dół - powiedziała Julie.

- Za chwilę, moja droga. - Rawsthorne odwrócił się, aby spojrzeć na targane wiatrem zbocze. - Wydawało mi się, że słyszę jakieś głosy. Tam, u góry. - Wskazał na szczyt wzgórza w kierunku St. Pierre.

- Niczego nie słyszałam - stwierdziła Julie.

Wicher stawał się coraz gwałtowniejszy, zawodząc szaleńczo wśród gałęzi drzew.

- Może to był tylko wiatr - rzekł Rawsthorne, po czym uśmiechnął się blade. - Słyszała pani, co powiedziałem? Tylko wiatr! Trochę głupio tak mówić o huraganie, prawda? No dobrze, moja droga. Zejdźmy na dół. Ten wiatr jest naprawdę bardzo silny.

Podszedł do wysokiego drzewa i uchwycił się go, szukając oparcia dla stóp na skraju wąwozu.

- Pomogę panu - powiedziała Julie, stając przy nim.

- Nie ma potrzeby. - Spuścił się po krawędzi zbocza i zaczął schodzić w dół. Julie była już gotowa pójść w jego ślady, gdy nagle przemknął im nad głowami, rycząc jak pociąg ekspresowy, gwałtowny podmuch wiatru i drzewo złowieszczo zaskrzypiało.

Julie błyskawicznie odwróciła głowę i spojrzawszy w górę krzyknęła:

- Uwaga!!

Drzewo nie tkwiło mocno korzeniami w ziemi. Spływającą z góry woda podcięła je i nie wytrzymały nagłego naporu wiatru. Drzewo zaczęło się przechylać, korzenie zostały wyrwane ze zbocza wąwozu i pień runął jak taran wprost na Rawsthorne'a.

Julie rzuciła się naprzód, wpadając na niego z impetem i Rawsthorne, pozbawiony równowagi, stracił grunt pod nogami i zleciał na dół, między skały. Spadające drzewo wykręciło się i obróciło, uderzając Julie gałęzią w głowę. Zatoczyła się do tyłu, a drzewo runęło wprost na nią, przygniatając jej boleśnie nogi. Cały świat pograżył się nagle w chaosie wirującej, czerwonej otchłani bólu, a upadające gwałtownie na ziemię gałęzie i konary łamały się z hukami i trzaskami. Potem wszystko ucichło, nawet zawrozczenie wiatru. Czerwień przeszła w szarość i świat pograżył się w całkowitych ciemnościach.

Rawsthorne nie wiedział początkowo, co się stało. Usłyszał krzyk Julie i nagle coś zważyło go z nóg. Upadek w głąb wąwozu całkowicie pozbawił go tchu i leżał tam przez dłuższą chwilę, nie mogąc dojść do siebie. Czuł ucisk w piersiach - dobrze znany objaw, który nie wróżył nic dobrego - i wiedział, że nie wolno mu się zanadto poruszać, bo serce odmówi posłuszeństwa. Po chwili jednak, gdy zaczął swobodniej oddychać, usiadł i spojrzał na płataninę gałęzi na skraju wąwozu.

- Julie! - krzyknął. - Nic się pani nie stało?

Jego głos zabrzmiał przeraźliwie cicho, niknąc w gwałtownym podmuchu wiatru. Krzyknął jeszcze kilkakrotnie, ale nie usłyszał odpowiedzi. Spojrzał z rozpaczą na ścianę wąwozu, wiedząc, że musi się przemóc i dotrzeć na górę. Dręczyła go niepewność, czy potrafi to zrobić. Zaczął wspinać się powoli po zboczu, próbując zachować resztki siły i często odpoczywając, gdy tylko znajdował mocne oparcie dla nóg.

Udało mu się niemal dotrzeć na szczyt.

Gdy wyciągnął rękę, aby uchwycić się solidnie osadzonej skały na krawędzi wąwozu, krzyknął z bólu. Miał wrażenie, że podstępny wróg wbił mu w pierś rozżarzone do czerwoności ostrze i nabrzmiałe serce rozpada się na dwie części. Krzyknął raz jeszcze w paroksyzmie bólu i upadłszy w głąb wąwozu leżał tam, a strugi wody obmywały mu włosy.

## 10

### I

Dawson miał wrażenie, że drugie uderzenie huraganu jest słabsze niż pierwsze, ale może tak mu się tylko wydawało z powodu niewielkich opadów. Mimo wszystko atak był wystarczająco gwałtowny. Kiedy Wyatt zjechał z drogi, wprowadził land-rovera w gęste zarośla na zboczu wzgórza i znalazł niedostrzegalne niemal zagłębienie terenu. Nie mógł zrobić nic lepszego, aby zapewnić samochodowi bezpieczeństwo.

- Dlaczego nie zostaniemy w wozie? - zapytał Dawson.

Wyatt rozwiął jego złudzenia.

- Niewiele trzeba, żeby przewrócił się na bok, mimo że wcisnąłem go między drzewa. Nie możemy ryzykować.

W ten sposób Dawson porzucił nadzieję, że samochód zapewni im osłonę przed wiatrem i deszczem, zaczęli więc rozglądać się za jakimś schronieniem dalej na wzgórzu. Wiatr wiał już, bardzo mocno i stopniowo przybierał na sile. Przy jego gwałtowniejszych podmuchach z trudem utrzymywali się na nogach. Wkrótce natknęli się na pojedynczy oddział pułku, który Favel wysłał na wzgórze nad Negrito. Żołnierze okopywali się i Wyatt zdołał pożyczyć od nich jakieś narzędzie, aby też trochę pokopać.

Okazało się to trudniejsze niż pod St. Pierre. Ziemia była twarda i kamienista, a tuż pod cienką warstwą nieurodzajnej gleby znajdowała się lita skała, wyskrobał więc tylko płytki dół. Skorzystał jednak, jak potrafił, z nierówności terenu, wybierając miejsce, gdzie wystawiona na wiatr skała dawała mu pewną osłonę.

Skończywszy powiedział do Dawsona:

- Niech pan tu zostanie, a ja pójdę poszukać kogoś z oficerów.

Dawson skulił się za skałą, spoglądając z niepokojem w niebo.

- Proszę uważać, to nie jest spacer na wiosennym wietrze.

Wyatt wyczołgał się, pełzając tuż przy ziemi. Wicher uderzył z góry jak ręka olbrzyma, próbując go pochwycić i potrząsnąć nim, Wyatt rozplaszczyl się jednak, aby uniknąć jego szponów i podczołgał się na brzuchu do najbliższego dołu, gdzie zobaczył jakiś zwinięty kłębek odzieży. Okazało się, że to skulony żołnierz.

- Gdzie wasz dowódca? - ryknął Wyatt.

Tamten uniósł kciuk, wskazując, że powinien iść dalej wzdłuż zbocza.

- Jak daleko?

Rozstawione palce określiły odległość na trzysta stóp - a może metrów? Tak czy inaczej, nie było to blisko. Zdumione brązowe oczy wpatrywały się w pełzającego dalej Wyatta, a gdy wiatr powiał mocniej, skryły się pod płaszczem.

Wyatt potrzebował sporo czasu, aby odnaleźć oficera, ale gdy mu się to udało, rozpoznał w nim człowieka, którego widział w kwaterze Favela. Co istotniejsze, oficer rozpoznał jego, wyszczerzając na powitanie białe zęby w promiennym uśmiechu.

- Allo, ti blanc! - krzyknął. - Niech pan tu zejdzie!

Wyatt wszedł do jamy, mieszcząc się z trudem obok oficera i złapawszy oddech zapytał:

- Widział pan w tej okolicy jakąś białą kobietę?

- Nikogo nie widziałem. Tak wysoko w górach jest tylko nasz pułk. - Uśmiechnął się szeroko. - Nieszczęśni żołnierze.

Wyatt był rozczarowany, choć nie oczekiwał właściwie pomyślnych wieści.

- Gdzie są ludzie? - zapytał. - I jak to znoszą?

- Na dole - odparł oficer. - W pobliżu dna doliny. Nie wiem, w jakiej są formie, nie mieliśmy czasu tego sprawdzić. Posłałem tam żołnierzy, ale jeszcze nie wrócili.

Wyatt pokiwał głową. Pułk doskonale się spisał: prawie piętnaście kilometrów forsownego marszu, a potem pospieszne kopanie dołów - wszystko w ciągu dwóch godzin. Trudno było od nich wymagać, by zrobili więcej.

- Spodziewałem się jednak zastać część ludzi tu, na górze - stwierdził oficer.

- Na tej wysokości teren jest bardziej odsłonięty - powiedział Wyatt. - Na dole są bezpieczniejsi. Nie przypuszczam, żeby wiatr przekroczył tam prędkość stu trzydziestu czy stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Tu, w górze, jest inaczej. Jak zniosą to pańscy ludzie?

- Nic nam nie będzie - odparł twardo oficer. - Jesteśmy żołnierzami Julia Favela.

Przeżywalibyśmy gorsze rzeczy niż huragan.

- Nie wątpię - stwierdził Wyatt. - Ale huragan to też poważna sprawa.

Oficer skwapliwie mu przytaknął, po czym powiedział:

- Nazywam się Andre Delorme. Miałem plantację w górnym biegu Negrito. Teraz, gdy nie ma już Serruriera, odzyskam ją. Kiedy to wszystko się skończy, ty Wyatt, musi pan mnie odwiedzić. Będzie pan zawsze mile widziany. Będzie pan wszędzie miłym gościem na San

Fernandez.

- Dziękuję - odparł Wyatt. - Nie wiem jednak, czy tu zostanę.

Delorme szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

- A dlaczego nie? Ocalił pan ludzi z St. Pierre, pokazał nam pan, jak zabić Serruriera. Będzie pan tutaj wielkim człowiekiem. Postawią panu pomnik; piękniejszy niż miał Serrurier na Place de la Liberation Noire. Lepiej postawić pomnik komuś, kto ratuje ludziom życie.

- Ratuje życie? - powtórzył z sarkazmem Wyatt. - Sam pan powiedział, że pokazałem wam, jak pozbyć się Serruriera i całej jego armii.

- To co innego. - Delorme wzruszył ramionami. - Julio Favel mówił mi, że widział się pan z Serrurierem i on nie uwierzył w pańską historię o huraganie.

- Tak było.

- Więc zginął z własnej winy. Był głupi.

- Muszę już wracać - powiedział Wyatt. - Zostawiłem tam przyjaciela.

- Niech pan lepiej tu zostanie - stwierdził Delorme, podnosząc głowę, by posłuchać wiatru.

- Nie, on na mnie czeka.

- No dobrze, ti Wyatt, ale kiedy to się skończy, proszę odwiedzić mnie w La Carrire. - Wyciągnął muskularną, brązową dłoń, którą Wyatt uścisnął. - Niech pan nie opuszcza San Fernandez, ti Wyatt. Musi pan zostać i pokazać nam, co mamy robić, kiedy znów nadciągnie huragan. - Uśmiechnął się. - Nie zawsze walczymy na San Fernandez; tylko w razie potrzeby.

Wyatt wygramolił się z jamy, chwytając powietrze, gdy uderzył w niego podmuch wiatru. Kusiło go, żeby zostać z Delorme'em, ale wiedział, że musi wracać. Gdyby Dawson miał jakieś kłopoty, nie poradziłby sobie z poranionymi rękami i Wyatt chciał być przy nim. Potrzebował ponad pół godziny, żeby dotrzeć do Dawsona. Gdy obszedł skałę i osunął się do płytkiej dziury, był wykończony.

- Myślałem, że porwał pana huragan! - krzyknął Dawson, robiąc mu miejsce. - Co się dzieje?

- Nic takiego. Ani śladu Julie i pani Warmington. Są pewnie gdzieś niżej, na zboczu. Może i lepiej.

- Jak daleko jesteśmy od miejsca, które pokazywał nam na mapie tamten facet w St. Pierre?

- Trochę ponad półtora kilometra w górę rzeki.

Dawson naciągnął kurtkę na pierś i wtulił się w skałę.

- Więc będziemy musieli tu przeczekać.

Podczas nieobecności Wyatta wiele rozmyślał, planując, co zrobi po przejściu huraganu. Nie zostanie w St. Pierre. Pojedzie od razu do Nowego Jorku, żeby uporządkować swoje sprawy. Potem wróci na San Fernandez, kupi dom z widokiem na morze oraz łódź i będzie często łowił ryby. Od czasu do czasu napisze książkę. Jego ostatnie trzy powieści nie były za dobre. Sprzedawały się dzięki krzykliwej reklamie Wisemana, ale w głębi duszy wiedział, że są słabe, choć krytyka pozytywnie je oceniła. Zastanawiał się, dlaczego stracił wenę i przedtem go to martwiło, teraz jednak wiedział, że może znów pisać równie dobrze, jak kiedyś, albo nawet lepiej.

Uśmiechnął się lekko na myśl o swoim agencie. Wiseman napisał już na pewno mnóstwo bzdur na temat wielkiego Jima Dawsona, wspaniałego bohatera, który w pojedynkę ocalił właściwie San Fernandez, ale nie obchodziło go tak naprawdę, czy Dawson żyje, czy zginął. Prawdę mówiąc, gdyby go zabito, byłaby to ekscytująca historia. Dawson myślał, z jaką przyjemnością przeczyta wszystkie wycinki prasowe, a potem podrze je na strzępy i rozrzuci Wisemanowi na biurku. Nie pozwoli, by ten akurat epizod jego życia został z chęci zysku skalany i przeinaczony przez nieuczciwego agenta prasowego, ani też, skoro już o tym mowa, przez nieuczciwego i nikczemnego pisarza.

Może sam napisze historię kilku ostatnich dni. Zawsze chciał zająć się jakimś wziętym

z życia wielkim tematem i właśnie go miał. Opowie dzieje komandora Brooksa, Serruriera i Favela, Julie Marlowe, Eumenidesa Papegaikosa i tysięcy ludzi, uwikłanych w podwójne nieszczęście: wojnę i huragan. Będzie to też, oczywiście, historia Wyatta. O sobie napisze niewiele, albo wcale. Sprawiał tylko kłopoty. Przez niego Wyatt trafił do więzienia. To wszystko znajdzie się w książce - ale bez fałszywego bohaterstwa, bez żadnych sztucznych pochwał w stylu Wisemana. Będzie z tego dobra powieść.

Odwrócił się i przyłgnął do ziemi, starając się schronić przed porywistym wiatrem.

Powoli mijał czas i oto znowu San Fernandez było wystawione na gwałtowny atak huraganu. Raz jeszcze potężny wiatr poddawał wyspę ciężkiej próbie, nadciągając znad morza niczym anioł zemsty i uderzając wściekle o centralny masyw gór, jakby chciał je zmieść z powrotem do oceanu, z którego się wyłoniły. Być może huragan miał przyczynić się z czasem do tego, że ów niewielki skrawek lądu przestanie w końcu istnieć - tu osunie się ziemia, tam wyżłobione zostanie nowe koryto rzeki, a najwyższy szczyt Massif des Saints zmniejszy się o ułamek milimetra. A jednak wyspa przetrzyma jeszcze wiele huraganów, zanim ulegnie zagładzie.

Żywe organizmy okazywały się bardziej bezbronne niż martwe skały. Wiatr unosił wyrwane z korzeniami delikatne, zielone rośliny. Łamały się drzewa i nawet mocne trawy, uparcie trzymające się gleby długimi, rozgałęzionymi kłęczami, narażone były na to, że rozpuści się pod nimi ziemia. Ginęły setkami górskie zwierzęta. Dzikie świny wpadały w przepaść, rozbijając głowy o kamienie. Dzikie psy wyły w swych skalnych kryjówkach, grzebiąc bezskutecznie w ziemi, która zasypywała im wyjście. Nawałnica porywała z drzew ptaki, unosząc je daleko w morze, gdzie tonęły.

A ludzie?

Na samych tylko zboczach doliny Negrito było prawie sześćdziesiąt tysięcy bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Wiele osób zmarło. Ludzie starsi i wyczerpani umierali z zimna, a młodzi, bardziej wytrzymali, z powodu gwałtownego wiatru. Jedni zginęli z głupoty, bo zabrakło im rozumu, by znaleźć sobie odpowiednie schronienie, inni, choć rozsądni, mieli po prostu pecha. Byli i tacy, których śmierć spowodowała choroba: słabe serce czy płuca, albo inne dolegliwości. Niektórzy umierali nawet wskutek szoku. Można by wręcz powiedzieć, że zaskoczyła ich nagła brutalność świata, w którym żyli.

Liczba ofiar byłaby jednak znacznie większa, gdyby ludzie ci pozostali w zrujnowanym teraz mieście St. Pierre.

Przez dziesięć godzin nad wyspą szalała burza - huragan, nawałnica. Dziesięć godzin, których każda minuta wydawała się wiecznością wobec ogłupiającego, wstrząsającego huku i uderzeń wiatru. Nie pozostawało nic innego, jak przyłgnąć do ziemi i mieć nadzieję na przetrwanie. Wyatt i Dawson skulili się w płytkim wykopie za skałą i, jak to określił Dawson, „przeczekiwali”.

Wyatta zdumiały początkowo słowa Delorme'a i przypomniawszy je sobie ironicznie się uśmiechnął. A więc tak powstawały legendy. Mieli obwołać go zbawcą, bohaterem San Fernandez - jako człowieka, który ocalił wszystkich mieszkańców i wygrał wojnę. Będą go sławić za to, co uczynił dobrego i za zło, któremu nie mógł zaradzić. Delorme mówił zupełnie szczerze. Uważał, że Serrurier i jego zwolennicy byli wcielonymi diabłami, zasługiwali więc na to, co ich spotkało. Wyatt uważał jednak Serruriera za chorego szaleńca, a jego poplecznicy, choć postępowali niesłusznie, byli ludźmi jak wszyscy, on zaś pokazał Favelowi, w jaki sposób zastawić na nich pułapkę. Inni być może mu wybaczą, albo nie będą sobie nawet zdawali sprawy, że jest cokolwiek do wybaczenia, ale on sam nigdy sobie tego nie daruje.

Potem wszystkie myśli zagłuszył huragan i Wyatt leżał w bezruchu, czekając cierpliwie na chwilę, gdy będzie mógł się podnieść i zejść w dolinę, by odszukać jedyną na świecie osobę, którą pragnął ocalić: Julie Marlowe.

Huragan osiągnął apogeum o jedenastej rano i od tej pory wiatr zaczął bardzo powoli słabnąć. Wyatt wiedział, że jego prędkość nie zmniejszy się tak gwałtownie, jak wówczas, gdy nad wyspą znalazło się oko cyklonu. Nie uspokoił się wcześniej niż za kilka godzin

i jeszcze przez dłuższy czas będzie wiał z dużą siłą.

Dopiero o trzeciej po południu można było w miarę spokojnie wyjść na otwartą przestrzeń, choć wiązało się to jeszcze z pewnym ryzykiem. Wyatt nie miał jednak ochoty czekać dłużej.

- Schodzę w dolinę - powiedział do Dawsona.

- Czy to bezpieczne?

- Wystarczająco.

- W porządku - odparł Dawson, podnosząc się z miejsca. - Dokąd idziemy?

- Najlepiej będzie zejść prosto na dół, a potem posuwać się wzdłuż dolnych zboczy. -

Wyatt odwrócił się i spojrzał w kierunku wykopu, w którym siedział Delorme. - Chcę pogadać jeszcze raz z tym oficerem.

Przeszli ostrożnie wzdłuż zbocza i Wyatt, pochyliwszy się, zawołał do Delorme'a:

- Radziłbym poczekać jeszcze godzinę, zanim wyruszy pan ze swoimi żołnierzami.

Delorme podniósł wzrok. Miał zmęczoną twarz, a jego głos brzmiał ochryple, gdy zapytał:

- Schodzi pan już na dół?

- Tak.

- Więc my też wyruszymy - stwierdził Delorme. Podźwignął się, wkładając rękę do kieszeni. - Ci ludzie w dolinie mogą nie wytrzymać następnej godziny. - Dmuchnął z całej siły w gwizdek i wzgórze powoli ożyło, gdy z licznych dołów i szczelin zaczęli wylaniać się żołnierze. Nadszedł jeden z sierżantów i Delorme wydał mu cały szereg rozkazów.

- Byłbym ostrożny przy schodzeniu ze wzgórza - ostrzegł Wyatt. - Nietrudno złamać nogę. Gdybyście spotkali jakichś białych, będę wdzięczny za wiadomość.

Delorme uśmiechnął się.

- Favel powiedział, że mamy rozglądać się za panną Marlowe. Mówił, że pan się o nią martwi.

- Doprawdy? - zdziwił się Wyatt. - Ciekawe, skąd o tym wiedział.

- Favel wie wszystko - stwierdził z dumą Delorme. - Nic nie ujdzie jego uwadze. Myślę, że rozmawiał z tym drugim Anglikiem, Caustonem.

- Będę musiał mu podziękować.

Delorme pokręcił głową.

- Wiele panu zawdzięczamy, ti Wyatt. Cóż innego moglibyśmy dla pana zrobić? Jeśli odnajdę pannę Marlowe, dam panu znać.

- Dzięki. - Wyatt popatrzył na Delorme'a i podjął decyzję. - Na pewno przyjadę na pańską plantację. Mówił pan, że gdzie to jest?

- W górnym biegu Negrito. W La Carrire. - Delorme uśmiechnął się jowialnie. - Ale niech pan poczeka, aż wszystko uporządkuję i obsieję, teraz nie wygląda to dobrze.

- Zaczekam - obiecał Wyatt i odwrócił się.

Schodzenie po zboczu nie było łatwe. Wiatr szarpał nimi ze złością, a wypłukana przez nawałnicę ziemia łatwo obsuwała się spod nóg. Wiele było zwalonych drzew, które musieli obchodzić, a po wyrwanych korzeniach pozostały głębokie jamy. Dopiero w trzy kwadransy później dotarli do pierwszej grupy tych, którzy przeżyli huragan. W niewielkim zagłębieniu leżały skulone ciała. Przy wciąż porywistym wietrze nikt się nie poruszał.

Dawson patrzył z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Oni nie żyją - powiedział. - Wszyscy są martwi!

Wyatt szedł na dół i potrząsnął za ramię znajdującego się najbliżej człowieka.

Mężczyzna powoli uniósł głowę i spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem. Gdy Wyatt go puścił, znowu zwinął się w kłębek.

- Nic im nie będzie - stwierdził Wyatt. - Idźmy dalej. Zajmie się nimi wojsko.

Dawson spojrzał na wzgórze.

- Żołnierze już tu idą - oznajmił, wskazując na widoczny za nagimi drzewami długi szereg schodzących po zboczu mężczyzn.

Znalazszy się jeszcze niżej widzieli coraz więcej ludzi, leżących między drzewami ciał,

które przypominały sterty wyrzuconych na śmietnik łachmanów. Nikt się nie poruszał. Od czasu do czasu Wyatt dokładniej się im przyglądał i wreszcie powiedział do Dawsona:

- Wszyscy żyją, ale potrzebują opieki. Kieruje nimi jedynie instynkt przetrwania, a nie wiedzą jeszcze, na ile są bezpieczni.

- Czy to szok po katastrofie?

- Właśnie - odparł Wyatt. - Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem. Czytałem o tym tylko w raportach na temat huraganów. - Wyprostował się, skończywszy sprawdzać stan jednej z kobiet. - Człowiek musi mieć wyższą motywację niż tylko chęć przetrwania, żeby stawić czoło tej sytuacji, motywację taką jak oni. - Wskazał na schodzących po zboczu żołnierzy. - Chodźmy dalej. Ludzie Favela lepiej sobie tu ze wszystkim poradzą niż my. Zejdziemy od razu nad wodę, a potem ruszymy w górę rzeki.

Nad wodą natknęli się na pierwsze zwłoki - ciała osób, które utonęły i zostały wyrzucone na brzeg tego dziwnego, nowo powstałego jeziora. Odnaleźli też pierwszych ocalałych z katastrofy ludzi, którym pozostało choć trochę życiowej energii - garstkę mężczyzn i kobiet, z zatroskaniem rozglądających się wokół, zapewne w poszukiwaniu swoich bliskich. Snuli się jak żywe trupy, a gdy Wyatt o coś ich pytał, nie chcieli - albo nie potrafili - odpowiedzieć. W końcu dał za wygraną, mówiąc:

- Chodźmy w górę rzeki, tam, gdzie zdaniem tego żołnierza widziano białą kobietę.

Podróż była bardzo uciążliwa. Gdy przeszli kilometr, Dawson rozejrzał się wokół i stwierdził:

- Co za chaos! Co za beznadziejny, cholerny zamęt! - Wskazał na kobietę, która tuliła w ramionach niemowlę. Dziecko najwyraźniej nie żyło; ze zwisającą nienaturalnie na bok głowa wyglądało jak uszkodzona lalka; ale kobieta jakby nie zdawała sobie z tego sprawy. - Co można w takiej sytuacji zrobić? - dopytywał się Dawson.

- Nic nie poradzimy - odparł Wyatt. - Najlepiej zostawić ją jej bliskim.

Dawson obejrzał się na wzgórze.

- Ale tu są tysiące ludzi. Co może zdziałać jeden pułk żołnierzy W St. Pierre nie ma żadnego sprzętu medycznego, lekarzy, ani szpitali. Wielu z tych ludzi umrze. Nawet ci, którzy na razie przeżyli.

- Po drugiej stronie doliny też jest mnóstwo ludzi - stwierdzi Wyatt, wskazując zalany wodą obszar. - Wygląda to tak samo wzdłuż całej rzeki Negrito, po obu jej brzegach.

W miarę, jak umęczeni mieszkańcy St. Pierre zaczęli zdawać sobie sprawę, że skończyła się ich udręka, wzgórze zaroilo się od powolnych, apatycznych postaci. Ludzie Favela już tam byli, ale mogli właściwie tylko oddzielić żywych od umarłych, zaś ci, którzy znali się na pierwszej pomocy na tyle, by unieruchomić złamani kończynę, mieli pełne ręce roboty.

- Jak znajdziemy w tym tłumie pojedynczą osobę? - zapytał Wyatt pozbawionym nadziei tonem.

- Julie jest biała - odparł Dawson. - Powinna się wyróżniać.

- Wielu z tych ludzi ma równie białą skórę jak my - stwierdził pośpiesznie Wyatt. - Chodźmy dalej.

Wspięli się znów na zbocze w miejscu, gdzie woda wtargnęła w głąb łądu. Wyatt ciągle się zatrzymywał, by pytać co przytomniej wyglądających tubylców, czy nie widzieli białej kobiety. Niektórzy nie odpowiadali, inni rzucali przekleństwami, jeszcze inni mówili niechętnie i mało zrozumiale - ale białej kobiety nikt nie widzi. W pewnej chwili Wyatt krzyknął jest tam! i popędził z powrotem w dół zbocza, chwytając za rękę jakąś dziewczynę. Gdy odwróciła się i spojrzała na niego, zobaczył Mulatkę o jasnej karnacji. Puścił jej rękę, która bezwładnie opadła.

W końcu dotarli od celu i zaczęli bardziej systematyczne poszukiwania, przemierzając zbocze w górę i w dół i przyglądając się bacznie każdej grupie ludzi. Szukali prawie godzinę, nie znajdując

Julie, ani innego białego człowieka, mężczyzny czy kobiety. Dawsona mdliło na widok tego, co zobaczył. Oceniał, że jeśli jego obserwacje były miarodajne, po jednej tylko stronie



doliny Negrito zginęło około tysiąca osób, a rannych nie dało się zliczyć.

Wyglądało na to, że ludzie nie potrafią otrząsnąć się z doznanego szoku. Powietrze drżało od jęku i krzyku rannych, a ci, którym nic się nie stało, siedzieli wpatrzeni w przestrzeń albo snuli się bez celu w żółwym tempie. Tylko nieliczni odzyskali na tyle zdolność do działania, by opuścić wzgórze albo pomóc w akcji ratunkowej.

Gdy Wyatt znowu spotkał Dawsona, ten smętnie pokręcił głową w odpowiedzi na jego pytające, natarczywe spojrzenie.

- On nie mógł się pomylić - powiedział z pasją Wyatt. - Jestem tego pewien!

- Możemy tylko szukać dalej - stwierdził Dawson. - Nic innego nam nie pozostało.

- Moglibyśmy sprawdzić drogę nad morzem. Pojechali początkowo w tamtym kierunku. Tyle wiemy.

- Lepiej skończmy najpierw sprawdzać tutaj - powiedział flegmatycznie Dawson.

Spojrzał Wyattowi przez ramię i dodał: - Ejże, idzie tutaj jeden z chłopców Favela. Wygląda na to, że nas szuka.

Wyatt odwrócił się na pięcie. Żołnierz podbiegł do nich i zapytał:

- Szuka pan kogoś, kto jest blanc?

- To kobieta? - zapytał krótko Wyatt.

- Tak. Jest tam, tuż za wzniesieniem.

- Ruszajmy! - krzyknął Wyatt i zaczął biec. Dawson popędził tuż za nim. Wbiegli na szczyt niewielkiego wzniesienia i spojrzeli w dół, na kilkusetosobowy tłum ludzi. Niektórzy skierowali ku nim zdumione, czarne twarze, przewracając oczami.

- Tam! - powiedział zdenerwowanym głosem Dawson. - Jest tam. - Zatrzymał się, dodając spokojnie: - To pani Warmington.

- Będzie wiedziała, gdzie jest Julie - stwierdził triumfalnie Wyatt i zaczął zbiegać po zboczach. Przecisnąwszy się przez tłum chwycił panią Warmington za rękę. - Nic się pani nie stało - zawołał. - Gdzie jest Julie... to znaczy panna Marlowe?

Pani Warmington spojrzała na niego i wybuchnęła płaczem.

- Och, dzięki Bogu! Dzięki Bogu, że widzę białą twarz. Jakże się cieszę, że pana spotykam!

- Co się stało z Julie i z innymi?

Jej twarz spochmurniała.

- Oni go zabili! - powiedziała rozhisteryzowanym głosem. - Zastrzelili go i wbijali mu w plecy bagnet... wiele razy... Mój Boże... ta krew!...

Wyatta przeszedł dreszcz.

- Kto zginął? - dopytywał się niecierpliwie. - Rawsthorne czy Papegaikos?

Pani Warmington wpatrywała się w swoje dłonie.

- Było mnóstwo krwi - powiedziała nienaturalnie spokojnym tonem. - Trawa zrobiła się zupełnie czerwona.

Wyatt z trudem nad sobą panował.

- Kto... został... zabity?

Podniosła na niego wzrok.

- Grek. Oni uważali, że przeze mnie. To nie była moja wina! Wcale nie. Musiałam tak postąpić. A oni mieli do mnie pretensje.

- Kto miał pretensje? - zapytał Dawson.

- Ta dziewczyna. Ta smarkuła. Powiedziała, że go zabiłam, a ja wcale tego nie zrobiłam. Zabił go jeden z żołnierzy. Zastrzelił go i zadźgał bagnetem.

- Gdzie jest teraz Julie? - zapytał Wyatt z napięciem w głosie.

- Nie wiem - odparła piskliwie pani Warmington. - I nic mnie to nie obchodzi. Ciągle mnie napastowała, więc uciekłam. Bałam się, że mnie zabije. Mówiła, że to zrobi.

Wyatt spojrzał na Dawsona zdumiony i zaszokowany, po czym zapytał złowróżbnie spokojnym tonem:

- Skąd pani uciekła?

- Przyszliśmy z drugiej strony, od morza - odparła. - Właśnie w tym miejscu nas

uwięzili. A potem uciekłam. Była tam rzeka i wodospad. Wszyscy zmokliśmy. - Przeszedł ją dreszcz. - Myślałam, że dostanę zapalenia płuc.

- Czy w drodze stąd nad morze jest jakaś rzeka? - zapytał Dawson.

- Nie - odpowiedział Wyatt, kręcąc głową. Pani Warmington była najwyraźniej w stanie szoku i należało postępować z nią delikatnie, jeśli chcieli cokolwiek się dowiedzieć. - Gdzie płynęła ta rzeka? - zapytał ostrożnie.

- Na szczycie jednego ze wzgórz - odparła niejasno pani Warmington. Kiedy Dawson głośno westchnął, podniosła na niego wzrok. - Dlaczego niby miałabym wam mówić, gdzie oni są? Będą o mnie opowiadać same kłamstwa - oznajmiła zawziętym tonem. - Niczego się ode mnie nie dowiecie. - Zaciśnęła pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie. - Mam nadzieję, że ona umrze, tak jak mnie tego życzyła.

Dawson poklepał Wyatta po ramieniu, mówiąc „proszę tu podejść”. Wyatt wpatrywał się z przerażeniem w panią Warmington, ale Dawson przyciągnął go ku sobie, aż znaleźli się kilka kroków od niej.

- Nie wiem, o co tu chodzi - stwierdził. - Myślę, że ta kobieta oszalała.

- To kompletna wariatka - powiedział Wyatt, drżąc na całym ciele.

- Możliwe. Ale wie, gdzie jest Julie. Potwornie się czegoś przestraszyła, i to nie huraganu, choć mógł przyczynić się do jej obłędu. Może faktycznie zabiła Eumenidesa, a Julie była tego świadkiem; bałaby się wtedy oskarżenia o zabójstwo. Możliwe, że jest szalona, ale na mój gust to szaleństwo tropionego lisa. Jednym słowem: ona udaje.

- Trzeba zmusić ją do mówienia - stwierdził Wyatt. - Ale jak?

- Proszę zostawić to mnie - powiedział brutalnie Dawson. - Jest pan angielskim dżentelmenem, nie wie pan, jak postępować z takimi jak ona. Co innego ja. Jestem amerykańskim sukinsynem, tak czystej próby jak wysadzane diamentami osiemnastokaratowe złoto. Zmuszę ją do mówienia, choćbym miał rozwalić jej łeb.

Ponownie do niej podszedł, odzywając się zwodniczo pojednawczym tonem:

- No dobrze, pani Warmington. Powie mi pani, gdzie jest Julie Marlowe i pan Rawsthorne, prawda?

- Nic z tego. Nie lubię, kiedy ktoś plotkuje i opowiada kłamstwa na mój temat.

Głos Dawsona zabrzmiał bardziej surowo.

- Wie pani, kim jestem?

- Oczywiście. Wielkim Jimem Dawsonem. Zabierze mnie pan stąd, prawda? - Głos jej się załamał i dodała płaczkliwie: - Chcę wrócić do Stanów!

- Zna więc pani moją reputację - powiedział Dawson tonem nie wróżącym nic dobrego.

- Jest ze mnie kawał drania. Tylko pod jednym warunkiem ma pani szansę wrócić szybko do Stanów. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Rawsthorne albo każę panią tutaj zatrzymać w związku ze śledztwem w sprawie zniknięcia brytyjskiego konsula. Nie obejdzie się bez dochodzenia. Brytyjczycy są konserwatywni i nie lubią tracić swoich urzędników, nawet tych niższego szczebla.

- Na szczycie wzgórza - powiedziała posepnie pani Warmington. - Jest tam wąwóz.

- Proszę wskazać kierunek, - Podążył wzrokiem za jej wyciągniętą ręką, po czym znów na nią spojrzał. - Wyszła pani z tego huraganu w niezłej formie - powiedział przez zęby. - Ktoś musiał się panią opiekować. Zamiast szukać zemsty, powinna pani być wdzięczna.

Wróciwszy do Wyatta oznajmił:

- Już wszystko wiem. W górze jest jakiś wąwóz. - Wskazał ręką kierunek. - Gdzieś tam.

Wyatt bez słowa ruszył biegiem i zaczął wspinać się na wzgórze. Dawson uśmiechnął się, podążając za nim w wolniejszym, mniej wyczerpującym tempie. Nagle usłyszał w górze jakiś hałas i podniósłszy głowę zobaczył przelatujący nad grzbietem wzgórza śmigłowiec. Wyglądał jak wielki konik polny.

- Hej! - krzyknął Dawson. - To Amerykanie! Wrócili!

Wyatt był już jednak daleko, wspinając się na wzgórze, jakby od tego zależało jego życie. Może zresztą tak było.

## II

Causton stał koło zburzonej wieży kontrolnej na betonowej płycie lotniska w bazie na Cap Sarrat i obserwował śmigłowce, nadlatujące zygzakiem od strony morza. Komandor Brooks szybko działał. Dowodzony przez niego lotniskowiec musiał stać gdzieś na granicy strefy huraganu i gdy tylko pogoda wystarczająco się poprawiła, wysłano natychmiast śmigłowce. A był to dopiero pierwszy rzut. Wkrótce na San Fernandez zaczną przylatywać mnóstwo samolotów, dostarczając tak potrzebną pomoc medyczną.

Spojrzał na niewielką grupę otaczających Favela oficerów i uśmiechnął się pod nosem. Jankesów czekała niespodzianka - ale może jeszcze nie teraz.

Favel nie ukrywał swoich zamiarów.

- Zajmę bazę na Cap Sarrat - powiedział. - Choćby tylko symbolicznie. To istotna sprawa.

Tak więc pluton jego żołnierzy dokonał niebezpiecznej przeprawy przez rozlane ujście rzeki Negrito i teraz czekali na Amerykanów. Opierali swój plan na pierwotnym traktacie z 1906 roku, w którym Favel znalazł pewną lukę.

- Sprawa jest prosta, panie Causton - powiedział. - Traktat określa, że jeśli wojska amerykańskie dobrowolnie opuszczą bazę i zostanie ona następnie zajęta przez władze San Fernandez, układ ulega unieważnieniu.

Causton uniósł brwi.

- Paskudnie to będzie wyglądało - stwierdził. - Amerykanie spieszą wam hojnie z pomocą, a wy odwdzięczacie się zajęciem bazy.

- Amerykanie oddadzą tylko to, co są nam winni - odparł oschle Favel. - Przez sześćdziesiąt lat dzierżawili za psie pieniądze dwadzieścia kilometrów kwadratowych kosztownej ziemi. Umowa została wymuszona wówczas, gdy zajmowali San Fernandez, jakby to były tereny wroga. - Potrząsnął głową z powagą. - Nie chcę im odbierać bazy, panie Causton. Ale myślę, że będę w stanie wynegocjować nowe, bardziej sprawiedliwe warunki dzierżawy.

Causton wyjął z kieszeni notes, aby coś sobie przypomnieć.

- Tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt trzy dolary rocznie. Myślę, że ta ziemia jest więcej warta i chyba dostaniecie, ile trzeba.

Favel radośnie się uśmiechnął.

- Zapomniał pan o dwunastu centach, panie Causton. Myślę, że Międzynarodowy Trybunał w Hadze wyda sprawiedliwy wyrok. Chciałbym, żeby pozostał pan w bazie i zaświadczył bezstronnie, że władze San Fernandez przejęły kontrolę nad Cap Sarrat.

W ten oto sposób obserwował teraz, jak pierwszy śmigłowiec ląduje na terytorium suwerennych władz San Fernandez. Przyglądając się wysiadającym z niego ludziom zobaczył na jednej z czapek złote naszywki.

- Mój Boże. Ciekawe, czy to jest Brooks - mruknął i zaczął iść wzdłuż betonowego pasa. Zobaczył, że Favel rusza z miejsca i po chwili przyglądał się spotkaniu obu mężczyzn.

- Witamy z powrotem na Cap Sarrat - powiedział Favel, wyciągając rękę. - Jestem Julio Favel.

- Brooks. Komandor marynarki Stanów Zjednoczonych.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Causton zastanawiał się, czy Brooks wie o zastrzeżeniu w traktacie. Jeśli wiedział, nie dawał po sobie poznać, że jest świadomy nowej sytuacji, w jakiej się znalazł. Nie okazał też zdziwienia, gdy rzucił okiem na zmokniętą, zielono-złotą flagę San Fernandez, która zwisała smętnie z zaimprovizowanego masztu na wieży kontrolnej.

- Czego pan najbardziej potrzebuje, panie Favel? - zapytał. - I dokąd trzeba to dostarczyć? Zrobimy, co się da. Niech pan tylko poprosi.

Favel ze smutkiem pokręcił głową.

- Brakuje nam wszystkiego, ale na początek niezbędni są lekarze, sprzęt medyczny,

żywność i koce. Potem będziemy potrzebować jakichś prowizorycznych, wieloosobowych kwater. Wystarczyłyby nawet namioty.

Brooks wskazał lądujące na pasach startowych śmigłowce.

- Ci chłopcy sprawdzą, czy lotnisko nadaje się do użytku. Ustawimy tam tymczasową wieżę kontrolną. Kiedy wszystko będzie gotowe, zaczną przylatywać duże samoloty. Czekają już na sygnał w Miami i Puerto Rico. Tymczasem mamy pięć śmigłowców wypełnionych lekarzami. Dokąd chce pan ich wysłać?

- Nad Negrito. Będą tam mieli mnóstwo roboty.

Brooks uniósł brwi, okazując zdziwienie.

- Negrito? A więc wyprowadził pan ludzi z St. Pierre. - Z pomocą waszego pana Wyatta. Ten młody człowiek jest Pełen energii i ma wyjątkową siłę przekonywania.

Zaczęli się oddalać.

- Tak - stwierdził Brooks. - Szkoda, że... - Poszli wzdłuż pasa startowego i Causton nie usłyszał już jego słów.

### III

Dawson dogonił Wyatta dopiero wtedy, gdy ten był już niemal na szczycie wzgórza.

- Nie tak ostro - powiedział, z trudem łapiąc oddech. - Wykończy się pan.

Wyatt milczał, oszczędzając tlen dla nóg, które pracowały jak tłoki. Kiedy dotarli na grzbiet wzgórza, rozejrzał się wokół. Oddychał ciężko, a mięśnie nóg miał obolałe z wysiłku.

- Nie widzę... żadnego... wąwozu.

Dawson popatrzył w przeciwną stronę, w kierunku morza i zobaczył na horyzoncie upragniony błękit nieba. Odwróciwszy się powiedział:

- Zakładając, że przyszli od strony wybrzeża, jaką wybraliby stąd drogę?

Wyatt z rozdrażnieniem pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Ja skłaniałbym się, żeby iść w kierunku St. Pierre - stwierdził Dawson. - Miałbym wtedy niedaleko do domu, kiedy będzie już po wszystkim. - Wskazał ręką na lewo. - Tędy. Spróbujmy się rozejrzeć.

Gdy przeszli kawałek wzdłuż grzbietu wzgórza, Wyatt powiedział:

- Jest. Chyba można to nazwać wąwozem.

Dawson spojrzał w dół, na przecinającą zbocze rozpadlinę.

- Jak na razie to nasza największa szansa - stwierdził. - Zejdźmy tam.

Zszedłszy do wąwozu zaczęli rozglądać się wokół. Na widok uwieczonych między skałami kałuż Wyatt stwierdził:

- W czasie huraganu musiało tędy spływać mnóstwo wody. Pewnie to miała na myśli pani Warmington, mówiąc o rzece na szczycie wzgórza. - Nabrał powietrza w płuca i krzyknął: - Julie! Julie! Rawsthorne!

Nie było odpowiedzi. Wszechobecną ciszę zakłócał jedynie odległy łoskot śmigłowca, lądującego na dnie doliny.

- Podejźmy trochę dalej - rzekł Dawson. - Może są gdzieś niżej. A może zeszli w dolinę i już ich tu nie ma.

- Nie zrobiliby tego - zaproponował Wyatt. - Rawsthorne wie, że droga do St. Michel jest łatwiejsza.

- W porządku, może poszli tamtędy.

- Najpierw sprawdzimy tutaj - powiedział Wyatt i zaczął przeciskać się między leżącymi na dnie wąwozu skałami. Brnął przez kałuże, nie zwracając uwagi na wodę. Dawson podążał za nim, uważnie rozglądając się wokół. Od czasu do czasu Wyatt głośno wołał i wtedy przystawali, aby nasłuchiwać, czy ktoś się nie odezwie, ale nie było odpowiedzi.

Po pewnym czasie Dawson stwierdził:

- Ten babsztyl wspominał o wodospadzie. Zauważył pan coś takiego?

- Nie - odparł lakonicznie Wyatt.

Zszedłszy w głąb wąwozu znaleźli się między jego stromymi ścianami.

- To idealne miejsce, żeby przeczekać huragan - zauważył Dawson. - Lepsze niż te nasze cholerne doły.

- Więc gdzie oni się podziewają, do diabła? - zniecierpliwiał się Wyatt.

- Tylko spokojnie - odparł Dawson. - Jeżeli tu są, znajdziemy ich. Coś panu powiem. Proszę iść dalej wąwozem, a ja wdrapię się na zbocze. Będę mógł szybciej się posuwać, widząc z góry prawie wszystko, co trzeba.

Wspiął się po ścianie wąwozu na odkryte zbocze. Tak jak przypuszczał, od razu mógł przyspieszyć kroku. Choć przeszkadzały mu powalone drzewa, łatwiej było je ominąć niż przejść przez labirynt skał w dole. Posuwał się wzdłuż wzgórza, dystansując Wyatta i często wracał na skraj wąwozu, aby lustrować uważnie jego dno. Dopiero po dłuższym czasie coś zauważył.

Początkowo myślał, że porusza się tam bardzo powoli jakieś zwierzę, lecz po chwili syknął z wrażenia, rozpoznając człowieka, czołgającego się z wysiłkiem na brzuchu. Zszedł na dno wąwozu i potykając się o skały dotarł do miejsca, w którym zatrzymała się pełzająca postać. Odwróciwszy mężczyznę na wznak podniósł głowę i krzyknął:

- Niech pan tu przyjdzie, Wyatt! Znalazłem Rawsthorne'a! Rawsthorne był w kiepskim stanie. Miał trupio bladą twarz, przez co widoczne na skroni strużki krwi jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Wyglądało na to, że prawa strona jego ciała jest całkowicie sparaliżowana. Próbował bezskutecznie chwycić się czegoś lewą ręką, gdy Dawson delikatnie otoczył go ramieniem. Zamrugał oczami, a jego wargi poruszyły się, nie wydając jednak żadnego dźwięku.

- Spokojnie - powiedział Dawson. - Nic już panu nie grozi.

Rawsthorne, oddychając z trudem, wyszeptał:

- Atak... atak... serca.

- Niech pan się nie martwi - rzekł Dawson. - Tylko spokojnie.

Za nadchodzącym Wyattem posypały się z chrzęstem kamyki.

Dawson odwrócił głowę i oznajmił:

- Ten biedak miał zawał. Jest w kiepskim stanie.

Chwyciwszy Rawsthorne'a za przegub Wyatt z trudnością wyczuł puls. Potem zobaczył wpatrzony w przestrzeń szkliste spojrzenie. Zsiniałe wargi znów się poruszyły.

- Wodospad... drzewo... drzewo...

Nagle Rawsthorne zwisał bezwładnie na ramieniu Dawsona. Miał otwarte usta i patrzył nieprzytomnie w niebo.

- Nie żyje - oznajmił Dawson, kładąc go ostrożnie między skałami.

Wyatt wpatrywał się w martwe ciało. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Czy on się czołgał? - wyszeptał. Dawson przytaknął.

- Kierował się w dół wąwozu. Nie wiem, jak zamierzał stąd wyjść.

- Julie nigdy by go nie zostawiła - stwierdził Wyatt, wyraźnie starając się zapanować nad swym głosem. - Nie w takim stanie. Coś musiało jej się przydarzyć.

- On też wspominał o wodospadzie - zupełnie jak pani Warmington.

- To musi być gdzieś wyżej - stwierdził Wyatt. - I chyba wiem gdzie. - Podniósł się i odszedł chwiejnym krokiem, poruszając się o wiele za szybko po skalnym rumowisku i nie zważając na to, że zwichnie albo złamie nogę w kostce. Dawson, podążający za nim z większą ostrożnością, znalazł go pod wiszącą skałą, która była zbyt twarda i wytrzymała, by ulec żywiołowi. Pochyliwszy się Wyatt podniósł coś ze szczeliny u podnóża skały. Była to damska torebka.

- Należała do pani Warmington - powiedział. - To jest ten wodospad. - Podniósł szybko wzrok na widoczne w górze, na skraju wąwozu, kłębowisko korzeni. - A tam jest drzewo. Powiedział „drzewo”, prawda?

Wdrapał się po zboczku wąwozu, a potem się odwrócił, by pomóc Dawsonowi.

- Popatrzmy z bliska na to cholerne drzewo.

Obeszli je, ale niczego nie zauważyli. Wówczas Wyatt wcisnął się między gałęzie i wydał nagle zdławiony jęk.

- Jest tutaj - powiedział łamiącym się głosem.

Dawson precyzyjnie się za nim i zajrzawszy Wyattowi przez ramię odwrócił się, mówiąc smętnie:

- No cóż, znaleźliśmy ją.

Pień drzewa przygniatał Julie nogi i biodra, a jedna z gałęzi przyciskała do ziemi jej prawą rękę. Opuszki palców lewej dłoni miała zdarte do krwi, gdyż drapała pień, usiłując go przesunąć. Jej zabrudzona twarz, z której odpłynęła krew, była biała jak marmur. Poruszały się jedynie kosmyki włosów, powiewających łagodnie na wietrze.

Wyatt cofnął się o parę kroków, wpatrując się z namysłem w drzewo.

- Przesuńmy je - powiedział zduszonym głosem. - Ruszmy to cholerne drzewo!

- Dave - rzekł cicho Dawson. - Ona nie żyje.

Wyatt błyskawicznie się odwrócił, a jego twarz pałała wściekłością.

- Tego nie wiemy! - krzyknął. - Wcale tego nie wiemy! Dawson cofnął się o krok, przerażony gwałtownością uczuć, nad którymi usiłował zapanować ten człowiek.

- W porządku, Dave - powiedział. - Przesuniemy to drzewo.

- I zrobimy to ostrożnie, jasne? - dodał Wyatt. - Zrobimy to bardzo ostrożnie.

Dawson popatrzył na drzewo z powątpiewaniem. Było ogromne, ciężkie i pokraczne.

- Od czego zaczniemy?

Wyatt chwycił złamaną gałąź, odrywając ją silnym szarpnięciem. Cofnął się, ciężko dysząc i powiedział:

- Zdejmiemy z niej... ten ciężar, a potem jeden z nas ją stamtąd wyciągnie.

Dawsonowi nie wydawało się to takie proste, ale chciał spróbować. Wziął gałąź, którą podał mu Wyatt, po czym obszedł drzewo, szukając dogodnego miejsca, aby podważyć nią pień. Wyatt zebrał kilka kamieni i poszedł za nim.

- Tam - powiedział krótko. - To jest odpowiednie miejsce. - Był bardzo blady. - Musimy zachować ostrożność.

Dawson wetknął gałąź pod pień i ostrożnie próbował go podźwignąć. Wątpił, czy się poruszy, ale nic nie powiedział. Wyatt odepchnął go, napierając całym ciężarem na gałąź. Rozległo się skrzypienie, ale nic poza tym się nie stało.

- No dalej - powiedział. - Pan też może przec.

- A kto wsadzi pod spód kamienie? - zapytał trzeźwo Dawson. - Żaden z nas tego nie robi, jeżeli będziemy obaj zajmować się gałęzią.

- Mogę podsunąć je nogą - odparł zniecierpliwiony Wyatt. - Zaczynamy!

Gdy obaj oparli się z całej siły na gałęzi, Dawson poczuł w rękach potworny ból. Pień drzewa odrobinę się poruszył. Dawson zacisnął zęby i dalej na niego napierał. Powoli, centymetr po centymetrze, pień uniósł się i Wyatt, oderwawszy stopy od ziemi, pchnął czubkiem buta jeden z kamieni, wsuwając go pod spód. Gdy zrobił to samo z następnym, większym głazem, sapnął z wysiłku i powiedział:

- Wystarczy, na razie.

Opuścili powoli gałąź i pień wrócił na swoje miejsce, leżał jednak nieco wyżej, wsparty na kamieniach. Dawson cofnął się niepewnie. Ręce paliły go z bólu. Wyatt podniósł wzrok i zobaczył jego twarz.

- Co się stało? - zapytał i w tej samej chwili zrozumiał, w czym rzecz. - O, mój Boże! Przepraszam, nie zdawałem sobie sprawy.

Dawson opanował ogarniające go mdłości i uśmiechnął się blado.

- Nieważne - powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał pewnie. - Nie ma sprawy. Nic mi nie jest.

- Na pewno?

- Wszystko w porządku - stwierdził z nonszalancją.

Wyatt spojrział ponownie na drzewo, mówiąc:

- Spróbuję ją teraz wyciągnąć. - Wczołgał się pod gałęzie i nie odzywał się przez kilka

minut, po czym oznajmił stłumionym głosem: - Trzeba je jeszcze trochę przesunąć. - Wyczołgawszy się z powrotem dodał: - Jeśli pan tam wejdzie i wyciągnie ją, kiedy ja podniosę to cholerne drzewo, powinno nam się udać.

Zanim Dawson zajął swoje miejsce, Wyatt zaklinał ostrożnie kamienie, które wcześniej wsadził pod pień i gdy tamten krzyknął, że jest gotowy, napał ponownie na dźwignię. Nic to nie dało, więc próbował jeszcze kilkakrotnie, naciskając gałąź z całej siły, aż miał wrażenie, że popękają mu kości. W pewnej chwili zaświtała mu myśl, że przeżywał już coś takiego w więziennej celi. No cóż, skoro raz przez to przeszedł, i teraz sobie poradzi.

Pień drzewa nawet nie drgnął.

Dawson kazał Wyattowi zaczekać i wypełznął spod gałęzi. Był blisko Julie i miał już teraz pewność, że nie żyje, ale ani przez chwilę nie pokazał po sobie, że uważa ich wysiłki za bezcelowe.

- Tutaj trzeba wagi, nie siły - stwierdził. - Jestem od pana cięższy o trzydzieści kilogramów. Może nie mam za dobrych mięśni, ale nie o to chodzi. Ja podniosę drzewo, a pan ją wyciągnie.

- A co z pana rękami?

- Są moje, no nie? Proszę tam wejść.

Zaczekał, aż Wyatt będzie gotowy, po czym oparł się o gałąź, wywierając na nią nacisk całą swą siłą i ciężarem. Omal nie krzyknął, poczuwszy potworny ból w rękach. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Pień poruszył się i Wyatt krzyknął:

- Proszę utrzymać go w górze! Na litość boską, niech pan tak trzyma!

Dawson przeżywał nie kończące się katusze i przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł posługiwać się rękami - choćby po to, żeby pisać na maszynie. „Do diabła!”, mruknął pod nosem. „Zawsze mogę dyktować komuś tekst”. Wzmógł nacisk i zauważył kątem oka, że Wyatt wyczołguje się, ciągnąc coś za sobą, po czym z nie wysłowioną ulgą usłyszał słaby, dolatujący z daleka głos:

- W porządku, może pan puścić.

Puścił gałąź i upadł na ziemię, dziękując Bogu, że piekielny, palący ból w rękach zastąpiło błogie odrętwienie. Patrzył półprzytomnym wzrokiem, jak Wyatt pochyła się nad Julie, rozdziera jej koszulę i przykłada ucho do piersi. A potem doznał niemal szoku, gdy tamten krzyknął triumfalnie:

- Ona żyje! Jeszcze żyje! Słyszę słaby puls!

Dopiero po dłuższym czasie zdołali ściągnąć śmigłowiec, ale gdy to zrobili, pomoc nadeszła błyskawicznie. Maszyna wisiała im nad głowami i wzniecała kurz, a Wyatt osłaniał Julie własnym ciałem, chroniąc ją od podmuchu. Gdy spuszczonego na wyciągu człowieka znalazł się na ziemi, Dawson podszedł do niego chwiejnym krokiem i rzekł:

- Potrzebujemy lekarza. Mężczyzna przelotnie się uśmiechnął.

- Już go macie. W czym problem?

- Chodzi o tę kobietę. - Zaprowadził go do miejsca, gdzie leżała Julie. Lekarz przyklęknął obok niej i wyjął stetoskop. Po kilku sekundach poszperał w torebce na pasku, wyciągając strzykawkę i ampułkę. Wyatt przyglądał się z niepokojem, jak robi Julie zastrzyk. Potem lekarz przywołał z powrotem śmigłowiec i wydał zwięzłe polecenia przez mikrofon w dolnej części zwisającego wyciągu.

Wyciąg poszybował w górę i po chwili zjechał na nim inny mężczyzna, trzymając zwinięte nosze i komplet szyn. Śmigłowiec ponownie odleciał i nadal krążył w górze. Julie, unieruchomiona starannie szynami, dostała kolejny zastrzyk. Wyatt zapytał:

- Jak ona... czy będzie...?

Lekarz spojrzał na niego.

- Dotarliśmy do niej na czas. Wszystko będzie dobrze, jeżeli szybko zabierzemy ją z tego wzgórze. - Przywołał ręką śmigłowiec, który ponownie nadleciał i Julie wciągnięto na noszach do góry.

Lekarz przyglądał się obu mężczyznom.

- Lecicie panowie? - zapytał, po czym zwrócił się do Dawsona. - Co jest z pańskimi

rękami?

Z jakimi rękami? - odparł Dawson drżącym, pełnym ironii Wyciągnął przed siebie dłonie w zwojach bandażu. - Proszę spojrzeć, doktorze. Nie mam rąk! - wybuchnął histerycznym śmiechem.

- Niech pan lepiej poleci z nami - powiedział lekarz. - Spojrzał na Wyatta. - Pan także. Wygląda pan na śmiertelnie zmęczonego.

Wciągnięto ich po kolei do śmigłowca. Lekarz dołączył do nich na końcu i klepnął w ramię pilota. Wyatt siedział przy noszach, wpatrując się w bladą twarz Julie. Zastanawiał się, czy zechce wyjść za człowieka, który ją zawiódł, który pozostawił ją na pastwę burzy, aby zginęła. Wątpił w to, ale wiedział, że poprosi, aby została jego żoną.

Patrząc obojętnie w dół, na oddalające się wzgórze i rozlane wody zatopionej doliny Negrito, poczuł nagle, że ktoś dotyka jego ręki. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że była to dłoń Julie. Ocknęła się właśnie i po policzkach spływały jej dwie łzy. Poruszała wargami, ale łoskot maszyny zagłuszał wszelkie dźwięki.

Szybko się nad nią pochylił, zbliżając ucho do jej ust i zdołał uchwycić ledwo dosłyszalne słowa:

- Dave! Dave! Żyjesz! - Nawet w tym cichutkim szepcie dało się wyczuć ton niedowierzania.

Uśmiechnął się do niej.

- Tak, obydwójce żyjemy. Dziś jeszcze wrócisz do Stanów. Zacisnęła lekko palce na jego dłoni i znów coś powiedziała. Nie wszystko zrozumiał, ale złapał sens tego, co mówiła.

- ...wracać. Chcę mieć dom... z widokiem na morze... St. Pierre. Potem zamknęła oczy, ale nadal obejmowała palcami jego dłoń.

Poczuł, że ubyło mu połowy trosk. Julie wyzdrowieje i będą już razem.

Wrócił więc do bazy na Cap Sarrat, zyskując rozgłos i zapisując się w historii. Nie wiedział, że nagłówki światowych gazet będą sławiły w stu językach jego imię jako człowieka, który ocalił ludność całego miasta - i zniszczył całą armię. Nie wiedział, że oczekiwały go zaszczyty z rąk ludzi, którzy mniej od niego znaczyli. Nie wiedział, że pewnego dnia, gdy bardzo się już zestarzeje, właśnie on pokaże innym, jak okiełznać wielki wiatr-huragan.

Nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy. Wiedział jedynie, że jest bardzo zmęczony i że spotkała go zawodowa klęska. Nie powiedziano mu, ilu żołnierzy zginęło w St. Pierre - wiele setek czy wiele tysięcy - ale gdyby nawet zginął tylko jeden, dowodziłoby to wobec świata jego profesjonalnej porażki, czuł się więc podle.

David Wyatt był pełnym pasji naukowcem, nie obeznanym z meandrami otaczającej go rzeczywistości i bardzo młodym jak na swój wiek.